



Do  
zobaczenia  
w Paryżu

MICHELLE GABLE

Autorka bestsellerowego *Mieszkanie w Paryżu*

Michelle Gable

DO ZOBACZENIE W PARYŻU

przełożyła Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik

*Dla najlepszej mamy na świecie, Laury Gable.  
I wszystkich matek, gdziekolwiek żyją.*

## GOOSE CREEK HILL

MIDDLEBURG, WIRGINIA

PAŹDZIERNIK 2001 ROKU

– Może nas zaskoczy – powiedział Eric.

Szli ścieżką w stronę stajni. Sandały Annie zgrzytały na żwirze. Było dwadzieścia siedem stopni Celsjusza, niezwykle ciepło jak na tę porę roku, a w powietrzu dryfowało babie lato. Słońce świeciło jasno, wzgórza zieleńiły się i połyskiwały. Liście nie zaczęły się jeszcze przebarwiać.

– Zaskoczy? – powtórzyła Annie. Skręcało ją w żołądku. Gdzieś w oddali zarżał koń. – Nie. Moja mama nikogo nie zaskakuje.

– Daj spokój. Miej trochę wiary. Zawsze tak jest. Wydaje ci się, że kogoś znasz, aż tu nagle... – Strzelił palcami i się odwrócił. – Tak po prostu. Bum. Zmiana o sto osiemdziesiąt stopni.

Kiedy się odwracał, Annie wybuchnęła śmiechem.

– Laurel Haley nie wykonuje zwrotów o sto osiemdziesiąt stopni – oznajmiła. – Całe jej życie przypomina dokładnie wytyczoną linię zmierzającą w jednym kierunku.

Z wyjątkiem jednego objazdu, chciała dodać. Tym objazdem była Annie.

– Ale cię kocha – powiedział Eric i ujął jej dłoń. – I wiem, że będzie tak samo podekscytowana jak my. Czuję to.

Annie się uśmiechnęła. Jego niestrudzony optymizm urzekał ją za każdym razem. Eric nigdy z niego nie zrezygnował, oddawał się wiecznej promienności jak musztrze na obozie dla rekrutów. Annie nie mogła zdecydować, czy taka postawa była bardzo przydatna, czy też wyjątkowo niebezpieczna dla kogoś, kto miał niebawem wyruszyć na Środkowy Wschód na okręcie.

– Może masz rację – powiedziała, po raz kolejny poddając się jego „erykowatości”.

To nie było niemożliwe. Laurel twierdziła, że szczęście Annie miało dla niej największe znaczenie. A z Erikiem była szczęśliwa. Może to naprawdę wystarczyło.

Zatrzymali się przy wejściu do stajni. Annie zrobiła głęboki wdech w chwili, gdy mijały ich chichoczące nastolatki, takie chude i wysportowane, znajdujące się na pograniczu piękna, ale jeszcze nie w pełni dorosłe do swoich bryczesów i butów do jazdy konnej.

– W porządku – powiedziała. – Wchodzimy.

Zrobiła kilka ostrożnych kroków i zajrzała do jednego z boksów, gdzie zobaczyła Laurel oporządzającą konia.

– Dobra robota, Sophie – odezwała się Laurel do matki i córki wychodzących z boksu. – Wyjeżdżam na najbliższe dwa tygodnie. Margaret będzie prowadziła lekcje za mnie.

Dziewczyna pomachała i uśmiechnęła się w przejściu do Annie. Sophie była jedną z dwudziestolatek, które Laurel uczyła za darmo. Dziewczyn z problemami zdrowotnymi, których nie czekało długie lub dobre życie. Nawet kiedy Laurel pracowała pełną parą w imponującej kancelarii prawniczej w centrum, zawsze znajdowała czas dla tych dziewcząt.

– Cześć, Annie! – przywitała się Laurel i zapięła uzdę klaczy. – Eric. Nie wiedziałam, że tu jesteście.

– To była twoja ostatnia uczennica? – zapytała Annie, czując za sobą mocne oparcie w osobie Erica. – Jesteś zajęta?

– Nie jestem. – Laurel naciągnęła pas. – Skończyłam dawać lekcje i wybierałam się na przejażdżkę. Co słyhać?

Trzymała wodze w prawej ręce, a na jej twarzy pojawił się niespokojny uśmiech. Laurel zawsze wyczuwała, kiedy Annie coś kombinowała, ukrywała lub wyraźnie naginała prawdę. Umiejętność ta zdumiewała Annie, bo jej matka żyła w najbardziej ograniczonym świecie z możliwych, składającym się z pracy, Annie i koni. Laurel odeszła z pracy rok temu, więc teraz na jej życie składały się tylko Annie i farma. Jakim cudem rozumiała tak dużo?

– Macie mi coś do powiedzenia – zauważyła Laurel, przełamując lody, ponieważ nikt inny się na to nie zdobył. – Możecie się do tego przyznać. Obawiam się, że wasze zdenerwowanie może przstraszyć konie.

– Proszę pani, chciałbym prosić panią o zgodę – zaczął Eric mocnym i pewnym siebie głosem.

Annie się skrzywiła i czekała, aż Laurel da im burę. Jej matka była dobra, szczodra, czasami wręcz zabawna, ale potrafiła też wyczuć zły pomysł na kilometr i nigdy się nie bała zauważyć, że czuje jego odór.

– Przepraszam, że nie zacząłem od pani – ciągnął Eric. – Ale do mojego wyjazdu nie zostało dużo czasu. No i dowiedziałem się o pani wyjeździe do Anglii. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Proszę jednak panią teraz.

O Boże, pomyślała Annie. Serce jej waliło. Może to błąd. Ale było już za późno.

– Czy mogę poślubić pani córkę? – zapytał Eric.

A potem: cisza. Nawet konie wydawały się skrępowane i tchórzliwie grzebały kopytami w sianie.

– Proszę pani...?

– Naprawdę mnie prosisz? – wydusiła wreszcie z siebie Laurel. – Czy tylko mnie informujesz?

– Mamo!

– Nic się nie stało, Annie – uspokoił ją Eric i pogładził po ramieniu. – Mama poczuła się osaczona. Daj jej szansę odnaleźć się w tej sytuacji.

– O dziwo, nie jestem w szoku – zauważyła Laurel z ostrożnym uśmiechem. – Spodziewałam się tego.

– Kocham ją, pani Haley. Przysięgam na Boga i kraj, że będę traktował pani córkę lepiej od jakiegokolwiek księcia, jakiego sobie wymarzyła.

– Moja córka nie marzyła o księciu – odparła Laurel. – To nie ten typ dziewczyny.

– Mamo, czy mogłabyś wrzucić na chwilę na luz?

– Wrzucić na luz? Annabelle, doprawdy.

– Proszę pani, kocham Annie – powtórzył Eric ze szczególnie wyraźnym akcentem z Alabamy.

Chociaż Annie rozplynęła się w środku na dźwięk tych słów, wiedziała, że jej matka sceptycznie podchodzi do wszystkiego, co trąci romantyzmem. Przyszłość kształtuje się najlepiej w stajniach i na rachunkach inwestycyjnych, a nie na podstawie wyznań miłosnych młodego żołnierza piechoty morskiej.

– Dla niej uczynię ten świat lepszym miejscem – dodał.

– Och, Ericu. – Laurel znowu zachichotała. – Mogłabym powiedzieć teraz tak wiele rzeczy.

– To może powiedziałałabyś okej? – burknęła Annie. – To byłoby dobre na początek.

Choć bardzo pragnęła zgody matki i trzymała się nikłej nadziei, że ją uzyska, Annie rozumiała, jak Laurel to postrzegała. Cała ta sytuacja trąciła desperacją, wołaniem: „Co ja teraz zrobię ze swoim życiem, do cholery?”. Chrzanić to. Wyjdę za pierwszego faceta, którego spotkam.

W stajni stała matka, a przed nią bezrobotna absolwentka college’u. U jej boku stał mężczyzna – jeśli można go było określić tym mianem – dwudziestojednoletni marine, który miał niebawem wsiąść na pokład okrętu płynącego do Afganistanu.

Chłopak proponował małżeństwo jej bezrobotnej córce, która jeszcze kilka miesięcy temu spotykała się z kimś innym. Kiedy Eric wróci z misji, ich rozłąka będzie siedmiokrotnie dłuższa niż czas, który spędzili razem.

Poza tym Annie poznała go w jakiejś speluncie. Sączyła resztkę kiepskiego wina i słuchała najlepszej przyjaciółki, Summer, która ubolewała nad tym, że praca w biurze senatora to nie służba publiczna, tylko serwowanie kawy. Według bezrobotnej Annie bieganie do Starbucksa w zamian za wypłatę i opłacone ubezpieczenie zdrowotne było całkiem przyzwoitym zajęciem, ale Summer się z nią nie zgadzała.

– Wolabym być bezrobotna – upierała się.  
– I chciałybyś, żeby matka kupowała ci pigułki antykoncepcyjne? – spytała Annie.  
– Przyznaję, że dziwnie bym się z tym czuła. Ale to jest takie cholernie nudne. Chcę robić coś więcej.

– Jak my wszyscy – stwierdziła Annie i pociągnęła ostatni łyk wina.

Bez słowa ostrzeżenia jakiś mężczyzna zerwał się na równe nogi.

Był postawnym chłopakiem, ostrzyżonym bardzo schludnie, na żołnierza – okazało się, że służył w piechocie morskiej. Oznajmił, że stawia wszystkim kolejkę, żeby uczcić fakt, że niebawem wyjeżdża na misję, i podziękować obywatelom za wsparcie wysiłku żołnierzy. Annie pomyślała: „Dzięki Bogu, bo nie stać mnie na następnego drinka”.

A jej druga myśl brzmiała: „Ale on jest seksowny. Szkoda, że lubi broń”.

Pośród poklepywania się po plecach i uścisków dłoni brązowooki czarnowłosa młokos wygłosił namiętną mowę na temat wierności, wolności i Stanów Zjednoczonych. Minął tydzień od jedenastego września, więc reakcja była ogłuszająca. Pod koniec jego wypowiedzi wszyscy w barze stali, obejmowali osobę stojącą obok i śpiewali gromko jedyną pieśń, która miała znaczenie.

*And I'd gladly stand up next to you and defend her*

*still today.*

*'Cause there ain't no doubt I love this land. God bless*

*the U.S.A.<sup>1</sup>*

– Chryste Panie – odezwała się Summer, kiedy już wrzawa ucichła. – Dlaczego mam nagle wrażenie, że wstąpiłam do marynarki?

Annie przeszła w tym momencie przemianę.

W jednej chwili skończyła z powściągliwymi chłopakami z Wirginii, ich długimi grzywkami zaczesanymi na bok i kiepskimi paskami z klamrami przedstawiającymi uśmiechnięte walenie. Pragnęła bohatera, mężczyzny z ikrą, który potrafił poderwać całą salę do śpiewu.

Być może był to skutek nadmiaru wiktoriańskich powieści przeczytanych na studiach i godzin nasiąkania fantazją. A może on był tak mężczyźny. W każdym razie jedenastego września

zmienił się cały świat, w kwestiach zarówno wielkich, jak i drobnych. Wyglądało na to, że tego wieczoru w barze zmieniły się także upodobania Annie co do mężczyzn.

Nie istniał oczywiście sposób, by wyjaśnić to Laurel. Nieważne, że facet jest żołnierzem – nie wychodzi się za męża za kogoś, kogo się poznało przed miesiącem. Annie chciała, żeby jej matka była podekscytowana, ale rozumiała, dlaczego Laurel nie potrafi zdobyć się nawet na udawanie. I jakaś mała jej częśćka zastanawiała się, czy przypadkiem matka nie ma racji. Najczęściej przecież ją miała.

– Nie naciskaj na mamę – powiedział Eric, po raz kolejny ujmując ją za rękę. – Proszę pani, chętnie odpowiem na wszelkie pytania dotyczące mojej rodziny i mojego charakteru.

– Ericu – odezwała się Laurel z westchnieniem. – Nie mam nic przeciwko twojej osobie. W chwili, w której mi ciebie przedstawiono, uznałam, że jesteś miłym chłopcem. Ale jesteś młody, dopiero się poznaliście. Poza tym wyruszasz na wojnę.

– Jak rany, mamó, nie dramatyzuj. To nie są lata czterdzieste.

– Wojna to wojna.

– Ma rację – wtrącił Eric.

Annie zamrugała. Wojna to wojna. Wyjeżdżał, by walczyć, tak? Czy potrafiła docenić, co to znaczy być żołnierzem piechoty morskiej? Czy ludzie zebrani w barze mieli pojęcie, o czym śpiewali?

– Obiecacie mi przynajmniej, że poczekać – powiedziała Laurel. – Pobierzecie się, gdy jego służba dobiegnie końca. Kiedy wojna się skończy i nie będzie kolejnych misji.

– Oczywiście – zapewnił ją Eric, chociaż nie ustalili konkretnego terminu.

Gdy jego służba dobiegnie końca? Wielkie nigdy. To była jego kariera. Eric zaangażował się w wojsko na dobre, po tej misji będzie następna – to będzie długa podróż z przerwami, niemająca końca.

– Okej – powiedziała Laurel i głośno wypuściła powietrze. Zamknęła oczy. –

W porządku. Mądra decyzja. – Po chwili otworzyła oczy. – Pokażcie mi pierścionek. Bo chyba go dostałaś?

– Oczywiście! – zaświergotała Annie.

Z niepewnością wyciągnęła roztrzęsoną dłoń w stronę matki, żeby pokazać jej pierścionek z mikroskopijnym brylancikiem. Ile mógł mieć? Jedną dziesiątą karata? Jedną dwudziestą? Złota obrączka była tak cieniutka, że prawie nie było jej widać. Jak to dobrze, że Annie miała takie drobne dłonie.

– Jest piękny – pochwaliła Laurel.

Mówiła szczerze. Wydawała się pokrzepiona skromnością pierścionka. Eric Sawyer nie był zepsutym dzieciakiem utrzymywanym przez rodziców. O Annie nie można było powiedzieć tego samego.

– Jeszcze raz przepraszam, że nie porozmawiałem najpierw z panią. Jestem tradycjonalistą. Powinienem postąpić zgodnie z obowiązującą etykietą.

– Jeśli jeszcze nie zdążyłeś się zorientować, powiem ci, że nie jesteśmy tradycyjną rodziną – zauważyła Annie.

Chodziło jej o to, że nie ma ojca, którego można by prosić o zgodę. Tradycja wymagała zwrócenia się z pytaniem do ojca. Kto poprowadzi Annie do ołtarza? Matka? Para wałachów?

– W porządku. – Eric się zarumienił. – Okej.

– Gratuluję – powiedziała Laurel, wyprowadzając konia z boksu. – Przepraszam, że uciekam, ale chciałabym się jeszcze przejechać przed zmrokiem. Ericu, zapraszam cię na kolację, jeśli możesz zostać.

– Oczywiście – odpowiedział, jękając się. – Dziękuję. Będę zaszczycony.

Kiedy Laurel wyszła ze stajni, dosiadła konia i pojechała galopem na łąkę, Annie odwróciła się, żeby spojrzeć na Erica po raz pierwszy, odkąd weszli do środka.

– Chyba dobrze poszło? – zagaił nieśmiało.

– Owszem – odparła i skinęła głową. – Może nawet lepiej, niż się spodziewałam.

Ale czuła niepokój.

Mimo cichej zgody Laurel coś było nie tak. Annie powinna czuć przepęlniającą ją miłość do narzeczonego i matki, która – choć nie była podekscytowana – wykazała się łaskawością. Wbrew temu jednak, co się działo, pozostała luka, przez którą powoli sączyło się coś, czego Annie nie potrafiła rozpoznać.



## GOOSE CREEK HILL

MIDDLEBURG, WIRGINIA

PAŹDZIERNIK 2001 ROKU

Druga w nocy.

Annie miała już spakowaną walizkę. Sprawdziła ponownie, czy nie zapomniała o paszporcie i bilecie na samolot. Nie jedna, tylko dwie wiadomości mknęły do Erica w cyberprzestrzeni. Wszystko było gotowe do wyjazdu, ale jej umysł nie chciał się uspokoić. Jeżeli nie pozbędzie się ucisku w żołądku, nie zdoła zasnąć.

Pomyślała o liście. Powinna napisać ostatni list do narzeczonego, i to w starym stylu, piórem na papierze. Słowa jej matki brzmiały tak staromodnie. „Jedzie na wojnę”. Jako dziewczyna żołnierza powinna się wczuć w rolę, a pisanie listów wydawało się jej romantyczne.

Kiedy godzinę później skradała się na dół z zaklejoną kopertą w dłoni, odkryła, że nie tylko ona nie śpi. Zatrzymała się w progu gabinetu Laurel i wahała przez chwilę, zanim się odezwała.

Przy biurku stała jej matka, całkowicie ubrana. Wokół paliło się jaskrawe światło. Na biurku stało pudełko. Matka miała nachmurzoną minę. Ta scena była niezrozumiała.

– Co się dzieje, mammo?

– Rety! Annie! – Laurel uderzyła się w pierś. – Ależ mnie przestraszyłaś.

– Przepraszam. Mogę wejść?

– Oczywiście. Nie możesz spać?

– Na to wygląda.

Annie weszła ostrożnie do pokoju. Nadal nic nie rozumiała.

– Też nie mogę spać – powiedziała Laurel, tuląc zniszczoną błękitną książkę do piersi. Była rozbudzona, ale wydawała się nieobecna. – Nigdy nie mogę spać przed lotem. Irytuje mnie to. Domyślam się, że jesteś spakowana?

– Owszem. Nic ci nie jest, mammo?

– Mam nadzieję, że wzięłaś ciepłe ubrania – zagaiła w zamyśleniu. – O tej porze roku pogoda w Anglii bywa paskudna. – Odłożyła książkę. – Bywa paskudna o każdej porze roku – dodała.

Z takim samym nieobecnym wyrazem twarzy Laurel zaczęła upinać kok u nasady szyi. Od dwudziestu lat spinała swoje blond włosy w ciasny koczek. Poukładana kobieta, prawniczka, królowa lodu. Niegdyś Laurel była zapewne ucieleśnieniem prostego stylu kancelaryjnego, ale Annie wydawało się, że powinien się jej znudzić po dwudziestu latach. Wyobrażała sobie, że współnicy matki drwili z niej i robili zakłady o to, kiedy wreszcie zmieni coś w swoim wyglądzie.

Potem Laurel sprzedała swoje udziały i rozpuściła włosy. Były zaskakująco długie, kręcone, dzikie. Lecz teraz, stojąc po drugiej stronie biurka, próbowała znowu je spiąć. Wyglądało na to, że trudno jest zerwać ze starymi nawykami.

– Mammo... Czy ty...?

– Miło było gościć Erica na kolacji – powiedziała Laurel i znowu rozpuściła włosy. – To miły młody człowiek.

– Dzięki. Hm... tak. Jest miły.

„Miły”. Absolwentkę anglistyki powinno być stać na coś więcej. „Miły” to komplement do bani dla kogoś, kto jest rzekomo mężczyzną jej marzeń. Laurel uprzejmie jej tego nie wytknęła.

– Przykro mi, że dom jest w takim kiepskim stanie – odezwała się znowu matka. – Czasami zapominam, jak bardzo wymaga remontu.

– Eric nie zwraca uwagi na takie sprawy. Poza tym nie jest tak źle. Wydaje mi się, że nawet był pod wrażeniem.

Dom był imponujący – od strony ulicy. Albo gdy patrzyło się na niego z dużej odległości, mrużąc oczy. Był wielki, biały i wystawny, ale w środku zniszczony. Wypełniały go głównie sękaty drewno i stęchlizna. Kiedy Laurel kupiła go piętnaście lat temu, był przeznaczony do remontu, plan napraw nigdy jednak nie powstał.

Laurel i Annie jednak uwielbiały ten dom, mimo że sąsiedzi, przyjaciele i chłopcy z college’u kwestionowali jego wartość rynkową lub jakąkolwiek inną. Czy naprawdę nie wiedzieli, z czym mieli do czynienia? Wszyscy w obrębie obwodnicy stolicy chcieli mieć stajnie w Middleburgu, zwłaszcza teraz, gdy w Pentagonie powstał krater wielkości samolotu. Goose Creek Hill zamieniłby się w kopalnię złota przy zaledwie minimalnym wysiłku. Należałoby najpierw odnowić całą posiadłość, ale to miejsce miało potencjał.

– Uwielbiam nasz pełen zakamarków dom – stwierdziła Laurel i ze zmarszczonymi brwiami popatrzyła na leżącą na biurku błękitną książkę. – Nawet jeśli ogrzanie go kosztuje krocie.

– Mamo, coś cię trapi. Wszystko w porządku?

Przygotowała się na wysłuchanie odpowiedzi. Laurel była doskonale miła dla Erica, ale dało się odczuć, że go nie akceptowała.

– Tak. – Usiadła na zielonym skórzanym fotelu. Potarła oczy grzbietami dłoni. – Czuję niepokój przed podróżą. Och, Annabelle...

– Mamo, proszę.

– Więc jesteś zdecydowana? – Spojrzała na córkę. – Na to małżeństwo?

– Dlatego przyjąłem oświadczyzny. Myślisz, że podjęłam złą decyzję.

– Owszem. Ale jesteś zakochana – powiedziała Laurel. Nie brzmiało to jednak niezyczliwie.

– Jestem. I dla jasności dodam, że nie wpadliśmy.

Laurel się zaśmiała, a potem poważniejszym tonem dodała:

– Jesteście ze sobą na tyle długo, żebyś zdążyła zajść w ciążę i się o tym dowiedziała?

Annie się zjeżyła, ale to stwierdzenie było prawdziwe.

– Cieszę się twoim szczęściem – zapewniła ją Laurel. – Eric jest charyzmatycznym młodym człowiekiem. Uroczym żołnierzem z Południa, który kocha mamusię. Marzeniem każdego rodzica.

– No to w czym problem? Sama powiedziałaś, że jestem szczęśliwa, on jest świetnym facetem. Czego więcej chcesz?

– Boże, gdyby to było takie proste – mruknęła Laurel. – Nie chodzi o to, że pragnę dla ciebie czegoś konkretnego. Nie chcę, żeby moja córeczka wybrała niewłaściwego faceta, nawet jeśli kierowałyby się dobrymi intencjami.

– Nie możesz złego słowa o nim powiedzieć – zauważyła Annie, mówiąc coraz wyższym tonem. – Jak możesz go nazywać niewłaściwym facetem?

Poza tym, jakie Laurel miała doświadczenie z facetami – tymi właściwymi i niewłaściwymi? Z tego, co Annie wiedziała, jej matka nie była w poważniejszym związku

z nikim w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Praca, konie, Annie. Annie, konie, praca. W jej życiu nie było miejsca na głupstwa. Ani na zakochiwanie się.

– Myślisz, że nie wiem, o czym mówię. Że jestem roztrzęsioną starszą panią, która nie potrafi rozpoznać wielkiej miłości, gdy na nią patrzy. Wierz mi jednak, że mam trochę doświadczenia w sprawach sercowych.

– Kim on był? – wypaliła Annie.

Laurel się wzdrygnęła.

– Słucham? – spytała.

Nigdy o tym nie rozmawiały. Tańczyły wokół tej kwestii. Krążyły na jej obrzeżach. Ale matka i córka bohatersko ignorowały temat *jego*.

Dwie kobiety od zawsze prowadziły uroczne życie na swojej rozległej farmie, radowały się szczęściem i pięknymi widokami. Nie miało znaczenia to, kim *on* był. Nie miało to wpływu na ich egzystencję. Przynajmniej Annie tak sobie powtarzała, na głos i w myślach, odkąd była mała. Laurel dość wcześnie powiedziała córce, że tego mężczyzny nie warto poznawać, i Annie wierzyła jej na słowo.

Aż do tej chwili.

– Mój ojciec – powiedziała, jakby to wyjaśnienie było potrzebne. – Chcę poznać jakieś szczegóły.

– Szczegóły nie są ważne – powtórzyła Laurel, jak czyniła to już dziesiątki razy wcześniej. – Wydawało mi się, że go znałam. Nie chciał z nami być. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

– Miło by było poznać jego nazwisko.

– Nazywał się Haley.

– Wpadłam na to – burknęła. – To dlaczego na moim akcie urodzenia napisano, że ojciec jest nieznanym? Przecież byliście małżeństwem. Nosimy jego nazwisko. Wiesz, kim jest.

– Nie rozumiem, dlaczego nagle interesujesz się mężczyzną, który nie potrafił się o nas zatroszczyć.

– Wychodzę za mąż. I nawet nie potrafię powiedzieć narzeczonemu, skąd pochodzę, kim jestem.

– Mężczyzna, który mnie zapłodnił, nie decyduje o tym, kim jesteś – odparła Laurel, zgrzytając zębami.

Na jej twarz wystąpił rumieniec, po raz trzeci lub czwarty, odkąd Annie pamięta. Nie miało znaczenia to, ile jej matka opróżniła puszek z piwem, ile koni uciekało galopem przez miasto, Laurel zawsze miała irytująco neutralny wyraz twarzy. Annie pragnęła, żeby raz na jakiś czas traciła panowanie nad sobą, ale wydawało się, że matka jest zbyt racjonalna na coś takiego.

– Jest częścią mnie – zauważyła Annie, sondując matkę. – Nie sądzisz, że to ważne...

– Twój ojciec był niebezpiecznym człowiekiem – oznajmiła Laurel z zaciśniętymi zębami. – Toczył walkę, chociaż nie dysponował odpowiednią bronią, dlatego zabrałam nas z linii ognia. Nie zrozum mnie źle. Nie zrzucam całej winy na niego.

– Oczywiście, że nie.

– Okazało się, że wcale go nie znam, dlatego możesz to przeczytać na swoim akcie urodzenia. No i jest strona prawna.

– Jak zawsze. – Annie przewróciła oczami. – Pani adwokat.

– Hej. To jest ważne. Nie chciałam, żeby ktokolwiek próbował... stawiać jakiegokolwiek roszczenia. To nie jest odpowiednie wyrażenie, ale nie potrafię ubrać tego w lepsze słowa.

– Nie był zdolny sprawować nade mną opieki? Czy nie chciałaś mu na to pozwolić?

– To nie fair.

– Zgadzam się – przyznała Annie. – Nie fair. Czy on nadal żyje?

– Nie.

Annie spodziewała się wahania, choćby krótkiego zająknięcia. Laurel wyrzuciła z siebie to słowo tak ostro i z taką goryczą, że Annie niemal poczuła jego ukłucie.

– W porządku – powiedziała wytrącona z równowagi. – To chyba zamyka temat. A co z jego rodziną? Nie mam jakichś dziadków? Ciotek i wujków?

– Nie wiem. Może i masz. Nie chcieli mieć z nami nic wspólnego. Dlaczego miałabym tracić choćby sekundę na przejmowanie się nimi? Jak Boga kocham, Annie, czy po dwudziestu latach doszłaś do wniosku, że ci nie wystarczam?

– To nie tak.

– Ależ to jest właśnie tak. – Laurel westchnęła i podniosła błękitną książkę. – Wyjeżdżamy za kilka godzin i przed wyjazdem musimy jeszcze sporo zrobić. Może mogłybyśmy, sama nie wiem, porozmawiać na miejscu. Banbury... Trudno to wyjaśnić. To inne miejsce.

To, że Laurel nie potrafiła dokończyć zdania, zaniepokoiło Annie, bo cała ta podróż nie miała sensu. Oficjalna wersja głosiła, że Laurel musiała pojawić się w Oxfordshire w związku z umową dotyczącą sprzedaży ziemi. Twierdziła, że to jakieś rodzinne sprawy. Tylko co to mogły być za sprawy?

Z tego, co wiedziała Annie, ich drzewo genealogiczne było raczej łyse, przygnębiająco nierozgałęzione. Nie miała rodzeństwa, podobnie jak jej matka. Rodzice i dziadkowie Laurel nie żyli. Był jakiś wujek w Chicago, kuzyn w trzeciej czy czwartej linii w San Diego i jeszcze kilka osób rozproszonych po całym kraju. Ze wszystkimi wymieniały się kartkami na Boże Narodzenie, ale Annie nie pamiętała, by kogokolwiek z nich spotkała.

Istniało jednak drugie drzewo, gdzieś tam. Drzewo jej ojca. Może było tak samo skromne jak ich. Z drugiej strony mogło przypominać sekwoję czy inne drzewo, które Brytyjczycy uważali za ważne.

– Czy nasz wyjazd ma z nim coś wspólnego? – zapytała Annie. – To nasza rodzinna ziemia? Mój ojciec był Brytyjczykiem?

– Nie. – Laurel zachichotała, choć się nie uśmiechnęła. – Człowiek, który mi cię dał, nie miał nic wspólnego z Banbury.

– Powiedziałam dzisiaj Ericowi, że jesteś bardziej przewidywalna od wschodu słońca. Może się myliłam. Tak wiele rzeczy nie ma sensu. Mój ojciec. Ten angielski dom, który miałś od dziesięcioleci, a który teraz postanowiłaś sprzedać.

– To moja emerytura, kochanie.

Laurel ponownie westchnęła i wrzuciła błękitną książkę do pudełka. Annie pochyliła się i usiłowała odczytać wyblakłe złote słowa na okładce. Książka miała w sobie coś znajomego, podobnie jak sposób, w jaki matka ją trzymała. Ciekawe, zważywszy, że Laurel rzadko kiedy czytała coś oprócz tekstów prawniczych, mimo że miała za plecami całkiem pokaźną biblioteczkę.

– Okej – nie ustępowała Annie. – Rozumiem, że to twoja emerytura, ale skąd się wzięła ta nieruchomości? Konkretnie. Kto ci ją przekazał?

– Daleki krewny, ktoś, kto nie miał spadkobierców. Równie dobrze mógł wybrać moje nazwisko losowo. Już dość długo byłam właścicielką tego domu. – Laurel się uśmiechnęła. – Prawie tak długo, jak mam ciebie. Aczkolwiek ty jesteś oczywiście znacznie cenniejsza. I dom nie jest tak gadatliwy.

– Dlaczego sprzedajesz go właśnie teraz? – drążyła temat Annie, wciąż podejrzliwa. – Skoro masz go od tak dawna.

– Nie zwariowałam, mówiąc, że to moja emerytura. Od zawsze to planowałam,

a w ostatnich miesiącach wystawiono na sprzedaż ziemię wokół mojej nieruchomości, co przyczyniło się do wzrostu jej wartości. Większość ludzi nie może przejść na emeryturę przed pięćdziesiątką. Nadal musiałabym pracować, gdybym nie miała tego domu w zanadrzu.

– I to wszystko? Tajemniczy dom jest tylko inwestycją.

Na twarzy Laurel zatańczyło lekkie rozbawienie.

– Tak – przyznała. – Coś w tym stylu. Posłuchaj, słonko, musimy się położyć, bo w przeciwnym razie rano nie zwlecemy się z łóżek. Porozmawiamy więcej w czasie lotu. Albo w Banbury. Będziemy mogły sporo pogadać od serca na temat nieruchomości, małżeństwa. O czymkolwiek zechcesz.

Laurel nagle wydała się zmęczona, znużona, o wiele starsza. Przez chwilę Annie żałowała, że tak bardzo na nią naciskała.

– Mamo, przepraszam. Przez to wszystko...

– Nie masz za co przeproszać. Dobranoc – powiedziała Laurel i pogładziła Annie po głowie. – Idę na górę. Do zobaczenia rano. Kocham cię. – Posłała Annie ostatni smutny uśmiech i wyszła z pokoju.

Annie słuchała oddalających się kroków matki.

Kiedy deski zaskrzypiały jej nad głową, podeszła do pudełka. W środku znajdowało się kilka związanych plików papierów, głównie dokumentów prawnych. A na wierzchu leżała stara błękitna książka. Nie dawała Annie spokoju.

– *Zaginiona księżna* – przeczytała. – Autor: J. Casper Augustine Seton.

Przekartkowała powieść. Była stara, miała pożółkłe strony, bardziej zbutwiałe od Goose Creek Hill. Zakasłała i otworzyła książkę na pierwszej lepszej stronie.

„Powiadano, że dopóki nie namaluje cię Giovanni Boldini, jesteś nikim. Spośród wszystkich sławnych kobiet, które sportretował – księżnych, hrabin i dziedziczek – księżna Marlborough uchodziła za najbardziej czarującą”.

– Annie? – zawołała matka z góry.

Annie podskoczyła i zonglowała książką w powietrzu, by nie pozwolić jej na bliski kontakt z podłogą.

– Idziesz na górę? – spytała Laurel. – Wyłącz światła, proszę.

– Tak, już idę!

Jeszcze raz zerknęła na złocone litery na okładce. Wsunęła książkę w tylną kieszeń dresów i zgasiła światło.

## BANBURY INN

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

PAŹDZIERNIK 2001 ROKU

Księżna Marlborough urodziła się jako Gladys Deacon 7 lutego 1881 roku w hotelu Brighton w Paryżu. Była najstarszą i najpiękniejszą z czterech wyjątkowo urokliwych dziewcząt.

Rodzina Deaconów miała burzliwą historię. Udręczony pomyłony ojciec Gladys wywodził się z bostońskich Parkerów, rodziny, która miała więcej pieniędzy niż rozumu. I jak to w wypadku nierozsądnej szlachty bywa, ilość pieniędzy niebawem zbliżyła się do poziomu ich sprytu. Czyli było ich niewiele.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

Gospodyni w motelu była niemal komiksową Brytyjką o rumianej cerze i startych nierównych zębach.

– Słyniemy z naszych ciast – powiedziała śpiewnym głosem. – Musicie ich skosztować!

Miała na imię Nicola. Annie nie potrafiła określić, czy kobieta była bliższa wiekiem Laurel, czy też jej, należała bowiem do osób, które wydawały się młode i stare równocześnie.

– Przy Parsons Street jest piekarnia – poinformowała i poprawiła poduszki, kiedy Laurel i Annie weszły za nią do pokoju. – Ich wyroby są przepyszne, jak wszystko w okolicy. Czy ten pokój wam odpowiada? Bo mogę was przenieść. Nie mamy wielu gości. Ale ten pokój lubię najbardziej. Jest tu najlepsze światło. Poza tym już nikt nie robi narzut z takim wzorem. Ta jest niepowtarzalna!

– Pokój jest doskonały – powiedziała Laurel i położyła bagaż na łóżku.

Nicola czym prędzej przeniosła go na stojak na walizki.

– Jest przeuroczy – dodała Laurel.

Pokój urządzone w angielskim wiejskim stylu – na podłodze leżały bielone deski, sufit był spadzisty, w pomieszczeniu stały dwa łóżka na ramach z kutego żelaza. Annie zorientowała się, że Laurel nie była zachwycona wielkością łóżek, ale pokój ogólnie się jej podobał.

Miasteczko też było urocze, choć brakowało w nim centralnego placu, można było jednak znaleźć, jak ujęła to Nicola, „stosowny mizmasz sklepów rozrzuconych tu i ówdzie”. Przez mansardowe okno Annie widziała coś, co wyglądało na główny punkt miasta: Banbury Cross, wysoką kamienną iglicę wyrastającą ze środka ronda.

– Wiedziałam, że uznacie ten pokój za pierwszorzędny! – stwierdziła Nicola. – Rozgośćcie się. Dzwoncie, jeśli będziecie czegoś potrzebowali. Siedzę w recepcji w dzień i w nocy. To na razie!

Nicola obróciła się na pięcie i pomknęła na dół. Annie i Laurel uśmiechnęły się słabo do siebie.

Były tylko we dwie po raz pierwszy od spotkania w gabinecie Laurel. Czy temat jest zamknięty? Będą go ciągnęły? Omówią do końca kwestię ojca? Czy może wróćą do swoich utartych zwyczajów? Annie zastanawiała się, czy ją to obchodzi. Czuli wyłącznie zmęczenie i tęsknotę za Erikiem. Miała go nie widzieć przez siedem miesięcy. Jak to wytrzymać?

– Dotarliśmy na miejsce – odezwała się Laurel. – I pada deszcz. Oczywiście. – Zaczęła

szperać w torebce. – Wiem, że dopiero przyjechałyśmy, ale muszę za kilka minut wyjść – ciągnęła. – Mam spotkanie z notariuszem. Możesz do mnie dołączyć albo zostać tutaj. Nie sądzę, żeby to spotkanie mogło się okazać interesujące.

Annie westchnęła, zaskoczona, że matka tak szybko miała coś do zrobienia. Te „wakacje” zaczynały się od dość wysokich obrotów.

– Może pójde z tobą – powiedziała i opadła na łóżko. Była fizycznie wyczerpana, mimo że większą część minionej doby spędziła, siedząc. – Pogoda jest beznadziejna, a poza tym nie mam nic innego do roboty.

– Jako twój adwokat radziłabym ci tego nie robić.

Laurel wyjęła ubrania z walizki i przełożyła je do szuflad. Rozłożyła przybory toaletowe w łazience – małe buteleczki stały równo jak żołnierze. Annie chciałyby, żeby jej matka nie rozpakowywała bagażu od razu, cieszyła się zmianą otoczenia przez minutę lub dwie. Ale Laurel zawsze miała coś do zrobienia.

– Nie mogę znaleźć przejściówki – stwierdziła Laurel. Annie oparła się na łokciach z przesadnym westchnieniem. – Wzięłaś ją? Muszę naładować telefon.

– Powinna być w moim bagażu podręcznym.

– No właśnie. Widziałam, jak ją tam chowałaś.

Kiedy Laurel sięgnęła w stronę plecaka, Annie przypomniała sobie, co jeszcze tam włożyła. Zerwała się z łóżka.

– Czekaj! – krzyknęła. Przez cały tydzień nie ruszała się tak szybko.

– Wielkie nieba, Annie, prawie mnie przewróciłaś.

– Podam ci ją. Proszę.

Podła matce przejściówkę do kontaktu. Zniszczony egzemplarz *Zaginionej księżnej* osunął się na dno plecaka Annie.

– Okej... – powiedziała Laurel, unosząc jedną brew. – Dzięki.

Wściekłyby się o tę książkę? Trudno było stwierdzić, choć w pociągu z Heathrow Annie o nią zapytała. Odpowiedź Laurel była zaskakująca, głównie dlatego, że nie była odpowiedzią.

– O jaką książkę pytasz? – zdziwiła się matka.

Ich związek nie był idealny, ale Laurel zazwyczaj była wobec Annie szczerą i traktowała ją z szacunkiem, mimo że wykluczyła ojca z ich życia. To była kobieta, która zapytana przez córkę w wieku przedszkolnym, czy bociany muszą przynosić bliźnięta pojedynczo, zrobiła jej wykład na temat wybryków prokreacji. Laurel nigdy nie chroniła córki przed niczym, nawet jeśli Annie wolałaby żyć w niewiedzy.

Pozostała oczywiście kwestia jej ojca – Laurel zataiła trudne elementy historii.

– O jaką książkę? – powtórzyła za nią Annie, kiedy pociąg toczył się przez wieś. – O tę książkę. Tę konkretną. Tę... z domu.

– Jestem pewna, że mamy więcej niż jedną książkę – zauważyła Laurel. – Tylko dzięki tym, które przyniosłaś do domu w ciągu ostatniego miesiąca, mogłybyśmy otworzyć antykwariat.

– Chodzi mi o twoją książkę. Tę błękitną. Jest stara.

– Mam w gabinecie mnóstwo książek.

– Chodzi o tę, którą miałaś wczoraj w rękach – ciągnęła Annie.

– Hm. – Laurel wzruszyła ramionami. – Pewnie wzięłam ją przypadkowo. Jak większość rzeczy w tym starym domu.

Annie przytaknęła, ale bez przekonania. Coś było na rzeczy z tą książką.

Nie mogła sobie przypomnieć, by w ciągu dwudziestu lat widziała Laurel czytającą coś innego niż akty prawne, „Wall Street Journal” lub poradniki o skutecznym zarządzaniu podsunięte jej przez szefa. Laurel miała zbiór pierwszych wydań zdobiących ściany w bibliotece,

ale – czego Annie była niemal pewna – żadnego nie zdjęła z półki. Ściskanie w dłoniach książek o księżnych było raczej w stylu Annie, a nie jej matki.

Mimo to książka wydawała się jej z każdą godziną coraz lepiej znana. Rozkojarzona z powodu dni, które upłynęły od rozstania z Erikiem, odległości ich dzielącej oraz tęsknoty za nim, Annie zamknęła oczy i usiłowała dokopać się do wspomnień. Prawie je widziała.

– Tak sobie pomyślałam – odezwała się, gdy Laurel krzątała się po pokoju, wpadając na stoliki i lampy, nieprzyzwyczajona do ciasnoty panującej w Banbury. – Poczekam tu na ciebie. Mam ochotę... poczytać.

– Dobry plan. W bibliotece widziałam kominek. To dobre miejsce, żeby otworzyć książkę i napić się herbaty.

– Lub dać się na siłę nakarmić ciastkami z Banbury – dodała Annie z uśmiechem.

– Nicola rzeczywiście ekscytuje się z niewiadomych przyczyn porzeczkami i ciastem francuskim. – Laurel sięgnęła po telefon. – Mnie to jednak pomogło. W ogóle się nie naładował. Mogę go tu zostawić? Nie chcę tracić możliwości kontaktu z tobą, ale i tak bateria zaraz się rozładuje.

– Poradzę sobie w razie jakiegoś nagłego wypadku. Nicola wydaje się przywoitą osobą. Nie pozwolę, żebym zginęła w pożarze lub żeby zmuszono mnie do wyznawania jakiegoś kultu.

– To pocieszające.

– No to sio! Uciekaj! – rzuciła Annie, machając ręką, bo nagle zapragnęła zostać sama. – Zmykaj już!

Laurel posłała jej zatroskany uśmiech, jakby się wahała, czy zostawić córkę – dwudziestodwulatkę zaręczoną z mężczyzną, którego ledwie знаła. Przyjechały do obcego jej miasta, gdzie Annie mogłaby się zagubić na wiele sposobów. Tylko że Laurel miała coś do zrobienia, a przecież załatwianie spraw było jej największą umiejętnością.

Laurel nałożyła na usta kolejną warstwę szminki marki Revlon w kolorze Tickled Pink produkowanym od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, złapała torebkę i wybiegła na korytarz. Drzwi nie zdążyły się jeszcze za nią zamknąć, kiedy Annie przemknęła przez pokój i wyciągnęła *Zaginioną księżną* z dna plecaka.

– O jaką książkę pytasz? Jasne – mruknęła, otwierając książkę.

Zaczęła czytać pierwszy rozdział.

„W kwestii relacji międzyludzkich nie miała do zaoferowania nic ponad obraźliwą arbitralność. Usidlała ludzi pochlebstwami, by potem móc z nimi zerwać z wielkim hukiem, gdy nasza ją taka ochota. – Historyk sztuki Bernard Berenson o księżnej Marlborough”.

– Zapowiada się rozkosznie – prychnęła Annie. Przeczytała pierwsze zdanie.

„Przyjechałem do Banbury we wtorek”.

– Banbury? – wyrzuciła z siebie zdumiona Annie.

Wyjrzała przez okno na Banbury Cross. Już przy pierwszym zdaniu dokądś zmierzała. A w zasadzie już tu była.

„Było zimno i mokro, jak to w Banbury bywa” – czytała dalej.

„Po zameldowaniu się w motelu o przeciętnym standardzie udałem się do pubu, bo uznałem, że to tam najłatwiej zebrać informacje. Zamówiłem Watneys Red Barrel i zabrałem się do pracy”.



## BANBURY INN

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

## PAŹDZIERNIK 2001 ROKU

Wprowadzenie dla niewtajemniczonych.

Kiedy Gladys Deacon skończyła dziesięć lat, mieszkała już w czterech krajach.

W wieku jedenastu lat powierzono ją opiece skazanego za morderstwo. Porwano ją, gdy miała dwanaście lat.

Jako szesnastolatka zadebiutowała w Londynie, gdzie poznała swojego przyszłego męża, który był wówczas żonaty.

Jako dwudziestojednolatka mieszkała samodzielnie w Paryżu, w mieszkaniu, które należało wyłącznie do niej.

W 1906 roku, w wieku dwudziestu pięciu lat, scementowała przyjaźń z Marcelem Proustem, dzięki której zaprzyjaźniła się także z innymi najwybitniejszymi pisarzami epoki: Hardym, Wharton, Waughem. No i oczywiście z Henrym Jamesem.

Byli też inni mężczyźni, niezliczeni kochankowie, których było zbyt wielu, żeby ich wymieniać – przecież indeks nie powinien być nigdy dłuższy od opowieści. Wystarczy wspomnieć, że przed zamążpójściem Gladys wypróbowała wielu kawalerów, tych będących dobrą partią i tych z przeciwległego bieguna. Spotykała się z księciem Norfolk, Roffredo Gaetanem, księciem Camastry, poetą Robertem Trevelyanem, francuskim politykiem Aristide'em Briandem, generałem Joffrem i lordem Francisem Pelham-Clinton-Hope'em, właścicielem brylantu Hope. Niestety, czterdzieści pięć karatów nie wystarczyło w obliczu faktu, że absztyfikant miał chorą nogę.

Przez pewien czas Gladys Deacon była zaręczona z następcą tronu Prus, wysokim, nieśmiałym blondynem. Zaręczyny zerwano, bo ona nie była księżną i nie lubiła, kiedy jej o tym przypominano. Szkoda. Ich małżeństwo stanowiłoby niemiecko-amerykański sojusz i zapobiegłoby wybuchowi pierwszej wojny światowej.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

Spędziły w Banbury trzy dni.

Umowa dotycząca sprzedaży nieruchomości była niepewna, warunki zmieniały się co godzina. Laurel uczestniczyła w jednym spotkaniu po drugim. Annie brała pod uwagę towarzyszenie jej, bo w miasteczku nie było zbyt wielu urokliwych uliczek i mieszkańców, z którymi można by pogawędzić. Domy z elewacją z wapienia były śliczne, owszem, ale było ich tak cholernie dużo.

– Zamki – rzuciła Laurel. – W pobliżu znajdują się piękne zamki. No i Londyn! Musimy jechać do Londynu. Obiecuję, że niebawem zaczniemy się zachowywać, jak na turystki przystało. Nawet przywiozłam ze sobą charakterystyczną dla zwiedzających torebkę nerkę i listę sposobów na to, by przynieść ci wstyd.

Zamki były fajne, czy zwiedzało się je z nerką, czy też bez niej. Londyn zapowiadał się ekscytująco. Ale w tym momencie Annie przystałyby na kilka posiłków spożywanych bez pośpiechu i jedną rozmowę, która nie dotyczyłaby rozważań na temat taktyk negocjacyjnych.

Matka obiecała zwiedzanie. Obiecała wspólne spędzanie czasu i mnóstwo szczerych rozmów. Tyle tylko, że nie wydawała się zaangażowana w realizację zapowiedzi. Jeszcze nigdy nie była aż tak nieobecna.

– Moglibyśmy się pobrać na farmie? – zagaiła Annie przy śniadaniu pewnego ranka. – To będzie oczywiście skromny ślub. Urządźmy go własnym sumptem.

Uznała, że najlepszym sposobem na poruszenie drażliwego tematu będzie wzmianka o finansach. Laurel nie zdoła się oprzeć takiemu zdroworozsądkowemu podejściu i oszczędności.

– Nie musisz prosić o zgodę na skorzystanie z farmy – odparła Laurel. – Jest twoja w takim samym stopniu jak moja. Ale nie zajmujmy się tym teraz. Jakie sztuki chciałabyś obejrzeć, gdy będziemy w Londynie?

– To będzie kameralna uroczystość. Wesele. Bliscy przyjaciele, rodzina. Nie jest to zbyt liczne grono.

Annie nie spała przez większą część nocy, bo starała się wymyślić, jak ma wytropić rodzinę ze strony ojca, by zaprosić ją na wesele. Może Oprah by jej w tym pomogła, chociaż historia nieślubnej córki właścicielki stadniny nie wydaje się znowu taka smutna.

– Annabelle, co to za mina?

Przekląła w myślach Erica i jego lubiących czułe słówka rodziców z trzydziestoletnim stażem małżeńskim. Widziała ich raz, podczas na wpół katastrofalnego spotkania w Georgetown. Przy półmisku ze smażonymi kalmarami zapytali, czym się zajmuje jej tato. Annie zgodnie z prawdą odparła, że nie wie, i zaczęła pić whisky. W dużej ilości. W tamtym czasie nawet nie wiedziała, że jej ojciec nie żyje.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Laurel.

– Och. Tak. Nic mi nie jest.

– Zatem jak brzmi odpowiedź?

– Odpowiedź? Na jakie pytanie?

– O sztuki, które chcesz obejrzeć! Na pewno wszystko w porządku? Nie wydajesz się sobą.

Zabawne. To samo można by powiedzieć o Laurel.

– Annie?

– Tak, tak. – Potrząsnęła głową. – Wszystko w porządku. Nieważne. Możemy iść na cokolwiek. Tylko nie każ mi po raz kolejny oglądać *Nędzników*.

Lubiła *Nędzników*, ale jakie to miało znaczenie? Raczej nie wierzyła, że podróż do Londynu w ogóle się odbędzie.

## GEORGE &amp; DRAGON

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

## PAŹDZIERNIK 2001 ROKU

– Halo! – Annie stała w drzwiach i rozglądała się za gospodarzem. Przechwyciła spojrzenie barmana. – Stolik dla jednej osoby?

– Siadaj, gdzie chcesz. – Wskazał na salę.

– Dzięki.

Posłała barmanowi szeroki amerykański uśmiech i usiadła w boksie w głębi, mimo że nie wiedziała jeszcze, czy chce tu zostać. To wyjście było genialnym pomysłem Nicoli, która miała już dość widoku „żałosnych turystek siedzących przy kominku i pogryzających herbatniki i zużyte słomki”.

George & Dragon był zdaniem Nicoli najlepszym pubem w mieście. Był też jedynym „przez większą część tygodnia pełnym starych przyków”, jednocześnie jednak serwującym przyzwoite jedzenie i mnóstwo piwa dla osamotnionych amerykańskich turystek. Powinien odpowiadać komuś takiemu jak Annie.

Usiadła i rozejrzała się wokół. Gośćmi lokalu rzeczywiście były szpakowaci mężczyźni; i rodzinka, która bez powodzenia usiłowała zapanować nad dokazującym synkiem. Annie zamówiła herbatę oraz bekon z brie i żurawiną. Powiedziała kelnerowi, że nie musi się spieszyć.

Kiedy mężczyzna się oddalił, sięgnęła do plecaka i wyciągnęła z niego książkę. Wróciła do miejsca, w którym przerwała rano lekturę – udało się jej przeczytać kilka stron, gdy Laurel brała prysznic. Za zakładkę służyło jej zdjęcie Erica, które przycisnęła do serca, zanim zaczęła czytać.

„Co się stało z księżną? Co się stało z kobietą, która spotykała się z królami, księżętami i mężami stanu? W 1934 roku księżna opuściła swój zamek, towarzystwo, a także podstawę swojej egzystencji. Lub, jak powiedzieliby przyjaciele i rodzina, Gladys Deacon zniknęła za różowym horyzontem”.

– Przepraszam – odezwał się jakiś głos.

Stał przy niej mężczyzna. Annie zwróciła na niego uwagę zaraz po wejściu do pubu. Większość klientów była niska, miała krecie twarze z nosami jak renifer Rudolf i wielkie owłosione uszy. Ten mężczyzna był jednak wysoki, opalony i miał gęste, falowane siwe włosy. Wyglądał jak starzejący się gwiazdor filmowy, a pozostali goście grali drugoplanowe role.

– Ta książka – powiedział, nie przedstawivszy się. – Skąd ją wzięłaś?

– Och – zawahała się. – Z miejscowej księgarni?

Wypowiedziała te słowa, zanim zdążyła się zastanowić nad tym, dlaczego to zrobiła. Dlaczego *Zaginiona księżna* sprawiała, że ludzie kłamali?

– Kupiłaś ją u Trudy? – dociekał. – Miała egzemplarz?

– Tak. Na to wygląda.

Odwróciła wzrok w nadziei, że mężczyzna nie będzie chciał weryfikować prawdziwości jej wersji o Trudy. Mężczyzna nie ruszał się z miejsca, więc Annie wróciła do lektury.

„W świetle dostępnych informacji księżna opuściła pałac Blenheim o świcie i zabrała ze sobą należące do niej niezliczone przedmioty oraz tytuł. Zapakowane na ciężarówkę rzeczy

pojechały w nieznaną.

Ludzie jej szukali, bo jakże mogłoby być inaczej? Uroda Gladys Deacon była wyjątkowa, osławiona. John Singer Sargent odmówił sporządzenia jej portretu z obawy, że zabraknie mu talentu, by oddać jej piękno”.

– Ta księżna. – Mężczyzna popukał w książkę. – Mieszkała w tym miasteczku.

– Tyle już wiem – odparła Annie, nie podnosząc wzroku. – Choć dużo więcej nie przeczytałam. Proszę mi nie psuć lektury.

– Jest dobra? Ta książka.

– Jak powiedziałam, dopiero zaczęłam ją czytać, ale wydaje się w porządku. Autor ma tendencję do dygresji.

– Gość był takim sobie pismakiem. To jedyna rzecz, którą opublikował.

– Książka jest świetna – odparła, z całych sił starając się nie patrzeć na mężczyznę. – Żartowałam.

Idź sobie, stary dziadzie, pomyślała, chociaż wbrew sobie. Prawdę powiedziawszy, miło było mieć towarzystwo, słyszeć głos drugiego człowieka.

– Dlaczego zwróciłaś na nią uwagę? – zapytał intruz. – U Trudy?

Annie przyjrzała się okładce – błękitna, z fakturą, nijaka. Obwoluta dawno się gdzieś zapodziała. Dlaczego miałyby przyciągnąć wzrok? Niczym się nie wyróżniała.

– Słyszałam już o księżnej Marlborough – rzuciła. – Temat wydawał mi się interesujący. Nie udało mi się nigdy wcześniej znaleźć tej książki.

– Myślę, że na świecie żyją może trzy osoby, które sięgnęły po tę książkę.

– To nie było o niej głośno w miasteczku?

– Owszem, o księżnej sporo się mówiło. Wyobraź sobie kobietę, rzekomo księżną, która miała budzące postrach błękitne oczy i biegła po Banbury jak wariatka, strzelając i wykrzykując sprośności. Ludzie rzucali się do ucieczki w przeciwnym kierunku, kiedy ją widzieli.

– Wydaje się to rozsądną reakcją, zważywszy na broń.

– Wariatom trzeba poświęcać uwagę. – Mężczyzna popukał się w czoło. – Albo są niebezpieczni, albo są ludźmi, których chcesz poznać.

– A dlaczego miałabym chcieć ich poznać? – spytała Annie, nagle rozbawiona.

Wsunęła fotografię Erica między strony i zamknęła książkę.

– Ponieważ, młoda damo, otchłań szaleństwa często skrywa największe bogactwa.

– Okej...

Zaśmiała się nerwowo. Ten człowiek był czarujący i przystojny jak na starszego mężczyznę, ale Annie zaczęła się zastanawiać, z jakiej to otchłani szaleństwa wypelzł.

– Kobieta wszystkiemu zaprzeczała – poinformował ją. – Twierdziła, że nie była księżną. Nazywała siebie panią Spencer.

– Kiedy skończę dziewięćdziesiąt lat i ludzie będą myśleli, że jestem księżną, nie będę ich wyprowadzała z błędu. Kurczę, może nawet bym się przy tym upierała. Halo! To ja, księżna Middleburgu. Gdzie moja herbata?

Mężczyzna zdjął okulary, wsunął je do kieszeni i usiadł naprzeciwko Annie.

– Na pewno wielu panów chciałoby podać ci herbatę – zauważył. – Mogę się przysiąc?

– Już to zrobiłeś. Zdaje się, że jesteś stałym bywalcem. – Wskazała na pozostałych siwowłosych klientów. – Od jak dawna tu mieszkasz?

– Innymi słowy, jestem w zaawansowanym wieku. Czy byłem jednym z tych, którzy musieli uważać na księżną?

– Ty to powiedziałeś. – Uśmiechnęła się. – Znałeś ją? Rzekomą księżną. Przyjaźniliście się?

– Czy się przyjaźniliśmy? – Skrzywił się. – Rany Julek. Ile lat mi dajesz? Urodziła się sto dwadzieścia lat temu. Nie. Na Boga, nie. Nie byliśmy przyjaciółmi.

– Nie chciałam cię urazić...

– Chcieć a zrobić coś to dwie różne rzeczy. Nie, młoda damo, jeszcze nie przeżyłem stu dwudziestu wiosen. Ale byłem tu, kiedy ten przeceniany autor przyjechał do Banbury, żeby napisać tę swoją głupią książkę. Mam na imię Gus. – Podał jej rękę.

– Annabelle – przedstawiła się. – Ale mówią mi Annie.

– Jestem też hrabią Winton.

Zaśmiała się z dowcipu, ale Gus zachował poważną twarz.

– To cię rozbawiło? – zapytał.

– Tak. Nie. To znaczy... Najpierw księżna Marlborough, a teraz hrabia Winton – powiedziała. – Nie wiedziałam, że ta wioska jest domem tak wielu szlachetnie urodzonych. Czy autorzy *Burke's Peerage*<sup>2</sup> o tym wiedzą?

Gus uśmiechnął się szeroko.

– Ależ oczywiście. Przecież oni tym żyją. Skąd wiesz o tym almanachu? Jesteś przecież Amerykanką.

– Zdarza nam się czytać książki – odparła. – Słyszemy też co nieco o tym, co się dzieje poza Stanami Zjednoczonymi. Szokujące, ale prawdziwe.

– Wydajesz mi się podejrzana – stwierdził.

– Ja jestem podejrzana? Siedziałam tu sobie cichutko, czytałam, byłam zajęta swoimi sprawami. Jeżeli ktokolwiek jest podejrzany, to dziwni mężczyźni przesiadujący w pubach o trzynastej.

– Celna uwaga. Wydawało mi się, że w tej chwili Amerykanie nie ruszają się z domu. Unikają podróży samolotem. Wymachują flagami. Wszczynają awanturę.

– Nie wszyscy – rzuciła rozdrażniona.

Eric przebywał na środku oceanu, w miejscu, którego nie mogła zobaczyć. Annie nie będzie świadkiem awantury, którą jej narzeczony być może niebawem wywoła.

– Przepraszam – powiedział Gus i delikatnie dotknął jej dłoni. – Nie chciałem się naigrawać. To była wielka tragedia. Dla całego świata.

– Nie o to chodzi. – Annie pokręciła głową. Przecież właśnie o to chodziło. I o coś więcej. – Wszystko w porządku. No, niezupełnie. Nie lubię się nad tym zastanawiać.

– Rozumiem. Przepraszam. Kiepsko sobie radzę w towarzystwie. Wyszedłem z wprawy, mieszkając w tej „zapadłej wiosce” – powiedział, cytując słowa księżnej i posyłając Annie chytry uśmieszek. – A z jakiej wioski pochodzisz ty, moja nowa amerykańska przyjaciółko? Czyżbym słyszał akcent z Południa?

– I tak, i nie – odparła zaskoczona tym, że się uśmiecha.

Kimkolwiek był ten Gus, hrabia Winton, zdecydowanie miał swój urok.

– Pochodzę z Wirginii – powiedziała. – To jest Południe według każdego, kto na Południu nie mieszka. – Pomyślała przelotnie o swoim chłopaku z Alabamy. – Czy odwiedza was wielu moich rodaków?

– Było ich tu całkiem sporo. Jeszcze kilka lat temu, przed zamknięciem palarni kawy, pojawiali się tutaj różni ludzie. Dlaczego ty przyjechałaś? W odwiedziny do kogoś?

– Służbowo – odparła i się zarumieniła. To było już – które? – drugie kłamstwo, jakim go uraczyła. Trzecie?

– Widzę, że się zaharowujesz. Czytasz przez cały dzień w pubie. Taka praca by mi się podobała. Czy twoja firma zatrudnia dziarskich starszawych Brytyjczyków?

– Bardzo śmieszne. Jestem... naukowcem.

Znowu się wzdrygnęła. Kłamstwo numer trzy? Chociaż to nie było zbyt poważne. Jeszcze całkiem niedawno zajmowała się nauką. Poza tym w ubiegłym tygodniu przejrzała kilka katalogów studiów podyplomowych. Może przecież wrócić do nauki.

– Piszę pracę magisterską – ciągnęła, wymyślając kolejne kłamstwa ze zdumiewającą łatwością. – Zajmuję się brytyjską literaturą z okresu wiktoriańskiego i edwardiańskiego.

Przynajmniej te wymysły nie były zupełnie oderwane od rzeczywistości. Na studiach licencjackich naprawdę skupiła się na literaturze brytyjskiej, co według każdego, kto ją o to pytał, tłumaczyło, dlaczego była bezrobotna.

– Aha – powiedział Gus. – Czyli to jest wyjazd akademicki.

– Coś w tym stylu. Prowadzę teraz badania w związku z tematem mojej pracy.

Prawie uwierzyła, że to prawda. Zamierzała się czegoś dowiedzieć podczas pobytu w Oxfordshire. Oczywiście poszukiwaniami ojca nie zaimponuje ani nikomu na wydziale anglistyki, ani nawet starszemu facetowi w pubie.

– Uznałam, że mogę na dobry początek rozejrzeć się w antykwariacie w „zapadłej wiosce”.

Doprawdy? Tak wiele kłamstw. Nawet już nie wiedziała, jaki miała do nich stosunek.

– Znalazłaś tu coś? – zainteresował się Gus. – Do swojej pracy?

– Nie wiem. Może.

– Większość ludzi mu nie wierzyła – stwierdził. – Autorowi.

– W jakiej kwestii?

– Jej tytułu. I w jej miłość do księcia oraz ich skazany na porażkę romans. Autor nie zdołał dowieść słuszności swojej teorii i pewnie to było głównym powodem, dla którego ta książka okazała się takim niewypałem.

Powiedział to niemal z radością, z wyraźną nutką *Schadenfreude*<sup>3</sup>. Gus cieszył się z porażki tamtego człowieka.

– Znasz go? – Annie wskazała na nazwisko na okładce. – Tego Setona.

– Znałem. Wszyscy go znaleźliśmy. Choć człowieka, który napisał tę książkę, już od dawna nie ma.

– Och. – Ściągnęła brwi.

– Rozchmurz się! Nie umarł. Na nieszczęście dla biednego drania. Po prostu... się wyniósł.

– Ale dokąd?

– Na pewno nie za bramy raj, jeżeli o tym pomyślałaś. Nie. Koleś wyjechał w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku do Paryża i nadal tam mieszka.

– A więc znasz go?

– Tego człowieka nie sposób znać. – Gus miał gniewne spojrzenie. – W pewnym momencie spotkaliśmy się, ale pamiętam go jak przez mgłę. Przyjechał do Banbury z Londynu, chyba... – Zmrużył oczy. – W okolicy Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego. Czy doszłaś już do fragmentu, w którym księżna wyraża pogardę dla Bożego Narodzenia?

– Jeszcze nie.

– Tak. To było Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego. Nikt nie przyjął Setona zbyt serdecznie, ani księżna, ani nikt inny. Nie można mieć im tego za złe. Był uosobieniem dupka. – Gus lekko chrząknął. – Młody. Zepsuty. Przekonany, że jest obdarzony wielkim talentem literackim. Jego rodzice mieli dość niespełnionych ambicji syna. Chcieli, żeby znalazł sobie prawdziwą pracę. Ta książka była jego ostatnią próbą zrobienia kariery pisarza. Nie jestem pewien, czy biedak kiedykolwiek zdołał odnieść sukces w tym, czego się podjął.

– Domyślam się, że byliście najlepszymi kumplami.

Gus się skrzywił.

– Nie użyłbym tego słowa.

– Tylko żartowałam...

– Masz książkę – zauważył Gus. – To znaczy, że zyskałaś dostęp do jednej wersji historii.

Mogę ci pomóc, jeśli chciałabyś poznać całościowy obraz.

Chciała poznać pełną historię swojej matki, ale Gus ją zaintrygował. Mimo że najprawdopodobniej był tylko lubiącym sobie pogadać pijaczyną. Annie miała jednak wolne popołudnie. A perspektywa rozmowy o księżnej z rzekomym hrabią Winton nie była taka znowu zła. Może jednak było w Annie coś z badacza?

– Wiesz co, Gus? – powiedziała. – Chętnie wysłucham tej historii. Jeśli masz czas. Nagle bardzo mnie wciągnęła.

– Doskonale! – Jego twarz się rozpromieniła. – Ned! – Przywołał gestem barmana. – Kolejny cydr proszę! A ty, czego się napijesz?

– Herbaty.

– Dwa razy po pół litra – zwrócił się do barmana. – Przede wszystkim, Annie, musisz wiedzieć, że autor przyjechał tu z przekonaniem, że wpadł na trop zaginionej księżnej. Wszyscy myśleli, że nie żyła. Ale kiedy dotarł do domu księżnej, ktoś już tam był. Miała na imię Pru. I wiesz co? Była Amerykanką, jak to zawsze bywa z intruzami.

## GRAYCLIFFE

NEWPORT, RHODE ISLAND

PAŹDZIERNIK 1972 ROKU

Opowieść Gusa zaczęła się w Newport blisko dekadę przed narodzinami Annie.

Kazał jej wyobrazić sobie starszą kobietę, która siedzi w bogato zdobionym przestronnym domu nad morzem. Przed nią stoi młoda dziewczyna. Jest piękna, jasna, delikatna. Lecz mimo że rozsiewa wokół blask, wydaje się niepewna jak migotliwy płomień świecy.

– Ubiega się pani o pracę? – zapytała staruszka.

– Tak – odpowiedziała młoda kobieta przedstawiająca się jako Pru. – Znalazłam ogłoszenie w gazecie.

Skończyła dziewiętnaście lat, była typem mola książkowego, który rzucił uniwersytet zaledwie po roku studiów, by wziąć ślub. W kwietniu dowiedziała się, że ślubu nie będzie, i przez sześć miesięcy czuła się nieprzytomna, zagubiona, skołowana jak piłeczka w elektrycznym bilardzie. W torebce miała jednak gazetę, która mogła jej pomóc w końcu gdzieś osiąść.

**POTRZEBNA INTELIGENTNA DZIEWCZYNA.**

Oxfordshire, Anglia. Poszukuję osobistej asystentki dla kulturalnej starszej kobiety mieszkającej samotnie. Wynagrodzenie: 400 dolarów miesięcznie plus darmowe zakwaterowanie. Doświadczenie nie jest wymagane. Wystarczy miłość do literatury i angielskiej wsi.

Dziewczyna spełniała te skromne wymagania. Miała odpowiednie doświadczenie, czyli żadne, i uwielbiała książki. Chociaż Pru nigdy nie była w Anglii, uznała, że to ogłoszenie jest odpowiedzią na jej problemy. Podjęła działanie, które wydawało się jej konieczne. Nadeszła pora, by wyjechać, wybrać się w daleką podróż. Najlepiej za Atlantyk.

– Mogę przedstawić referencje – odezwała się Pru, bo starsza pani nie odpowiadała. – Jestem miłośniczką literatury i bliska mi jest...

– Ile masz lat? Co najmniej dwadzieścia.

Kobieta była siostrzenicą potencjalnej podopiecznej Pru, ale wydawała się za stara, żeby mieć jeszcze jakieś ciotki. Najwyraźniej miała pecha i do niej należało targowanie się ze zrzędliwą staruchą w Anglii. Najlepiej było wcisnąć obowiązki opieki nad nią komuś obcemu za konkretne wynagrodzenie. Czy pieniądze nie powinny służyć właśnie czemuś takiemu?

– Mam dziewiętnaście lat – odpowiedziała Pru. – I jestem bardzo niezależna.

– Nie wątpię – prychnęła kobieta. – Nie masz lepszych perspektyw? Chodzi mi o to, czy nie masz żadnych perspektyw?

– Mam wyższe wykształcenie – poinformowała. Z pewnością naciągała prawdę, ale nie kłamała. – I byłam zaręczona.

– Byłaś zaręczona? – powtórzyła kobieta z chrapliwym chichotem. – Zerwane zaręczyny. No, no, no, będziesz dobrze pasowała do mojej cioteczki.

– To nie były zerwane zaręczyny – zaoponowała Pru. – On nie żyje.

Te słowa zaszokowały nawet ją samą. Zazwyczaj nie musiała tego mówić. W okolicy zawsze znalazł się ktoś, kto mógłby przekazać tę straszną informację.



– Nie żyje? – spytała zaskoczona kobieta.

– Owszem – przytaknęła Pru.

„Nie żyje, nie żyje, nie żyje”.

Pru powtarzała te słowa w myślach. Nawet teraz nie wydawały się jej właściwe, mimo że była przy tym, jak szczątki Charliego wróciły do domu. Patrzyła, jak urnę z jego prochami umieszczano w rodzinnym grobowcu.

– Dlatego odpowiedź brzmi „nie” – ciągnęła Pru. – Nie mam żadnych perspektyw.

Wzdrygnęła się i otuliła ramiona szalem. Była chucherkiem. Poza tym wspinały dom w Newport był olbrzymi i zimny. Okna były otwarte, barokowe zasłony opadały przy nich jak ciężkie powieki.

– O rany. Zginął? W Wietnamie? – Kobieta skrzywiła się, kiedy Pru przytaknęła. – Zginął w Wietnamie. Miej go, Panie, w swojej opiece. Był jednym z nich.

– To znaczy? – zapytała Pru. – Żołnierzem? Bohaterskim człowiekiem? – Udawała, że nie wie, ale rozumiała, co myślała ta kobieta, w co wierzyła większość narodu.

Ta wojna od dawna przestała być postrzegana jako pożądana. Obywatele ginęli w niepokojącym tempie. Tych, którzy przeżyli, piętnowano jako zabójców dzieci lub cioty. Co oni tam robili do tej pory? Przecież powinni już dawno tę cholerną wojnę wygrać. Ci faceci w ogóle nie byli podobni do swoich ojców, którzy uratowali świat podczas poprzedniej wojny.

Pru widziała w Charliem bohatera. Ale był on również idiotą. Jego rodzice podjęli ogromny wysiłek, żeby sfingować zaświadczenie o kontuzji sportowej, lecz Charlie nie zgodził się go przyjąć. Kłamstwo nie było w jego stylu. Tyle tylko, że uratowałoby mu życie.

– Żądni krwi barbarzyńcy – mruknęła kobieta pod nosem.

– Zginął w kwietniu – powiedziała Pru, a do oczu napłynęły jej łzy. – W czasie ofensywy wielkanocnej. Znalezione jego ciało gdzieś pod Kon Tum. Miał na imię Charlie.

– Czy nie tak mówi się na Wietkong?

– Owszem.

– Ha! Co za ironia.

Pru przełknęła łzy.

– Wielka szkoda – powiedziała kobieta. – W związku z tym wszystkim.

– Zgadzam się całkowicie.

– A teraz potrzebujesz pracy. Żeby się utrzymać.

Pru znowu przytaknęła. Łzy lśniły na jej rzęsach. Miała głupią nadzieję, że rodzina Charliego jej pomoże, zaproponuje pracę w ich koncernie zajmującym się produkcją płatków śniadaniowych. Pru mogłaby pisać na maszynie okólniki. Mogłaby parzyć komuś kawę.

Tylko że przypominała im o Charliem i o tym, że wybrał śmierć. Nie potrafili mu tego wybaczyć. I nie umieli wybaczyć jej tego, że nie zdołała go namówić do pozostania w kraju.

A zatem tak, musiała się jakoś utrzymać. Ponadto musiała dojść do siebie po stracie.

– Dlaczego nie wrócisz na studia? – dociekała kobieta. – Żeby skończyć naukę.

– Mojej rodziny już na to nie stać – odparła po prostu.

Jej rodzice zmarli, kiedy była bardzo młoda, a pieniądze przeznaczone na edukację Pru wykorzystali krewni, którzy ją wychowywali. Co prawda dostała stypendium, ale gdy rzuciła studia dla Charliego, administracja uczelni wyraźnie dała jej do zrozumienia, że rezygnuje na dobre.

– Rodziny już na to nie stać – powtórzyła kobieta jak echo z cichym chichotem. – Czy nie tak zaczyna się większość dobrych historii?

Z miejsca zatrudniła Pru.

Nie prosiła o referencje ani nie sprawdzała jej „zamiłowania do literatury i angielskiej

wsi”. Pru przypisała to swojemu wyglądowi, przejrzystym zielonym oczom i okrągłej twarzy. Charlie zawsze powtarzał, że wygląda anielsko, nieziemsko. Była to lekka przesada, ale Pru wiedziała, że jej filigranowość i spokojne usposobienie często mylono z pewnym wdziękiem.

Gdy sporządzono stosowne dokumenty, attaché odtransportował ją za ocean. Był jakimś kamerdynerem i wydawał się zarówno zirytowany, jak i podekscytowany przedsięwzięciem. Przez cały czas podróży samolotem i później taksówką do Banbury Pru zastanawiała się, po co jej towarzyszył. Przecież był tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi rok i młode kobiety podróżowały samotnie. O ile się orientowała, jego jedynym zadaniem w Anglii było dostarczenie jej do wejścia na teren posiadłości zwanej Grange.

– Nie musiał mi pan towarzyszyć – powiedziała Pru, gdy pokonywali ostatni etap podróży. – Domyślam się, że jest trochę późno na takie stwierdzenie, ale przecież mogłam jechać sama.

– Mam zapewnić pani bezpieczeństwo. Pani domu bywa nieprzewidywalna.

– Co za rycerskość – mruknęła. – Uroczę staruszki raczej mnie nie przerażają.

Nagle samochód zatrzymał się przed domem z kamienia.

To? Nie, to niemożliwe. Rezydencja. Tak zwana posiadłość.

Pru była w domu w Newport, w Graycliffe. Stał na plaży i podobno liczył pięćdziesiąt pokoi – był tak wystawny, że przyćmiewał inne wspaniałe budynki w okolicy. Ale rezydencja Grange wyglądała na nienadającą się do zamieszkania. Tak bardzo zapadła się z lewej strony, że Boże uchroni mieszkańców miasteczka, jeśli kiedykolwiek dojdzie tu do lawiny błotnej.

Dom nie miał nawet porządnego dachu. Może swego czasu był kryty strzechą, ale teraz popadał w ruinę. Szyby w większości okien wybito, a posiadłość otoczono drucianą siatką. Wokół przechadzały się zwierzęta hodowlane, które skubały i ryły ziemię.

– Czy to...? – zaczęła Pru.

Przez drzwi wypadł jakiś człowiek. Krzyczał piskliwym głosem, był stary, miał słomiany kapelusz z szerokim rondem, poplamione spodnie i goły tors. Machał jak wściekły w stronę gości.

– Wynoście się! – ryknął. Pru szybko się zorientowała, że ta osoba nie macha do nich ręką, tylko rewolwerem. – Wynoście się albo strzelę wam prosto między oczy! Już to kiedyś zrobiłam!

– Wydawało mi się, że miała mieszkać sama – zauważyła Pru.

Serce jej waliło. Wtem zrozumiała. To nie był mężczyzna. Wrzeszcząca awanturująca się postać była kobietą.

O Boże.

– Tak – powiedział attaché z chytrym uśmieszkiem. – Dotarliśmy na miejsce. Witamy w Grange.

## GEORGE &amp; DRAGON

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

PAŹDZIERNIK 2001 ROKU

Wraz z upływem lat plotki wskazywały na obecność księżnej w Londynie, Rzymie, Paryżu. Kilka osób widziało ją w hotelu Splendide w Cannes. Szanowany opat Mugnier poinformował, że księżna nie wybrała się w podróż, tylko zabunkrowała w rozpadającej się posiadłości w Chacombe-at-Banbury, wiosce w hrabstwie Oxfordshire.

W świetle tych relacji opat odwiedzał swoją starą przyjaciółkę raz w roku, w Boże Narodzenie. Jeżeli próbował odwiedzać ją częściej, Gladys przepędzała go ostrzegawczymi strzałami lub nasyłała na niego agresywne stado gęsi. Czasami wychylała się przez okno i wylewała mu na głowę kubeł wody.

Świat sceptycznie podchodził do relacji Mugniera z Grange, ale to zwątpienie zawsze mnie zdumiewało. Przecież to był religijny człowiek, ktoś, kto był *le confesseur des duchesses*, czyli spowiednikiem księżnych. Z pewnością wiedział, co mówi. Kiedy w diecezji paryskiej znalazłem jego *cahiers de moleskine*, zdobyłem potrzebny mi dowód.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

– To nie było zbyt obiecujące powitanie – stwierdził Gus, osuszając ostatni kufel cydru. – Stuletnie nagie piersi. I broń.

Annie starała się nie zarumienić.

Jedna jej połowa chciała złać tego sprośnego staruszka za wspomnienie o piersiach, podczas gdy druga chichotała jak trzynastolatek. Czasami czuła się staromodna i beznadziejnie dziecinna, jakby urodziła się w tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym, a nie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Może tak to jest, kiedy dorasta się na farmie i jest się wychowywanym przez matkę w typie Laurel, która była tak niezyciowa, jak to tylko możliwe. To cud, że Eric dostrzegł, iż łączy ich cokolwiek.

– Uraziłem cię? – spytał Gus. – Przepraszam. Czasem prawdziwy ze mnie tuman. Tak się ludziom robi z wiekiem. Aczkolwiek nie wiem, jak się tłumaczyłem wcześniej.

Kiedy się tak wiercił niespokojnie, Annie odniosła wrażenie, że słyszy, jak strzelają mu kości.

– Nie poczułam się urażona! – zaświergotała. – Prawdę powiedziawszy, bardziej poruszył mnie rewolwer. Domyślam się, że to była ona. Księżna? Bez urazy, ale w jakiej mierze mogła być przerażająca? Kiedy Pru odpowiedziała na ogłoszenie, księżna miała z dziewięćdziesiąt lat.

– Dziewięćdziesiąt jeden. I, moja droga, nie ustaliliśmy tożsamości rozwrzeszczanej harpii. Ta kobieta rzekomo była księżną, ale czy było tak rzeczywiście, tego jeszcze nie wiemy.

– Jak to „jeszcze nie wiemy”? Czytałeś tę książkę?

– Owszem. Po jakimś czasie, ale przeczytałem ją.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że prowadzimy pewną grę. Prosiłam, żebyś nie psuł mi przyjemności lektury i tak dalej. Ale bądźmy szczerzy, przecież wiemy już, że to była księżna. – Odwróciła książkę tak, by mógł ją czytać Gus. – Przeczytaj ten fragment – powiedziała i przesunęła palcem po tekście. „Pośród zapisków znalezionych...”. – Zaczynj od tego.

„Pośród zapisków znalezionych w dziennikach opata Mugniera znalazły się szczegółowe opisy jego wizyt w Grange. Duchowny zachował również rachunek z Royal Oak, pubu znajdującego się nieopodal Grange.

O dziwo, niewiele osób wierzyło zapewnieniom opata, kiedy żył, a już tym bardziej po jego śmierci. Uznali, że człowiek ten był prawdopodobnie krętaczem żyjącym na koszt uprzywilejowanych i dobrze sytuowanych.

Poza tym co księżna Marlborough, to wspaniałe stworzenie, chciałyby robić w opisanej przez niego ruderze? Przecież, na Boga, swego czasu mieszkała w Blenheim, gdzie jej błękitne oczy malowano na sklepieniach portyków i gdzie uskrzydłone sfinksy z jej obliczem zdobiły ogrodowe ścieżki.

Dla tych, którzy interesują się rodem królewskim, wspomnę, że podejmowała w Blenheim króla Jerzego i królową Marię, interesujących się filmem poinformuję zaś, że bywali u niej Douglas Fairbanks i Mary Pickford. Jakim cudem Gladys Deacon miałaby porzucić ten splendor i zamieszkać samotnie?”

Annie zamknęła głośno książkę.

– Ten cały spowiednik... sław – powiedziała – potwierdził, że księżna mieszkała w Grange. Autor się z nim zgodził. Gdzie tu wielka tajemnica?

– Jeżeli nie możesz wierzyć pisarzowi, to komu masz wierzyć, tak? – podsunął Gus, a w kącikach oczu igrały mu iskierki. – Pisarze nigdy niczego nie zmyślają i nie konfabulują.

– Zamierzasz przeciągać strunę? – spytała Annie z uśmiechem.

– Co możemy przeczytać w tych akapitach? – zapytał. – Staruszek twierdzi, że widywał ją raz w roku w Boże Narodzenie. Dziwna data, zważywszy na fakt, że księżna nienawidziła świąt. A sam autor? – Prychnął. – Dam ci pewną radę. To jest coś, o czym powinnaś się dowiedzieć już w szkole podstawowej. Nie wierz we wszystko, co przeczytasz.

– Cholerna prawda – burknęła. – A więc ta kobieta z Grange. Była szalona? Cierpiała na demencję? Była agresywna? Wszystko razem?

– Prawdą było to wszystko, część z tego lub nic – odparł Gus. – Wszystko zależy od tego, kogo zapytasz. Chodzenie nago i wymachiwanie bronią palną nie prowadzą raczej do uznania cię za poczytalnego. Z drugiej strony niektórzy uważali, że to był fortel, że udawała wariatkę, żeby odstraszyć ludzi.

– Nasyłała na nich agresywne gęsi.

– Tak. Albo środkiem chwastobójczym wypisała na trawniku przed domem słowo „spierdalaj”.

– Nie chcę używać mocnych słów, ale ta kobieta, jeśli była „księżną”... – Annie przewróciła oczami i zaznaczyła w powietrzu cudzysłowy.

– Nazywajmy ją panią Spencer. Tak by wołała.

– W porządku. No więc ta cała pani Spencer była dość trudna. Może nawet była... Jak to ująć elegancko?

– Wredną suką? – podsunął, puszczając do niej oko. – Musisz zacząć panować nad tym rumieńcem, jeśli zamierzasz przesiadywać w pubie z osobami mojego pokroju. Ale masz rację. Pani Spencer i księżna były opisywane za pomocą mnóstwa niepoehlebnych określeń, takich jak socjopatka, osoba niszczycielska i żadna krwi. Oczywiście Pru, nasza amerykańska asystentka, nic o tym nie wiedziała.

– Trzeba współczuć staruszce – stwierdziła Annie. – Była sama przez dziesięciolecia. Każdy by zwariował. Dlaczego rodzina tak długo zwlekała z zatrudnieniem kogoś?

– Pani Spencer nie chciała, by w Grange mieszkał z nią ktokolwiek. Edith, jej siostrzenica, próbowała interweniować dziesiątki razy, bo obiecała matce, że zaopiekuje się

ciocią. Ciotuchna zaś wypędzała księży za pomocą strzałów z broni i zimnej wody, a wobec ludzi nienoszących sutanny stosowała znacznie mniej przyjemne sposoby.

– Wypisywała na trawnikach „spierdaj” – domyśliła się Annie.

– W rzeczy samej. Sięgała też po łuk i zatrute strzały. Niestety, z biegiem lat zachowanie pani Spencer stało się bardziej nieobliczalne. Może niedołążniała albo cierpiała na deficyty uwagi. Bez względu na przyczyny takiego zachowania nasiliły się skargi na nią. Dzwoniono za ocean. Rodzina nie mogła już dłużej ignorować sytuacji.

– Trzeba było coś zrobić – zauważyła Annie. – To dość niezwykle, że gdy miała ponad dziewięćdziesiąt lat, nadal mieszkała sama.

– Jeżeli rzeczywiście była niezależna – zauważył Gus. – Bo przecież był jeszcze Tom.

– Tom? Kim, do licha, był Tom? – Annie otworzyła książkę i przekartkowała ją. – Nie widzę tu żadnej wzmianki o Tomie. Myślałam, że mieszkała sama.

– Może tak, a może nie. Tomasz był uchodźcą z Polski. Mieszkał z panią Spencer od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku, przynajmniej tak mówiono. Twierdziła, że był złotą rączką. Jedyńm lojalnym człowiekiem w jej podłym życiu.

– Co się z nim stało?

– Nikt tego nie wie. Czy żył? Umarł? Czy w ogóle istniał? Chociaż mieszkańcy słyszeli jego imię i przyjmowali za pewnik jego egzystencję, nikt nie widział go po tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku. Kiedy pojawiła się tutaj Pru, mieszkałby w Grange od ponad dwudziestu lat.

– Czy ktokolwiek pamiętał, że go spotkał? Kiedykolwiek?

– Kilka osób – odparł Gus, wzruszając ramionami. – Na początku lat pięćdziesiątych.

A potem nikt, chociaż pani Spencer często o nim wspominała. Do intruzów wykrzykiwała: „Uważaj! Tom cię dopadnie!”. Albo: „Nie zbliżaj się do stodoły! Tom tam jest!”. Tom prawie zawsze był w stodole. Dziwne miejsce jak na kogoś, kto był złotą rączką w rozpadającym się domu.

– Dlaczego nikt tego nie sprawdził? – zainteresowała się Annie. – Nie zajrzał tam ukradkiem?

Gus odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się głębokim, niskim śmiechem, płynącym z trzewi. Annie poczuła, że twarz się jej czerwieni i ją pali.

– Takie rozwiązanie wydaje się dość proste – prychnęła. – Nie wiem, dlaczego tak cię to rozbawiło.

– Jasne. Jest dość proste, jeśli nie masz nic przeciwko nabojewi w tyłku.

– Przecież to jest duża posiadłość. Dlaczego nikt się tam nie zakradł? Nie sprawdził, co się tam dzieje?

– Genialny pomysł. O ile pominie się wspomniane naboje, drut kolczasty, stado dzików, kilka zatrutych strzał i z tuzin innych niebezpieczeństw. Poza tym pomysł jest doskonały!

– Rozumiem, że na teren jej posiadłości nie dało się wejść.

– W zasadzie tak. Poza tym wszyscy bali się tego, w jakim stanie ten Tom mógłby się znajdować, skoro spędził w stodole dwadzieścia lat lub więcej.

– Co sobie wyobrażali? – zapytała. – Zwłoki? Żywego wychudzonego człowieka przykutego łańcuchami do ściany?

– Jedno i drugie.

– Zakładam, że Pru o nim nie wiedziała. Podobnie jak o pozostałych zagrożeniach.

– Nie wiedziała – przytaknął Gus. – I dlatego Edith wybrała chuchrowatą Amerykankę w beznadziejnym położeniu. Próbowwała zatrudnić kilka statecznych brytyjskich guwernantek, ale wszystkie szybko oceniły sytuację i odmawiały. Tej rodzinie naprawdę się poszczęściło. Pru nie

miała doświadczenia, była jednak odpowiednią osobą do tego zadania.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 1972 ROKU

– Dzień dobry, pani Spencer – odezwał się attaché. – To jest pani nowa towarzyszka, panna Valentine.

– Valentine. Co to za nazwisko?

– Może mogłaby pani założyć bluzkę? Wykazać się odrobiną ogłady?

– A na co mi ogłada w moim wieku, Reginaldzie? – Starsza kobieta wsunęła rewolwer do kabury przy kolanie i podciągnęła spodnie. – I towarzyszka?

– Mam na imię Murray. Mówiłem to pani z tysiąc razy.

– Dzień dobry, nazywam się... – Pru podeszła do pani Spencer, żeby podać jej rękę, ale kobieta odskoczyła od niej, jakby Pru była nosicielką jakiejś choroby.

– Ma pani nienaganne maniery, pani Spencer. Miło, że zawsze pani o tym przypomina.

Attaché, niejaki Murray, westchnął i położył aktówkę na stole w holu, na stosie wycinków z gazet. Na podłodze leżało więcej artykułów – setki, może tysiące. Kiedy wiatr wpadał do środka przez wybite szyby, papiery szeleściły jak liście.

– W kwestii zaś pani nowej towarzyszki, moja droga – ciągnął Murray. – Otrzymaliśmy mnóstwo skarg od okolicznych mieszkańców, był także telefon od władz hrabstwa. Wszyscy się o panią martwią. Poza tym nikt nie ma ochoty być świadkiem przypadkowych wystrzałów z broni.

– W moich strzałach nie ma nic przypadkowego.

Pru uciekła, gdyby nie była tak osłupiała widokiem tej kobiety i jej domu.

– Powiadasz, że trzeba się mną zająć, tak? – spytała pani Spencer.

– W rzeczy samej. Ma pani wybór: najbliższe sanatorium lub towarzystwo uroczej młodej kobiety o nienaganych referencjach. Czyli naszej panny Valentine.

Pru posłała mu zdumione spojrzenie, podciągając brwi niemal do linii włosów.

Nienagane referencje? Owszem, w czasie rozmowy rzuciła kilka wielkich nazwisk, ale o ile było jej wiadomo, nie zweryfikowano żadnych jej referencji. Gdyby siostrzenica to sprawdziła, mało prawdopodobne, by Pru dostała pracę.

– Zna rodzinę Kelloggów – ciągnął Murray. – Czy ci ludzie produkujący płatki śniadaniowe są pani znani?

Pani Spencer zdjęła kapelusz i rzuciła go na aktówkę Murraya. Rozpuściła włosy: cienkie, przerzedzone, sięgające jej do połowy pleców.

– Ludzie produkujący płatki śniadaniowe – powtórzyła. – Doprawdy?

Jej oczy miały przykuwający uwagę, przerażający odcień błękitu, jak lodowce. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Pru poczuła ukłucie zimna w piersi. Jak w takim miejscu może jej się kiedykolwiek zrobić ciepło?

– Tak, oni – powiedziała, a w ustach miała sucho.

Czy rodzina Charliego zdołałaby wygłosić choćby jeden miły albo nawet neutralny komentarz na jej temat? Nie wyobrażała sobie, żeby mogli ją polecić. Choć przecież zależało im na tym, żeby wyjechała z kraju.

Nie zrobiła nic złego, ale jaka kobieta nie potrafi zatrzymać mężczyzny w domu? Przecież studiowali w Berkeley, na Boga. Uniwersytecie hippisów i chłopców migających się od służby wojskowej, szkole pełnej niepatriotów. W najgorszym razie mogła przecież „przypadkiem” zejść w ciążę i skłonić ich złotego chłopaka do pozostania w kraju.

– Rodzina Kelloggów uwielbia naszą pannę Valentine – mówił dalej Murray i lekko poklepał Pru po ramieniu. – No, proszę jej powiedzieć.

– Znam ich od około dwóch lat...

– Proszę sobie darować – przerwała jej pani Spencer. – Kto by się przejmował jakimiś tam Kelloggami? Chodźcie ze mną. Oboje.

Pru uśmiechnęła się słabo, kiedy szli w głąb domu. Kto by się przejmował Kelloggami? Ona się przejmowała. Ale nie chciała.

Rezydencja Grange robiła wrażenie z zewnątrz, choć nie z powodu rozmiarów, ale dlatego, że emanowała swoistą atmosferą, jakby wytwarzała własną mroczną pogodę. Kiedy było się w środku, dom wydawał się z każdym krokiem coraz bardziej złowrogi i coraz przestronniejszy. Gdy Pru kroczyła przed siebie, sufity oddalały się od niej, podobnie jak ściany.

– Postarajcie się za mną nadążyć! – ryknęła pani Spencer.

Kobieta przyspieszyła kroku, tak dla zabawy, żeby Pru i Murray musieli za nią biec.

– Cholera! – krzyknęła Pru, potknąwszy się o dziurę w parkiecie. Podskoczyła, żeby nie wpaść w drugą. – Co jest, co diabła?

– Proszę jej wybaczyć to słownictwo – powiedział Murray. – Amerykanka. Wie pani, jacy oni są.

– Nie muszę nic wybaczać. Cieszę się, że Edith ośmieliła się zatrudnić kogoś, kto ma choć odrobinę werwy.

Pru była wdzięczna za ten komplement, chociaż zazwyczaj nie opisywano jej za pomocą takich słów jak „werwa”. Może jednak nie wpakowała się w najgorszą sytuację z możliwych?

– A skoro już mowa o manierach – ciągnęła pani Spencer. – Trzeba było mnie ostrzec, że sprowadzacie jakąś przyjezdną osobę, która ma u mnie zamieszkać. Dobre wychowanie czegoś takiego wymaga. A może to złodziejka? Albo zabójczyni?

– To pani nosi rewolwer, pani Spencer.

– Doprawdy nie rozumiem, dlaczego moja siostrzenica płaci ci choćby złamanego centa, Fergusonie.

– Murray. Mam na imię Murray.

– Chwileczkę – odezwała się Pru zachrypniętym od dłuższego milczenia głosem, nie wspominając o tumanach kurzu wirującego wokół. – Nie wiedziała pani, że przyjeżdżam?

– Ależ nie. – Pani Spencer zachichotała szyderczo. – Dowiedziałam się o pani dopiero dzisiaj. Pewnie to i lepiej. Gdybym rozpoznała Perry’ego na drodze, na miejscu bym zastrzeliła was oboje.

– Dzięki Bogu za szczęśliwe zbiegi okoliczności – westchnął Murray.

Pru odwróciła się do niego.

– Pani Spencer o mnie nie wiedziała? Nie poinformowaliście jej o moim przyjeździe?

– Proszę mi wierzyć, że próbowaliśmy. – Głośno wypuścił powietrze. – Pani Spencer, Edith dzwoniła do pani dziesiątki razy. Była pani w pełni świadoma sytuacji, ale jak zawsze zdecydowała się pani nie słuchać.

Weszli do kuchni, a Pru prawie nadepnęła na kurczaki. Zamrugnęła. Miejsce stanowiło nie lada widok. Śmieci. Zniszczone meble. Stojące do góry nogami urządzenia. Stworzeń tyle, że dałoby się nimi zapełnić tę część zoo, w której można głaskać zwierzęta.

Pru miała się niebawem dowiedzieć, że nic z tego, co stało w tym pomieszczeniu, nie



było używane zgodnie z przeznaczeniem. Kuchenka ogrzewała dom, liczne grzejniki służyły za półki, meble dawały schronienie kochliwym spanielom pani Spencer. Psy były też odpowiedzialne za otwory w podłodze. Pani Spencer wycięła je, żeby szczenięta mogły się tulić do siebie pod deskami, zakopując się w nich jak jakieś leśne zwierzątka w norach.

– Nie wiem, dlaczego Edith uważa, że potrzebna mi pomoc – powiedziała pani Spencer, a kurczaki tuptały za nią. – Jakby wiedziała, czego potrzebuję. Ta kobieta jest jak jej matka, która wolałaby, żebym umarła, zamiast się mną zająć jak należy.

– Edith się panią przejmuje – upierał się Murray. – Kocha panią i chce, żeby była pani zdrowa i szczęśliwa. Poza tym cała społeczność Banbury jest przerażona.

– To nie mój problem. Są głupi. I nudni.

– Ludzie przez panią wyprowadzają się z Chacombe – poinformował Murray. – Miejscowi agenci nieruchomości się gorączkują. Tylko z pani powodu ceny domów spadają.

– Według mnie spadek cen nieruchomości ma więcej wspólnego z niestabilnym funtem niż ze staruszką mieszkającą na wsi. Chociaż przypuszczam, że nie mogę spodziewać się po wiejskich ówokach, by pojmowali podstawy ekonomii. W każdym razie nie obchodzi mnie, co mówią. Od dziesięcioleci miałą ozorami na mój temat. I nic z tego nie jest prawdą.

– Plotka na temat rewolweru – powiedział Murray i wskazał na kaburę wiszącą przy jej kolanie – wydaje się jak najbardziej prawdziwa.

– Jakby to nie było to, co najbardziej im się we mnie podoba! Strzelająca księżna! – Pani Spencer przypaliła papierosa, woodbine’a. – Mają o czym opowiadać. – Spojrzała na Pru. – Niech pani w to nie wierzy, ale mieszkańcy miasteczka są przekonani, że jestem dawno zaginioną księżną Marlborough.

– Księżną? – spytała Pru i usiłowała się nie uśmiechać. – Naprawdę?

– Gówno prawda. – Pani Spencer wydmuchnęła dym przez ramię prosto w twarz Murraya. – Co też księżna miałyby porabiać na tej zapadłej wsi, pytam? Zwłaszcza księżna tego kalibru. Księżna Marlborough była najpiękniejszym stworzeniem, jakie chodziło po ziemi. Prasa ochrzciła ją mianem „wcielenia słońca”.

– To chyba lekka przesada, nie sądzi pani? – spytał Murray.

– Powtarzam tylko obiegowe sady – odparła pani Spencer, lekko wzruszając ramionami. – Opierając się na niegodnych zaufania relacjach grupy prostaczków, przywiozłeś to śliczne stworzenie, by się mną opiekowało?

– Tak.

– A co, jeśli odrzucę tę propozycję?

– Przykro mi, ale to nie wchodzi w grę – poinformował Murray. – Jeżeli chce pani nadal mieszkać w swoim domu, musi pani przystać na obecność panny Valentine. W przeciwnym razie zarezerwowałem już dla pani łóżko na oddziale O’Connella w Szpitalu Świętego Andrzeja.

– W Świętym Andrzeju?!

– No właśnie! Panna Valentine nie jest taką złą alternatywą.

Pru poczuła, jak żołądek jej podskoczył – zastanawiała się, jakim cudem może zastąpić szpital psychiatryczny. To zabawne, jak szybko pozornie przyzwoita możliwość mogła przekształcić się w potwornie zły pomysł. Kiedy odlatuje następny samolot do Bostonu?

– Jak już mówiłam, Mickey, mieszkam sama od dziesięcioleci i nic mi się nie stało.

– Nie obyło się bez wypadków, moja droga. I radziła sobie pani doskonale. Aczkolwiek ma już pani ponad dziewięćdziesiąt lat. Nie przydałaby się pani pomoc? Miło by było przynajmniej mieć towarzystwo.

Pani Spencer westchnęła i wpatrywała się błękitnymi oczami w okno. Wydawało się, że się ugnie albo że coś knuje. Postanowiła udobruchać Murraya w sposób, w którym było sporo

determinacji. W sposób, w którym pobrzmiwała cicha groźba.

– Nie jestem sama – powiedziała i odwróciła się w jego stronę. – Zapomniałeś o Tomie? Jest w stodole.

– No tak. Tom. W stodole.

– Tom! – wykrzyknęła Pru. W ogłoszeniu była mowa o opiece nad jedną osobą. – Kim jest Tom?

Murray się pochylił. Pru poczuła jego gorący oddech na karku.

– Rzekomo konserwatorem zieleni – poinformował. – Tylko że tutejsza zieleń jest żalosna. Najprawdopodobniej Tom jest wytworem wysoce akrobatycznej wyobraźni pani Spencer.

– Słyszę cię, wiesz?

Murray się odsunął.

– A co mam myśleć, skoro nie widzę dowodów na twoje twierdzenia? – zapytał, po czym znowu spojrzął na Pru. – Podobno Tom mieszka w stodole, ale nikt go nie widział od ćwierćwiecza. Jest Polakiem, który zamieszkał tu po wojnie. Podejrzewam, że pani Spencer spędziła w młodości zbyt dużo czasu z Niemcami. A teraz ma prywatnego polskiego służącego. Marzenia w końcu się spełniają.

– Dość tego, na Boga! Wystarczy, że raz skomplementujesz Hitlera, a już nikt nie pozwoli ci o tym zapomnieć. I podtrzymuję swoje stwierdzenie.

– Gloryfikowała Hitlera – oznajmił Murray teatralnym szeptem.

– Powiedziałam tylko, że wiele osiągnął!

– Na jedno wychodzi.

– Pomyśl tylko, jak trudno zorganizować powstanie w małej wiosce. A on poderwał do walki cały świat. Był większy od Churchilla. Churchillowi coś takiego się nie udało!

– Pani i Adolf Hitler. Ciągnie swój do swego. Oboje z wielkim powodzeniem organizujecie powstania.

Pani Spencer przewróciła oczami i chwyciła czarną pelerynę przewieszoną przez oparcie zepsutego krzesła. Oczy tej kobiety i jej wymiana zdań z Murrayem zahipnotyzowały Pru do tego stopnia, że prawie zapomniała o nagim torsie pani Spencer.

– Upiera się pani zatem, żeby zostać? – spytała pani Spencer i spojrzała na Pru.

– Nie jestem pewna, czy to właściwe sformułowanie...

– Tak – wtrącił Murray. – Upiera się. Jak my wszyscy.

– W porządku. Spadaj, sługusie okropnej Edith. Panno Valentine, proszę ze mną.

Zaprowadzę panią do jej pokoju.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 1972 ROKU

Pru otworzyła oczy.

Był wczesny ranek. W pokoju panowała ciemność i tylko nad jej głową migotał płomień świecy. Za nim zaś zobaczyła parę kryształowo błękitnych oczu. Za oczami – twarz przypominającą zmiętą bibułę.

Pru uniosła się na łokciach.

– Pani Spencer?

Nie wiedziała, co się dzieje, brakowało jej tchu, ale nie była tak przerażona, jak powinna. Naprawdę była tak zrozpaczona, odrętwiała i sparaliżowana, że nie potrafiła zdobyć się na rozsądną panikę?

– A więc nadal jest pani ze mną – zauważyła pani Spencer, przysuwając świecę do twarzy Pru.

– Tak, proszę pani.

– Spodziewałam się, że ucieknie pani w środku nocy.

– Zatrudniono mnie, żebym wykonywała pracę, pani Spencer. I zamierzam to robić najlepiej, jak potrafię.

Poza tym Murray wyjechał tego wieczoru i jej jedyna szansa na ucieczkę siedziała zapewne w poczekalni na lotnisku Heathrow albo nawet była już gdzieś za Atlantykiem. Choć nie miało to znaczenia i wcale nie było powiedziane, że pojechałaby z nim, gdyby miała okazję. Rezydencja Grange była dziurą, ale Pru nie miała do czego wracać w Stanach Zjednoczonych.

– Proszę spojrzeć w prawo – burknęła pani Spencer.

– Słucham?

– Niech pani odwróci głowę w prawo. Ale już! – Uderzyła Pru w głowę mosiężnym świecznikiem. – Natychmiast!

– Dobrze – odparła dziewczyna, jednym okiem obserwując płomień.

Co ta na pozór zniedołężniała kobieta robiła za jej plecami? Pru mogła się tego tylko domyślać.

„Muszę być szczery – napisał Charlie w liście, który dotarł do niej dopiero po jego śmierci. – Tutaj trudno jest odróżnić dobro od zła. Wszystko wygląda tak samo”.

Cholera. Ta prawda dotyczy większości rzeczy.

– Mój Boże – odezwała się pani Spencer.

Pru poczuła na policzku ciepło płomienia.

– Ma pani doskonały grecki profil. Nadzwyczajne. Szczęściara z pani.

– Och. Dziękuję?

– Przypomina mi pani mnie.

Pani Spencer zdmuchnęła świecę i wyciągnęła rękę, żeby zapalić lampkę na szafce nocnej. Kobieta pachniała słodkawo, jakby zasypką dla dzieci, ale także kwaśno. Pru zmarszczyła nos, chociaż woń nie była nieprzyjemna.

– Która godzina? Może powinniśmy porozmawiać rano?

– Niech pani nie będzie takim mięczakiem. – Pani Spencer opadła na łóżko i lekko podskoczyła. – Jest już grubo po czwartej. Wcześniej tu wstajemy. Bixby! Diamond! – Gwizdnęła przez zęby. – Chodźcie tu! Chodźcie do mamusi!

Najpierw rozległ się dźwięk pazurków uderzających o deski, a potem dwa karmelowe spaniele wskoczyły na łóżko. Psy przez kilka sekund ujadły i drapały pożółkłą koronkową narzutę, aż w końcu przytuliły się do uda pani Spencer.

– Rozumiem, że zwierzęta mogą wchodzić na meble?

– Ten dom bardziej należy do nich niż do pani – zauważyła pani Spencer. – A skoro mowa o moim domu, dlaczego pani tu jest?

– Wydawało mi się, że Murray wszystko wyjaśnił. Pani rodzina zamieściła ogłoszenie, że szuka asystentki...

– Nie, nie. Pytam: dlaczego pani tu jest? Ze mną. A nie zajmuje się czymś większym. Dziecko, pytam o to, czy odkryłaś już wszystkie swoje talenty.

– Ha! To jest nie lada pytanie, prawda?

– Owszem. I czekam na odpowiedź. Czy w tej Ameryce nie uczą zasad prowadzenia rozmowy?

– Uczą. Tylko że... jeszcze nigdy nikt nie zadawał mi takiego pytania. I tak. Odkryłam swoje talenty. Chociaż nie powiedziałabym, że mam ich zbyt wiele.

– Proszę mówić – zażądała pani Spencer. – O tych talentach. Umieram z ciekawości.

– Namiętnie czytam książki.

– To jest raczej hobby. Szlachetne, owszem, ale jednak hobby.

– Dobrze sobie radzę z pisaniem esejów.

– Dobry Boże. Jest pani w niezłej rozsypce, co? Bardzo niepewna siebie.

– Nie powiedziałabym, że bardzo.

– Wyczuwam to na kilometr. Ale jest pani mądra. To też czuję. Sama jestem geniuszem, mimo że wychowywała mnie matka, która była piękna, choć niezbyt bystra. Byłam cudownym dzieckiem. Rachunek różniczkowy był dla mnie betką!

– Zajęcia już się zaczęły – usiłowała zażartować Pru. – Może mogłaby mnie pani nauczyć tego i owego. Kiepsko sobie radzę z liczbami. Chyba wolę coś wymyślonego.

– Dlaczego pani tu jest? – powtórzyła pytanie pani Spencer. – Dlaczego? Powinna pani studiować na uniwersytecie, a nie mieszkać z leciwą damą na wsi. Wykształcenie jest wszystkim. Ułatwia życie.

– Studiowałam. W Kalifornii. Przez jakiś czas studiowałam literaturę.

– I co było potem?

– Potem... Odeszłam.

Pru nie była w nastroju na opowiadanie o swojej przeszłości ani nie miała ochoty odpiarać połączenia litości i odrazy, którymi z pewnością zostanie uraczona. Jej narzeczony nie żył, co było tragedią, ale bez wątplenia odebrał życie niejednemu człowiekowi. To nawet nie była uczciwa wymiana.

– A więc wyjechała pani z powodu mężczyzny – skonstatowała pani Spencer i cmoknęła. – Dam pani drobną radę, panno Valentine. Niech pani nie pozwala, by mężczyzna decydował o pani życiu.

– To nie do końca było tak.

– Ja wyszłam za mąż dopiero, gdy miałam czterdzieści lat. Z wyboru. Miałam własne mieszkanie w Paryżu, nie gdzie indziej, gdy byłam o połowę młodsza. Byłam niezależną kobietą na przełomie wieków. Wy, bitnikowskie, hippisowskie feministki, myślicie, że wypłynęłyście na nieznaną wodę, ale ja już tam byłam. Nawet brałam narkotyki.

– Nie jestem bitnikiem ani hippiską.

Pru pomyślała o przyjaciółkach w Berkeley, ich protestach i marszach, ich wymyślnych kwiatowych imionach. O Debbie, która została Petal<sup>4</sup>, Lindzie, która została Daisy<sup>5</sup>, i całej reszcie, która szybko odwróciła się od Charliego, a także od Pru, kiedy jej chłopak nie przeciwstawił się powołaniu do armii.

– Ta grupa poczułaby się urażona, gdyby uznała pani, że byłam jedną z nich – dodała.

– W takim razie o co chodzi? – dociekała pani Spencer. – Ma pani smutną twarz jak organizatorka gali, na którą nie przyszli goście. Wyczuwam zerwane zaręczyny.

– Coś w tym stylu.

– Chryste Panie! Nie popada się w taki nastrój przez zerwane głupie zaręczyny. Jeśli nie zdobyła pani kilku facetów, coś robi pani nie tak. Minimalny współczynnik wynosi pięć zaręczyn na jedno małżeństwo. To jest absolutne minimum! W moim wypadku ta liczba była wyższa, jak się pani pewnie domyśla. – Pani Spencer popatrzyła na sufit i zachichotała nosowo. – Dziesięć? Piętnaście? Nieważne. Nie wychodzi się po raz pierwszy za mąż w wieku czterdziestu lat, jeśli po drodze nie przyrzekło się poślubić całej rzeszy mężczyzn.

– Po co to robić? Przyjmować zaręczyny, jeśli nie chce się kogoś poślubić?

– Jest pani głupia jak but! – stwierdziła pani Spencer tonem, który trudno było rozszyfrować.

– To zamyka temat.

– Spokojnie. Powiedziałam tak z sympatią. Głupia dziewczyno, zaręczynom towarzyszy świętowanie i pompa. Wszystko, co dobre, bez kłopotów, które następują później. Wraz z weselem kończy się cała impreza. Potem czekają cię kopalnie soli i skąpe posiłki do końca twoich dni.

Pani Spencer uniosła kołdrę i położyła się obok Pru. Dziewczyna odsunęła się na samą krawędź łóżka.

– Wspominała pani, że uwielbia czytać – zagaiła.

– Tak – odparła Pru z zamkniętymi oczami. Chciała, żeby kobieta wróciła do swojego pokoju. – Studiowałam literaturę. To jeden z powodów, dla których podjęłam tę pracę. Powiedziano mi, że kocha pani książki, zwłaszcza brytyjskich autorów, którzy byli przedmiotem moich studiów.

A przynajmniej byliby, gdyby wytrwała dość długo.

– Tak powiedziała Edith? O mojej pasji do literatury? No, no, no. Nie pomyliła się w tej kwestii.

– Mhm.

Pru nie myślała trzeźwo. Boże, jaka była zmęczona. Tak strasznie zmęczona. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się przytomna.

– Thomas Hardy. – Pani Spencer szturchnęła ją w bok. Pru otworzyła oczy. – Lubi pani Hardy'ego?

– Tak, oczywiście. *Tessa d'Urberville*, *Z dala od zgiełku*. „A w domu zaś, przy ognisku, co spojrzę, to zobaczę panią, a pani, co spojrzzy, to zobaczy mnie<sup>6</sup>”. – Piersią Pru wstrząsnął deszcz.

– Wielkie nieba – powiedziała pani Spencer. – Niech mi się tu pani nie rozklei.

– To jest cytat ze *Z dala od zgiełku* – odparła Pru, a do oczu napłynęły jej łzy.

– Wiem, z jakiej to książki! Przyjaźniłam się z Hardym. Proszę. Pani płacze. Nie zniosę tego.

– „Jedno jest dla mnie pewne w tym życiu, to że będę panią zawsze kochał, zawsze tęsknił i...”.

– „I pragnął jej aż do śmierci<sup>7</sup>” – dokończyła pani Spencer. – Tak. Wiemy. – Wydała dźwięk, jakby się jej zrobiło niedobrze, kiedy Pru pozwoliła, żeby łzy spływały jej po policzkach. – Proszę przestać! – poleciła pani Spencer. – Proszę przestać w tej chwili! Musi pani przestać myśleć o tym chłopaku. Nie jest wart takiego cierpienia. Przecież od samego początku nie chciała pani za niego wychodzić.

– Owszem, chciałam. Całą sobą.

– Bardzo dobrze. Niech pani trwa przy swoich romantycznych cytatach z Hardy’ego, ale ja też mam kilka swoich. „Ludzie pobierają się, bo nie mogą oprzeć się siłom natury, chociaż wiele osób wie doskonale, że przyjemność trwającą miesiąc kupują za cenę całego zmarnowanego życia<sup>8</sup>”.

– Z nami byłoby inaczej – szepnęła Pru głosem ciekim jak kosmyk włosów.

– Niech pani sobie daruje, panno Valentine. Nie toleruję mazgajenia się. Co pani powie na Prousta? – powiedziała pani Spencer, a jej słowa były szybkie i ostre, jak kuksańce w żebra. – Lubi pani Prousta?

– Słucham?

– Proust. Marcel Proust. Co pani o nim sądzi, studentko literatury?

– Szczerze mówiąc, nie zgłębiałam Prousta – przyznała Pru i pociągnęła nosem.

– NIE ZGŁĘBIAŁA PANI PROUSTA?

– Czytałam co nieco. Ale nie przemawia do mnie. Lubię Hardy’ego. Wharton. Evelynę Waughę. Henry’ego Jamesa.

– Znałam ich wszystkich. Osobiście. I nie umywają się do Marcela. Nie ma pani zdania na jego temat? Ani jednego przemyślenia? I uważa się pani za osobę czytającą?

– Oczywiście podziwiam *W poszukiwaniu straconego czasu*. Nowatorskie podejście do powieści, gatunek sam w sobie. Jest w porządku. Ale, ogólnie rzecz ujmując, Proust nie jest w moim stylu.

– Nie w pani stylu? Marcel i ja jesteśmy sobie bliżsi niż rodzeństwo. Nie wspomnę mu o tym, co pani powiedziała.

– Czy on przypadkiem nie umarł?

– Swego czasu był moim najbliższym przyjacielem – powiedziała pani Spencer w wolniejszym już tempie, a jej ciało zapadło się głębiej w materac. – Każdy czytelnik powinien docenić znaczenie Prousta dla świata literatury. Uświadomił nam znaczenie pamięci w czasie lektury książki i to, jak ważne są miejsce akcji i okoliczności. Tak więc bez względu na to, jakie sentymentalne skojarzenia budziło ogłoszenie Edith, jakiegokolwiek snuła pani wizję o przechadzaniu się z książką w dłoni po wzgórzach Cotswolds, po raz pierwszy napisał o nich Proust.

– Zdaje się, że prowadziła pani fascynujące życie, pani Spencer. – Pru podciągnęła kołdrę pod samą brodę, żeby ochronić się przed zimnem. – Nie mogę się doczekać, by lepiej panią poznać.

– Jest już za późno, by ktokolwiek mógł mnie poznać. Och, Marcelu! Jak ja za nim tęsknię! On i ja rozjaśnialiśmy paryskie salony! Oszkloną werandę w Ritzu. Wszystkie lokale przy Rue du Faubourg-Saint-Honoré. Uwielbia pani Hardy’ego? Oto temat pani kolejnego eseju, panno Valentine. Wykorzystamy pani jedyny talent. Dlaczego nie miałyby pani zanalizować francuskiego i angielskiego ducha w prozie? Mogłaby się pani odnieść do Hardy’ego w tym drugim wypadku.

– Zastanowię się nad tym.

– Niegdyś prowadziłam na ten właśnie temat bardzo ożywioną rozmowę z Lily de Clermont-Tonnerre w salonie Thérèse. Hrabiny Thérèse Murat, skoro już musi pani wiedzieć.

– Oczywiście, hrabiny Murat – powtórzyła Pru i ziewnęła.

– Cocteau też tam był. Strasznie się pieklił, biedny narkoman. To były wspaniałe czasy! Rzecz jasna, matce nie podobały się te moje wyczyny. Uważała, że przez to rozbijanie się po salonach tracę możliwość wybrania sobie odpowiedniej partii. Ale powtarzałam jej, że chodzę tam, by prowadzić rozmowę, a nie szukać męża.

Pru zachichotała sennie.

– Mieszkałam w najwspanialszych miejscach – ciągnęła pani Spencer. – Mój poprzedni dom był tak samo monumentalny jak Wersal. Och, panno Valentine, powinna pani zobaczyć Paryż.

Pru zaczęło szumieć w głowie, podczas gdy pani Spencer ciągnęła swoją opowieść, wspominała przyjęcia, salony i dyskusje z najblaskotliwszymi umysłami europejskiej literatury, największymi talentami.

Niebawem zapadła w drzemkę przy melodyjnym głosie starszej kobiety, a jej umysł wypełniały obrazy paryskich ulic nocą, lamp gazowych zawieszonych pod arkadami, które odprowadzały ludzi do domów tanecznym krokiem.

## BANBURY INN

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

PAŹDZIERNIK 2001 ROKU

Aby zrozumieć przyszłość księżnej Marlborough, trzeba najpierw zrozumieć jej przeszłość.

Matką Gladys była Florence Baldwin Deacon, znana femme fatale z czcigodnej rodziny z Nowej Anglii. Nie była wyjątkowo inteligentna, ale kompensowała to sobie takimi zaletami jak nadzwyczajna uroda i niezrównane wyrafinowanie. Ojciec Gladys był błyskotliwy, ale zimny i surowy. Spotkała go śmierć, gdy miał pięćdziesiąt siedem lat – zachorował na zapalenie płuc w szpitalu psychiatrycznym.

Ojcem Florence Baldwin, dziadkiem Gladys, był kontradmirał Charles Baldwin, człowiek zamożny ponad wszelkie pojęcie. Był tak sławny, że w czasie pogrzebu eskortowało go pięciuset żołnierzy piechoty morskiej. Trumnę niósł sam William Waldorf Astor.

Drugim dziadkiem księżnej był prawdziwy narwaniec, który zaistniał w amerykańskiej socjocie za sprawą przeróżnych przedsięwzięć, obejmujących między innymi branżę wielorybniczą. Aczkolwiek jego największym osiągnięciem było poślubienie Sarahann Parker, spadkobierczyni zapierającego dech w piersiach bogactwa bostońskich Parkerów, rodziny, z której wywodziła się niemająca końca linia cudzołożników i cudzołożnic, z których wszyscy byli wspaniali i smutni.

Nikt z Baldwinów i Parkerów nie był nigdy szczęśliwy, mimo pieniędzy, złota i nieobyczajnych apetytów seksualnych. Matka Gladys przez jakiś czas uganiała się za nieuchwytną radością, aż znalazła się w centrum skandalu na światową skalę. Kochanek, dziecko i międzynarodowe wydarzenie, które odmieniło bieg ich życia, zwłaszcza życia najstarszej, przepięknej, porywczej Gladys.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

Annie zakradła się przez hotelowe drzwi, przyciskając do piersi plecak, na którego dnie bezpiecznie spoczywała książka.

– Gdzie byłaś? – zapytała Laurel. Siedziała w kącie na szezlongu, a na jej kolanach spoczywał stos dokumentów. – Prawie zaczęłam się o ciebie martwić.

– Och – odparła Annie, a serce jej waliło, jakby wróciła z popijawy lub ze spotkania ze znacznie starszym chłopakiem. – Nie wiedziałam, że na mnie czekałaś. I że już będziesz z powrotem. Nie było cię, więc...

– Mhm. – Laurel przekrzywiła głowę na znak zgody lub akceptacji i przeglądała papiery, z których z każdej strony sterczały samoprzylepne karteczki. – Przepraszam. Jestem pewna, że się nudziłaś. Ja też nie tak wyobrażałam sobie ten wyjazd.

– Umowa nie wygląda dobrze?

– Można to tak ująć. Ostro grają. Nie potrafię stwierdzić, kim są ci oni, nabywcy lub właściciele przyległych działek. A może prawnicy. Wszyscy chcieli rozpaczliwie sfinalizować sprawę miesiąc temu, teraz zaś nagle nic się nie układa.

– Przykro mi – powiedziała Annie i usiadła na łóżku. – To masz wielki kłopot.



– Tak to już jest w takich sytuacjach. Tak przypuszczam. Przez ładnych parę lat byłam korporacyjnym prawnikiem, ale mimo że nie mam doświadczenia w dziedzinie sprzedaży nieruchomości na brytyjskiej ziemi, nie dam się nabrać na ich sztuczki.

– Przejrzałaś ich, mamo.

Laurel wyrównała stos papierów i rzuciła go na biurko obok siebie.

– Co porabiałaś przez cały dzień?

– Niewiele – odpowiedziała Annie. – Snułam się po Banbury. Poszłam na herbatę. Jak zawsze.

– Konkrety, dziewczyno. Chcę znać szczegóły. Dokąd poszłaś? Co widziałaś?

– Banbury Cross. Kilka angielskich ogrodów. Piekarnie. I mnóstwo wapienia.

Annie zdjęła gumkę z nadgarstka i zebrała gęste, falujące, splątane włosy w coś na kształt kucyka. Mimo że niebo było czyste, kiedy wchodziła do pubu, po wyjściu zastała ją mżawka. W czasie krótkiej drogi do domu wilgoć sprawiła, że jej włosy zwiększyły objętość trzykrotnie.

– Fuj – powiedziała, gdy przez przypadek zerknęła w lustro. Po raz kolejny pozazdrościła koniom matki ich gładkich, lśniących, nigdy niezmięzwionych grzyw.

– Jadłaś coś? – spytała Laurel. – Proszę, powiedz mi, że zjadłaś coś więcej oprócz tych tak zwanych herbatników, które Nicola wykłada codziennie.

– Owszem, jadłam. Poszłam do tego pubu. George and Dragon?

– A, tak. Chyba go widziałam. Miłe miejsce?

– W porządku. Głównie piłam herbatę i czytałam. I zjadłam kilka kęsów kanapki.

– Była dobra?

– Kanapka?

– Nie. Książka.

– Och. – Annie się zawahała. – Zabawne. To ta książka, którą chyba masz. Ta o zaginionej księżnej. Wspominałam ci o niej.

Laurel patrzyła na nią w osłupieniu.

– Znalazłam ją tutaj – ciągnęła Annie. Skoro kłamstwo sprawdziło się w wypadku Gusa, podzielała też w rozmowie z Laurel. – Przypadkiem zajrzałam do antykwariatu niejakiej Trudy i rozpoznałam tę książkę z twojej biblioteczki.

– Dziwne.

– Mamo, czy byłaś tu już kiedyś?

– Annie...

– Nie gniewaj się, ale nie czytasz zbyt dużo. A mimo to masz tę książkę. Opowiada ona o kobiecie, która mieszkała w Banbury. Przyjechałyśmy tu i okazało się, że jesteś właścicielką nieruchomości w tym mieście. Aż do tej pory nic o tym nie słyszałam.

– Byłam tu – wyznała matka i wstała. Nie patrzyła na Annie, tylko ponad jej głowę, na krzyż. – Przyjechałam do Banbury przed laty. Dekady temu.

– Dlaczego nic mi o tym nie mówiłaś?

– Bo naprawdę nie ma o czym. W czasie studiów wybrałam się, hm... w podróż z plecakiem po Europie.

– Ty? – zapytała rozbawiona Annie. – Ty, która nie pozwoliłaś mi wstąpić do skautek, bo wiązało się to z uczestnictwem w obozach? Ty jeździłaś z plecakiem? Z własnej woli?

– Wiem. To była nieudana wyprawa. – Laurel pokręciła głową. – Pod wieloma względami. Przyjechałam do Oxfordshire, ponieważ... Cóż, słyszałam przelotnie o ludziach, z którymi powinnam się tu spotkać, ludziach, którzy mogli być moją rodziną.

– Związanych z ziemią, którą próbujesz sprzedać?

– Tak.

– Wytropiłaś ich?  
– Niezupełnie. To była strata czasu. Nigdy nie znalazłam tego, czego szukałam. Tak się kończy większość kiepsko zaplanowanych odysei. Wyjechałam stąd dość mocno przygnębiona.  
– Przynajmniej zyskałaś nieruchomości na własność.  
– Tak. Przynajmniej tyle.  
– To wtedy kupiłaś książkę? – zapytała Annie. – *Zaginioną księżną*? W czasie wizyty w Banbury?  
– Nie pamiętam dokładnie. – Laurel odwróciła wzrok. – Prawdopodobnie tak. O księżnej sporo się mówiło w tym miasteczku, była atrakcją turystyczną, chociaż zmarła, zanim tu dotarłam.  
– Więc pamiętasz tę książkę.  
– Tak. Nie. To znaczy... Trudno to wyjaśnić, Annie.  
– Okłamałaś mnie.  
– Nie skłamałam. Trudno to wyjaśnić.  
– Już to mówiłaś. Wydawało mi się, że prawnicy nigdy nie mają problemu z wyjaśnieniem czegoś.  
– Wtedy byłam inną osobą. Gdy zobaczyłam tę książkę. – Laurel zagryzła wargę i westchnęła. – Nie chodzi o książkę, tylko o wspomnienia, które przywołuje.  
– Proust – rzuciła Annie.  
– Słucham?  
– Proust mówił o znaczeniu pamięci w czasie lektury, oddziaływaniu miejsca akcji i okoliczności.  
– Tak? Kto jak kto, ale ty wiesz takie rzeczy – stwierdziła Laurel z uśmiechem. – Domyślałam się, że po to płaciłam krocie za twoje kształcenie.  
– Owszem. Żeby wiedziała coś o zmarłych pisarzach. Bardzo przydatna umiejętność. Aż dziw, że nie mam jeszcze pracy.  
Annie nie wspomniała, że jej wiedza nie jest pochodną drogiej edukacji, tylko rozmowy z nieznanym z baru.  
– Jak to możliwe, że nigdy nie słyszałam o twojej wyprawie z plecakiem po Europie? – zastanawiała się. – To znaczy... Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie robiącej coś tak spontanicznego. Zwykle zajmujesz się jakimiś interesami.  
– Studiowałam w latach siedemdziesiątych – przypomniała jej Laurel. – W tamtych czasach wszyscy byliśmy bardziej wyluzowani. Albo się o to staraliśmy.  
– Przecież ukończyłaś szkołę tylko dla dziewcząt o wyśrubowanym standardzie akademickim – zauważyła Annie. – Ilu wyluzowanych ludzi mogło przebywać w Wellesley? Lub na wydziale prawa w Georgetown?  
– Całkiem sporo. Było też wielu takich, którzy usiłowali grać buntowników, choć z marnym skutkiem. Ach te opowieści o zmarnowanej młodości. Zanim wyjdiesz za mąż, postaraj się, by mieć o czym później opowiadać.  
– Nadal nie rozumiem – stwierdziła Annie. Historia jej matki nie dawała jej spokoju. – Przepraszam. Nie chcę marnować naszego czasu, ale...  
– Wiesz, że nie lubię, kiedy tak mówisz.  
– Jak to możliwe, że nigdy o tym nie wspomniałaś? – dociekała Annie. – Jak mogłaś nie napomknąć o tym w czasie lotu do Londynu lub wczorajszej kolacji, a nawet przy kawie dzisiaj rano? Jesteś tak sentymentalna. Wzruszasz się z powodu koni i letnich praktykantów. I jest także ta książka, która przywołuje dobre i złe wspomnienia. Z całym szacunkiem, mamo, ale o co chodzi, do diabła?

Laurel nabrała głęboko powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, ale wstrzymała oddech w głębi płuc. Po raz pierwszy Annie nie patrzyła na sztywną, przestrzegającą reguł kobietę, tylko na osobę z przeszłością.

– Czy był z tobą? – zapytała Annie, bo odpowiedź wydała się jej nagle oczywista. – Kiedy przyjechałaś z przyjaciółmi do Banbury. Też z wami był?

– Kto? – Matka zamrugła oczami.

– Mój ojciec. Któż by inny?

– Nie. Na Boga, nie. Nie było go jeszcze w moim życiu.

– Więc o co chodzi? – Annie wstała. – Co się wydarzyło?

– Annie, jeśli postanowisz kiedykolwiek mieć dzieci...

– To jasne, że będę miała dzieci! – burknęła. – Eric nie może się doczekać, by zostać ojcem!

Laurel zmarszczyła brwi.

– Jeszcze nie teraz – dodała Annie pospiesznie. – Ale zrobimy to, mamó. Pobierzemy się. Nie przekonasz mnie do zmiany zdania.

– Rozumiem – odparła Laurel i kiwnęła głową. – Posłuchaj, kochanie. Nauczenie dzieci samodzielności, umiejętności życia poza tobą, jest trudne. Pragniesz, żeby dzieci nie powiełały twoich błędów, ale też nie chcesz zmuszać ich do powielania tego, co dobre. To się wiąże z mnóstwem oczekiwań, a oczekiwania nikomu nie służą.

– Dlatego nie miałaś nic przeciwko temu, że poszłam na anglistykę, a nie na zarządzanie jak ty?

– Mniej więcej.

W przeciwieństwie do córki Laurel nigdy nie ukończyłyby studiów, nie mając w perspektywie sensownej kariery. Pomysł zostania naukowcem coraz bardziej się Annie podobał. Kiedy wybrała kierunek studiów dwa lub trzy lata temu, zrobiła to po części w ramach buntu – próby, którą Laurel przeszła śpiewająco. Jej matka w ogóle z nią nie walczyła.

– Annabelle, twoje zaręczyny to bardzo trudny dla mnie temat – powiedziała Laurel drżącym głosem. Trząśł się też jej podbródek. – Eric jest uroczym człowiekiem, ale gdy patrzę, co tracisz...

Annie pomyślała o pani Spencer, kobiecie, która będąc dwudziestolatką, miała własne mieszkanie w Paryżu ponad sto lat temu. Próbowała sobie wyobrazić matkę w tym wieku, ale przypominało to próby czytania książki w ciemnościach.

– Może niczego nie tracę – odezwała się zarówno do matki, jak i do siebie.

– Może nie. Posłuchaj. Nie jestem rodzicem doskonałym. Nadal szukam właściwego podejścia. Chcę, żebyś była niezależna. Pragnę, żebyś zobaczyła świat i przeżyła wiele wspaniałości. Ale też chcę cię ochronić przed bólem. A te pragnienia najczęściej są ze sobą sprzeczne.

Annie zastanawiała się, czy matka tego żałowała.

Jakby Laurel żałowała, że zainwestowała wszystko z siebie w córkę i swoją pracę. Zobaczyć świat? Przeżywać wspaniałości? Może i Laurel robiła te rzeczy, zanim została matką, ale dwadzieścia lat to szmat czasu i trudno wytrwać przy dawnych wzorcach.

– Kocham cię – rzuciła Annie, bo nie przyszło jej do głowy nic lepszego.

To było wszystko, co jej zostało. Annie była głodna. Wykończona. I nie miała pewności, dokąd teraz zmierzać. Ich umysły raczej się nie spotkają. Trudno jej było patrzeć wtedy na matkę. Nawet nie wiedziała, gdzie spoglądać.

– Jesteś świetną mamą – powiedziała.

To przynajmniej było prawdą.

– Dzięki – mruknęła Laurel. – Staram się.  
– Poważnie. Najlepszą. Wszystkie moje koleżanki ze szkoły tak myślały.  
– Dobry Boże. – Laurel się zaśmiała. – Aprobata nastolatek zwykle oznacza, że jest się zaprzeczeniem dobrej matki.

– Spokojnie, jesteś wystarczająco surowa. Ale miła. Normalna. No i ludzie lubią konie.  
– Uratowały mnie już wielokrotnie.

Laurel podeszła do szafy. Sięgnęła po parę butów na płaskim obcasie stojących równo obok pozostałych. Nad nimi wisiał rząd ostrożnie upchanych spodni. Ubrania Annie leżały tymczasem w wysokim stosie na jej walizce.

– Muszę jechać jutro do Londynu – oznajmiła Laurel. – Tylko na jeden dzień.

Prawdziwym zwiedzaniem zajmiemy się, kiedy to wszystko się skończy, ale czy chciałabyś mi towarzyszyć? Będziesz mogła się rozejrzeć, podczas gdy ja udam się na kolejne nieznośne spotkanie. Z innymi prawnikami. Co ty na to?

– No nie wiem – odparła Annie, zaskoczona tym, że myśli o Gusie i księżnej. – Chyba sobie daruję. Zostanę tutaj.

– Wydawało mi się, że przeszłaś już Banbury wzdłuż i wszerz.

– Tak, ale... – Annie wzruszyła ramionami. – Nie mam ochoty wałęsać się po Londynie samotnie. Wolę jechać tam razem z tobą, kiedy będziemy miały więcej czasu.

– Okej. Będę za tobą tęsknić. – Laurel wypowiedziała te słowa chłodno, zwrócona nie do Annie, tylko do okna i Banbury Cross. – Pójdziemy coś zjeść? Umieram z głodu. Co byś powiedziała na ten lokal, o którym wcześniej wspomniałaś? – Znowu się odwróciła. – Podają tam kolacje?

– Nie! – krzyknęła Annie. – To znaczy serwują kolacje, ale jadłam tam lunch. Pójdźmy może gdzie indziej. Czy Nicola nie wspominała o miłej restauracji w sąsiednim miasteczku?

– Pewnie tak, chociaż wyciszam dziewięćdziesiąt procent tego, co mówi. – Laurel wskazała ruchem głowy drzwi. – Idziemy?

– Jasne. Możemy zatrzymać się na chwilę w holu? Chciałabym wysłać krótki e-mail Ericowi. Opowiedzieć mu o swoim dniu.

– Biedactwo. Za sprawą moich niemających końca spotkań to będzie najnudniejsza wymiana wiadomości między zakochanymi gołąbkami od zarania dziejów. Lub zarania poczty elektronicznej. „Drogi Ericu, nic nie robiłam, podczas gdy moja matka dopuszczała się kolejnych aktów zaniedbywania dziecka”.

– Nie było aż tak źle – stwierdziła Annie z uśmiechem.

To powiedziawszy, chwyciła plecak. Zabrała ze sobą nie tylko portfel, ale także *Zaginioną księżną*, wyobrażenia pani Spencer i świadomość niewypowiedzianych słów.

**Temat: Hrabia oddziału ekspedycyjnego marines**

**Od:** eric.sawyer@usmc.mil

**Data:** 30 października 2001 11:32

**Do:** anniehaley79@aol.com

Hrabia Winton?

Chyba trudno o większą bzdurę. Uważaj, Annie. Jesteś bardzo ufna. Zbyt urocza.

I pewnie dlatego trafiłaś właśnie na mnie.

Przykro mi w związku z Twoją mamą. Może naprawdę nie pamięta tej książki? Może być to trudne do pojęcia dla tak wyrobionej czytelniczki jak Ty, ale dla niektórych osób książki są tylko zbiorem kartek wciśniętych między okładki. Powinnaś mnie chyba rzucić za takie stwierdzenie. Dobrze, że nie ma mnie przy Tobie fizycznie. Bo domyślałam się, że według Annabelle Jane Haley wygłosiłam właśnie bluźnierstwo.

Oczywiście, że nie ma mnie przy Tobie. Jestem tu, na pokładzie okrętu. Podróżuję piątą klasą do Kandaharu, którego nie potrafię sobie wyobrazić, mimo że widziałem zdjęcia i filmy. Nadal wydaje mi się fikcją, jakimś miejscem opisanym w książce. Nie wiem, czego się spodziewać na miejscu. To jest nowy świat, nawet dla tych z nas, którzy próbują go naprawić.

Kocham Cię, Annie. Uważaj na siebie.

Eric

## BANBURY INN

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

W Paryżu matka Gladys znalazła sobie towarzysza – sławnego homme fatal Émile’a François Abeille’a. Abeille był relatywnie zwyczajnym człowiekiem, któremu szyku przydawało bogactwo rodziny zdobyte w czasie budowy Kanału Sueskiego. Miał również głęboki głos. Bardzo głęboki. Ktoś, kto go znał, powiedział, że ten głos wydobywał się aż z jego jąder. Zwieńczeniem jego czaru był jacht oraz dostęp do najbardziej prywatnych paryskich klubów.

Florence i Abeille poznali się z powodu zaległego rachunku – w zasadzie był to jedyny rodzaj rachunków, jakie posiadała Florence Deacon. Kiedy Abeille usłyszał, że zamężna – ale otwarta – piękność ma do zapłaty spory rachunek w Doucet, najmodniejszym atelier tamtych czasów, wysłał do niej telegram.

Jeżeli uroczą Florence spotka się z nim w jego prywatnym mieszkaniu, on chętnie spłaci jej dług, pokryje również przyszłe zobowiązania. Z punktu widzenia pani Deacon był to bardzo uczciwy układ. Jej córki zaczęły osiągać pełnoletność. Jeśli Florence miała zostać matką księżnej, powinna móc się odpowiednio ubierać.

Postronny obserwator mógłby uznać, że ta kobieta zachowała się jak prostytutka. I jeżeli ktoś chciałby dojść do samego jądra (że tak powiem), tym właśnie była. prostytutką z krótką, aczkolwiek wysoce wyszukaną listą klientów. Zajęcie to było wyjątkowo intratne.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

– Nicola?

– A niech to! – Kobieta zatrzepotała dłonią w okolicy szyi i niechętnie oderwała wzrok od stojącego za ladą małego telewizora, w którym oglądała odcinek *Coronation Street*. – Ale mnie przeraziłaś – powiedziała i odgarnęła wściekle rudy lok, który plątał się jej koło policzka. – No, popatrz tylko. Znowu jesteś sama. Po co matka ciągnęła cię taki szmat drogi, skoro zamierzała cię ciągle zostawiać samą?

– Nie ma problemu – odparła Annie. – Nie mam nic przeciwko samotnemu spędzaniu czasu. Chciałam cię zapytać o pewną książkę, którą znalazłam...

– Jeśli chcesz, mogę ci towarzyszyć w wypadach po okolicy!

– Nie trzeba. Nie chcę cię odrywać od pracy.

– Nie ma sprawy. Jest u mnie kuzyn. Prawdziwy nierób, jeśli byś mnie pytała o zdanie. – Nicola przewróciła oczami. – Mógłby posiedzieć w recepcji w czasie, kiedy chodziłybyśmy po mieście.

– Naprawdę nie trzeba – powtórzyła Annie. – Posłuchaj. Znalazłam taką biografię. – Podsunęła książkę Nicoli. – Czytałaś ją? – zapytała.

– Skąd ją masz? Znalazłaś u Trudy?

– Tak, u Trudy. Gdzież by indziej?

Gus. Jej matka. Teraz Nicola? Jeżeli któraś z tych osób postanowi zapytać Trudy o jej klientkę, Annie znajdzie się w narożniku.

– Ach, Trudy. Znamy się niemal od dziecka.

Kiedy Nicola patrzyła zmrużonymi oczami na okładkę, Annie zauważyła, że książka wydawała się bardziej zniszczona niż poprzedniego dnia. Błękit mocniej poszarzał, strony wyraźniej pożółkły.

Zabrała książkę.

– Słyszałaś o niej? – dopytywała Annie. – Albo o kobiecie, o której opowiada?

– Kochaniutka, jeśli nie pozwolisz mi jej obejrzeć, nie będę mogła ci odpowiedzieć.

– Przepraszam. Jest taka delikatna. Stara.

– A my wszyscy nie? No, pokaż mi to. I o kim opowiada?

Annie podała jej książkę.

– *Zaginiona księżna*... – przeczytała Nicola, nie pokazując po sobie, że rozpoznaje książkę.

– Mieszkała tutaj – powiedziała Annie i aż się skuliła, kiedy palce Nicoli zostawiły malutkie tłuste plamy na lnie. – Przynajmniej tak tu napisano.

Czy to możliwe, że kobieta nie była postrachem miasteczka ani jego najbardziej interesującym mieszkańcem? Annie spodziewała się, że Nicola zareaguje jak Gus i z miejsca rozpozna książkę.

– Księżna Marlborough zniknęła z pałacu w latach trzydziestych – ciągnęła Annie. – Czterdzieści lat później znaleziono ją w Banbury. Czy to ci się z czymś kojarzy?

– Wszyscy znają pałac Blenheim i osławionych Marlborough.

– To na pewno znałaś księżną – naciskała Annie. – Tak naprawdę nazywała się Gladys Deacon, ale tutaj przedstawiała się jako pani Spencer. Zmarła po dziewięćdziesiątce. Prawdopodobnie około tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego lub dziewiątego roku.

Nicola nawinęła kosmyk włosów na mały palec i ściągnęła usta na znak, że się zastanawia.

– Wydawało mi się, że księżna była dobrze znana w Banbury – stwierdziła Annie. – Tak nie jest?

– Mogło tak być. Jestem z Banbury, ale tak naprawdę nie mieszkałam tutaj, jeśli mnie rozumiesz.

– Niezupełnie.

– Matka posłała mnie do szkoły z internatem, gdy tylko chciano mnie przyjąć. Miała wiele wspaniałych cech, ale instynkt macierzyński nie był jedną z nich. Kiedy dorastałam, Banbury było moim „domem”, ale mieszkałam tu tylko w czasie wakacji.

– Więc nie pamiętasz pani Spencer?

– Hm. Nazwisko brzmi znajomo. Spencerowie...

– Biegała nago po mieście – podsunęła Annie. – I mieszkała w Grange.

– W Grange? – Nicola się skrzywiła. – W tej okropnej ruderze? Co za miejsce! Dobrze by było, żeby właściciel coś z nim zrobił, zamiast pozwalać na to, by dalej niszczało.

– A więc znasz je?

– Jasne. Moja przyjaciółka mieszka po sąsiedzku. Z radością oddaje się myślom o „przypadkowym” pożarze tego domu. Pat jest kobietą, która mogłaby to zrobić, gdyby tylko miała pewność, że udałoby się jej zapobiec przeniesieniu się ognia na jej dom. – Nicola oddała książkę Annie. – Przypominam sobie kobietę, która tam mieszkała – ciągnęła. – Byłam malutka, kiedy żyła. I głównie spędzałam czas w szkole. Ale pamiętam, że miejscowi chłopcy zakradali się na teren jej posiadłości i wracali stamtąd z opowieściami o duchach, które pozwoliłyby napisać książkę. Kiedy się nad tym teraz zastanawiam, stwierdzam, że zawsze odnosiłam wrażenie, że to miało więcej wspólnego z legendą niż kobietą jako taką.

– Chyba nie jesteś w tym osamotniona.  
– Co cię interesuje?  
– No cóż... – Annie się zawahała. – Zafrapowała mnie ta osoba. Była tematem opowieści o duchach i legend. Studiuję anglistykę, więc czytanie o pisarzach, z którymi się spotykała, jest dla mnie gratką. A poza tym prowadzę pewne badania...  
– Badania? – przerwała jej Nicola. – Twoja mama mówiła, że jesteś bezrobotna. Nie studiujesz i nie robisz nic zawodowo.  
– Naprawdę?  
W jaki sposób matka przekazała tę informację? Czy w formie uskarżania się? A może stwierdzenia faktu?  
– O rety, Annie. Nie chciałam cię zdenerwować.  
– Nie przepraszaj. To jest prawda. Nie ma dla mnie pracy.  
– I powiedziała to z czułością! – upierała się Nicola. – Nie było w tym nawet nuty goryczy! Posłuchaj, młoda damo. Uczucia, jakim matka darzy dziecko, mają swoje korzenie w uczuciach, jakie kieruje do siebie.  
– Rozumiem – powiedziała Annie i energicznie kiwnęła głową. Nagle bała się wyjść z motelu.  
– Nikt cię nie ocenia, moja droga. Jesteś młoda. Możesz tracić czas na dowolne bzdury. To przywilej młodej kobiety. Masz przed sobą mnóstwo czasu na poważne życie. Twoja mama jest, moim zdaniem, przepracowana. Wielkie nieba. – Nicola pokręciła głową, aż zafalowały jej włosy. – Wszyscy nieźle oberwaliśmy, prawda?  
Annie przytaknęła, zaskoczona. Oto miała przed sobą kobietę znacznie bardziej skomplikowaną od właścicielki motelu, która je powitała, tej raczącej je potokiem słów przez piętnaście minut bez przerwy. Wszyscy nieźle oberwali, w rzeczy samej.  
– Opowiedz mi o tym projekcie – poprosiła Nicola. – Co zamierzasz wykorzystać w swoich badaniach? Oprócz podniszczonej książki?  
– Powiedziałeś, że twoja przyjaciółka mieszka obok Grange?  
– Patricia. Zgadza się.  
– Chciałabym zobaczyć to miejsce – powiedziała Annie. – I usłyszeć kilka opowieści o duchach. Znasz może adres?  
– Jasne. To jest... – Kobieta się zastanowiła. – Banbury Road cztery. Teren jest prywatny. Należy do kogoś obdarzonego kiepskim gustem i pozbawionego sąsiedzkich manier w sposób przechodzący ludzkie pojęcie, ale jest prywatny. Dom nie jest zamieszkały, nie możesz jednak tam wejść. Podejrzewam, że nie chciałabyś trafić do aresztu za wtargnięcie na czyjąś posesję w obcym kraju.  
– Ależ skąd! – Annie zaśmiała się chrapliwie. – Chcę tylko rzucić okiem na dom od strony ulicy.  
Już wiedziała, że będzie próbowała dostać się do środka. O ile niczego nie zniszczy i nie zabierze, przedstawiciele prawa, którzy ją aresztują, raczej nie powinni się zbytnio przejąć. Jeśli ktoś ją przyłapie, będzie udawała niezdarną turystkę, odezwie się z obcym akcentem albo uda, że nie włada angielskim. Znała trochę hiszpański i francuski.  
– Jeśli tam będziesz, wpadnij do Pat. Chętnie cię przyjmie!  
– Dobrze. Dziękuję, Nicolo.  
– Chcesz wziąć rower? Możesz tam iść, ale fajniej jest pojechać na rowerze! Czy wiedziałeś, że powstają rowerowe grupy turystyczne? Osobiście nie przepadam za tymi ich obcisłymi wdziankami, ale można na nich zarobić.  
– Fantastyczny pomysł – stwierdziła Annie. – Chętnie pożyczę rower. Może potem



wybiorę się na przejażdżkę po Cotswolds. Obiecuję, że nie ubiorę się w obcisłe wdzianko.

– Nie powinnaś jeździć sama. – Nicola ściągnęła brwi.

– To urocze, że się tym tak przejmujesz, ale jestem jedynaczką. Przywykłam do samotności, a poza tym to stan przejściowy. Mama zwykle taka nie jest. Przeszła już na emeryturę.

– Ha! – prychnęła Nicola. – Na emeryturę? Dałam się oszukać. Annie, chętnie pożyczę ci rower. Chodź ze mną. Pokażę ci, gdzie je trzymamy.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

A co wiemy o mężu Florence, ojcu Gladys?

Edward Deacon wiedział aż nazbyt dobrze o elastycznym podejściu swojej żony do małżeństwa, podobnie jak o jej elastycznych nogach i innych częściach ciała. I był w pełni świadomy interakcji, w jakie te części ciała wchodziły z Abeille'em.

Florence jednakże bagatelizowała jego obawy i przypominała mężowi o jego braku kultury i ogłady. Flirty były w Paryżu rzeczą powszechną, wręcz oczekiwaną! Jedyną grupą osób, która wyrażała dla nich dezaprobatę, była służba.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

Annie pedałowala po Banbury Road w stronę parafii Chacombe i nie odrywała wzroku od horyzontu.

Gdzieś za szeregiem domów z wapiennymi elewacjami znajdowała się rezydencja Grange. Wyobrażała sobie wyniosłą, popadającą w ruinę plebanię, budynek zapadnięty i żaloszny. Taki, który górowałby nad okolicą i rzucał na miasteczko długi poszarpany cień.

Zanim jednak Annie dotarła do rozpadającej się posiadłości, droga się rozwidliła pośród kilku mało imponujących domów. W prawo biegła Middleton Road, w lewo Ring. Banbury Road się skończyła.

– Ki diabeł?

Postawiła rower na trójkątnym skrawku trawnika i jeszcze raz obejrzała znak. Minął ją jeden samochód, potem drugi. Słyszała dobiegający z oddali świergot ptaków.

– Banbury Road – powiedziała i zrobiła kilka kroków wokół znaku. – Gdzie się podziałaś?

– Świergot ptaków się nasilił i do Annie dotarło, że to nie były gęsi, tylko grupka kobiet w średnim wieku zmierzająca szybko w jej stronę. – Przepraszam! – zawołała do maszerujących. Podbiegła do nich, prowadząc rower. – Przepraszam, że przeszkadzam!

Kobiety nie zwolniły nawet odrobinę.

– Mogę prosić panie o chwilkę uwagi?

Panie zatrzymały się równocześnie. Każda z nich uniosła lewą brew w dobrze przećwiczonej choreografii zżytej i zdeterminowanej grupy.

– Dzień dobry – zawołała Annie wesoło. – Jestem badaczką. Spoza miasta. Wiedzą panie, gdzie znajduje Grange?

Kobiety patrzyły na nią bezmyślnie.

– Szukam rezydencji Grange – powtórzyła Annie, mrużąc oczy przed słońcem. – Banbury Road cztery. Obok domu Patricii.

Może któraś z nich ją znała. Może nawet była nią. Może w dalszej kolejności Annie mogłaby się pochwalić znajomością antykwariatu Trudy.

– Minęła ją pani – powiedziała jedna z kobiet.

– Wiem, że minęłam tę ulicę. I w tym problem. Nie wiem, gdzie się znowu zaczyna.

- Nie. Minęła pani rezydencję Grange. Oddaliła się pani od niej.
- Słucham? – Annie odwróciła się w stronę drogi, którą przyjechała. – To niemożliwe.

Przecież znajdowały się w Chacombe. Od George & Dragon dzieliło je zaledwie kilka przecznic. Wszystkie budynki wokół wyglądały tak samo: wapienna elewacja, jeden wyrastał obok drugiego tak naturalnie jak otaczająca je trawa, drzewa i bukszpany. Nigdzie nie było widać nawiedzonego domu.

– Szukam rezydencji Grange – powtórzyła Annie bardzo powoli i dobitnie. Może miały problem ze zrozumieniem jej akcentu, o który oskarżał ją Gus. – Chodzi mi o posiadłość zajmowaną niegdyś przez księżną Marlborough. Panią Spencer.

– To tamten dom – potwierdziła jedna z nich i wskazała budynek. – Banbury Road cztery. Widać stąd bramę.

Kobiety odwróciły się i znów zaczęły szybko maszerować.

Zadyszana, czując klucie w boku, Annie sprawdziła zapisany adres. Banbury Road cztery, tak jak powiedziała kobieta. Dlaczego Gus nie powiedział jej, że Grange znajdowała się zaledwie kilka przecznic od pubu?

– Ale z niego dupek – burknęła pod nosem i oparła rower o drzewo.

Wsparła ręce na biodrach i przyglądała się budynkowi, a także domom w bezpośrednim sąsiedztwie. Annie rozumiała, dlaczego wszyscy wiedzieli o poczynaniach pani Spencer. Jej sąsiedzi nie mieli wyboru. Prawdopodobnie widzieli nawet, jak wpakowała się do łóżka Pru.

Annie nie wyobrażała sobie, żeby ten dom mógł się znajdować w centrum wydarzeń. Posiadłość była rozległa, ale dom nie tak ogromny, jak odebrała go Pru po wejściu do holu. Nawet Goose Creek Hill był większy.

To nie powinno potrwać długo, pomyślała Annie.

Podeszła niepewnie do bramy i prawie czuła obecność pani Spencer – i Pru – po drugiej stronie. Pokręciła głową. Minęło trzydzieści lat. Tych ludzi od dawna tu nie ma.

Zatrzymała się przy bramie. Widniała na niej kartka z informacją sprzed kilku dni.

Wniosek o wpisanie budynku na listę obiektów zabytkowych. Dom z początku XVIII wieku. Gruz wapienny i z sydereytu, brak dachu, stopy cegieł, dwa piętra plus strych, trzy wykusze. Główne wejście w drugim wykuszu od prawej, drewniane nadproże i drzwi z desek. Okno dzielone na cztery pola po prawej stronie ma drewniany parapet, drewniane słupki i żelazną ramę. Podobne okno dzielone na trzy pola po lewej stronie. Wejście w drugim wykuszu od lewej ma drewniany próg i dzielone na cztery pola drzwi, częściowo przeszkłone. Okno dzielone na dwa pola po lewej stronie ma drewniany parapet i słupki oraz żelazną ramę. Podobne okno na pierwszym piętrze. W lewej ścianie szczytowej kamienie oporowe.

Annie wsunęła kartkę do kieszeni. To tyle, jeśli chodzi o obietnicę niedotykania niczego.

Wzięła głęboki wdech i pchnęła bramę. Otworzyła się ze skrzypnięciem. Annie rozejrzała się, czy nie obserwuje jej ktoś ze wścibskich sąsiadów lub nie mija kolejna grupa uprawiających szybki marsz. Nie będzie musiała stawić czoła kulom ani rozwrzeszczanym harpiom, ale wkraczała na czyjś teren. Popełniała wykroczenie.

W okolicy nie było żywej duszy, więc Annie zapuściła się głębiej. Przedzierała się przez dywany zdziczałych róż i chwastów. Przechodziła nad betonowymi posągami i wywróconymi do góry nogami ogrodowymi meblami, kiedy zbliżała się do północnej strony domu i częściowo zasłoniętych drzwi. Nie wychodziły na ulicę, ale mimo to Annie była wystawiona na widok ciekawskich z Chacombe.

Zerknęła przez ramię i nacisnęła na klamkę. A jednak. Wchodziła do środka.

Drzwi ani drgnęły.

Spróbowała ponownie, szarpała i pchała. Mimo jej wysiłku – i przekleństw – drzwi

pozostawały zamknięte na cztery spusty. Kolejne również i wszystkie pozostałe. Spore zabezpieczenie jak na dom o tak wielu wybitych szybach.

– Wielkie nieba – mruknęła Annie, usuwając plecakiem szkło z pobliskiego okna. Do diabła z praktykującymi szybki marsz. „W świetle nowych badań okazało się, że studiowanie literatury może prowadzić do nikczemnych zachowań”.

Annie przerzuciła plecak przez okno i się podciągnęła. Lata, które poświęciła na uprawianie gimnastyki, wreszcie na coś się przydały. Laurel byłaby dumna z tego, że wymachiwanie szarfą może się okazać pomocne w popełnieniu przestępstwa.

Wstrzymała oddech i odsunęła ciężkie czarne zasłony, które, według słów autora książki, księżna moczyła w oleju cztery razy w roku. Annie pomyślała, że jej to nie dziwi. Pachniały czymś starym i odległym.

– Fúj. – Zakasłała i zakryła usta.

Kiedy już weszła do środka, usiadła na parapecie i przyglądała się pomieszczeniu. Na podłodze zobaczyła rozrzucone papiery, kilka książek i coś, co wyglądało na zbiór szkieletów małych zwierząt. Chyba nikt nie mógł umrzeć w nawiedzonym domu z powodu starej książki, prawda?

Mdliło ją, ale zeskoczyła na podłogę.

Znajdowała się w jadalni, sądząc po starym dębowym stole, który dominował w pomieszczeniu. Krzesel nie było. Na ścianach widniały prostokąty w miejscach, w których wisiały niegdyś dzieła sztuki. Annie ruszyła przez hol. Kiedy szła po schodach, nie słyszała stukotu butów, tylko bardziej miękki dźwięk, jakby szła po mchu. Wstrzymała oddech przy ostatnim stopniu, wdzięczna, że jej matka nie będzie musiała żyć w hańbie po opublikowaniu nekrologu córki włamywaczki, która zginęła w czasie popełniania przestępstwa.

– No dobra, Grange – odezwała się. – Co masz dla mnie?

W pierwszej sypialni znalazła materac na podłodze, a obok niego zapadniętą ramę łóżka wypełnionego książkami. Hardy. Proust. Wharton. Kiedy sięgała po *Tessę d'Urberville*, jej dłoń musnęła coś zimnego.

Odskoczyła. To był rewolwer.

Krztusząc się i dysząc, pobiegła do sąsiedniej sypialni. Żyła w kraju myśliwych, ale nigdy nie miała w ręku broni.

– To tylko stary kawałek metalu – powiedziała sobie, a serce jej waliło w piersi. – Przecież nie może wystrzelić sam z siebie.

A może może? Co Annie wiedziała na temat broni palnej? Co wiedziała o duchach staruszek, które lubiły sobie postrzelać za życia?

– Na Boga, opanuj się – upomniała się. – To tylko opowieści o duchach. Nic więcej.

Annie okrążyła pokój cztery razy, żeby się uspokoić.

– Annie – powiedziała. – Nie bądź taka głupia.

Zrobiła wdech i rozejrzała się po pokoju. Znajdowała się w nim rama łóżka. Cała. Obok niej stało biurko. Na nim stała maszyna do pisania. Annie wyciągnęła szyję, żeby przyjrzeć się lepiej ścianom. Tak, to były dziury po kulach.

Jeśli nie liczyć dwucentymetrowej warstwy kurzu i sporej ilości sadzy w kominku, pokój był względnie schludny. Łóżko. Biurko. Kilka kartek papieru. Pokój Annie w akademiku wyglądał gorzej. Gdzie te wszystkie rupiecie, o których opowiadał Gus? Staruszka była podobno zbieraczką. Wyglądało na to, że Annie niepotrzebnie się tu wdzierала.

Westchnęła i zajrzała pod łóżko. To tam zwykle znajduje się najciekawsze rzeczy. Swego czasu nawet pod jej łóżkiem można było znaleźć obciążające ją dowody: spódnice koleżanki pożyczoną bez pytania, prawie opróżnioną butelkę wódki, paczkę papierosów, z której wypaliła

tylko jedną sztukę.

– Żadnej broni? – spytała. – Rozczarowała mnie pani, pani Spencer.

Oprócz kurzu, brudu i zdechłych pajaków pod łóżkiem znajdowało się kilka kartek papieru, zdaje się, że zapisanych na maszynie. Annie zacisnęła zęby i wyciągnęła się najdalej, jak mogła, żeby pochwycić te kartki. Wydobyła je spod łóżka i usiadła na piętach. Kolana miała szare od kurzu.

– Kopie? – zastanawiała się na głos, kiedy omiatała kartki wzrokiem.

Notatki autora? Wywiad? Annie przeglądała strony.

„Niewątpliwie w pewnym momencie spotkała pani księcia.

Poznali się państwo w Blenheim, tak?

Pani Spencer, proszę usiąść”.

Nie wiedziała, czy te strony miały jakąś wartość lub czy znaczyły coś dla żyjących. Ale jako wytrawna badaczka rozumiała jedno: patrzyła właśnie na początki historii, była w miejscu, w którym narodziła się *Zaginiona księżna*.

WS: Twierdzi pani, że nie jest księżną.

GD: Bo nie jestem.

WS: Ale obracała się pani w kręgach sławnych osób. Niewątpliwie w pewnym momencie spotkała pani księcia.

GD: Oczywiście, że go spotkałam.

WS: Była pani jego żoną.

GD: To przykre, że według pana kobieta musi poślubić każdego spotkanego mężczyznę.

WS: Ale rodzina księcia powtarzała wielokrotnie, że jego zaginiona żona mieszka tutaj, w Grange. Opat Mugnier też tak twierdził.

GD: Tak, tak, rozumiem, że duchowny, który zmarł przed trzydziestu laty, wiedziałby, kto mieszka obecnie w Oxfordshire. Powiedz mi, Seton, jak długo zamierza pan wałkować ten temat? Powiedziałam już, że nigdy nie kochałam księcia Marlborough.

WS: Ale była pani jego żoną.

GD: Nie byliśmy żadnym małżeństwem.

WS: Lecz znała go pani.

GD: Czy nie powiedziałam tego przed chwilą? Oczywiście, że go znałam! Wywodzę się z dobrego rodu, na miłość boską.

WS: Jak się państwo poznali?

GD: Z księciem. W Blenheim, jak sędzę. Nie pamiętam. Sprowadziła mnie tam jego żona Coon. Była moją najlepszą przyjaciółką.

WS: Uwaga na potrzeby rękopisu: Coon to Consuelo Vanderbilt, poprzednia księżna Marlborough.

GD: Uwaga na potrzeby rękopisu: ten autor to kapcan. Kto potrzebuje wytłumaczenia, kim była Coon?

WS: No dobrze. Proszę opowiedzieć o przyjaźni z Consuelo. Jak się panie poznały?

GD: Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że poznałam ją przez księcia, a nie odwrotnie. Tak. Tak było. Jego poznałam na spotkaniu towarzyskim w Londynie, gdy miałam szesnaście lat. Coon tam nie było. Dochodziła do siebie po urodzeniu ich pierwszego dziecka. Przeklętego dziecka.

WS: Pani przyszłego pasierba?

GD: Nigdy nie powiem, że ten palant należał do mojej rodziny. Stary Marlborough uznał, że jego żona i ja się dogadamy. Zabrał mnie do Blenheim, żebym ją poznała. Coon była w depresji i ksiązę chciał, żebym podniosła ją na duchu.

WS: Miała pani wówczas szesnaście lat?

GD: Tak. Dlaczego mam wrażenie, że się powtarzam?

WS: Bardzo dobrze. Był tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty siódmy rok?

GD: Tak. Chwila! Nie! Bzdura! To nie mogło być w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku, bo wtedy miałam zaledwie dwa lata! [śmiech] Byłam małym dzieckiem!

WS: A miała pani szesnaście lat?

GD: Tak. Jak już powiedziałam. Kilkakrotnie.

WS: Twierdzi pani, że urodziła się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku. Po dodaniu szesnastu lat otrzymujemy tysiąc dziewięćset jedenasty.

GD: Och, autor dobrze sobie radzi z liczbami, co?

WS: W tysiąc dziewięćset jedenastym roku ksiązę i księżna żyli od czterech lat

w separacji. Coon nie dochodziła do siebie po urodzeniu dziecka. Zdążyła wyprowadzić się z Blenheim i mieszkała sama.

GD: Cóż, może byłam młodsza. Może to był... tysiąc dziewięćset siódmy rok? Miałabym wówczas...

WS: Czternaście lat. Według pani informacji. Ale widziałem pani nazwisko w księdze gości w pałacu z tysiąc dziewięćset pierwszego roku.

GD: Słyszał pan kiedyś o błędzie wynikającym z przestawienia cyfr? Uważa się pan za wybitnego matematyka czy pisarza? Rok nie jest istotny. Ważne jest to, że Coon i Sunny...

WS: Uwaga na potrzeby rękopisu: Sunny...

GD: To książkę Marlborough. Hrabia Sunderland. Ergo: Sunny. Jezu. Zamierza pan tak robić przez cały czas trwania wywiadu?

WS: Mógłbym.

GD: Była piękna. Coon. Ciemna, egzotyczna. Miała lekko skośne oczy.

WS: Uwaga na potrzeby rękopisu: pani Spencer podciąga kąciki oczu, żeby zademonstrować ich skośność. A teraz przewraca oczami.

GD: [prychnięcie] Coon miała w sobie coś z Japonki.

WS: W przeciwieństwie do pani jasnej skóry i wielkich, niepokojących błękitnych oczu.

GD: Nie nazwałabym ich niepokojącymi. Ale tak. Ten kontrast sprawiał, że się wyróżnialiśmy na ulicach Paryża. Także we Włoszech i w Niemczech.

WS: To musiało być zdumiewające – te różnice, które Sunny dostrzegał, kiedy na panie patrzył.

GD: Niech pan zapomni o Sunnym. Urzekliśmy połowę Europy za sprawą tych różnic. Czerń i biel. Ciemna i jasna. Chociaż, rzecz jasna, obie byłyśmy piękne. Teraz mogę powiedzieć, że jestem stara jak Matuzalem.

WS: Nadal jest pani piękna, pani Spencer.

GD: Stek bzdur, ale doceniam pański komplement. W każdym razie różniłyśmy się pod względem osobowości tak samo jak pod względem wyglądu. Coon była nieśmiała, urocza. Większość ludzi nie wiedziała, że miała też problemy ze słuchem. To temu zawdzięczała reputację snobki.

WS: „Czarna łabędzica trzymająca się z boku na bezgłośniej wodzie”.

GD: Tak, to była moja Coon. Biedactwo, ten niewygodny pałac strasznie ją przygnębiał. Próbowałam ją podtrzymywać na duchu. Rozjaśnić jej małżeństwo, ten dom, jej życie. Panowała tam atmosfera smutku bez krztyny radości.

WS: Podobno pocieszała pani kilku mieszkańców domu.

GD: Staralam się. Chwileczkę. Chyba nie nawiązuje pan do Sunny’ego?

WS: Dlaczego miałbym nawiązywać do księcia?

GD: Powiem panu, że dostarczałam Sunny’emu i Coon mile widzianej rozrywki.

WS: Uwaga na potrzeby rękopisu: pani Spencer uderzyła dłonią w stół, kiedy wypowiedziała słowa „mile widzianej”.

GD: Uderzę dłonią nie tylko w stół, jeśli pan nie przestanie.

WS: Pani Spencer, proszę mówić dalej.

GD: Nie mogę! Wszystko mi się poplątało!

WS: Większość by się z tym zgodziła.

GD: Chodziło mi o to, że straciłam wątek! Skołował mnie pan. Prowadzi pan rozmowę w podły sposób. Wie pan o tym?

WS: Prawdopodobnie swoim talentom rozmówcy zawdzięczam to, że zostałam pisarzem. Pani Spencer, proszę usiąść. Tak lepiej. A teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego dostarczała pani w Blenheim mile widzianej [klapnięcie] rozrywki.

GD: Biedaczka nie chciała w ogóle wychodzić za tego mężczyznę. A potem on ją osadził w tym monstrum będącym rzekomo domem.

WS: Większość uważa, że Blenheim jest w Zjednoczonym Królestwie budowlą niedoścignioną pod względem piękna i przepychu. Nie może z nią konkurować niemal nic na świecie, nawet Wersal. Pałac jest obiektem zazdrości rodziny królewskiej. Nie mamy nic lepszego.

GD: Guzik mnie obchodzi rodzina królewska i jej gówniany gust. Nie musieli tam mieszkać. Powinni się z tego cieszyć. W przeciwnym razie byliby bardziej nieszczęśliwi, niż są.



WS: Ale te okazały pokoje. Ogrody. Groty.

GD: Pałac był przygnębiający. Coon miała skłonności do melancholii i ten dom wysłał do niej każdy promień słońca z duszy tej wrażliwej dziewczyny. Płakała co noc. Modliła się, żeby Bóg uczynił z niej westalkę.

WS: Westalkę?

GD: Kobieta wolną od obowiązku zamążpójścia i urodzenia dzieci. Oczywiście było na to za późno.

WS: Wygląda na to, że miała ponurą osobowość.

GD: Nie była zbyt żwawa. Ale powiem panu, że kiedy małżonkowie Marlborough się rozstali i Coon przeniosła się do Londynu, rozkwitła jako samotna gospodyni.

WS: Kiedy ona wykonała swój ruch, pani zrobiła nalot i przystąpiła do akcji.

GD: W życiu nie zrobiłam żadnego nalotu.

WS: Gdy Coon opuściła Sunny'ego i była wreszcie szczęśliwa, pani mogła zapolować na męża swojej najlepszej przyjaciółki i oddać się zauroczeniu wrzącemu w pani od dekady.

GD: Zauroczeniu. Ha! Trochę wiary we mnie.

WS: Pani pasierb twierdził, że zachowywała się pani bezwstydnie wobec Sunny'ego nawet wtedy, gdy był mężem Coon.

GD: Henry? Jest tak wiarygodny jak pijak. Czy flirtowałam z Sunnym? Tak. Czasami. Podobnie jak z pięcioma do jedenastu mężczyzn każdego wieczoru. Moja matka zawsze powtarzała, że odrobina paryskiego flirtu nikomu nie zaszkodzi.

WS: Paryski flirt zazwyczaj wiąże się z seksem. Uwaga na potrzeby rękopisu: twarz pani Spencer poczerwieniała.

GD: Niech pan posłucha, kapcanie. W tamtych latach Coon była dla mnie wszystkim. Umie pan to sobie wyobrazić? Że miałabym się kochać w mężu najlepszej przyjaciółki?

WS: Tak. Potrafię to sobie wyobrazić. „Sceny w tym domu mogła robić tylko ona, nikt inny”<sup>9</sup>.

GD: CYTUJE MI PAN EDITH WHARTON?

WS: Kobieta była spostrzegawcza.

GD: Przyjaźniłyśmy się. I byłaby oburzona, że taki pismak jak pan wypływa z siebie jej wysublimowane słowa.

WS: Bardziej panią oburza to, że cytuję Edith Wharton, od mojej sugestii, że wykradła pani męża swojej najlepszej przyjaciółce?

GD: Tak, na Boga! Bo ta sugestia jest żałosna. Coon była moją najlepszą przyjaciółką.

WS: Takie rzeczy się zdarzają, pani Spencer. Ciągle.

GD: Wykradzenie komuś męża to ogromna odpowiedzialność. Jeśli kobieta obierze taką drogę, to powinna to zrobić dla mężczyzny, który jest tego naprawdę wart. Aby rozwiązać wszelkie wątpliwości, powiem, że większość zdecydowanie nie jest tego warta.

GEORGE &amp; DRAGON

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

Matka Gladys spodziewała się czwartej, ostatniej córki, Dorothy, kiedy jej małżeństwo przeżyło ostatni kryzys.

Sama ciąża była źródłem niezgody, bo Edward Deacon podejrzewał, że dziecko nie jest jego. Nie było to nieuzasadnione, zważywszy na liczbę godzin, jaką jego żona spędzała w towarzystwie Abeille'a, i na to, ile czasu poświęcała na odwiedzanie z nim sklepów z bielizną, czego Edward był świadkiem. I kto był pierwszą osobą, której Dorothy została pokazana zaraz po urodzeniu? Abeille. Edward się wściekł.

„Francuzki zawsze przyjmują platoniczne wizyty swoich przyjaciół, gdy są przykute do łóżka” – twierdziła Florence, która tłumaczyła każde złe zachowanie paryską wrażliwością.

Żona Edwarda nie była Francuzką i Edward nigdy nie uległ zwyczajom Francji. Zdrada małżeńska była zdradą, zwłaszcza gdy ktoś pochodził ze Stanów Zjednoczonych.

Jednakże ani Florence, ani Abeille nie przejmowali się wściekłością i groźbami Edwarda. Widzieli w nim wyłącznie głupiego nieszkodliwego dyletanta. Z pewnością nie uważali go za mężczyznę, który byłby zdolny ganiać kochankę żony po pokoju i strzelić do niego trzykrotnie, gdy dzieliła ich tylko kanapa.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

Annie znalazła Gusa w tym samym kącie boksu, sączącego taki sam cydr. Zastanawiała się, od ilu lat to robił.

– Cześć – powiedziała i klepnęła go w ramię. – Liczyłam na to, że cię tu zastanę.

– Co za miła odmiana – odparł Gus i zdjął okulary. Złożył leżącą przed nim gazetę i chciał wstać.

– Nie trzeba – powstrzymała go. – Nie wstawaj. – Usiadła naprzeciwko niego. – Mogę się przyłączyć?

– Już to zrobiłaś – powiedział z uśmiechem, cytując jej słowa wygłoszone kilka dni wcześniej. – Mocno zapracowana, jak zawsze?

– Zapracowana? – Zamrugła.

– Zajmujesz się swoją pracą magisterską?

– A, tak. – Usiadła wygodniej. – Na razie utknęłam w martwym punkcie.

– Może powinnaś się skupić na badaniach – podsunął z kpiarskim uśmiechem. – Zamiast zajmować się innymi rzeczami. Masz brudne ubranie.

Annie zerknęła na siebie. Wyglądała tak, jakby ktoś ją obtoczył w kurzu. Dwoma palcami zdjęła z dzinsów pajęczynę.

– Pożyczyłam rano rower – poinformowała Gusa. – Chyba kiepska ze mnie rowerzystka. Skoro już o tym wspomniałeś...

– O czym?

– Przejeżdżałam dzisiaj obok Grange.

Zamiast odpowiedzieć, Gus pociągnął łyk cydru.

– No wiesz, Grange – powtórzyła Annie, butnie unosząc głowę. – Dom pani Spencer.

I Pru.

Przytaknęła. Zaciśnięła usta, a jego szare oczy wytrzymały jej spojrzenie.

– Nie powiedziałaś mi, że ten dom stoi tuż za rogiem.

Gus odchrząknął.

– Naprawdę? – spytał.

– Naprawdę. – Annie poprawiła się na krześle. – Rety. Nie tak sobie wyobrażałam to miejsce. Z twojej opowieści wynikało, że dom jest wielki. Ogromny.

– Doprawdy?

– Tak. A tymczasem to jest zwykły dom. O co chodzi? Z tą twoją historią? To, co widziałam – mówiąc to, Annie wyciągnęła przed siebie dłonie ustawione na różnych wysokościach – nie przystaje do niej.

– Nie przypominam sobie, abym mówił coś o wielkości domu.

– A co z Pru? Kiedy weszła do domu, miała wrażenie, że on się zmienia i rozrasta.

– Tak było, ale miało to niewiele wspólnego z metrażem.

– A w środku był...

Brwi Gusa się uniosły.

– A w środku był jaki?

Annie zawahała się, po czym dodała niezbyt wyraźnie:

– Pewnie jeszcze większy.

– Masz jakieś inne spostrzeżenia? – zapytał Gus, przyglądając się jej uważnie. – Na temat nieruchomości. Widzianej z ulicy, rzecz jasna. Bo chyba nie wpadłaś na pomysł, żeby wdzierać się na teren prywatny?

– Jasne! Jestem bardzo rozsądna! W życiu bym czegoś takiego nie zrobiła!

– Ulżyło mi. I to dlatego mnie szukałaś? Żeby wyrazić swoje rozczarowanie wielkością domu i zapewnić, że potrafisz przestrzegać prawa?

– Tak. Właśnie w tym celu. – Annie wyjęła książkę z plecaka. Uważała, żeby nie wyciągnąć przy tym wykradzionych kartek. – No i w związku z *Zaginioną księżną*. Muszę się dowiedzieć więcej. – Podsunęła książkę Gusowi. – Na przykład tego, jak długo Pru pracowała u pani Spencer, kiedy przyjechał tu autor. Wspominałeś, że to było przed Bożym Narodzeniem?

– Tak – potwierdził i dopił cydr. – Pod koniec grudnia. Ned! Barman! Podasz mi jeszcze dwa cydry? Jeden na teraz, a drugi na drogę.

– Jasne – rzucił Ned i zachichotał przyjaźnie. – Jeden na drogę. Jakby mógł wytrwać do tego czasu.

Gus odwrócił się do Annie.

– A więc tak to ma wyglądać? Młoda badaczka bombarduje miejscowego starego piernika pytaniami, pomijając wszelkie uprzejmości i zwyczajowe „jak się miewasz”?

– Przepraszam – powiedziała Annie i się skrzywiła. – Moje maniery, że tak powiem, z lekka się zepsuły. Mama byłaby przerażona. Zaczniemy jeszcze raz. No więc, jak się dzisiaj miewasz?

– Przyzwoicie. – Uśmiechnął się ironicznie.

– Ładną mamy dziś pogodę.

– Niezupełnie.

– Jak spędzasz wolny czas? Masz jakieś hobby?

– To, co widzisz.

– A co u żony? Dzieci?

„Wnucząt” już nie dodała. Gus był w odpowiednim wieku, żeby je mieć, ale Annie

uraziła go w wystarczającym stopniu jak na jeden dzień. Nie było sensu zaznaczać, że uważała go za starszego człowieka.

– Dzieci? – zdziwił się. – Nie mam dzieci.

– Przykro mi to słyszeć.

– Przykro? A dlaczego? Żadna niedola, po prostu fakt. Jestem zżyty ze swoją siostrzenicą.

Jest dla mnie cholernie dobra.

– Wygląda na to, że podjąłeś dobrą decyzję – powiedziała Annie, czując się niezręcznie.

Marnie sobie radziła z tą grzecznościową pogawędką, tym wymuszonym „jak się masz”.

– Nie mam też żony – poinformował ją Gus. – I zanim zapytasz, nigdy nie byłem żonaty, bo nie znalazłem właściwej kobiety. Prosta odpowiedź na pytanie stare jak świat.

Annie usiłowała wymyślić stosowną odpowiedź.

Przykro mi.

Gra się jeszcze nie skończyła.

Może w przyszłym życiu, gdy nie będziesz tyle pił?

– Świetnie nam idzie ta rozmowa – stwierdziła ze sztucznym uśmiechem.

Nagle pomyślała, że sama też by się chętnie czegoś napiła, i nawet się zastanawiała, czy nie przywołać Neda.

– Ale to smutne – zauważył Gus.

– Słyszałam, że małżeństwo nie jest warte takiego zachodu. Rodzicielstwo również. Moja mama...

– Słucham? Nie. Nie to. W telewizji.

Annie spojrzała na odbiornik wiszący nad barem. Odruchowo skurczył się jej żołądek.

Jej uczucia się nie zmieniały, bez względu na to, ile razy oglądała te zdjęcia. Drugi samolot uderzający w budynek. Dym i pył unoszące się nad wieżami, które runęły. Chaos przed kamerą. Cały ten exodus, którego nie widać. Nawet gdyby obejrzała to sto razy, nie wydawałoby się to bardziej realne.

– Jezu – wydusiła z siebie i odchyliła się do tyłu.

Minęły dwa miesiące, a w wiadomościach nie mówiono o niczym innym, nawet w innym kraju.

– Nie mam bladego pojęcia, dlaczego to ciągle pokazują – zauważył Gus.

– Zgadza się. – Annie nie mogła oderwać wzroku od ekranu. – Strasznie to jest popaprane.

– Znałaś tam kogoś? – Wskazał na telewizor. – Straciłaś kogoś tego dnia?

– Tak. Nikogo bliskiego, ale tak.

Miała koleżankę, siostrę z uczelnianego stowarzyszenia, Megan. Zginęła w jednej z wież. Megan zajmowała się obrotem obligacjami, cokolwiek to znaczyło, i była zaręczona. Na zawsze tak pozostanie. Zaręczona. Jej przyszłość legła w gruzach.

Większość mieszkańców Wschodniego Wybrzeża знаła kogoś, kto pracował w World Trade Center, albo znała kogoś, kto kogoś znał. Megan była od niej o kilka lat starsza, więc nie były żyte. Były tylko „siostrami”. Niemniej trudno było nie czuć smutku w związku z jej śmiercią. I jeszcze trudniej było nie czuć się głupio, jakby Annie wykorzystywała Megan w celu zyskania pokrętnej sławy.

– Przykro mi – odezwał się Gus. – W związku z twoją koleżanką. Cholerna tragedia.

– Dziękuję. Zgadza się. Ale jak powiedziałam, nie była mi bliską osobą.

I tak jest to okropne.

– Pewnie masz rację. To takie dziwne, nienaturalne, że nie ma jej wśród nas.

Usłyszała, że głos jej zadrżał.

– Śmierć nadal zbiera żniwo – powiedział Gus.  
– To obrzydliwe, że ciągle pokazują te ujęcia. Jedyna nadzieja w tym, że ktoś sławny zrobi czym prędzej coś oburzającego.  
– Chodziło mi o to, że giną kolejni – wyjaśnił Gus. – Żołnierze. Wszyscy ci młodzi ludzie wyruszający na wojnę  
Zbladła.  
– Przepraszam, Annie. Wiem, że to wasz prezydent i tak dalej – ciągnął Gus. – Ale jestem podejrzliwy. Nie tak trudno porwać naród, kiedy wszyscy się boją i pragną rozpaczliwie w coś wierzyć.  
Annie zakryła usta dłonią. Rozpaczliwie. Czy działali rozpaczliwie?  
Eric był bezpieczny. Nic mu się nie stanie. W każdym razie w tej chwili był bezpieczny, na okręcie pośrodku oceanu. Annie niemal zdołała przekonać samą siebie, że to będzie jedyne miejsce, w którym Eric się znajdzie do czasu, kiedy znowu się zobaczą.  
– Prezydent musiał coś zrobić, prawda? – mówił dalej Gus. – Zorganizować show. Ludzie się mobilizują, bo zemsta jest słodka. To mi się kojarzy z tym, co pani Spencer powiedziała o Hitlerze. „Poderwał do walki cały świat”.  
– Nie można porównać Busha z Hitlerem.  
– Oczywiście, że nie. I nie chcę wdawać się w politykę. Wiem, że dla was, jankesów, jest to drażliwy temat. Łatwo jest kogoś krytykować, jeżeli dotyczy to innego kraju. Nawet jeśli my również nadstawiamy karku. O rety, Annie, zrobiłaś się zielona. Jestem największym dupkiem na świecie.  
– Nie, nie – wydusiła z siebie Annie. – To jest... nieprzyjemne. Smutne. Ta wasza polityka. Czasami sama nie wiem, co mam myśleć.  
Gus skinął głową i pociągnął łyk cydru.  
– „Wojna nie oswoiła mnie ze śmiercią” – powiedział, zmieniawszy ton głosu.  
– Proust? – zapytała Annie.  
– Bingo. – Podniósł szklankę na znak toastu. – Ulubieniec pani Spencer. Uwielbiam was, miłośniczki literatury.  
– Jestem zaręczona – wyrzuciła z siebie. – Z żołnierzem piechoty morskiej. Właśnie płynie do Afganistanu. To dlatego tak mnie wzburzył twój komentarz.  
– Chryste – powiedział Gus. – Cholera jasna! Zauważyłem pierścionek na twoim palcu i to, że ciągle przy nim majstrujesz. Powinienem być zainteresować się tym, ale uznałem, że sama mi powiesz, jeśli będziesz chciała. Ale ze mnie dupek. Cholerny dupek.  
– Nic się nie stało – odparła, chociaż tak nie było. Niezupełnie. Przymknęła oczy. – Wolałabym, żeby się parał czym innym. Był księgowym. Studiował prawo. Ale dokonał takiego wyboru. I był żołnierzem, zanim się poznaliśmy. – Otworzyła oczy i zdziwiła się, że bierze łyk cydru Gusa. – Ironię stanowi fakt, że nie wysłała się marines do Afganistanu – zauważyła. – Tak się złożyło, że miał dołączyć do załogi okrętu, który właśnie wypływał w morze. Teraz mają przyjemność być jednymi z pierwszych na tej wojnie. Przepraszam, w operacji Enduring Freedom.  
– Cholera. Znalazł się w złym miejscu w złym czasie.  
– Tak.  
Z drugiej strony, gdyby tam nie płynął, nie poznaliby się. Na wojnę płynął niecały procent żołnierzy piechoty morskiej. Niewiarygodny zbieg okoliczności – jej najlepsza przyjaciółka Summer była zdania, że tak właśnie spotyka się miłość życia. Twierdziła, że Annie i Eric byli sobie pisani. Brzmiało to oszałamiająco i doskonale po trzech kieliszkach pinot noir, ale wojna to wysoka cena.

– Trudna sprawa – stwierdził Gus. – Nie wiem, co powiedzieć.  
– Nikt nie wie. I chyba nie musisz nic mówić. Mogłoby być gorzej.  
Pomyślała o rodzinach tych z jedenastego września i o pustce w życiu tysięcy ludzi.  
– Zaręczona z gościem udającym się na wojnę – stwierdził i cmoknął Gus. – Zupełnie jak nasza Pru.  
– Boże, mam nadzieję, że nie jestem do niej podobna. Zwłaszcza w kwestii narzeczonego.  
– Kurczę, nic z tego, co mówię, nie wypada tak, jak bym chciał. Nie zamierzałem sugerować...  
– Proszę. – Annie machnęła ręką. – Nie powiedziałeś nic, co nie byłoby prawdą. Mogę tylko liczyć na to, że znowu go zobaczę i że jego bezpieczny powrót jest jedynym możliwym rozwiązaniem. Cała reszta to fikcja, coś, co spotyka nieszczęśników pozbawionych twarzy i nazwisk.  
– Cholernie przyzwoita postawa.  
– Mama oskarża mnie o przesadny romantyzm. O to, że żyję literaturą, książkami. Ale jestem spokojna, kiedy ignoruję wszystko, co złe, i wyobrażam sobie tylko powrót jego okrętu. I tysiące członków rodzin czekających w porcie. Wyobrażam sobie, że po powrocie Eric dostanie biurko i telefon w Pentagonie. Będziemy mieli kilkoro dzieci, które gdy dorosną, dowiedzą się, że ich ojciec był bohaterem, mimo że stał się zwykłym tata. Żyję iluzją. Ale w moim wypadku się ona sprawdza.  
– Uroczą iluzja – stwierdził Gus. Zwilgotniały mu oczy. – Pod każdym względem.  
– Zawsze wolałam fikcję od rzeczywistości – powiedziała Annie z westchnieniem przygnębienia. – Powiem za Edith Wharton, że nie możemy się zachowywać jak ludzie w powieściach. – Annie pociągnęła kolejny łyk cydru. – Ale chętnie się łudzę, że możemy.  
Nagle w głowie Annie zabrzmiały słowa pani Spencer: „CYTUJE MI PAN EDITH WHARTON?”. Udało się jej uśmiechnąć.  
– To jest widok, który lubię – powiedział Gus. – Uśmiechniętej Annie.  
– Ja też wolę być uśmiechniętą Annie. – Pokręciła głową. – Pora zmienić temat, zanim ja zmienię się w kałużę łez. Gus, zabierz mnie, proszę, do Grange. – Wskazała na książkę. – Pomóż mi na chwilę zapomnieć.  
– Wysoce wygórowane żądanie.  
– W wypadku Pru to się sprawdziło – zauważyła Annie, zmuszając się do wesołości, której nie czuła. – W końcu doszła do siebie po stracie narzeczonego. Prawda? W przeciwnym razie ta historia byłaby zbyt smutna.  
Gus ściągnął brwi. Odezwał się po naprawdę długiej chwili.  
– Ktoś mógłby powiedzieć, że się sprawdziło – powiedział wreszcie. – Tak przypuszczam. To zależy, kogo byś o to spytała.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 1972 ROKU

Po tygodniu spędzonym w Grange zajęcia Pru nabrały stałego charakteru.

Szybko pozbyła się odczuwanych na początku obaw dotyczących budzenia się w towarzystwie dziewięćdziesięcioletniej staruszki w łóżku, nie mówiąc już o jej mlecznym starczym zapachu. Albo ignorowała je w imię utrzymania pracy. Nie miała dokąd się udać.

Chociaż przywykła do rytmu dnia, z nocami było inaczej. Pominąwszy nieoczekiwane wizyty w łóżku, Pru i tak miała problemy ze snem, głównie z powodu głosów. Realne albo wymyślone, brzmiące tylko w jej głowie lub w domu, rozmowy prowadzone przyciszonym tonem zabierały jej wszelką nadzieję na wyciszenie się.

Mrok przynosił głos mężczyzny, czasem kobiety – i to każdej nocy. Któregoś razu Pru wspomniała o tym pani Spencer, ku jej wielkiemu rozbawieniu. Może miejsce zarezerwowane w szpitalu psychiatrycznym przydałoby się raczej Pru, rechotała. Aczkolwiek raz na jakiś czas pani Spencer przypisywała głos Tomowi.

Pru nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym, co jej przeszkadzało, bo musiała zajmować się codziennie mniej więcej pięćdziesięcioma spanielami. Karmiła psy, sprzątała po nich, wyczesywała je i zmywała kolejne ślady świadczące o tym, że ich przewody pokarmowe działają wysoce efektywnie. W domu mieszkało nie mniej niż dwanaście suk i niemająca końca parada szczeniąt, dlatego nie można tu było znaleźć choćby skrawka pozbawionego kudłów miejsca.

– Panno Valentine! – wołała pani Spencer. – Reina. Czy widziała pani Reinę? Nikt nie wyjdzie z tego domu, jeśli nie znajdziemy Reiny.

Lepiej szukać Reiny, niż robić za akuszerkę dla Princess. Pru widziała tyle narodzin szczeniąt, że z całą pewnością nie chciała oglądać kolejnych. Chociaż nie miała wyboru.

Bez względu na to, ile czasu spędzała z psami, nie potrafiła odróżnić Reiny od Arthura, Bixby'ego i cholera wie kogo. Wszystkie wyglądały według niej tak samo, psy i suki, z tego miotu czy z innego.

Odgrywała jednak swoją rolę. Przeczesała podwórko w poszukiwaniu Reiny, zachowując poważny wyraz twarzy świadczący o koncentracji, ale nie osiągając skutku. W końcu pani Spencer znajdowała zawieruszonego psiaka.

Były również koty. Ile ich było? Dwadzieścia pięć? Sto? Zbyt wiele, by dało się je policzyć. Okazało się, że to one były odpowiedzialne za lodówkę niepodłączoną do prądu. Za każdym razem, gdy jakiś kot padł, pani Spencer pakowała go do zamrażalnika, żeby się nim zająć później. Oczywiście to „później” nigdy nie nadchodziło.

Praca była ogłupiająca, ale ciągnęła, Pru miała zajęta prawie każdą godzinę. Jeśli trafiała się jej jakaś wolna chwila, szła do miasteczka, żeby zjeść coś łatwo się psującego – w domu nie mogła sobie pozwolić na taki luksus z powodu kotów w lodówce. Pani Spencer jadła jak ptaszek, co tłumaczyło jej wychudzoną sylwetkę.

Charlie byłby przerażony, gdyby widział, jak mieszka i żyje jego narzeczona, ale Pru nie miała wiele przeciwko tej sytuacji. Im więcej szczeniąt podgryzało jej nogi, tym mniej myślała

o Charliem, zakurzonym i samotnym w rodzinnym grobowcu. Często się zastanawiała, co umarło w nim pierwsze. Głowa czy serce?

Pani Spencer miała talent w wykrywaniu, kiedy umysł jej pracownicy zaczynał błędzić. Gdy tylko się orientowała, że Pru nie poświęca całej uwagi wykonywanemu zadaniu, raczyła ją jakąś sprośną paryską opowieścią lub kolejną wzmianką o Tomie ze stodoły.

– Mówiłam pani, jak Tom porwał dla mnie niemieckich jeńców wojennych? – zapytała pani Spencer pewnego popołudnia, kiedy czekały, aż suka skończy rodzić.

– Porwał? Dlaczego, pani Spencer? Czy w Banbury nie ma wystarczająco wielu mężczyzn?

– Bardzo śmieszne, panno Valentine. Nie. Trzeba było przyciąć moje jabłonie, a Tom boi się wysokości.

– Musiała pani koniecznie przyciąć drzewa? – zdumiała się Pru. – W środku wojny?

– Był tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty rok, więc trudno mówić o środku wojny.

W każdym razie Tom przyprowadził dwóch szkopów i załatwili sprawę. Znali się na rzeczy, działali szybko i byli dobrze wychowani. Tacy są Niemcy. Niech pani spojrzy! Wychodzi pierwszy szczeniak!

Nie tylko pani Spencer lubiła poruszać temat Toma. Mieszkańcy miasteczka też chętnie o nim rozmawiali, chociaż nie wiedzieli, co o nim myśleć.

Panowała powszechna zgoda co do tego, że Tom swego czasu mieszkał pośród nich, ale wpadł w czarną dziurę około 1953 roku. Ktoś przypominał sobie historię o niemieckich jeńcach wojennych, nie był tego jednak pewien.

– Widziałś go? – pytali wszyscy.

– Znalazłaś ciało?

– Na pewno musi gdzieś być.

– Zasuszone zwłoki?

Pru nie miała im za złe tych makabrycznych przypuszczeń. Kto nie widział filmu *Psychoza*? Nie ma różnicy, czy prześladowuje kogoś zmarła matka, czy też zmarły konserwator zieleni. Poza tym pani Spencer uchodziła za lekko obłąkaną – przecież miała skłonność do tego, by biegać po mieście, wykrzykując bluźnierstwa i zagrażając ludzkiemu życiu.

– Jeśli jeszcze raz odezwie się pan do mnie w ten sposób, panie Haverford, będzie pan szukał bomby pod maską swojej cennej furgonetki!

– Nazywam się Harris, nie Haverford. I jestem panią, nie panem.

– Podłożę bombę, staruchu! Uważaj na bomby!

– Nie mówiłam poważnie – zapewniała później pani Spencer w domu przy kuchence. – Niektórzy ludzie lubią polować. A ja uprawiam taki sport.

Po kilku tygodniach Pru mogłaby opowiedzieć kilka tuzinów takich historii.

Czy bała się staruszki? Może trochę. Ale w ciągu miesiąca nie zaznała żadnych urazów, ani fizycznych, ani innej natury. Nawet obelgi jej nie raniły. Największym zagrożeniem w Grange były częściowo spadające sufity i dziury w podłodze.

– Nie martw się, Charlie – mówiła Pru w stronę nocnego nieba. – Broń? Rzekome zwłoki? To nic. Załatwi mnie spróchniałe drewno.

W rezultacie Pru doszła do wniosku, że opowieści o Tomie to tylko złośliwe plotki. A głosy, które słyszała, należały pewnie do nastolatków którzy kręcili się wokół posesji i strzelali w okna z procy kamykami i innymi pociskami. Pru oberwała nawet w głowę rzepą.

Poza tym sama pani Spencer z natury chętnie podsyciała plotki o tym człowieku. Kobieta wiedziała bardzo dobrze, że ludzie potrzebują ponurych opowieści. Wszyscy uwielbiają historie o duchach, więc im taką zafundowała. Prawdopodobnie tego Toma nigdy nie było. Tak



powtarzała sobie Pru. Musiała znaleźć jakieś pocieszenie, żeby móc trochę odpocząć.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

GRUDZIEN 1972 ROKU

– Przyrządę bożonarodzeniowy obiad! – oznajmiła pani Spencer.

– Hm – odpowiedziała Pru odruchowo.

Bożonarodzeniowy obiad. Prawdopodobnie był to tylko kolejny ambitny plan tej kobiety, który nigdy nie zostanie zrealizowany. Podobnie jak winda towarowa i basen w ogrodzie.

– Co pani na to, panno Valentine?

– Bajeczny pomysł – odparła. Rozejrzała się wkoło i wykrzywiła twarz. Psie kupy.

Wszędzie. – Czy naprawdę trzeba go karmić? – zapytała.

Ten konkretny pies był karmiony zakraplaczem trzy razy dziennie, a nie było po temu żadnego innego powodu oprócz tego, że był wyjątkowy, podobnie jak wiele innych stworzeń w tym domu. A przecież nie brakowało im kundli i spanieli z problemami z odżywianiem się, które jednak musiały dbać same o siebie.

– Panno Valentine? Czy pani mnie słucha?

Choć nie słuchała, przytaknęła i wytarła obie dłonie w spodnie. Jej standardy dotyczące ubioru dramatycznie się obniżyły. Chociaż nie miała obok siebie nikogo, kto by to zauważył.

– Więc co pani na to? – naciskała pani Spencer. – Domowy świąteczny obiad?

– Naprawdę? – spytała Pru, kiedy szczeniak skubnął jej rękę i przebił skórę. – Nie żartuje pani?

– Oczywiście, że nie żartuję!

– Wydaje mi się, że sporo przy tym zachodu.

Poza tym istniały trudności natury sanitarnej, bo kuchenka służyła do ogrzewania domu, a w lodówce leżały martwe koty.

– Myśli pani, że nie umiem gotować? – zapytała pani Spencer. – Na tym polega problem?

– Ależ nie – odparła Pru, chociaż właśnie tak pomyślała. – Naprawdę uważam, że poradzi sobie pani z każdym zadaniem, które sobie wyznaczy.

I było to prawdą. Kobieta była stara, krucha, zawsze wracała do odległych miejsc i bardzo dawnych czasów. Lecz pośród osnutych pajęczynami historii o Prouście, Paryżu i wielkich salonach literackich pani Spencer nadal robiła wrażenie. Była silna, być może jak rzadki metal, przystępna tylko dla elity.

– Chodzi o kuchnię – domyśliła się pani Spencer. – Wydaje się pani, że jest w kiepskim stanie.

Pru nie potrafiła się powstrzymać. Wybuchnęła śmiechem.

– Coś panią rozbawiło, panno Valentine?

– Pani Spencer. Mnie się nie wydaje, że kuchnia jest w kiepskim stanie. Ja to wiem.

Działa tu tylko jedno urządzenie, które wykorzystuje pani do ogrzewania sobie stóp.

Poza tym można było tutaj znaleźć tylko jakieś trzy i pół talerza oraz podejrzaną zbieraninę garnków, z których większość była czarna od brudu. Widelców używano do wyczesywania psów i tego ranka właśnie Pru widziała, jak pani Spencer usuwała stwardniały naskórek ze swoich pięt srebrną łopatką.

– Myśli pani, że sobie nie poradzę? – zapytała pani Spencer, wypychając biodro i wydając z siebie pomruk. – W czasie wielkiej wojny byłam w Paryżu. Pierwsze niemieckie bomby spadły na nas w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku, a tydzień później przyrządziłam obiad wielkanocny w swojej kuchni. W czasach racjonowania żywności!

Nie było sposobu na to, żeby słowo „wielkanocna” nie skojarzyło się Pru z „ofensywą”. Święta na zawsze zepsute. Prędzej czy później wszystko kojarzyło się jej z Charliem.

– Problemem był nie tylko ograniczony dostęp do składników spożywczych – ciągnęła pani Spencer. – Kiedy wyszłam na zakupy, jakieś trzydzieści metrów przede mną wylądował pocisk.

– Pani Spencer, proszę.

– Podmuch zarzucił mi spódnicę na głowę! Przed lecącym odłamkiem i pewną śmiercią uratował mnie futrzany szal. Panno Valentine, bardzo pani zbladła. Jest pani nieobecna.

– Nie lubię rozmawiać o wojnach.

Nie zapoznała pani Spencer ze szczegółami rzekomo zerwanych zaręczyn. Co prawda spostonowana Edith została poinformowana o sytuacji, ale kobiety ze sobą nie rozmawiały. W zasadzie Edith mówiła, a pani Spencer nie słuchała. Na razie śmierć Charliego pozostawała faktem, który Pru zachowała dla siebie. Nie wiedziała, w jaki sposób pani Spencer mogłaby wykorzystać tę informację przeciwko niej. Przeczowała jednak, że tak by się stało.

– Nie lubi pani wojen? A co pani o nich wie? Śliczna dziewczyna zamknięta w bezpiecznym domu. Panno Valentine, w mojej obecności... – Pani Spencer zacisnęła szczękę. Agresywnie otarła łzy, które się nawet nie zdążyły pojawić. – Na moich oczach cztery osoby zostały rozbite na atomy. Przez dziesięć dni nieustannie robiło mi się niedobrze na samo wspomnienie tego widoku.

– Rozbite na atomy. – Pru się wzdrygnęła. – Cudownie. Wielkie dzięki za tak szczegółowy opis.

– Ale z pani mięczak! Chodziło mi o to, że w znacznie mniejszej kuchni i przy akompaniamencie bomb wybuchających w okolicy zorganizowałam przyjęcie dla dwunastu osób.

– Jestem pewna, że zaimponowała pani wszystkim swoim talentem – stwierdziła Pru, kiedy pies zeskoczył jej z kolan i zrobił siusiu na leżący w pobliżu dywan. – Nie jesteśmy w Paryżu i nie ma wojny. Przynajmniej tutaj. Możemy wybrać inne rozwiązanie. Poza tym nie znosi pani Bożego Narodzenia. Jak to pani ujęła? To jest...

– Dzień smutnego zarejestrowania zbliżających się zmian, a nie sympatycznego przekomarzania się. To nie ma znaczenia. Zrobię to! Zrobimy to razem!

Staruszka zerwała się na równe nogi, rozrzucając wokół psy i zakraplacze do oczu. Nie odkładając na bok jedzenia i nawet nie zmieniając bielizny nocnej na ubranie, pani Spencer chwyciła kozaki i stary słomkowy kapelusz, po czym pojechała do miasta starym czarnym austinem.

– Czy odważę się skosztować ten obiad? – zastanawiała się Pru, kiedy podnosiła się z podłogi. – Cztery średniej wielkości koty duszone w czerwonym winie. Aua! Cholera! – Prawie przewróciła się przez psa. – Tak... wiele... zwierząt... – powiedziała znużonym głosem i przystanąła przy oknie.

Patrzyła na sad. Oparła obie dłonie na plecach obolałych od ciągłego pochylania się nad psami. Przeciągając się, zauważyła, jak pięknie posiadłość wyglądała o tej porze dnia. Niebo było bezbarwne, światło otulało pokryte szronem pnącza i gałęzie. Nie było śniegu, ale zapowiadano jego opady już niedługo. W takich chwilach w Grange nie było tak źle.

Kiedy Pru odwracała się od okna, dostrzegła coś kątem oka: mignięcie czegoś białego.

Przeszył ją chłód. To była biel męskiej koszuli.

Szukała gorączkowo pary mokasynów. Wsunęła buty na stopy i wybiegła na podwórko, zawinawszy szczelnie płaszcz na nocnej bieliźnie. Najwyraźniej wychodzenie z domu w piżamie stanowiło w Grange wymóg mody. Ciągnie swój do swego, pomyślała z kpiarskim uśmieszkiem.

Nagle znowu mignęło jej coś białego.

– To tylko jakiś chłopak – powiedziała sobie, kiedy serce jej waliło. Ale nawet ona nie uwierzyła w swoje kłamstwo.

Zacznijmy od tego, że ta osoba znajdowała się na terenie posiadłości, po tej stronie muru i zasieku z cierni. Postać była też wyższa i znacznie lepiej ubrana od okolicznych łobuziaków. I to był wyraźnie mężczyzna, dorosły człowiek. I szedł prosto w jej stronę. Jego usta wykrzywiły się w pełnym determinacji grymasie.

## GEORGE &amp; DRAGON

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

Gladys – ze względu na występki matki – po raz pierwszy posmakowała bycia tematem plotek na całym świecie we wrażliwym wieku jedenastu lat. Można by spekulować, że tak wczesne wprowadzenie w kaprysy publicznego życia zdecydowało o tym, jaką się stała kobietą. Teatralną. Szukającą uwagi. Mającą odwieczną paranoję, że jest obserwowana.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

- To był Tom, tak? – zapytała Annie. – To jego Pru zobaczyła w ogrodzie?
- A więc zakładasz, że Tom był naprawdę istniejącą osobą.
- Uważam, że pani Spencer nie była w najmniejszym stopniu taką wariatką, jaką udawała. To była gra.
- Gus się uśmiechnął.
- Śmiała teoria – stwierdził, wstając. – Na tak wczesnym etapie historii. Cóż, panno Annie. Jak zawsze było mi miło.
- Podał jej rękę.
- A dokąd to się wybierasz? Jeszcze nie skończyliśmy!
- Przykro mi, moja zajmująca nowa przyjaciółko. Choć twoje towarzystwo jest frapujące, muszę się udać na umówione spotkanie.
- Spotkanie? Jakie spotkanie? Nie wierzę ci.
- Może cię to zadziwić, ale starsi ludzie też mają obowiązki, i to takie, które nie wiążą się z wymianą bandaży lub worków kolostomijnych.
- Przepraszam, Gus – powiedziała. – Ale wygadujesz jakieś bzdury.
- Zaśmiał się i owinął szyję szalikiem w kratkę.
- Wiem, że wydaje ci się niedorzeczne to, że ktoś inny mógłby chcieć się spotkać z własnej woli z takim pacanem jak ja. Jakie inne ambicje mógłbym mieć oprócz przesiadywania całymi dniami w barze, gdzie się lekko upijam?
- Nie powiedziałam tego...
- Ale to prawda! Większość czasu spędzam w taki właśnie sposób. Lecz raz na jakiś czas, bardzo rzadko, muszę się z kimś spotkać. Myślisz, że mogę dotrzeć z takim wdziękiem do grobowej deski sam? Nie. Są jeszcze lekarze, dentyści, doradcy finansowi.
- Gus ponownie podał jej rękę. Tym razem Annie niechętnie ją przyjęła, ale dopiero po kilku słowach skargi.
- Miło było porozmawiać – powiedział. – Mam nadzieję, że znowu się spotkamy.
- Annie uściśliła mu dłoń, zastanawiając się, jak mogłaby doprowadzić do kolejnego spotkania. Chciała dowiedzieć się więcej o tej historii, czegoś poza tym, co mogła znaleźć na kartkach schowanych do plecaka.
- Mnie również było miło – mruknęła. – Ale zanim wyjdiesz, powiedz mi, kogo Pru widziała w ogrodzie.
- Uznałaś, że to był Tom. I tak to zostawmy. Ta wersja jest pewnie lepsza od

rzeczywistej.

– Ale ja chcę znać prawdziwą historię!

– Powiedz mi, Annie, dlaczego tak bardzo interesujesz się księżną? Albo Pru? To tylko nieznajomi, z których część już nie żyje.

– Powiedziałam ci. Jestem badaczką.

Tak mocno nasiąknęła tym kłamstwem, jakby podawano jej jej dożylnie. Wierzyła w nie każdą cząstką siebie.

– No tak – stwierdził Gus. – Ale czym konkretnie się zajmujesz?

– Eee, literaturą!

– Literaturą – powtórzył z lekkim chrzążnięciem. – Całą literaturą? – Wykonał rękami zamaszysty gest. – Wszystkimi dziełami pisanymi? Wygląda mi to na potwornie szeroki temat.

– Nie, nie. Ha, ha, ha. – Boże, jej wymuszony śmiech zabrzmiał jak ryk osła. –

Literaturą... – pomyślała o Ericu. – Wojenną. O wpływie wojny na kulturę przejawiającym się w prozie.

Annie się uśmiechnęła. Była z siebie nawet zadowolona. Zabrzmiało to przekonująco. Nie wiedziała zbyt wiele o założeniach, ale pewnie zaakceptowałyby taką historię, gdyby ktoś próbował jej ją sprzedać.

– Wojna w prozie? – powtórzył.

– Tak. – Annie pokiwała głową.

– A jak wpisuje się w to *Zaginiona księżna*?

– Jest interesująca, bo napisano ją pod koniec wojny w Wietnamie.

– Napisał ją Brytyjczyk. I opublikowano ją kilka lat po zakończeniu wojny.

– Ale główna bohaterka przeżyła dwie wojny. I była świadkiem tego, jak jej ojciec zastrzelił kochankę jej matki. Miłość to wojna, czyż nie?

– Hm. Ciekawe. Bardzo interesujący temat. Zwłaszcza jeśli uwzględni się historię Pru, której nie przedstawiono w książce, a która przecież jest częścią opowieści.

– Właśnie! Szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Wiesz, zastanawiałem się, czy nie wymyśliłaś tego, że jesteś badaczką. Wydawało mi się, że możesz mieć inny powód dla swojego wścibstwa.

– Ha! – znowu krzyknęła Annie. – Rozumiem, dlaczego mogłeś tak pomyśleć!

Zaśmiała się, bo co więcej mogłaby zrobić?

– W porządku – poddał się. – Powiem ci, kogo Pru spotkała w ogrodzie. Ale nie teraz. Naprawdę muszę już iść. Możesz się ze mną spotkać jutro?

– Tak! Jasne! Oczywiście! Doskonale.

Gus przyjrzał się jej uważnie z uniesionymi brwiami. Pewnie nigdy nie spotkał badacza literatury, który przejawiałby aż tak entuzjastyczne zainteresowanie tematem.

– Spotkajmy się rano – zaproponował. – Czy ósma rano to dla ciebie za wcześnie?

– Na wizytę w barze? – spytała Annie i się rozejrzała. – Owszem.

– Okaż mi trochę zaufania. Odwiedzam też inne miejsca. Jutro zmienimy scenerię. Ósma rano. Przed Grange.

GD: Mój ojciec oczywiście zastrzelił Coco.

WS: Dlaczego mówi pani, że oczywiście?

GD: Ten mężczyzna towarzyszył mojej matce cztery dni po porodzie, gdy najprawdopodobniej urodziła dziecko jego, a nie męża! Coco nie przejmował się gniewem ojca, więc ten musiał urządzić przedstawienie. Zastrzelił Coco przez kanapę.

WS: Przestrzelił mu krocze?<sup>10</sup>

GD: Nie słyszał pan, co powiedziałam?

WS: To jakiś eufemizm?

GD: Żaden eufemizm! Powiedziałabym fiuta, jądra albo jaja, gdybym to chciała powiedzieć.

WS: Przypuszczam, że tak by pani zrobiła.

GD: To było tak. Coco schował się za kanapę. Ojciec strzelił do niego. Trzy razy. Facet zginął. Odbyła się sprawa sądowa.

WS: Głośna na cały świat.

GD: Nie wiem, czy na cały świat, ale Henry James chciał napisać książkę, w której ojciec byłby głównym bohaterem. Po ogłoszeniu wyroku tato spędził jakiś czas w więzieniu. Zwolniono go i w końcu wszyscy zapomnieli o sprawie. Wszyscy z wyjątkiem biednego taty. Zmarł w szpitalu psychiatrycznym, doprowadzony do szaleństwa rozmyślaniami o tym, co zrobił. Jeśli zaś chodzi o mnie, *mais en fin je suis la fille de l'assassin*. Tak, drogi autorze, wygląda moja historia.

*Mais en fin je suis la fille de l'assassin.*

Był to przejaw poczucia humoru Gladys Deacon? Czy też wytłumaczenie jej gburowatego zachowania? Nie sposób było potępić tę kobietę za jej dzikie wybryki i towarzyskie wpadki. Biedactwo. Były jej one pisane.

*Mais en fin je suis la fille de l'assassin.*

W rezultacie jestem córką zabójcy.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

Annie stała w pobliżu bramy. Pot ściekał jej z tyłu ud. Było jej gorąco, ale szorty do biegania i wiatrówka nie wystarczą, jeśli przestanie się ruszać. Na nogach i rękach miała już gęsią skórę wywołaną chłodnym powietrzem.

Podsakując w miejscu, zerknęła na zegarek. Nagle jakiś głos wykrzyknął jej imię. Annie spojrzała w dół Banbury Road i zauważyła Gusa machającego do niej zza zakrętu.

– Tutaj! – zawołał. – Przyszedłem od tyłu!

– To widzę! – odkrzyknęła i podbiegła do niego.

Kiedy znalazła się obok, przytrzymała się drzewa, żeby złapać oddech.

– Cześć – powiedział, uśmiechając się drwiąco.

– Cześć.

– Nie sądziłem, że jesteś przygodną biegaczką.

– Nie jestem. Biegam w zasadzie regularnie.

Tak naprawdę musiała znaleźć powód, żeby wyjść z motelu, kiedy Laurel chciała posiedzieć i napić się herbaty. Czy to nie prawdziwy łut szczęścia? Ten jeden raz, kiedy Annie poczyniła jakieś plany, jej matka miała wolny czas. Laurel była zbyt skołowana, żeby zainteresować się tym nieoczekiwanym zainteresowaniem sportem. Podobnie jak Gus nie sądziła, że jej córka w ogóle biega.

– Dlaczego stoimy tutaj? – zapytała. Czują klucie w boku, co było konsekwencją braku ćwiczeń. Naprawdę powinna chociaż raz odwiedzić centrum sportowe na studiach. – To jakieś tajne wejście?

Gus bez słowa skręcił i poszedł drogą. Annie podreptała posłusznie za nim, jak szczeniak. Adidasy ślizgały się jej na żwirze i kamieniach.

– Z trudem łapiesz oddech – zauważył Gus. – Jak na regularną biegaczkę.

– To przez plecak – powiedziała, wskazując za siebie. – Wzięłam ze sobą coś do jedzenia.

Wodę. Prowiant.

– Prowiant? – Gus odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. – A skąd konkretnie tu przybiegłaś?

– Z Banbury Inn.

– Przecież to niecały kilometr stąd!

– No tak, ale lekko pod górę. – Ustawiła rękę pod znacznie ostrzejszym kątem, niż biegła droga.



– Tak. Pod lekkim kątem. Bardzo lekkim. To tutaj. – Zatrzymał się przy wąskim budynku krytym wapnieniem w kolorze tostu. – Rzekomy były dom Toma – poinformował.

Annie zajrzała przez okna, które miały wybite szyby, podobnie jak okna w głównym domu. Wewnątrz nie było nic z wyjątkiem kolonii pajaków przycupniętych w rogach pomieszczenia.

– No cóż. – Odsunęła się. – Nic tu nie ma.

– Owszem. Tak się dzieje, kiedy nieruchomość zmienia właściciela. Przypuszczam, że w głównym domu też jest pusto.

Było. Prawie. Annie tak bardzo chciała powiedzieć Gusowi, co znalazła. Pragnęła podzielić się z nim informacją o rewolwerze, kartkach manuskryptu i książkach spiętrzonych na zepsutym łóżku. I chciała zapytać, co się stało z resztą.

– Kiedy pani Spencer go sprzedała? – spytała Annie. – Dom.

– Nie sprzedała go – odparł. – Pani Spencer zmarła pod koniec lat siedemdziesiątych. Rodzina wystawiła na aukcję większość należących do niej rzeczy rok później. Zebrali okrągłą sumkę. Pamiętam, że były tam takie caczuszka jak rękopis Chaucera, egzemplarz pism Erazma z tysiąc pięćset dwudziestego szóstego roku i książka ze śmiałymi ilustracjami erotycznymi D.H. Lawrence'a.

– *Kochanek Lady Chatterley*.

– Za rysunki dostali więcej niż za Chaucera. Szkoda, bo chciałem je zdobyć, ale zabrakło mi odpowiednich funduszy.

– Ty stary perwersie – rzuciła Annie i przewróciła oczami. – A kto kupił dom?

– Budynkiem zarządza fundusz powierniczy. Przynajmniej według oficjalnych danych. Jak widzisz, nikt nic z nim nie zrobił.

– Rodzina go nie chciała?

– Przypuszczam, że nie. Większość była obecna na aukcji, żeby obejrzeć dom i zapoznać się z jego zawartością. Pani Spencer miała sporo siostrzeńców i siostrzenic.

– Na przykład Edith?

– To była jej siostrzenica, ale Edith zmarła przed panią Spencer. Sama Edith miała trzy córki – powiedział Gus. – Wszystkie piekielnie bogate. Pewnie wolały pieniądze od starej posiadłości.

Annie przytaknęła, po czym zadrżała. Zaczęła tajać i dopadł ją chłód.

– Intruz – rzuciła i wskazała w stronę stodoły. – To był Tom? Uciekł ze swojej celi? Z rękami wyciągniętymi przed siebie jak zombi? Podzwaniając łańcuchami?

– Niezupełnie. Lecz intruz dostał się na teren właśnie od strony stodoły. – Gus potrząsnął kławką. – Widzisz, ktoś nie zamknął drzwi. W rezultacie ziomek Pru nacisnął na kławkę i wszedł do środka.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

GRUDZIEŃ 1972 ROKU

– Co tu robisz? – zawołała Pru, przedzierając się przez zimowy ogród. – Hej! Hej, ty! Widzę cię!

Postać zniknęła.

– Możesz się pokazać! Wracaj!

Lecz mężczyzna zniknął. Jak duch.

Pru zatrzymała się przed stawem dla gęsi, którego tafla zaczęła zamarzać. Dokąd poszedł? Za drzewo? Do stodoły? Jak się dostał na teren posiadłości? Miejscowi chuligani usiłowali to zrobić od lat, ale bez skutku.

– Halo! – zawołała łagodnie.

Zerknęła na stopy i zniszczone liche pantofle. Miała gołe nogi upstrzone śladami pogryzień przez pchły. Wyżej zobaczyła niechlujną szarą nocną koszulę, którą po raz ostatni prano na innym kontynencie. Popatrzyła przez sad w stronę starego domu. Przez to miejsce zaczęła popadać w obłąd.

Odwróciła się, żeby odejść.

Wtem: kolejny szelest. Głośniejszy. Ciężkie kroki.

– Wiem, że tu jesteś! – krzyknęła. Może jednak nie zwariowała. A przynajmniej nie w ten konkretny sposób. – Jesteśmy uzbrojone! – Ruszyła w stronę źródła hałasu, potykając się o gałęzie i kamienie. – Nie żartuję – oznajmiła. Po czym mruknęła pod nosem: – O czym świadczy powaga mojego stroju.

Okazało się, że to były właściwe słowa. Niedoszły złodziejasek nie potrafił się im oprzeć. Wyszedł na światło słoneczne.

– Z pani strojem wszystko jest w porządku. Przede wszystkim liczy się wygoda. Zawsze to powtarzam. Nazywam się Seton. – Wyciągnął do niej rękę.

Pru odskoczyła i zsunęła się w stronę stawu. Chwyciła gałąź, żeby nie wpaść do wody i nie umrzeć z wychłodzenia. Staw był częściowo zamarznięty i co gorsza, zanieczyszczony odchodami gęsi.

– Potrzebuje pani pomocy?

– Jak się pan tu dostał? – zapytała Pru, posapując, gdy wciągała się z powrotem w bezpieczne miejsce.

– Siatka ogrodzeniowa nigdy nie była dla mnie przeszkodą – powiedział mężczyzna.

– Przeciął ją pan?

– Jasne.

Prawda była taka, że wszedł przez osławioną stodołę Toma. Dziewczyna wydawała się sympatyczna, ale mężczyzna coś widział w budynku. Może nawet coś wielkiego. Wołał więc zachować tę informację dla siebie. Na razie.

– Mam doświadczenie z siatką – dodał. – Mama ogradzała nią moje łóżeczko, żeby w nim siedział.

– Poważnie? – Pru otworzyła szeroko oczy.

– Nie. – Mężczyzna się zaśmiał. – Przynajmniej nie przypominam sobie czegoś takiego. Ale pasowałoby to do niej. W każdym razie, jak już mówiłem, nazywam się Seton. Win Seton. – Jeszcze raz wyciągnął do niej rękę, a Pru przyglądała się jego twarzy.

Ten cały Win Seton był dość młody, chociaż zdecydowanie starszy od Pru. Wysoki, miał zaskakująco krótko ostrzyżone, gęste blond włosy. Pru przywykła do lwich grzyw w Berkeley. Nawet Charlie nosił włosy do ramion, zanim ściął je dla armii.

O rety, pomyślała. Ten człowiek na pewno jest staromodny. I stary.

Miał trzydzieści cztery lata. Jej przypuszczenia były słuszne.

– Młoda dama zaczyna mięknąć. Widzę to. Co za ulga, że nie zostanę zastrzelony.

– Nie mięknię! – odparła. – Nadal nie wytłumaczył pan swojego najścia!

– Przepraszam. Przestraszyła mnie pani.

– Ja pana?

– Myślałem, że posiadłość jest pusta – oznajmił. – Widziałem, jak starsza pani domu pojechała do miasta czarnym samochodem. Czy ona ma prawo jazdy?

– Ciągle nim jeździ. – Pru pociągnęła nosem.

– Jestem pewien, że widziałem, jak wjechała w grupkę dzieciaków ze szkoły. I śmiała się przy tym. Dzieciaki nie. Nie przedstawiła mi się pani.

– Wdziera się pan na mój teren i chce, żebym się przedstawiła?

– Ten teren należy do pani? – zapytał i zmrużył oczy.

– No, niezupełnie. Ale mieszkam tutaj. Czy wspomniałam już, że wdarł się pan na teren prywatny?

– Zdaje się, że tak.

Uśmiechnął się szeroko. Miał zmarszczki w kącikach oczu. Win był atrakcyjny, ale w taki nonszalancki sposób, jakby nigdy nie musiał na nic ciężko pracować. Jakby był przez całe życie rozpieszczany, co ogólnie było zgodne z prawdą.

– Przyznaję się. Wdarłem się na teren prywatny. Ale jestem też pisarzem, a to znaczy, że zagrażam wyłącznie sobie.

– W porządku, Seton. Panie Seton. Skoro jest pan pisarzem, to dlaczego ubrał się pan tak, jakby wybierał się na safari? – Wskazała na jego białą koszulę i spodnie khaki. – Pani domu, jak ją pan nazwał – ciągnęła – nienawidzi strzelania do zwierząt dla sportu. Zanim zaczęło się polowanie, zwykła wymykać się z domu o świcie, żeby wypłoszyć zwierzęta z zarośli i drzew. Więc jeśli myśli pan, że są tu kaczki lub lisy albo inna zwierzyna nadająca się do ustrzelenia, radzę się dobrze zastanowić. Poza tym jest zimno. W takim stroju zafunduje pan sobie zapalenie płuc.

Win znowu się zaśmiał.

– Jakie to urocze, że przejmuje się pani moim zdrowiem – stwierdził. – I wiem o tym, że ta dama jest przeciwniczką polowań. Wykorzystywała swoje niezliczone stado spanieli w celu płoszenia zwierzyny, prawda?

– Skąd pan to wie?

– Krąży o niej milion opowieści – zauważył Win. – Kilka z nich może być nawet prawdą. I właśnie jej zamiłowanie do niestworzonych historii jest powodem, dla którego stoję przed panią.

– Słucham?

– Jak już wspomniałem, jestem pisarzem. I przyjechałem napisać biografię kobiety, która tu mieszka.

– Biografię pani Spencer? – upewniła się Pru, lekko zdumiona. – Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy ten pomysł się jej spodoba.

- Przecież jesteśmy kumplami.
- Niezupełnie...
- Darujmy sobie tę panią Spencer. Nazywajmy ją zgodnie z prawdą. To jest Gladys Deacon. Księżna wdowa. Lady Marlborough.
- Twierdzi, że nie jest księżną.
- O tak. – Win uśmiechnął się znacząco. – Nie wątpię. Będzie pani uprzejma wpuścić mnie do domu? Poczekamy na powrót pani Spencer. Nie będzie zszokowana moim widokiem.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

GRUDZIEŃ 1972 ROKU

– Czy ma pani w zwyczaju wpuszczać obcych mężczyzn do domu?

Pani Spencer zaciągnęła ich do salonu. Przycisnęła Win i Pru do kredensu za pomocą fotela i czegoś, co wyglądało jak włócznia.

– Pani Spencer, proszę się uspokoić – poprosiła Pru.

– Panie Wszechmogący! Amerykanie! Nic dziwnego, że ciągle pakujecie się w jakieś bezsensowne wojny!

– Myślałam, że się pani go spodziewa.

Pru czuła obecność mężczyzny obok siebie. Przesunęła się kilka kroków w prawo.

– Pan Seton powiedział, że pani wie o jego przybyciu – poinformowała.

– A mimo to zakradł się na teren podczas mojej nieobecności. Czy tak zrobiłby ktoś, kogo bym oczekiwała? Niech pani ruszy głową!

Kobieta miała rację.

– Ale powiedział... – spróbowała Pru.

Poczuła, że coś ją łaskocze koło ucha. Odwróciła się i zobaczyła kota wyglądającego zza książki. Conrad. *Pojedynek*.

– Guzik mnie obchodzi, co powiedział! – zapiszczała pani Spencer. Cisnęła krzesłem o ścianę. – Chryste Panie! Czy pani wie o nim cokolwiek?

– No, niezupełnie...

– Jest pewnie jakimś naciągaczem wzbudzającym zaufanie, poszukiwanym w całym Zjednoczonym Królestwie. Ale to pani nie obchodzi.

– Obchodzi, pani Spencer. Jak najbardziej.

– Nie wątpię, że z miejsca panią oczarował tym swoim dobrym wyglądem. Pewnie myślała pani o zaręczynach numer dwa. Urządzą przyjęcie w Grange.

– Zaręczyny? Przecież on jest stary jak świat! – broniła się Pru. A potem zwróciła się do Wina: – Przepraszam, ale...

– Nie musi pani przepraszać. – Podniósł obie ręce. – Nic nie zmieni prawdy i tak dalej. Jestem stary jak świat. Lady Marlborough...

– PANI SPENCER!

– Zacznę od tego, że to jest wspaniały pokój. Ma pani niezrównaną kolekcję książek i dzieł sztuki.

– Które pan zapewne zamierza ukraść.

– Nie! W żadnym razie! Ale gdzie jest reszta?

– Reszta czego?

– Niech pani nie udaje.

– Pierdol się pan!

– Pani Spencer! – krzyknęła Pru.

Win wydał jakiś dźwięk. To był śmiech. Albo się zakrztusił. Pru nie potrafiła stwierdzić.

– Nie mam złych zamiarów – zapewniał Win. – Wręcz przeciwnie. Widzi pani, jestem

pisarzem.

– Pisarzem? – prychnęła pani Spencer. – Wątpliwego pochodzenia. Co pan napisał?

Win się zarumienił. To było trudne pytanie dla tego człowieka, który miał już swoje lata – był grubo po trzydziestce – i nie mógł się niczym pochwalić. Przez dziesięć lat zaliczał się do nic niewartych pisarzyków. Jego brak powodzenia był mocno eksploatowanym tematem w rodzinie ludzi sukcesu.

Owszem, cechowały go pewność siebie i charyzma, nosił się na modłę myśliwych i dużo się śmiał, ale w głębi duszy był karygodnie niepewny, jak większość nieudaczników i (lub) pisarzy.

– Słucham, pisarzu? Niech pan mówi. Jakież to magiczne dzieła pan poczynił?

– Eee... Jeszcze nic nie wydałem – wydukał w końcu.

Pru przez moment zrobiło się go żal. Win Seton był nieudacznikiem, uznała. Niemającym celu, smutnym i zdesperowanym, jak chłopiec, któremu upadły właśnie jedyne lody, jakie kiedykolwiek miał. Poczwała chęć, by go przytulić.

– Niczego pan nie opublikował – powtórzyła pani Spencer z kolejnym prychnięciem. – To o czymś świadczy.

– Zamierzam to zmienić, pisząc pani biografię.

– Moją biografię? A kogo obchodzi jakaś tam staruszka mieszkająca na wsi? A może nie zależy panu na tym, by ktokolwiek przeczytał jego dzieło? W tej dziedzinie radzi pan sobie śpiewając bez mojej pomocy.

– Lady Marlborough...

– Pani Spencer!

– Ludzie nadal bardzo się panią interesują – powiedział. – Wciąż wypowiadają szeptem pani nazwisko na przyjęciach i kolacjach.

– Bzdura!

– Musi pani rozumieć, że cieszy się statusem legendy w Anglii. W Europie. Z tego, co wiem, także w Ameryce. – Spojrzał na Pru, która wzruszyła ramionami.

– Głupi chłopaku. Poza murami tej posiadłości nie ma nikogo, kto by się mną przejmował! – oznajmiła pani Spencer.

– Przez wiele lat odwiedzałem Blenheim latem – poinformował Win i odchrząknął. Czekał na reakcję.

Biedaczysko, pomyślała Pru. Koleś z każdą minutą radził sobie coraz gorzej.

– W Blenheim – powtórzył. – Mówiono tam o pani bez końca, przez dziesięciolecia od pani zniknięcia. Urodzili się nowi ludzie. Starzy zmarli. Zawierano małżeństwa i anulowano je. Koło życia się toczyło. I przez cały ten czas mówiono o pani.

– Nie znam tego Blenheim.

– To pani rodzinna siedziba. Proszę nie mówić, że pani zapomniała. Czy ona... – Odwrócił się do Pru i zatoczył palcem kółko na wysokości skroni. – Ma wszystkie klepki?

– Słyszę cię, Seton.

– Według mnie tak – odparła Pru, uśmiechając się półgębkiem.

– W porządku. – Win zaśmiał się nerwowo. – Na pewno nie zapomniała pani Blenheim, pani Spencer.

– Kiedy pan wymawia tę nazwę, coś mi się kojarzy. Czy to nie tam mieszkała Coon? Ze swoim pierwszym mężem?

– Jeżeli ta Coon to pani dawna przyjaciółka Consuelo Vanderbilt, poprzedzająca panią księżną Marlborough, to tak.

– Nie jestem księżną!

Blenheim.

Pru bezgłośnie powtórzyła nazwę. Blenheim. Patrzyła to na Setona, to na panią Spencer. Przypomniała sobie. Nazwa połyskiwała i wydawała się znajoma, jak amerykański pens leżący na zagranicznej ulicy. Wyglądało na to, że wiadomości zdobyte na uniwersytecie nie ulotniły się z jej głowy, mimo że wyglądała niechlujnie i miała nogi pogryzione przez pchły.

– Spędzał pan wakacje w Blenheim? – spytała Wina. – Czy to nie tam urodził się Churchill?

– Owszem – powiedział. – Właśnie tam.

– Rany. Znowu się zaczyna. – Pani Spencer przewróciła oczami. – Stary drań Churchill. Nie był wielkim człowiekiem. Ani trochę. Anglicy lubią tworzyć sobie bohaterów, żeby móc ich potem czcić.

– Wydaje mi się, że cały świat go szanuje – zauważyła Pru. – Nie może pani przypisywać tego wyłącznie Brytyjczykom.

– Ma talent do robienia szumu. Niektórzy ludzie kroczą przez życie, waląc w cymbały. On się do nich zaliczał.

– Doprawdy, lady Marl... Pani Spencer – powiedział Win z chichotem. – Skoro przyjaźniła się pani z sir Churchillem, na pewno wiele może pani opowiedzieć, czy jest pani księżną wdową, czy też nie. Szczerze mówiąc, zamierzam napisać pani biografię za wszelką cenę. Więc może pani ze mną porozmawiać.

– Pogubiłam się. Zamierza pan napisać biografię księżnej Marlborough czy moją? – zapytała pani Spencer, uniósłszy jedną brew.

– To zależy od pani.

– Hm... – Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Proust! – zaświergotała Pru. – Przyjaźniła się z Proustem!

Pani Spencer posłała jej spojrzenie.

– No co? Przecież opowiadała mi pani o swoim przyjacielu Marcelu podczas mojej pierwszej nocy tutaj. Nie wspominała pani, że to tajemnica.

– Jeszcze lepiej – stwierdził Win. – Proust, Churchill. Jeszcze ktoś?

– Thomas Hardy – odpowiedziała Pru. Czują na sobie świdrujący wzrok pani Spencer. – Edith Wharton. J.M. Barrie. D.H. Lawrence. H.G. Wells. E.M. Forster. Sami najlepsi.

– Panno Valentine! Doprawdy! Nie umie pani przestać?

– Pani Spencer – zwrócił się do niej Win z szerokim uśmiechem.

Był zauroczony Pru. Problem w tym, że nie potrafił wywołać u niej tego samego. Nie miał tego w genach. Mógł mieć tylko nadzieję, że nie zniechęci jej do siebie.

– Ma pani bajeczną historię – zauważył. – Jest pani tak intrygująca i urocza, że dobrzy ludzie z Banbury uważają panią za Gladys Deacon. Jak pani na pewno wie, uchodziła ona za najinteligentniejszą i najpiękniejszą kobietę, jaka kiedykolwiek żyła.

– Na pewno nie była aż tak wyjątkowa.

– Owszem, była! Miała wspaniałe złote włosy. Zdumiewająco błękitne oczy. I wyborny styl! Jaskrawe kolory... futra, pióra, paciorki.

Pani Spencer prychnęła, ale potem – czy to możliwe? – zarumieniała się. Czy Win Seton tak szybko ją rozpracował? Jasne było, że ją urabiał. Nawet Pru była pod wrażeniem.

– Pióra i paciorki? – powtórzyła pani Spencer. – To brzmi dość banalnie. Jakby była jakimś pawiem.

– Olśniewającym pawiem.

– Powiadano również, że księżna była wariatką – zauważyła. – Czy rozmówcy wykorzystani przez pana w Blenheim też panu o tym powiedzieli? Rodzina księcia uważała, że

księżna Marlborough była stuknięta.

– Tylko dlatego, że zniknęła – stwierdził Win. – Blisko czterdzieści lat temu. Bez wyraźnego powodu.

– Jej mąż zmarł. Zostawił ją samą w więzieniu. Z ludźmi, którzy jej nienawidzili. Według pana to nie jest wystarczający powód?

– W więzieniu? Chyba nie mówi pani o Blenheim?

– Oczywiście, że mówię o Blenheim! To monolityczna bestia udająca dom.

– Lady... Pani Spencer. Byłem w Blenheim setki razy. To olśniewający budynek. Księżna z pewnością byłaby zadowolona z życia na tym zadbanym terenie, pośród ustawionych w ogrodzie posągów wykonanych na jej podobieństwo, jej błękitnych oczu spoglądających ze sklepień portyków.

– Czym jest odrobina farby i trochę gipsu? – narzekała pani Spencer.

– Nawet jeśli księżna nie była zadowolona z pałacu, mogła przecież udać się do domu w Londynie lub prywatnego pied-à-terre w Paryżu. Dlaczego kobieta o jej pozycji zniknęła?

– Musiałby pan ją o to zapytać.

– Pani Spencer, proszę. Niech mi pani pozwoli o sobie napisać. Przelać historię pani życia na strony książki. Będziemy się przy tym we dwoje świetnie bawili. – Zerknął na Pru. – We troje.

– Nie jestem pewna – powiedziała pani Spencer i zaczęła chodzić po pokoju. – Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

– Ma pani do opowiedzenia fascynujące historie – przyłączyła się Pru. – O niemieckich jeńcach wojennych, którzy przycinali pani jabłonie. O latach spędzonych w Paryżu. I wszystkich tych zerwanych zaręczynach.

Na te słowa pani Spencer wychyliła się do przodu i próbowała pacnąć Pru gazetą w głowę.

– Temat zerwanych zaręczyn bardzo by cię zainteresował – chrząknęła pani Spencer, kiedy Pru zrobiła unik. – Autorze, jeśli się zgodzę, przypuszczam że wejdzie pan w rolę natręta i urządzi sobie warsztat tutaj.

– Proszę mi mówić Win. I owszem, taki miałem pomysł. Chciałem zatrzymać się w rezydencji. Pozwoliłoby mi to jeszcze bardziej zbliżyć się do tematu.

– Domyślam się też, że nie ma pan grosza przy duszy.

– Proszę pomyśleć o sobie jak o mecenasie sztuki – odparł Win.

– Mój Boże, to znaczy, że uważa się pan za dzieło sztuki. Sama nie wiem. – Pani Spencer westchnęła. – Co pani na to, panno Valentine?

– Słucham? – spytała Pru. Nie spodziewała się, że będzie proszona o zdanie. – Ja?

– Oczywiście, że pani! Wielkie nieba, a podobno to ja jestem stuknięta. Co pani o tym myśli, panno Valentine?

To było pytanie, prawda?

Co Pru sądziła o tym obcym mężczyźnie? Całkiem przystojnym pisarzu, który pojawił się tu znikąd w wyprasowanym ubraniu? Ubraniu, które, trzeba to zauważyć, już zbrukały psie kłaki i ślina.

– Chyba mógłby zostać? – podsunęła powściągliwie.

Nie wydawał się groźny. Oczywiście to, że ktoś nie był niebezpieczny, nie znaczyło, że nie był kłopotliwy.

Z drugiej strony miło by było mieć kolejną (ludzką) duszę w domu. Kogoś, kto mógłby jej bronić przed widmem Toma i co ważniejsze, pomagać jej sprzątać po tych przeklętych psach.

– Co pan myśli o spanielach? – spytała Pru.

– Wspaniałe stworzenia. Najlepsze.



Pru popatrzyła na panią Spencer.

– Niech się pani zgodzi na okres próbny – podsunęła. – Zobaczymy, jak to będzie wyglądało.

Pani Spencer usiłowała ściągnąć brwi, ale zaczęła się łamać.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Pozwolę, żeby ten marny pisarczyk zamieszkał z nami i spisał moje wspomnienia. Co za marnotrawstwo papieru.

– Wspaniale! – wykrzyknął Win i klasnął w dłonie. – Kto mi pomoże z bagażem? Stoi na ulicy.

– Zanim zacznie pan wciągać tu swoje klamoty, chcę jasno zaznaczyć jedną rzecz, panie Seton.

– Proszę mi mówić Win.

– Nie będę się tak do pana zwracała. Po pierwsze, jest to niegrzeczne. Po drugie, kojarzy mi się z Winstonem Churchillem, a przecież nie chciałby pan tego. Panie Seton, ta książka będzie moja, nie pańska. Do mnie będzie należała ostateczna decyzja, co się w niej znajdzie.

Zrozumiano?

– Planowałem to od samego początku – stwierdził.

– Chcę też mieć swój udział. W zyskach.

– Udział? – zdumiał się Win. – To nie jest zwyczajowo praktykowane w wypadku biografii.

– Nie obchodzą mnie zwyczaje! – odparła pani Spencer. – Interesuje mnie to, co mnie uszczęśliwia. Wybór należy do pana. Poświęcę panu swój czas, co mi pan wynagrodzi zgodnie z moim życzeniem.

Win udawał, że zastanawia się nad tą propozycją, chociaż wszyscy w pokoju wiedzieli, że zgodzi się na warunki. Przecież nie chodziło mu o pieniądze. Zależało mu na napisaniu książki. Poza tym na razie nic nie zarobił na tym przedsięwzięciu. Pani Spencer mogła dostać połowę z zera.

– W porządku, pani Spencer – odezwał się. – Przyjmuję pani propozycję.

Szczerze powiedziawszy, nie miał innego wyboru. Jaka jest cena marzenia? Win Seton był gotów zrezygnować z połowy zarobku dla ostatniej szansy udowodnienia swojej wartości.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

Ojca Gladys aresztowano za zabójstwo. Abstrahując od „paryskiego flirtu”, nie można po prostu kogoś zastrzelić i spodziewać się, że nie poniesie się tego konsekwencji.

Chyba że sprawa dotyczyła zdrady małżeńskiej. W tamtych czasach zabójstwo uchodziło za akceptowalną reakcję na zdradę żony. Gdyby Edward Deacon zeznał, że Florence miała przygodę miłosną z nieżyjącym już Coco, to ona trafiłaby do więzienia. Ale pan Deacon jej nie wydał. Był szlachetny czy głupi? Niewątpliwie jest to kwestia dyskusyjna.

Pani Deacon miała poczucie winy. Zaraz po skazaniu męża odwołała spotkanie z księciem de Sagan. Nie zamierzała znosić obecności na oficjalnym obiedzie niecałą dobę po tym, jak jej męża osadzono w więzieniu. Może i go nie kochała, ale Florence Deacon miała coś na podobieństwo serca.

Prasa jednak nie odniosła się łaskawie do tej towarzyskiej gafy. Sławny dandys hrabia Robert de Montesquiou napisał wiersz poświęcony temu wydarzeniu, kończący się pytaniem: „Czy tragedia uniemożliwia uprzejmość?”.

Najwyraźniej nie. Florence nigdy więcej nie popełniła takiego błędu.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

– Podoba mi się ten cały Win – stwierdziła Annie. – Cieszę się, że Pru miała dość rozsądku, żeby postulować jego pozostanie.

– Ha! – Gus zareagował na to lekkim warknięciem. – Możesz dołączyć do bardzo skromnego grona osób, które podzielały to zdanie. Co konkretnie ci się w nim spodobało?

– Nie wiem. Wydaje się zabawny, sympatyczny.

– No właśnie. Taki się wydaje, prawda?

– Ciężki z ciebie rozmówca – zauważyła Annie. – Zatem ten marginalnie sympatyczny Win Seton napisał książkę zatytułowaną *Zaginiona księżna*. W twojej wersji pisze książkę o pani Spencer. *E voilà!* Oto rozwiązanie twojej nie-do-końca-zagadki. Pani Spencer była księżną Marlborough. Księżna to ona.

– Do rozwiązania zagadki jeszcze daleko. Moja droga, jesteś prześliczna, umysł masz jak brzytwa, ale odnoszę wrażenie, że słuchasz mnie tylko jednym uchem. Win oświadczył, że napisze książkę bez względu na to, czy ta kobieta mu pomoże, czy też nie. Był człowiekiem, który jeśli pani Spencer zaczęłaby stwarzać jakiegokolwiek problemy, napisałby cokolwiek, co by mu się żywnie spodobało, żeby tylko zapłacić stronę. A pani Spencer ciągle stwarzała problemy.

Gus ruszył ulicą. Zaczął oddalać się od Grange. Dał Annie znak, żeby poszła za nim.

– Czekał – zawołała za nim. – Może powinniśmy spróbować...

– Wejść do środka? – zapytał, kończąc zdanie za nią. Posłał jej przez ramię uśmiech. – Jesteś uparta. I okrutna. Biedny staruszek stoi jedną nogą w grobie, a ty chcesz go pakować do więzienia?

– Daleko ci do grobu.

Annie podbiegła, żeby go dogonić.

– Przykro mi, *mademoiselle*, nie będę się wdzierał na teren prywatny – oznajmił Gus. – Odprowadzę cię do hotelu. Banbury Inn? Nicola Teepers? Rety. Niezła z niej gaduła, co?

– Nawet nie masz pojęcia jaka.

Kiedy Annie wreszcie szła równo z Gusem, objęła się rękami. Dzwoniły jej zęby. Czowała zbliżającą się zimą.

– Proszę. – Gus rozwiązał swój szalik i jej podał. – Możesz go pożyczyć. Coś ty sobie wyobrażała, wybierając się tutaj w skąpych spodenkach? Jest zimno jak diabli.

– Biegałam.

– Nic z tych rzeczy. Raczej ciągnęłaś się noga za nogą.

– Hej! – rzuciła i zaśmiała się, owinąwszy szyję szalikiem.

Powietrze było wilgotne i chłodne. Słońce świeciło im nad głowami, ale poranna mgła utrzymywała się u podnóża wzgórz. Zimno w Anglii było o wiele bardziej przejmujące, takie mokre i ostateczne. Rzeczywiście, co też sobie wyobrażała.

– Przykro mi, że nie chciałeś zajrzeć do środka – stwierdziła Annie i zastanawiała się, czy powiedzieć mu, jakie to było łatwe.

– Kusząca propozycja, ale muszę zmykać. Ten stary dziwak nie jest dość żwawy dla takich sikerek. Będiesz musiała znaleźć sobie kogoś młodszego, jeśli szukasz współnika.

– Może mogłabym zwerbować kogoś z chuliganów z Banbury. Kogoś z tych, którzy nękali panią Spencer.

– Teraz są lekarzami, nauczycielami i prawnikami w tym wspaniałym mieście.

– Jaka szkoda. Aczkolwiek tak to już jest w życiu. Ludzie dorastają. Dojrzewają. – Udawała, że zerka na nieistniejący zegarek. – Muszę zmykać. Mama na pewno na mnie czeka.

– Bardzo się starałem, żeby nie dojrzeć – wypalił Gus.

– Czekaj. – Annie odwróciła się w jego stronę. – Byłeś jednym z nich? Łotrzykiem, który wyrósł na dostojnika?

– Boże uchowaj! Twoim zdaniem wyglądam na dostojnika? Co za obelga. – Puścił do niej oko. – Wzdragam się na samą myśl.

Pokonali jeszcze kilka kroków w milczeniu. Słysząc tylko ich kroki i dobiegający z oddali szum samochodów.

– Jak ci się zdaje, kto zarządza teraz tym terenem? – zapytała Annie. – Funduszem zawiadującym posiadłością Grange. Chyba nie któryś z byłych chuliganów?

– W świetle moich ostatnich informacji posiadłość jest w rękach deweloperów, jak wszystkie porządne grunty w Oxfordshire. Niewątpliwie niebawem podzielą ją na mikroskopijne działki.

– Słyszałam, że ceny nieźle tu podskoczyły – zauważyła Annie i pomyślała o matce.

– Na nieszczęście. Banbury zaczęło się robić modne wśród londyńczyków. Wszędzie wokół roi się od agentów nieruchomości. Na sprzedaż wystawiane są domy należące do rodzin od wieków. Wszyscy coś sprzedają, za odpowiednią cenę.

Annie pomyślała o ziemi Laurel – jej matka była jedną z wielu osób wykorzystujących koniunkturę. Z jednej strony była kwestia dobrej emerytury, a z drugiej – zbrukanej uroczej wsi. Annie nie wspomni o tym Gusowi.

– Tak działa gospodarka – powiedziała. Czowała się przygnębiona. – Dlatego zawsze wolałam książki. Ze szkodą dla stanu mojego rachunku bankowego i długoterminowej perspektywy na rynku pracy, rzecz jasna.

– Powiem ci tylko, że ten świat będzie wyglądał o wiele lepiej z tobą taką, jaka jesteś. Pragmatyzm jest przeceniany.

– Ktoś powinien to powiedzieć mojej mamie.

Jeszcze kilka kroków i zatrzymali się przed wejściem do hotelu. Annie zerknęła w stronę okna swojego pokoju, ale nie potrafiła powiedzieć, czy ktoś w nim był.

– Jesteś tu sama? – spytał Gus. – Czy w towarzystwie? Nie przypominam sobie, żebyś coś na ten temat wspominała.

– Och – westchnęła. – Większość czasu spędzam sama.

Ta rozmowa nie podobałaby się Ericowi. Ani trochę, zważywszy na fakt, że według niego hrabia Winton był albo zbrojnym, albo porywaczem. Albo jednym i drugim.

Czasami Annie zastanawiała się, czy powiedziała Ericowi o Gusie celowo, żeby go zdenerwować. Obiecała mu, że zostanie jego żoną, ale zaczęła podzielać obiekcje swojej matki. Boże, jak ona kochała tego dużego chłopaka z Południa. Ale też, Boże, jaka była głupia, decydując się na zamążpójście w tak młodym wieku.

– Sama? – powtórzył Gus ze zmarszczonymi brwiami.

Zaczęła przytakiwać, słysząc w myślach głos Erica („Powiedziałas mu, że jesteś sama?”). Dziwnie by się czuła, mówiąc, że przyjechała tu z mamą, jakby Gus mógł ją skreślić jako nudną uczennicę niewartą jego czasu.

– Nie jestem zupełnie sama – szybko wyjaśniła. – Spotykam się przy okazji z członkami rodziny. Ale najczęściej jestem sama.

Nie było to takie dalekie prawdy.

– A czy ktoś się ciebie niebawem spodziewa? – zapytał Gus. – Po południu mam spotkanie, ale mogę znaleźć czas na kolejną opowieść o tym mizantropie, który tak ci się spodobał.

– Nie wydaje mi się mizantropem – zauważyła Annie. – Zważywszy na to, jak się wdarł na teren posiadłości i jak się wprosił do domu kobiet, których nie znał.

– Ze względu na tak zwaną księżną pragnął stwarzać pozory, że posiadał podstawy dobrego wychowania. Ale nie daj się zwieść. Seton pojawił się w Banbury wyłącznie ze względu na książkę i zamierzał zostać w Grange tak długo, aż wycisnie z pani Spencer informacje do ostatniej kropli i napisze wreszcie tę historię, o której myślał od tak dawna. Problem w tym, że Win Seton miał taką cholerną pewność, że pani Spencer to Gladys Deacon, że zapomniał o dwóch podstawowych sprawach związanych z księżną. Otóż ta kobieta żyła półprawdą i jaśniejącym blaskiem. I co najważniejsze, dawno zaginiona księżna Marlborough nigdy, przenigdy nie stosowała się do reguł.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

GRUDZIEŃ 1972 ROKU

W pierwszej chwili Pru myślała, że pisarz nie miał prawa opuszczać swojego pokoju.

W przeciwnym razie po co siedziałby tam dzień w dzień i walił jak wściekły w klawiaturę maszyny do pisania, z obłędem w oczach? Win Seton prawie nic nie jadł, nie pił i marniał z godziny na godzinę.

– Pani Spencer, musi go pani wypuścić – błagała Pru po blisko tygodniu znoszenia ciężkiej jej obecności. – Nie może go pani w ten sposób traktować. Przecież są święta! Proszę okazać mu trochę współczucia.

– O kim pani mówi? – zapytała pani Spencer z uważnie przećwiczoną udawaną naiwnością. – Poza tym święta mamy już za sobą. Okres dawania jest *finit*.

– Wie pani bardzo dobrze, o kim mówię. Zamknęła pani biednego pisarza w jego pokoju. Zapomnijmy o okresie dawania. Wymaga tego zwykła ludzka przyzwoitość.

– Panno Valentine, to jakaś nedorzecznosc. Czy widziała pani jakieś łańcuchy? Albo zamki przy drzwiach?

– Nie. Ale...

– Widziałam, jak tam pani wchodziła – zauważyła pani Spencer z kpiącym uśmiechem.

– Proponuje mu pani jedzenie, towarzystwo i Bóg wie co jeszcze. Na pewno zauważyłaby pani oznaki świadczące o tym, że zacieśniają się więzi między wami. A może chce je pani znaleźć?

– Ależ nie!

– Przyszło pani kiedyś do głowy, że on rozkoszuje się tą sytuacją? Może woli odosobnienie. Ten człowiek jest pisarzem.

– Tak, ale...

– Przyjechał tu, by pisać, a nie towarzyszyć ślicznej, choć trochę chimerycznej młodej dziewczynie. Choć może się to pani wydawać szokujące.

Owszem, miał pisać, ale Win Seton nie poczynił najmniejszych postępów w tej dziedzinie. Jasne, ciągle stukanie w klawisze było super, ale z pewnością nie miało związku z biografią. Pani Spencer nie dostarczyła temu człowiekowi żadnych materiałów do pracy. Pru była obecna przy każdej pogawędce, więc wiedziała, że tak jest. Każdy wieczór wyglądał tak samo.

Dokładnie o dziewiętnastej pani Spencer przebierała się w efektowną jedwabną suknię. Prosiła Pru o towarzystwo i oznajmiała: „Pora na wywiad ze mną!”.

Nie miało znaczenia, czy Pru wykonywała akurat jakąś pracę albo czy psy były w połowie nakarmione, wykąpane, czy też w trakcie rodzenia szceniąt. Pani Spencer znajdowała Pru wszędzie i ciągnęła ją na górę, żeby była przy rozmowie. Twierdziła, że ten mężczyzna jest „prawdopodobnie dewiantem”, a Pru grała rolę jej przyzwoitki.

– Jest pan gotów spisywać moje wspomnienia? – pytała przyjacielsko i siadała na skraju łóżka Wina z koktajlem w dłoni.

Fryzura, suknia, brylanty połyskujące w świetle lamp, wszystko to tak bardzo się różniło od jej zwyczajowych brudnych spodni i słomkowego kapelusza. Nawet koktajl do niej nie

pasował. Pani Spencer nie piła alkoholu i jeśli musiała ukoić nerwy, wolała sięgnąć po nalewkę z opium. Pru w ogóle tego nie rozumiała.

– Zaczniemy od profilu – mawiała. – Co pan sądzi o moim profilu?

– Doskonałe greckie proporcje – odpowiadał posłusznie Win.

Pisarz od początku zaakceptował swoją rolę i ją odgrywał. Schlebiaj i schlebiaj, a gdy to nie przynosi rezultatu, schlebiaj jeszcze bardziej. Wzmianka o „greckim profilu” była niezawodna, więc Win z niej nie rezygnował. Była bardzo pożądana w wypadku mężczyzny obdarzonego urokiem szkolnego łobuziaka, ale pozbawionego intelektu.

– Grecki – powtarzała pani Spencer z ukontentowanym westchnieniem za każdym razem.

– Tak. Dziękuję, że pan to dostrzegł. Bóg był dla mnie łaskawy.

Jak powiedział Win, gdyby pani Spencer była księżną, Bóg nie miałby nic wspólnego z jej legendarną sylwetką. Gladys Deacon urodziła się z lekko wygiętym nosem – była to osobliwość, która drażniła ją od samego początku. Poza tym uważała, że ma niedopuszczalnie blisko osadzone oczy i dlatego poprzysięgła sobie naprawić swoje liczne wady fizyczne.

Jako nastolatka wybrała się w podróż po świecie, by oglądać najbardziej podziwiane popiersia i rzeźby, jakie stworzono. Przyglądała się każdej, pilnie analizowała i notowała odległość między oczami i długość nosów. W końcu zebrała dane na temat idealnych proporcji i zawiozła je do Paryża, gdzie poddała się serii zastrzyków z wosku, żeby osiągnąć tę artystyczną doskonałość.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam! – twierdziła za każdym razem pani Spencer, kiedy Win poruszał tę kwestię. – Zastrzyki z wosku! Doprawdy. Nie, głupi autorze, urodziłam się z tą oryginalną, daną mi przez Boga twarzą.

Tak to Win i pani Spencer rozmawiali ze sobą. On wypytywał. Ona zaprzeczała. On zataczał kręgi. Ona się sprzeciwiała. A Pru to obserwowała i zastanawiała się, co oni tu wyprawiają. Każdy się o coś targował, ale rezultat był oczywisty na dość wczesnym etapie. Żadne z nich nie miało zdobyć tego, czego pragnęło. Nawet Pru.

– Halo – odezwała się Pru, stojąc niepewnie na korytarzu. Trzymała w dłoni siatkę, w której znajdowały się artykuły spożywcze kupione w miasteczku. – Pomyślałam, że może chcesz coś zjeść. Mogę wejść?

Win nie oderwał wzroku od maszyny do pisania. Zamiast tego wykonał jakiś ruch głową, który Pru wzięła za zaproszenie. Przekroczyła próg z niechętnym uśmiechem.

– Mam nadzieję, że pani Spencer nie będzie miała mi za złe, że odwiedziłam jej biografa bez towarzystwa – powiedziała Pru i nieufnie przeszła przez pokój. – Odnoszę wrażenie, że... Sama nie wiem, że jesz za mało. To pewnie głupie spostrzeżenie. Ale ze względu na warunki panujące na dole...

Trzęsącymi się dłońmi położyła dary na biurku: garść kapusty, dwa jabłka, kilka pęt kielbasy i kawałek sera Oxford Blue. Na biurku stały już kubek z herbatą i zjedzona do połowy paczka herbatników.

– Przejmujesz się moimi zwyczajami żywieniowymi? – Win przerwał pisanie i spojrział na nią z fałszywym uśmiechem. – Nigdy nie czułem się aż tak kochany.

Pru pomyślała, że był całkiem przystojny jak na starszego faceta, który prawie się nie kąpał. Natychmiast pokręciła głową. Nie ma sensu myśleć pochlebnie o tym człowieku. Nie chciała czuć do niego nic więcej ponad to, co już czuła. Chłodna litość wystarczy.

– Nie martwią mnie twoje zwyczaje żywieniowe – odparła. – Przecież ty w zasadzie w ogóle nie jesz. – Zamilkła i oparła dłoń na biodrze. – Wielkie nieba. Mówię jak mamuśka, co? A jesteś na to kapkę za stary.

– No tak. Kapkę za stary. Ile mi dawałaś tego dnia, kiedy się poznaliśmy w ogrodzie? Stary jak świat?

– Rety...

– Tylko żartuję – powiedział i puścił do niej oko. – Poza tym uwielbiam mamuśki. Moja mama średnio się mną interesowała, więc to jest miła odmiana.

– Też w zasadzie nie miałam mamy – wypaliła Pru. – Nie wiem, dlaczego ci to powiedziałam.

– Nie przejmuj się. – Wsunął papierosa między wargi, ale go nie przypalił. – Również jej na dobrą sprawę nie miałem.

Wystukał jeszcze kilka słów, podczas gdy Pru stała zmieszana pośrodku pokoju. Pusta siatka zwisała jej z ramienia.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – zapytał kącikiem ust, nie starając się utrzymać nieprzypalonego papierosa.

– Nie, raczej nie.

Win popatrzył na nią.

– Pójdę już... – powiedziała Pru.

– Poczekaj – odezwał się, czym zaskoczył ich oboje. – Nie wychodź. Czy... czy nie chciałabyś pogawędzić?

Win przewrócił oczami, słysząc swoje słowa. „Czy nie chciałabyś pogawędzić?”. Jak dziewczyna mogłaby się oprzeć takiemu kuszącemu zaproszeniu? Co za palant.

– Dziękuję – odpowiedziała mądrze Pru. – Nie mam czasu na pogawędki. – Postąpiła szybko kilka kroków w stronę drzwi, ale, ku zaskoczeniu Wina, odwróciła się, zanim wyszła. – Muszę cię o coś zapytać. Pani Spencer... chyba cię tu nie więzi? Nie trzyma pod kluczem? Nie grozi ci rewolwerem albo zatrutymi strzałami? Możesz stąd wychodzić, tak?

Win wybuchnął śmiechem. Był w oplakanyam stanie. Postronna osoba nie potrafiła stwierdzić, czy był więźniem, czy wolnym człowiekiem.

– Możesz w to nie wierzyć, ale sam postanowiłem mieszkać i pracować w tych warunkach. Należy zauważyć, że świadczy to o jakości mojego życia. Rozumiem jednak twoją konsternację.

– No dobrze, ale co ty piszesz? – zaciekała się Pru. – Przepraszam, jeśli to brzmi niegrzecznie, lecz nie potrafię się tego domyślić.

– Co piszę? Książkę o księżnej. Wydawało mi się, że jasno to powiedziałem.

– Owszem, tylko że jestem przy tym... Obserwuję. I słucham. Czy pani Spencer zagląda tu czasami beze mnie? Robi tak?

– Nie. Nigdy.

– To jak, u licha? – wykrzyknęła rozdrażniona Pru, wymachując rękami. – Doprawdy! Walisz w maszynę jak szalony. W dzień i w nocy. Ciągłe słyszę ten bezustanny stukot. Towarzyszę wam w czasie wywiadów, ale ona nic ci nie powiedziała. Nic a nic. Chyba że coś przeoczyłam, co też jest możliwe.

– Niczego nie przeoczyłaś.

Win wstał. Pru niemal słyszała, jak strzykało w jego zastałych kolanach.

– W takim razie o co chodzi? – zapytała Pru błagalnym tonem. – Co ty tu robisz?

– To proste – odparł. – Stosuję strategię długoterminową.

– Słucham?

Pokiwał głową i sięgnął po kilka kartek papieru leżących na parapecie.

– Mój brat utrzymuje, że moje życie jest filozofią – stwierdził, obracając kartki w dłoniach. – W takim wypadku znaczyłoby to, że chcę ją przeczekać. Księżna słynie ze swojej niepokornej natury. Wszyscy wiedzą, że prowadzi sprawy na własnych wariackich warunkach. Oczekiwanie czegoś innego byłoby sprzeczne z naturalnym porządkiem rzeczy. Dlatego na razie pracuję z wykorzystaniem tego, co udało mi się ustalić w czasie wcześniejszych poszukiwań. Księżna kiedyś się uspokoi. W końcu.

– Zakładając, że pani Spencer nią jest – zauważyła Pru.

– Jest. Na sto procent.

Win rzucił plik kartek na łóżko. Zanim się zorientowała, co robi, Pru podeszła, żeby je przechwycić.

– Hej! – krzyknął Win. – Nie możesz czytać czyjejś korespondencji.

– To twoja książka? – zapytała. Kartki paliły jej dłonie.

– No cóż – westchnął. – Tak. Sam początek.

„Lllllllllllllllllllllllllllllldkfawawetwlcw

Werrej32rjklwfe

Pieprzyć. To”.

– Fascynująca lektura – burknęła Pru.

Pieprzyć to. Trudno o prawdziwsze słowa.

A więc to takich bzdur dotyczyło to jego walenie w klawiaturę wczesnym rankiem i grubo po północy? Bełkotu. Nonsensu. Pru pomyślała, że to być może nie jest żaden pisarz,



tylko jakiś bezdomny szukający schronienia, dokładnie tak, jak podejrzewała pani Spencer.

– Jak rany – powiedział Win i cisnął (nadal nieprzypalonego) papierosa na podłogę. – Czytaj dalej. Pierwsza strona to tylko przypadkowy przejaw pisarskiej frustracji.

– Widzę.

Spojrzała na drugą kartkę i z ulgą znalazła na niej prawdziwe, napisane *bona fide* zdania. Nawet całe akapity. Zaczęła czytać.

„Powiadano, że dopóki nie namaluje cię Giovanni Boldini, jesteś nikim. Spośród wszystkich sławnych kobiet, które sportretował – księżnych, hrabin i dziedziczek – księżna Marlborough uchodziła za najbardziej czarującą.

Księżna Marlborough urodziła się jako Gladys Deacon 7 lutego 1881 roku w hotelu Brighton w Paryżu. Lady Marlborough uwielbiała bawić się datą swoich urodzin i przesuwając ją o rok lub dwa lata do przodu przy okazji każdej mijającej dekady”.

– Niezłe – stwierdziła Pru, chociaż nie do końca tak uważała.

Tekst był literacko w porządku, ale historia bynajmniej nie zapowiadała się na przełomową. „Wcześniejsze poszukiwania” przyniosły mizerny rezultat.

– Coś więcej napisałeś? – zapytała Pru i spojrzała na następną kartkę.

Pusta. Spojrzała na kolejną. Znowu pusta. Przekartkowała pozostałe strony. Win skulił się w kącie. Pru pojęła, że to było wszystko. Dwa wymuszone akapity.

– No cóż, teraz już wiem, jak rozumiesz długoterminową strategię.

– Powiedziała młoda Amerykanka z wyraźną pogardą.

– Zamierzasz o mnie pisać? Nie jestem pewna, co o tym myśleć.

– Posłuchaj. Sama to powiedziałaś. Nie daję mi nic, na czym mógłbym pracować, a ty jesteś najbardziej energiczną osobą w tym towarzystwie, mimo że się rumienisz, jeśli cię zmusić do wypowiedzenia więcej niż dwóch słów.

– Niezły z ciebie czaruś – podsumowała go Pru, przewróciwszy oczami. – Co się stanie, jeśli pani Spencer nic ci nie powie? Czy napiszesz o niej mimo to? Coś wymyślisz? Czy po prostu odejdziesz?

– Nie wyjadę stąd. – Win znowu westchnął i przysiadł na krawędzi łóżka. – Może ci się to wydać niedorzeczne. Jesteś taka młoda i masz przed sobą nieograniczone perspektywy. Ta bzdura z pisarstwem... To wszystko, co mam.

– Na pewno nie wszystko.

– Wszystko. I jeśli z tego zrezygnuję, co mi zostanie? Nic. A wizja, że nagle nie ma się nic, żadnego kierunku, żadnej przyszłości, jest przerażająca. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Nie musisz tego wyjaśniać – odparła. – Ja...

– Nigdy tego nie zrozumiesz.

Pru się odwróciła, bo jej bladą jak ściana twarz zalała czerwień. Chciała mu powiedzieć, że wie co nieco na temat przyszłości w ponurych barwach, ale ten nieszczęśnik tak bardzo utrudniał wejście z nim w prawdziwą międzyludzką relację.

– Tak bardzo chcesz opisać jej historię? – zapytała Pru z rozpaloną twarzą. – Do tego stopnia, że skazujesz się na kiepską wentylację, marne jedzenie i brak higieny? Że już nie wspomnę o tych przeklętych psach. Aż do tego stopnia pragniesz opowiedzieć jej historię?

– Tak – odpowiedział Seton po dłuższej chwili. – Może się to wydawać szaleństwem, ale najwyraźniej tak jest.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

STYCZEŃ 1973 ROKU

Siedzieli w pokoju Wina. Na zewnątrz wirowały płatki śniegu.

Dom uginał się i jęczał pod naporem wiatru. Cała trójka grzała się przy ogniu rozpalonym przez panią Spencer z listów od jej „przeciętnych kochanków”.

– Byli przeciętni pod względem statusu społecznego? – chciał wiedzieć Win. – Czy sprawności seksualnej?

Pru zarumieniła się mimo chłodu. Jedną ręką naciągnęła niedźwiedzią skórę wyżej na ramiona, a drugą zasłoniła twarz książką. Zaczęła czytać w trakcie tych spotkań, żeby mieć zajęcie w czasie wybiegów stosowanych przez panią Spencer. Nikt nie miał nic przeciwko temu. Nawet nikt nie zwracał na to uwagi.

– Ha! – burknęła staruszka. – Seks czy status? Oto jest pytanie, prawda?

– Proszę mi opowiedzieć o mężczyznach – powiedział Win. – Tych przeciętnych i innych.

– Zabrakłoby mi czasu, żeby o nich opowiedzieć.

– Słusznie. Poproszę więc o konkretne osoby. Zacznijmy od księcia Marlborough.

– Niezła próba. Nic z tego.

– Dlaczego? Nie może pani mówić o jego sprawności seksualnej? Czy też nie chce pani?

Pani Spencer udawała, że bierze łyk burbona. Poplamiła sobie przy tym fioletową jedwabną suknię.

– No dobrze – naciskał Win. – Skoro nie chce pani mówić o księciu, z pewnością może nas pani uraczyć opowieściami o wcześniejszych zaręczynach i sercach, które pani po drodze złamała.

– Ach! – Twarz pani Spencer się rozpromieniła. – Było ich kilka. Za młodu byłam bardzo atrakcyjna. Jak może zaświadczyć pańska przyjaciółka, panna Valentine, jeśli kobieta jest piękna, ma na swoim koncie historię zaręczyn. Jedne już zerwała.

– Pani Spencer! – powiedziała Pru i oderwała wzrok od książki.

Tego wieczoru czytała *Wyspę doktora Moreau* H.G. Wellsa. Człowiek-Bernardyn, Hieno-Wieprz czy Niedźwiedzio-Lisica stanowiły stosownie upiorne towarzystwo w ten mroczny i pełen jęków zimowy wieczór w Grange.

„Nakazując kapitanowi milczenie, zapomniałem, niestety, iż jestem tylko bezradnym, odcięty od swoich zasobów, pływającym na gapę rozbitkiem...”<sup>11</sup>.

– Niech się pani nie złości, panno Valentine! Jedne zerwane zaręczyny w pani wieku są do przyjęcia. To prawda, że ma pani sporo do nadrobienia, ale zawsze jest to śmiały początek!

Brwi powędrowały Winowi prawie na czubek głowy.

– No proszę – powiedział. – Trochę się z nią droczyłem, żartowałem, że napiszę o niej w książce. Ten pomysł wydaje się z każdą minutą coraz lepszy.

– Książka o tej nudziarce? – spytała pani Spencer i udawała, że ziewa. – Panna Valentine jest śliczna, ale historia jej życia zmieściłaby się na serwetce.

– Jesteście bardzo mili – burknęła Pru. – Naprawdę.

– W porządku – stwierdził Win, nie odrywając wzroku od Pru, która usiłowała się

zakopać pod niedźwiedzią skórą. – Zostawmy pannę Valentine i porozmawiajmy o księciu Prus. To jedna z moich ulubionych historii z Blenheim. Często ją tam słyszałem. Bo tam właśnie się poznaliśmy. Nie potrafiłem przejść obok kortów tenisowych, nie wyobrażając sobie pani na nich.

– W życiu nie grałam w tenisa.

– Księżę Wilhelm Pruski – ciągnął Win. – Zwany Małym Willym. Pokonała go pani.

Przynajmniej na korcie.

Pani Spencer prychnęła.

– Mały Willy – powiedziała. – Rzeczywiście był mały.

– Był wysoki – zauważył Win. Starał się zetrzeć z twarzy uśmiezek. – I zdrów jak ryba.

Słyszałem pogłoski, że w pani obecności czerwieniały mu uszy. Odnoszę wrażenie, że tak samo oddziałuję na pannę Valentine.

Pru zerknęła na niego znad książki.

– Rumienię się wyłącznie wtedy, kiedy jestem wzburzona – rzuciła.

– Wzburzona. Wkurzona. Podekscytowana bez powodu. Pani Spencer, jak wieść niesie, młody księżę po raz pierwszy widział panią w Blenheim, gdzie posmakował pani złośliwego serwu i padł ofiarą zabójczego forhendu. Pani uroda i intelekt oczarowały go, a pani forma poraziła. Jeszcze nikt go nigdy nie pokonał. Spodobało mu się to, że dostał cięgi od pani.

– W pańskich ustach zabrzmiało to lubieżnie – zauważyła pani Spencer, a na jej ustach mignął uśmiech.

– Przed końcem tygodnia – ciągnął Win – w czasie przejażdżki założyła pani na palec pierścioneł od niego i ogłosiliście wasze zaręczyny. Ku przerażeniu cesarza, bo przecież nie była pani prawdziwą księżniczką.

– Nieopierzony biograf nie musi mi mówić, że nie jestem księżniczką.

– Złowiła pani Willy’ego w swoją sieć, chociaż wszyscy wiedzieli, że dał się złowić ochoczo. Nie miały dość ikry, żeby to zrobić samodzielnie, bałby się bowiem, że jego *Vater* się zdenerwuje.

– Ma pan rację – burknęła pani Spencer pod nosem.

– Kiedy politycy po obu stronach Atlantyku usłyszeli o waszych zaręczynach, świat zalała fala ulgi. To nie miało być zwykłe małżeństwo, tylko ważny sojusz między Niemcami i Stanami Zjednoczonymi.

– Byłam wielokrotnie zaręczona, panie Seton, ale nie przypominam sobie, by którekolwiek z moich zaręczyn miały wpływ na świat. Czymże jest sojusz oprócz werbalnego porozumienia dwóch osób o przeciwstawnych interesach. Łatwo go zawrzeć i łatwo zerwać.

– Powiadano, że mogliście zapobiec wybuchowi wojny.

– Nie sądzę...

– Pani Spencer, proszę to przyznać. Wszyscy wiedzą, że wasza miłość mogła uratować świat.

## BANBURY INN

## BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

## LISTOPAD 2001 ROKU

– Ich miłość mogła uratować świat? – zdziwiła się Annie. – Nie sądzisz, że to lekka przesada?

– Nie – odparł Gus. – Ty tak uważasz?

– Tak. Z tego, co słyszę, ten cały pisarz jest tak samo melodramatyczny jak pani Spencer.

– Przyznaję, że miał teatralne skłonności w każdej kwestii. Ale w tym wypadku się nie mylił. Nawet Churchill powtarzał te słowa. A nie przypisałyby Gladys takich zasług z własnej woli.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego pani Spencer nie chciała się przyznać do tego, że była księżną.

Annie odwinęła szalik Gusa i oddała mu go. Trzęsła się w rześkim, pełnym słońca powietrzu.

– Księżna nie miała kryształowej reputacji – zauważył Gus.

– To wiem. Ale przecież pani Spencer też nie była najbardziej szanowaną mieszkanką Banbury. Co miała do stracenia? Nie ukrywałabym tego, że moja uroda mogła się przyczynić do wybawienia ludzi od wojny!

– A więc nadal wierzysz, że była dawno zaginioną księżną?

– Posłuchaj. To urocze, że starasz się nadać tej historii charakter tajemnicy, ale trudno tu o inny wniosek. Weźmy na przykład Consuelo Vanderbilt. Przecież wiemy, że była księżną Marlborough.

– Owszem.

– Wiemy również, że ona i Gladys się przyjaźniły.

– Zgadza się.

– Sama pani Spencer powiedziała Winowi i Pru, że ona i Coon były najbliższymi przyjaciółkami. Proszę. To tylko jeden z wielu przykładów.

– Consuelo Vanderbilt miała z pewnością więcej niż jedną przyjaciółkę.

– Możliwe. Ale na pewno żadna nie była jej aż tak bliska. Coon była nieśmiała i brakowało jej pewności siebie z powodu problemów ze słuchem. „Czarna łabędzica trzymająca się z boku na bezgłośnej wodzie” i tak dalej. Potrzebowała Gladys Deacon. Ich związek był wyjątkowy.

– Czarna łabędzica na bezgłośnej wodzie? Gdzie usłyszałaś coś takiego?

– Nie pamiętam – powiedziała. Serce zaczęło jej walić. – Pewnie przeczytałam w książce. Zbyt późno zdała sobie sprawę z tego, że słowa pochodziły z maszynopisu, który miała w plecaku.

– Autor gdzieś o tym wspomniał – paplała dalej. – Jestem tego pewna.

– Nie napisano tego w książce – stwierdził Gus. Oczy mu pociemniały.

– Nieważne. Chodzi o to, że... – Annie przerzuciła plecak z prawego ramienia na lewe. – Kiedy dokona się triangulacji danych, informacje tworzą jasny obraz. Dotyczy to nie tylko Coon, ale także wszystkich pozostałych szczegółów.

– Triangulacji...?

– Tak. No wiesz... – Annie narysowała w powietrzu kształt, który nie przypominał trójkąta. Był to co najwyżej przekrzywiony romb.

– Czy trójkąt nie ma przypadkiem trzech boków? – zapytał Gus.

– W zasadzie tak. Jak już mówiłam, nienawidzę matematyki. Czy czegoś tam od kształtów. Geometrii? Chyba tak się to nazywa.

– Gdzie masz trzecią stronę? Jedna to książka. Druga to nasze rozmowy. A trzecia?

– Czy to nie jest tylko takie powiedzonko? – spytała. Twarz jej płonęła. – Wydaje mi się, że skupiasz się nie na tym, na czym powinieneś.

– Weszłaś do Grange, prawda? – zapytał i popatrzył na nią zmrużonymi oczami. – Kiedy pojawiłaś się w pubie taka zakurzona i potargana, zadawałaś dziwne pytania dotyczące posiadłości, wiedziałem, że coś jest nie tak. Ale pomyślałem sobie, że ta dziewczyna nie jest przestępcą. Jest urocza, tęskni za narzeczonym i zatraciła się w książce.

– Gus...

Annie zamknęła oczy i westchnęła. Smagał ją wiatr. Oczami wyobraźni prawie widziała siebie w pokoju w Grange, zakrytą pod brodę niedźwiedzią skórą, kiedy zima wdierała się do środka szczelinami w ścianach i oknach.

– W porządku – powiedziała. – Rozgryzłeś mnie. Tak. Weszłam do Grange. Nazwijmy to...

– Poszukiwaniami? Niezła próba.

Otworzyła szeroko oczy.

– Ciekawością poznawczą – rzuciła. – Jestem badaczką.

– Raczej intruzem. I to uciążliwym.

– Uciążliwym? Auć! Nie jest aż tak źle.

– Dopuszczałaś się wykroczenia.

– Masz mnie! – Annie podniosła ręce do góry. – Wdarłam się na teren prywatny. Popełniłam przestępstwo. Dlaczego aż tak bardzo się tym przejmujesz? Jesteś właścicielem tego domu? Bo jeśli nie, nie martw się. Niczego nie dotykałam.

Prawie niczego.

– Nie. Nie jestem właścicielem – odparł Gus. – Uważam po prostu, że młodzi naukowcy powinni się bardziej starać przypochlebić tubylcom. Tak przy okazji, nie zamierzam wpłacać za ciebie kaucji, jeżeli zostaniesz aresztowana, co niechybnie nastąpi.

– Przykro mi, że się tam zakradłam – oznajmiła Annie, chociaż nie było jej przykro z tego powodu. Raczej dlatego, że Gus się tym tak zdenerwował. – Chciałam się tylko rozejrzeć. Nie zamierzałam zrobić nic złego.

– Co tam widziałaś w czasie tych oględzin? Mam nadzieję, że ten nieszczęsny występek zapewnił ci jakąś gratyfikację.

– Szczerze mówiąc, nie było tam czego oglądać. Kilka książek. Jakieś porzucone meble. Zdaje się, że biurko i maszyna do pisania Setona nadal tam są.

– Naprawdę? – Twarz Gusa, przed chwilą jeszcze nachmurzona i spięta, rozpozodziła się.

– Jego maszyna?

– Czyjaś maszyna do pisania. Stoi przy oknie w pokoju na górze.

– To jego maszyna. Ha! To by było coś.

– Znalazłam też to. – Annie zaczęła szarpać się z plecakiem, żeby go otworzyć, ale poszła po rozum do głowy. Gus prawdopodobnie zabierze jej te kartki. Nie miał z maszynopisem więcej wspólnego niż ona, ale na pewno znowu na nią nakrzyczy. – Kurczę blade – powiedziała. – Chyba zostawiłam je w pokoju. – Zapięła plecak.

– Co takiego?

– Znalazłam jakiś maszynopis. To był chyba zapis wywiadu Wina z księżną.

– Wspaniale. A w którym pokoju zostawiłaś te kartki?

– No, w moim.

– Jak rany, Annie. Gwizdnęłaś je? Możesz to dopisać do listy swoich wykroczeń.

– Daj spokój, Gus. Wyluzuj. To tylko kawałek papieru, który leżał tam od Bóg jeden wie ilu lat. Dlaczego nagle zrobiłaś się taki surowy? Myślałam, że jesteś dobrym facetem.

– Nie wiem, skąd ci coś takiego przyszło do głowy.

– W życiu nie złamałam prawa – powiedziała Annie. Głos zaczął się jej trząść. – Może zdarzyło mi się napić alkoholu, gdy byłam nieletnia, ale nie dopuściłam się niczego poważnego. Nikogo nie skrzywdziłam. Gus, naprawdę jestem porządną osobą!

Pozwolił, żeby się mazgała i cierpiała jeszcze przez chwilę, dłużej, niż było to konieczne, ale pewnie na tyle zasługiwała. Nienawidziła siebie za to, że była tak wścibska. Eric byłby przerażony.

– Gus, przepraszam. Nawet nie wiem, co powiedzieć.

– Do licha, Annie. Nie powinienem być dla ciebie tak ostry – oznajmił. – Ale przykro mi patrzeć, jak się pakujesz w problemy z prawem, skoro jesteś tu „głównie” sama. Nazwij to ojcowską troską, chociaż mało wiem na jej temat.

– Nie przepraszaj – uspokoiła go. – Rozumiem.

Też nie wiedziała zbyt wiele o ojcowskiej trosce.

– Nie przepraszalem cię – zaproponował Gus. – Niewątpliwie zrobiłaś źle. Powiedz, co jeszcze widziałaś w Grange? Skoro już popełniłaś to wykroczenie, możesz wyjawić mi rezultaty swojego przestępczego postępowania.

– Czulałam się naprawdę rozczarowana – wyznała Annie. – Dom jest w rozsypce, jak należało się tego spodziewać, otaczają go chwasty i zarośla. Ale środek! Według ciebie był zagracony.

– Tak powiedziałem?

– Tak wynikało z twojej opowieści. I z tego, co napisano w biografii. Rzeczywiście, nie dostałby nagrody za wzorowe wnętrze, ale spodziewałam się znacznie więcej... brudów.

– Nazywasz jej rzeczy brudami? – zapytał Gus i uśmiechnął się swobodnie. Znowu zaczął się zachowywać jak dawniej. – Jestem pewien, że pani Spencer ucieszyłaby się z takiej sugestii.

– No dobra, mądralo. Według Wina Setona znajdowały się tam nieczystości, psie i kocie.

– Bingo, młoda kryminalistko. Bingo.

– Ale nie to miałam na myśli – dodała. – Dom okazał się w zasadzie pusty. Nie ma w nim mebli. Zabrano naczynia. Zdjęto obrazy ze ścian.

– Mówiłem ci, że sprzedano ruchomości na aukcji po śmierci tej kobiety. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, sprzedano dekady temu.

Annie pomyślała o papierach w plecaku. Były bezwartościowe? Przypuszczała, że za pierwszy szkic książki, nawet minimalnie poczytnej, raczej nie zgarnie się kokosów, ale dla niej te kartki coś znaczyły. Poczula się urażona tym, że Gus nazwał je bezwartościowymi.

– Chciałbym zobaczyć te kartki – powiedział Gus, jakby czytał w jej myślach lub co bardziej prawdopodobne, z twarzy, która zawsze zdradzała nawet jej najskrytsze myśli.

– Jasne – rzuciła. – Pójdę po nie.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe hoteliku. Z takim rozmachem, że aż uderzyły o ścianę. Zaatakowała ich woń lawendy i burza loków.

– Annie! – Nicola wypadła przed budynek. Powiewały za nią poły płaszcza. – Annie! Panno Annie! Matka cię szukała. Właśnie wyszła.

– Matka? – powtórzył Gus szyderczo. – Wydawało mi się, że jesteś tu sama.  
– Najczęściej jestem!  
– Mama zostawiła dla ciebie wiadomość – poinformowała Nicola i wcisnęła jej do ręki skrawek brzoskwiнового papieru. Posłała Gusowi surowe spojrzenie.  
Annie uśmiechnęła się słabo do nich obojga i omiotła karteczkę wzrokiem.  
Dlaczego odnoszę wrażenie, że mnie karzesz? Wczesny jogging? Podejrzone wyjaśnienie, jeśli można o nim w ogóle mówić. Przez cały dzień mam różne spotkania, ale proszę, bądź gotowa o osiemnastej na kolację.  
Kocham Cię ogromnie,  
Mama.  
Annie zgmiotła kartkę i wsunęła ją do plecaka.  
– Dzięki – zwróciła się do Nicoli.  
– Przyszła też wiadomość od twojego narzeczonego. Nie próbowałam węszyć, po prostu zostawiłaś otwartą skrzynkę. W każdym razie komputer jest uruchomiony, jeśli chciałabyś z niego skorzystać.  
– Dziękuję za informację. A tak przy okazji, znasz mojego znajomego?  
– Owszem, znamy się – odparła. – Jak się miewa brat?  
– Bez zmian. – Gus odwrócił się do Annie. – Starszy brat może mieć obowiązki, ale wszyscy uwielbiają młodszego.  
– Pozdrów go serdecznie! – poprosiła Nicola.  
– Z przyjemnością. – Gus podał rękę Nicoli, a potem Annie. – Muszę zmykać. Żegnam panie. Annie, proszę. Choć może to zabrzmieć błagalnie, nie pakuj się w tarapaty. Ten uśmiech ci pomaga, ale nie sprawi, że każdy występ ujdzie ci płazem.

**Temat: Proszę, zachowaj ostrożność**

**Od:** eric.sawyer@usmc.mil

**Data:** 5 listopada 2001 6:48

**Do:** anniehaley79@aol.com

Ten staruszek to niezły czaruś... Zbyt urzekający, jeśli pytałabyś mnie o zdanie. Pewnie świetnie się bawisz przy okazji tych poszukiwań, a ta księżna... jest niezła. Tylko nie wpakuj się w jakieś tarapaty, z których nie mogłabyś się wykaraskać. Oczywiście nie cofniesz już tego, że zwędziłaś maszynopis. Więc go oczywiście przeczytaj. Coś mi się zdaje, że fałszywa „badaczka” stanie się rzeczywista. Wygląda na to, że jesteś w tym dobra.

Co do wojny, na razie jest niezłe. Już prawie skończyliśmy. Żartuję. Nadal jesteśmy na okręcie i płyniemy w stronę Afganistanu. Chciałbym już być na miejscu. Na pokładzie panuje nerwowa atmosfera, cholerne wyczekiwanie.

Pewnie wydaje Ci się dziwne, że chcemy walczyć. Cóż, to nie do końca tak. Powierzono nam wielkie zadanie i denerwujemy się, bo chcemy je wykonać – i to dobrze. Wydaje się to ważne. Monumentalne. Musimy dźwigać samotnie wielki ciężar. Nieliczni, dumni i tak dalej. Z jednej strony gloria, z drugiej... Nawet nie potrafię o tym myśleć.

Jest też drobiazg zwany zemstą. Za wszystkie te zniszczenia. Nikt tego nie powie, ale... Cóż, tak jest. Jak rany, mamy rozpaczliwą nadzieję, że uda się nam zrobić tu coś dobrego. Chcemy przysłużyć się naszemu narodowi, rodzicom i cudownym Annie, które zostawiliśmy w domach.

Nie ma drugiej takiej jak Ty – uroczej, ślicznej i błyskotliwej. Słowo daję, Annie. Czasem mam wrażenie, że wyskoczyłaś ze stron jakiejś książki. Zgodnie ze znanym powiedzonkiem, że coś jest zbyt dobre, żeby... Tyle tylko, że jesteś prawdziwa. Wierz mi, próbowałem znaleźć jakąś rysę. Na razie bez skutku. Wiem, że wspomniałabyś tu coś na temat warunków swojego życia i zatrudnienia, ale to tylko stan przejściowy. Praca nie definiuje człowieka.

Będę już kończył. Nie mogę się doczekać, żeby przystąpić do działania, ale kiedy dotrę na miejsce, będę miał znacznie mniej okazji, by do Ciebie pisać. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł tęsknić za Tobą jeszcze bardziej.

Bądź szczęśliwa. I bezpieczna.

Kocham Cię,

Eric



WS: Proszę mi opowiedzieć o Bernardzie Berensonie.

GD: Co można powiedzieć o największym historyku sztuki, jaki chodził po świecie?

WS: Największym? Proszę dać spokój.

GD: Nie kto inny, tylko Bernard stworzył zapotrzebowanie na renesansowe obrazy.

Gdyby nie on, nie byłoby starych mistrzów.

WS: Jest też druga strona medalu. Są tacy, którzy uważają, że manipulował rynkiem i podbił ceny poza granice rozsądku.

GD: Trzeba jakoś zarabiać na życie.

WS: Zgadza się. Z tego, co słyszałem, pani i Berenson sporo razem podróżowaliście.

GD: Owszem. Często mu towarzyszyłam w czasie jego wypraw, żeby zabezpieczać zakup różnych dzieł sztuki. Miał zaufanie do mojego wyczucia i obiektywizmu. Ocena dzieł sztuki może się wydawać przyjemnym zajęciem, ale BB żył pod ogromną presją. Miał elitarnych klientów.

WS: Na przykład?

GD: Byli wśród nich: Henry Clay Frick. William Randolph Hearst. J.P. Morgan. Andrew Mellon. John D. Rockefeller. To tylko kilka nazwisk.

WS: Prawdziwa śmietanka.

GD: To był wielki człowiek. BB bardzo dużo mnie nauczył. O sztuce, rzecz jasna, ale też o poświęceniu. Jeździł do klasztorów w najodleglejszych zakątkach świata, żeby tylko obejrzyć jeden obraz.

WS: Zdumiewające.

GD: Nie dość wielkie słowo.

WS: Dzielili państwa spora różnica wieku.

GD: Rok czy sto lat, jakie to ma znaczenie?

WS: A żona Berensona?

GD: Stara Mary. Poważna kobieta. I szanowany krytyk sztuki. Lubiła udawać, że byłam głupiotką prostą dziewczyną. Nie tolerowała rywalizacji intelektualnej, bo nie mogła rywalizować ze mną wyglądem. W relacji ze mną nie mogła się czuć lepsza pod żadnym względem.

WS: Myślałem, że się panie przyjaźniły. Swego czasu poprosiła pani BB o przekazanie wiadomości następującej treści. [szelest papieru] „Słę miłość w pasemkach miodu najśłodszej myszce duszonej w konfiturze agrestowej”.

GD: Przez pewien czas się przyjaźniłyśmy. Ale z przyjaźniami tak bywa, że się kończą.

WS: Za dużo konfitury? Uwaga na potrzebę rękopisu: pani Spencer ma tęskny wyraz twarzy.

GD: Pani Seton, w moim życiu nie ma miejsca na tęsknotę.

WS: Berenson był pani bliski, prawda?

GD: Kochałam go w sposób, którego pan nigdy nie zrozumie.

WS: Proszę mi zatem wytłumaczyć, pani Spencer, skoro byliście tak sobie bliscy, jakim cudem przestaliście się do siebie odzywać w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku?

GD: Domyślałam się, że umarł. To był częsty problem w moim wypadku, bo byłam znacznie młodsza od wszystkich, z którymi się zadawałam.

WS: To nieprawda! Pierwsza część pani wypowiedzi nie jest prawdziwa! Proszę się uspokoić! Nie musi pani niczym rzucać! Odniosłem się do kwestii jego śmierci. Berenson zmarł

w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Nie tak dawno temu, ale długo po waszym ostatnim kontakcie. Prawie czterdzieści lat.

GD: Umie pan sprawić, żeby dziewczyna poczuła się przy panu wyjątkowo.

WS: Przepraszam, pani Spencer, staram się tylko poznać historię, przedstawić pani różne wcielenia. Tak więc, co się stało?

GD: Co się stało? [głębokie westchnienie, po nim trzy długie uderzenia] To co zwykle. Doszło do serii nieporozumień. Przede wszystkim BB nie podobały się moje zaręczyny z lordem Brookiem. Doszło do licznych sprzeczek, a później do ostatecznego, tragicznego rozłamu. Odtąd nie zamieniliśmy ze sobą słowa.

WS: Jakie to smutne.

GD: Coś takiego jest wpisane w ludzką naturę, czyż nie? Nasze związki nie mogą trwać wiecznie. Mimo naszych największych starań reszta świata zaczyna nam przeszkadzać.

WS: Sama nam pani powiedziała, że pani ojciec zastrzelił kochanka matki. To kolejna nić łącząca panią i księżną.

GD: Zabójstwa popełnione z namiętności zdarzają się dość często. Francuzi chcieli nawet przyjąć specjalne prawo! Ta historia [szelest gazety] nie dotyczy mojej rodziny.

WS: Artykuł z „New York Timesa”. *Linia obrony Deacona. Zabójstwo monsieur Abeille’a*. Autor: Aleksander Dumas.

GD: ...

WS: Cytat z tego samego artykułu: „O północy Deacon przechodzi przez drzwi prowadzące do pokojów żony i słyszy odgłosy świadczące o tym, że nie jest sama. Wraca do swojego pokoju po rewolwer. Równocześnie wzywa sekretarza hotelu, który mu towarzyszy. Czekają trzy minuty pod drzwiami *madame*. *Madame* otwiera drzwi w nocnej toalecie. Trzyma w dłoni świecę. Deacon uważa, że to jego obowiązek, i wchodzi do pokoju mimo sprzeciwu żony. Znajduje tam mężczyznę, w którym rozpoznaje Abeille’a, i oddaje trzy strzały w jego kierunku”. Trzy strzały. Wspomniała pani o tym wcześniej. Trzy strzały z odległości dzielącej ich kanapy i tak dalej.

GD: Zbieg okoliczności. Przecież powszechnie wiadomo, że na tym świecie mamy tylko trzy historie.

WS: Ta jest dość konkretna.

GD: Nie jestem pewna, dlaczego chce pan poświęcać tak dużo czasu i uwagi temu konkretnemu zabójcy.

WS: Ma pan na myśli swojego ojca? Czy człowieka z artykułu?

GD: Ojca. [głośne westchnienie] Ich obu. Nie wiem, co chce pan ode mnie usłyszeć.

WS: Z pewnością była to uciążliwa sytuacja dla pani rodziny.

GD: Ja... byłam w szkole. W każdym razie, ojciec odsiedział tylko rok w więzieniu. I dostał przyzwoitą celę. Wszystko dobrze się skończyło.

WS: To chyba nie jest najodpowiedniejsze słowo.

GD: To prawda. Był postacią tragiczną, ale nawet teraz znajduję pocieszenie w jego ostatnich słowach, wypowiedzianych, zanim go zabrano. „Zaopiekuj się moimi dziećmi”. Powiedział to do swojego brata.

WS: Myślał przede wszystkim o was.

GD: Tak. Mój ojciec mimo wszystkich problemów nas kochał. Kochał też mamę.

WS: Ale wykluczył ją ze swojego testamentu?

GD: Owszem. Bardzo ją to zabolalo, rzecz jasna, ale przynajmniej zapewnił nam, swoim czterem córkom, fundusze powiernicze i dochód do końca życia.

WS: Nawet Dorothy? Bękartowi?

GD: Proszę nie mówić w ten sposób o mojej siostrze. Nie ma wpływu na to, jak się pojawiła na tym świecie. Tak. Dziecku z nieprawego łoża. Owocowi miłości. I tak dalej. Dorothy została potraktowana tak samo jak reszta z nas.

WS: Jak matka zareagowała na zmianę listy spadkobierców?

GD: Zabolalo ją, że nie będzie miała dochodu. Mama była najbogatszą ze znanych mi kobiet, która nie wyniosła ani centa z domu rodzinnego. Poza tym ojciec, gdy tylko wypuszczono go z więzienia i sfinalizowano rozwód, przejął nad nami opiekę.

WS: Dla wielu osób czymś niepojętym jest fakt, że sąd skierował dzieci do domu człowieka skazanego za zabójstwo.

GD: Bezprawnie uznanego za sprawcę szkody. Jako człowiek ojciec wydawał się znacznie lepszym opiekunem od oddającej się rozpuście, opętanej seksem dziwki, za jaką niewątpliwie uchodziła moja mama.

WS: Matka pewnie się załamała.

GD: Doszczętnie. Ale mama zawsze potrafiła znaleźć wyjście z opresji. I sposób na utrzymanie wystawnego stylu życia.

WS: Miałem raczej na myśli to, że straciła dzieci.

GD: Ach, to. Ojciec nie sprawował opieki nad nami zbyt długo. Porwała nas z jego domu dość szybko. Więc wszystko dobrze się skończyło.

WS: Poza tym, że pani ojciec zmarł w ośrodku. Uwaga na potrzeby rękopisu: pani Spencer wzrusza ramionami, ale też do oczu napłynęły jej łzy.

GD: To przez roztaczaną przez pana woń. Kiedy pan ostatnio brał prysznic?

WS: Nie pani pierwsza o to pyta. Pani Spencer, rozumiem, dlaczego jest pani trudno o tym rozmawiać.

GD: Trudno? Niekoniecznie. Sytuacja postawiła nas w obliczu pewnych trudności, ale trzeba by się zastanowić, czy nie wyszło nam to na dobre.

WS: Co takiego? Zastrzelenie Abeille'a? Czy porwanie?

GD: Wszystko. W najdrobniejszych nieszczęśliwych szczegółach. Rodzice się w rezultacie rozwiedli, a to było korzystne dla wszystkich zainteresowanych.

WS: Także dla pani, która zgarnęła tyle pieniędzy.

GD: Nie będę przepraszała za szczodrość mojego ojca.

WS: I nie proszę pani o to.

GD: Poza tym ten skandal zmusił matkę do zmiany życiowego celu.

WS: To znaczy?

GD: W okamgnieniu okazało się, że miała ograniczone możliwości. Nie mogła się już przedstawiać jako ulubienica Paryża. Czy Rzymu. Jej najlepszy czas szybko się skończył i zamiast tego skupiła się na szukaniu partnerów dla córek.

WS: Było to swego rodzaju poświęcenie.

GD: Bynajmniej nie stała się aseksualna. Musiała jakoś opłacać rachunki. Ale przed tym wydarzeniem usiłowała zagarnąć całą uwagę dla siebie, jak gąbka, która wchłania wodę. Po strzelaninie, rozwodzie i porwaniu pozwoliła, żebyśmy także błyszczali.

WS: Być może nie siedziałbym tutaj, gdyby pani ojciec kogoś nie zastrzelił.

GD: Hm. Tak. Być może gdyby nie te wydarzenia, nękałby pan jakąś inną kobietę, biorąc ją niesłusznie za księżną.

WS: Czy pani za nim czasami tęskni? Za ojcem? Wiem, że oplakuje pani śmierć matki od dnia, w którym się dowiedziała o jej odejściu. A co z ojcem?

GD: Ojciec zostawił mi nazwisko. Swoje pieniądze. Ale poza tym jest przede wszystkim tajemniczą postacią. Wiem, że w czasie wojny secesyjnej był oficerem kawalerii. Był ponury i zabójczo inteligentny. Szybko się zaprzyjaźniał z nowo poznanymi ludźmi. Ale przede wszystkim zapamiętałam to, że bardzo dobrze strzelał.

## BANBURY INN

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

Matce Gladys nie można było odmówić determinacji.

Kiedy Florence postanowiła skupić się wyłącznie na znalezieniu mężów dla swoich córek, osiągnęła sukces wykraczający poza jej najśmielsze marzenia. Sprowadziła przy tym koszmar do życia wielu żon w całej Europie.

Dorothy, najmłodsza w rodzinie, córka zabitego kochanka, wyszła za księcia, potem za hrabiego. W pewnym momencie nosiła nawet sławne nazwisko Radziwiłł.

Piękna, ale kłótniwa Edith została żoną bogatego przemysłowca. Braki w tytule nadrabiała gotówką, i to z nawiązką. Pozostałe siostry będą już zawsze zazdrościły Edith tego, że mogła wydawać pieniądze bez zastanowienia.

Jak wiemy, Gladys poślubi księcia Marlborough, ale dopiero po tym, gdy złamie serca całemu korpusowi znakomitości, takich jak książę Wilhelm Pruski, właściciel brylantu Hope lord Francis Pelham-Clinton-Hope, książę Norfolk i książę Camastry, generał Joffre, lord Brooke i wielu, wielu innych.

Związki te mogły nie być trwałe, ale przyczyniły się do tego, kim Gladys Deacon się stała. Kiedy ktoś komplementował w czasie kolacji jej wiedzę z dziedziny polityki, podobno odpowiadała: „To jasne, że mam na ten temat wiedzę! Spałam z jedenastoma premierami i większością królów!”.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

„Bądź gotowa na kolację o osiemnastej” – prosiła Laurel w liściku.

Około osiemnastej dziesięć Annie pozbyła się wszelkich wyrzutów sumienia związanych z kłamstwem dotyczącym porannego joggingu.

O osiemnastej piętnaście irytacja ustąpiła miejsca złości.

Gdy zegar wybił osiemnastą czterdzieści pięć, Annie zupełnie skreśliła matkę. Kim była ta kobieta, na której nie można było polegać, i co zrobiła z Laurel Haley? Annie przynajmniej miała kilkoro przyjaciół, którzy dotrzymywali jej towarzystwa, mimo że wykradzionych.

Kartkując strony, myślała o pani Spencer i o tym, jak mieszkanie z nią musiało być denerwujące w sposób, który miał niewiele wspólnego z wrzaskami i fizycznymi pogroźkami. Najbardziej przerażała ją uważnie przemyślana przebiegłość. Jakim cudem Win zdołał wydrzeć z niej materiał na książkę?

Z westchnieniem rzuciła zapis wywiadu na biurko i patrzyła, jak kartki się rozsypują, w zwolnionym tempie, prosto w stronę otwartej butelki dietetycznej coli. Pisnęła, kiedy butelka się przewróciła.

– Cholera! – Zerwała się na równe nogi. – Annie! Ty idiotko! – Ściągnęła kartki z biurka.  
– Niech to szlag!

Dmuchała na papier. Potrząsała nim. Trzymała w powietrzu i patrzyła bezradnie, jak strużki napoju spływają na podłogę.

– Annie, ty ofermo – złała się z załzawionymi oczami.

Nieźle się załatwiła. Pyszna chemiczna czarna magia napoju unicestwi te kartki z taką samą skutecznością, jak pożerała ją od środka.

– A niech to jasny szlag!

Takie już miała szczęście. Ten jeden jedyny raz udało się jej doprowadzić do skoordynowanego kontaktu dwóch obiektów i skończyło się to tragedią. Jej trener softballu z czasów młodości ucieszyłby się, gdyby się dowiedział, że jednak potrafi w coś wcelować.

Ze złości kopnęła w krzesło, ale rzecz jasna, spudłowała. Ściągnęła z biurka najbardziej zalaną kartkę. Przycisnęła ją do koszulki i uniosła pod światło.

I wtedy to zobaczyła. Z tyłu kartki zanotowano adres. Ołówkiem. Zdaje się, że kobiecym charakterem pisma.

24 Quai de Béthune

144071200

To był pewnie jakiś paryski adres. A ta druga linijka? Raczej nie kod. Może numer telefonu?

Bez zastanowienia Annie sięgnęła po telefon i wybrała numer.

– Przepraszamy, ale wybrany numer jest nieosiągalny. Prosimy spróbować ponownie.

Ściągnęła brwi. Z semestru spędzonego za granicą na pierwszym roku studiów pamiętała, że numer kierunkowy do Francji to 33. Spróbowała jeszcze raz, ale znowu usłyszała głos z brytyjskim akcentem. „Przepraszamy...”.

Prychnęła lekko i się rozłączyła. Pewnie i dobrze, że się nie połączyła. Byłoby jej trudno wyjaśnić mamie, dlaczego dzwoniła za granicę.

– Quai de Béthune – powiedziała, kiedy chodziła po pokoju i przyglądała się adresowi.

Brzmiało jej to znajomo. Pewnie dlatego pomyślała o Paryżu. Ale nie potrafiła umiejscowić tej nazwy. To jest pewnie gdzieś nad Sekwaną, musi przecież być woda, żeby można było mówić o nabrzeżu.

– Quai de Béthune – powtórzyła i przyjrzała się kartce.

Papier zaczął się marszczyć i wysychać. Był cały jasnobrazowy, od góry do dołu. Annie zerknęła na pozostałe kartki leżące na biurku. W większości były tak samo poplamione i mokre. Chętnie by się kopnęła, ale pewnie i to by schrzaniła.

– Cholera – mruknęła. – Gus mnie zabije.

Nagle usłyszała zgrzyt.

Przestraszona, podniosła głowę. Ktoś szarpał za klamkę. Serce jej podskoczyło.

– Do diabła! – krzyknęła i zerwała się na równe nogi, żeby zebrać kartki. – Cholera!

Cholera! Cholera!

Większość była mokra. Czują, jak się skleją.

– Annie? – odezwała się Laurel. – Jesteś tu? Kurczę, mój klucz zawsze się zacina w tym zamku.

– Tak, tak. Już idę!

Spojrzała na kartki trzymane w dłoniach i uznała, że nie ma wyboru, musi je wcisnąć do plecaka. Wzdrygnęła się, kiedy papier się skleił, tworząc rozmiękłą pulpę.

Drzwi się otworzyły.

– Cześć, mamó – powiedziała Annie i domknęła suwak plecaka.

Cisnęła nim w kierunku łóżka, prawie powalając przy tym Laurel, która przechodziła przez pokój.

– Rety! Ale się spóźniłam. Oj... latający plecak.

– Miło, że przyszedłeś – burknęła Annie.

– Bardzo cię przepraszam.

Laurel zamilkła, żeby złapać oddech. Annie wytrzeszczyła oczy, zdumiona tym, że matka prezentowała się tak niechlujnie. Lśniła jej twarz, włosy miała skołtunione. A kostium? Wyglądał, jakby wyciągnęła go z torby z darami w kościele.

– Mamo?

– Przepraszam. Przepraszam – powtórzyła Laurel. – Spotkanie się przedłużyło, był potworny korek i... – Przerwała i wypuściła z siebie powietrze. Wyglądała na wykończoną. – Innymi słowy – dodała – tłumaczę się jak zawsze.

– Taa – odparła Annie i chrząknęła. – W rzeczy samej. Twoje wymówki się przeterminowały, więc możesz je wciskać komuś innemu, bo ja ich już nie kupuję.

Annie powinna odpuścić trochę matce, przecież jej ostatnie poczynania też nie były bez zarzutu. Ale nie potrafiła się powstrzymać, co od kilku dni stanowiło niepokojącą tendencję.

– Kochanie, wydajesz się zdenerwowana – zauważyła Laurel.

– To jasne, że jestem zdenerwowana! Spóźniłaś się godzinę, a ja umieram z głodu!

Chodziło rzeczywiście o te dwie sprawy, ale także o coś więcej.

Owszem, Annie obraziła się na matkę i miała wrażenie, że jej żołądek zaraz sam wyskoczy poszukać czegoś do jedzenia, lecz poza tym była niesłusznie zła na Erica o to, że okazał się taki cudowny, a potem wszedł na okręt. Wkurzyła się ponadto na właścicielkę hotelu, Nicolę Teepers. Ta kobieta mogłaby zamieścić przy telefonie instrukcję wykonywania połączeń międzynarodowych.

Miała również za złe Gusowi to, że sącył jej informacje kropla po kropli, zupełnie jak pani Spencer Winowi. Jak rany! Annie była nawet wściekła na panią Spencer o to, że kobieta umarła przed dwudziestu laty.

Jednak bardziej niż na tych wszystkich ludzi Annie złościła się na siebie. O rozlaną coca-colę. O „pracę”, którą uwielbiała, a którą sobie wymyśliła. No i kim trzeba być, żeby się w ogóle wściekać na Laurel, Gusa, Nicolę i Erica?

I dlaczego Annie aż tak się denerwowała? Jakim cudem do takiego obłędu mogła ją doprowadzać książka, stara historia, w której pewnie więcej było fikcji niż faktów? Nie mogła uwierzyć, że z tych wszystkich ludzi z opowieści Gusa najwięcej sympatii budził w niej Win. Ta książka i historia miały zaważyć na jego przyszłości. Dlaczego Annie tak dobrze to rozumiała? Dlaczego czuła się tak samo?

GEORGE & DRAGON

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

Gladys usłyszała o zaręczynach księcia Marlborough z Consuelo Vanderbilt, gdy miała około trzynastu lat. Księżę ożenił się z wybranką w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku w zamian za wartość dwa i pół miliona dolarów udziały w Beech Creek Railway.

„Przypuszczam, że czytałaś o zaręczynach księcia Marlborough – napisała Gladys do przyjaciółki. – Ojejku! Gdybym była odrobinę starsza, mogłabym go złowić! Ale niestety! Jestem za młoda, mimo że zorientowana w kobiecej magii. Co mi jednak z tego? Będę musiała pogodzić się z tym, że nie zdobędę Marlborough”.

Poświęciła kilka chwil na to, by zazdrościć szczęścia Consuelo i jej nowej egzystencji, ale Gladys Deacon nie była kobietą, która przystałaby na moralną lub uczuciową porażkę. Poprzysięgła sobie zdobyć Marlborough i w rezultacie osiągnęła swój cel.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

Annie wahała się, stojąc w drzwiach.

Rozejrzała się po barze i uznała, że Gusa nie ma. Kolejne niepowodzenie panny Haley. Annie pozwoliła, żeby ramiona jej opadły, i powłócząc nogami, wyszła na ulicę.

Usłyszała ostry gwizd.

– Annie! – zawołał czyjś głos.

Wsadziła głowę za drzwi.

– Cześć, Ned! – powiedziała. – Ja...

– Jest tam. – Ned wskazał kciukiem w stronę rogu. – Stapia się z boazerią, stary dziwak. Szokuje mnie tym tak samo jak ciebie.

Annie zmrużyła oczy i popatrzyła w głąb lokalu na Gusa, który siedział w boksie i sączył cydr w towarzystwie drugiego mężczyzny. Był to rachitycznej budowy człowiek z burzą kręconych czarnych włosów i haczykowatym nosem. A więc Gus rzeczywiście znał innych ludzi. Co za niespodzianka.

– Panno Annie? – zagaił ją Ned, unosząc pytająco brwi. – Możesz do niego podejść. Nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Nie chcę im przeszkadzać – odparła. – Złapię Gusa później. Cześć!

Annie cofnęła się, nie odrywając wzroku od tajemniczego towarzysza Gusa. Nagle mężczyzna z kręconymi włosami wstał. On i Gus uścisnęli się z przymusem i pokleпали szorstko po plecach. Jakby się bili. Mężczyzna wyrzucił z siebie „do widzenia” po raz ostatni i ruszył w stronę Annie. Zamarła. Minął ją i posłał jej serdeczny uśmiech.

– Annie! – krzyknął Gus, kiedy miała już, z niewyjaśnionych przyczyn, ruszyć za nieznajomym. – Przyszłaś w samą porę! Mam wolną resztę dnia!

– Och, cześć – wydukała i podeszła niepewnym krokiem do jego stolika. – Co słychać?

– Niewiele. A jak ty się miewasz tego uroczego popołudnia? Widzę, że władze cię jeszcze nie dopadły.

– Jesteś po prostu przezabawny.



Annie rzuciła plecak na stół i opadła ciężko na krzesło.

– Dobrze się czujesz? – zainteresował się Gus.

– Kto wie? – odpowiedziała. – Kto to był? Wydawało mi się, że nie masz przyjaciół.

– Wielkie nieba! Ależ ty jesteś dzisiaj dociekliwa, co? To nie był mój przyjaciel, tylko brat. Jamie.

Gus złożył gazetę, zdjął okulary i odłożył je na stół.

– Brat? – zapytała Annie, mrugając. – Masz... A, prawda. Nicola o nim wspomniała. Za to ty nigdy o nim nie mówisz. Nigdy. To dziwne.

– A o czym tu mówić? Niewiele można o nim powiedzieć. – Gus pociągnął łyk cydru. – O co chodzi?

– Z czym?

– Z tym. – Wskazał na nią szklanką trzymaną w dłoni. – Z twoją twarzą. Nie ma na niej krztyny radości.

– Och. Nie wiem. – Annie pomyślała przez chwilę. – Trudno powiedzieć. Czuję, że stoję w miejscu. Chyba.

– Stoisz w miejscu? W jakim sensie?

W każdym, jeśli miałyby być szczerą.

Utknęła w martwym punkcie, jeśli chodzi o historię księżnej. A także Wina i Pru. Poza tym tkwiła fizycznie w Anglii, podczas gdy jej matki najczęściej nie było, narzeczony zaś płynął okrętem na wojnę.

Poza tym w sensie egzystencjalnym tkwiła między dzieciństwem a dorosłością. Eric wyruszył na wojnę. Tymczasem ona pewnie nawet nie mogłaby wynająć samochodu bez podpisu Laurel.

– Annie? – ponaglił ją Gus.

– Jestem sfrustrowana – powiedziała. – I to na całej linii. Po prostu... – Nawet nie mogła dokończyć zdania.

– Ach. Zatem chodzi o twój projekt.

– Między innymi.

– Nie dziwię się – stwierdził Gus. – Jesteś bardzo empatyczna. Historia prawdopodobnie na tyle cię wciągnęła, że przejęłaś niezadowolone Wina i Pru.

– Po części tak. Ale, Gus. Tak na poważnie. – Wzniosła ręce ku niebu. – Jesteś tak samo okropny jak pani Spencer!

– Tak samo okropny jak pani Spencer? – Otworzył szeroko oczy. – Nie wiem, czy powiedziałaś mi komplement, czy też chcesz, żebym się stąd zwinął.

– Zostawiłaś mnie wczoraj pod hotelem. Z milionem rozproszonych elementów tej historii. Wiem, że przeszkodziła nam Nicola, ale zrobiłaś mi mętlik w głowie, a potem mnie porzuciłaś.

– Porzuciłaś?

– Nie ułatwiasz mi tego. I muszę stwierdzić, że to nie jest miłe.

– Annie, każda historia ma swoje tempo – stwierdził Gus. – Ta o pani Spencer i Winie również. Nie można wyrzucić z siebie wszystkiego przy pierwszym podejściu. Powinnaś to wiedzieć jako miłośniczka literatury.

– Niektóre historie rozwijają się zbyt wolno. Te niemrawe są najgorsze. – Annie rozpięła plecak i wyciągnęła maszynopis. – To jest to, co czytałam. Owszem, ukradłam je i, tak, zalałam dietetyczną colą. Jestem beznadziejną strażniczką ważnych dokumentów. Co mi to dało?

Wygląda na to, że większość wiedzy na temat pani Spencer, księżnej, kimkolwiek była... Win czerpał z artykułów prasowych i z czasopism plotkarskich, a nie od tej kobiety.

– Pokaż mi, co tu masz – powiedział Gus i założył okulary.

Wykazał się prawdziwym bohaterstwem i wydawał się spokojny. Nie pokazywał po sobie, że ma ochotę udusić Annie. Przynajmniej przez pierwszych kilka sekund. Ale kiedy obrócił najbardziej zalaną colą kartkę, jego twarz zrobiła się biała.

– Annie, to...

– Wiem! Wiem! – wykrzyknęła i oparła czoło o stół. – Jestem beznadziejna. – Spojrzała na niego. – To jest czterysta trzydziesty siódmy powód mojego zdenerwowania – oznajmiła. – Ciamajda ze mnie. Oferma. Że już nie wspomnę o wyjątkowym wścibstwie.

Na twarzy Gusa malowała się emocja, której Annie nie potrafiła rozszyfrować (irytacja? zdumienie?). Mężczyzna oddał jej maszynopis. Otarł krople potu z czoła.

– Nie jesteś nawet w części tak zła – stwierdził.

– Ośmielę się nie zgodzić – odparowała. – Co dalej? Co się stanie teraz? Pomóż dziewczynie, która ma mętlik w głowie.

– Jakie dalej?

– Czy pani Spencer w końcu puściła farbę? – zapytała. – Czy też Win nękał biedną staruszkę, aż wyzionęła ducha z wyczerpania lub starości? Nie zapominajmy też o bladej i zabiedzonej Pru Valentine, przyglądającej się wszystkiemu z kącika. Pewnie przeczytała z tysiąc ksiązek, zanim Win napisał swoją.

– Cóż – powiedział Gus, wpatrując się w maszynopis leżący na stole. – Pani Spencer zaczęła w końcu mówić. Zaczęła pomagać Winowi na swój marginalnie pomocny sposób.

– Marginalnie pomocny? To określenie do niej pasuje. Czy przyznała się w końcu do tego, że jest księżną?

– Niezupełnie. Dostarczyła Winowi więcej materiału, ale nadal utrzymywała, że nie jest księżną.

– Dlaczego poświęcała na to czas? – zdziwiła się Annie. – Skoro nie zamierzała wyjawić całej historii, dlaczego nie paplała dalej o kurczakach i gęsiach?

– Słuszne pytanie. Pewnie nadal by tak robiła, gdyby nie przeszkodził jej w tym wszechświat.

– Wszechświat?

– Albo Bóg. Los. Nazwij to, jak chcesz. Widzisz, niemal z dnia na dzień pani Spencer przestała widzieć w Pru półprzezroczystą niedoświadczoną pomoc domową i uznała ją za rywalkę. I nikt, a już na pewno nie Amerykanka, nie zepsuje tej kobiecie pieczołowicie opracowanego, mającego blisko sto lat przedstawienia.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

STYCZEŃ 1973 ROKU

– Przyniosłam ci kaczkę – powiedziała Pru i postawiła talerz na biurku Wina. – To nie jest nasza kaczka. Kupiona na targu. Chociaż nie wiadomo, skąd oni biorą te kaczki, więc może to jedna z naszych.

Przesunęła kilka kartek i spodziewała się, że Win ją odgoni. Wyraźnie powiedział, że lubi swój bałagan. On jednak siedział nieruchomo z rękami spuszczoneymi jak mokre liny na kolana.

– Co się stało tym razem? – zapytała. – Nie polepszasz swojego wizerunku posępnego pisarza.

– Myślałem, że połknie haczyk – powiedział najżałośniejszym, przepelnionym smutkiem tonem. – Książę Willy wisiał sobie bezradnie na szali, świat był w równowadze. Myślałem, że przy tej historii nabierze rozpędu.

– Nadała jej trochę barw – zauważyła Pru. – To nie była całkowita strata czasu.

– Co ty o tym wiesz? Czytałaś cholerną książkę.

– Mam podzielną uwagę. Poza tym rozmowa o księciu Wilhelmie odbyła się kilka dni temu! Dlaczego nadal cię paraliżuje?

Win spojrzał na nią i jednym ruchem dłoni odgarnął włosy. Krótka fryzura zniknęła bez śladu. Przez nią wyglądał bardzo staromodnie, kiedy Pru zobaczyła go po raz pierwszy. Nawet ogolona niegdyś twarz kryła się za zarostem, który zaczął już przypominać brodę. Zarost na twarzy – kolejna rzecz, której Win nie potrafił doprowadzić do końca.

– Naprawdę minęło kilka dni? – spytał. – Bo mnie się wydaje, że tylko kilka godzin.

– Czas biegnie szybko, kiedy ktoś się dobrze bawi. A ty niewątpliwie masz ubaw po pachy. No, spróbuj tej kaczki. Wyglądasz mizernie. Rozczulanie się nad sobą na pewno jest wyczerpujące.

– To nie ma sensu – rzucił Win. Nie słuchał jej. – Gladys Deacon lubiła się popisywać, okazywać swoją wielkość. Zapobiec wojnie? Czy to nie wystarczy, żeby wydusić księżną z pani Spencer?

– Może naprawdę uważa się za panią Spencer.

Albo to, albo pisarz mylił się od początku. Pru zastanawiała się nad tą teorią od kilku dni.

Miał trzydzieści cztery lata i nic nie osiągnął. Win Seton nie był autorytetem w żadnej dziedzinie, ponadto wydawał się w pełni zadowolony z tego, że siedział w pokoju jak niegrzeczny dzieciak z powieści Dickensa. Pru nie rozumiała, jak człowiek mógł żyć tak zupełnie bez celu, a równocześnie być tak zdeterminowany. Zmuszało ją to do kwestionowania wszystkiego.

– Nigdy mi się nie uda, prawda? – jęknął Seton. – Cały ten układ diabli wezmą i okaże się, że wszyscy mieli co do mnie rację. Do ostatniej osoby.

– Poradzisz sobie – powiedziała Pru bez zapału, kiedy poprawiała kaczkę. – Pani Spencer dojdzie do siebie.

Pru nie do końca w to wierzyła i nawet rozumiała panią Spencer. Obie miały raczej dość fochów Wina. Można by pomyśleć, że to on stracił narzeczoną na wojnie. Albo udawał wariatkę.

– Nie pójdę tam znowu – oznajmiła następnego wieczoru, kiedy pani Spencer smażyła jajka na płycie kuchni.

– To niech pani nie idzie – odpowiedziała po prostu pani Spencer.

– Mogłaby mu pani pomóc.

– Cudownie. A jak niby miałabym tego dokonać?

– Gdyby udzieliła pani biedakowi chociaż skrawka informacji, mogłaby pani zmienić całą sytuację.

– Skrawka informacji? – zdziwiła się pani Spencer. – Czy pani nie uważała? Każdego wieczoru odsłaniam przed nim swoje sekrety!

– Według mnie tylko pije pani whisky i żuje tytoń – stwierdziła Pru. – A dzięki pani braku zaangażowania cała ta historia zmieściłaby się w pudełku po zapalkach. Obawiam się, że w rezultacie popadł w nieodwracalną depresję.

– To nie moja wina, że gówniany z niego pisarz – rzuciła pani Spencer i zgarnęła jajka do wyszczerbionej kobaltowej miski.

– Traktuje to pani jak zabawę, podobnie jak grożenie mieszkańcom miasteczka. Obchodzi się z nim pani jak koty z na wpół żywą, częściowo przyduszoną myszą. Rzuca pani kolejnego gryzonia na stos.

– Zadaje nonsensowne pytania. – Pani Spencer przechyliła solniczkę nad jajkami i energicznie nią potrząsnęła. – Jak mam odpowiadać na pytania dotyczące życia kogoś innego? A teraz proszę zanieść mu jego jedzenie.

– To pani powinna to zrobić. I zostać. Trochę powspominać. Podsunąć temu człowiekowi anegdotkę lub dwie.

– Nie, dziękuję.

– Nie rozumiem, dlaczego czerpie pani taką wielką przyjemność z bycia tak kapryśną! – Pru zgarnęła bochenek chleba z blatu i wyszła, po drodze przewracając oczami. – Głupia kobieta – powiedziała, tupiąc po schodach. – Głupi dom.

Zawahała się przy ostatnim stopniu. Spojrzała w stronę pokoju Wina. Mimo że światło się paliło, nie słyszała zwyczajowego stukotu maszyny do pisania ani nawet skrzypienia jego krzesła. Zwykle Seton walił w maszynę jak wściekły i napierał na nią całym ciężarem ciała, kiedy zapełniał stronę.

– Win? – szepnęła Pru.

Może będzie miała w końcu odrobinę szczęścia i okaże się, że śpi, bierze prysznic albo padł z brudu. Nie będą musieli rozmawiać i Pru będzie mogła zostawić talerz przed drzwiami jego pokoju, w dickensowskim stylu. Rozmowa o książce, która wcale nie powstawała, była dość niezręczna. Witaj w rodzinie, powiedziałaby Win, gdyby wyjawiała mu swoje odczucia.

– Panie Seton? – odezwała się.

Otworzyła drzwi. Jak wszystko w domu, skrzypiały przy lekkim dotknięciu. Weszła do środka, powłócząc nogami. Zauważyła, że biurko Wina jest puste. Tylko trzy muchy bzyczały nad pustym brudnym talerzem.

– Dzięki Bogu. – Pru oparła się o ościeżnicę i wypuściła głośno powietrze. – Może w końcu postanowiłeś się wykąpać. Albo położyć kres swojemu nieszczęściu.

– Nic z tego – powiedział głos.

Odwróciła się. Win siedział na łóżku i ścisnął między nogami butelkę wina. Freud miałby używanie.

– Ja... hm... – jąkała się.

– Obawiam się, że jestem jeszcze żywy. Nie denerwuj się tak, panno Valentine, nie ty pierwsza wyrażasz taką opinię. Dołączysz do mnie? Nieszczęście lubi towarzystwo. Zwłaszcza

tajemniczych młodych asystryjek chorych psychicznie osób.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

STYCZEŃ 1973 ROKU

– Dzień dobry – powiedziała Pru. Serce jej waliło. – Nie zauważyłam cię.

– Najwyraźniej.

– Przepraszam. Nie chciałam...

Win pokręcił głową i machnął ręką. Starła się utrzymać wzrok na wysokości okna lub wyżej, mężczyzna siedział bowiem w bieliźnie, a butelka wina wystawała mu spomiędzy nóg. Pru spostrzegła, że miał atletyczne uda, żylaste, pokryte jasnymi włoskami. Natychmiast złązała się za to, że w ogóle zwróciła na nie uwagę.

– To ja powinienem cię przeprosić za nieprzyzwoity stan i wulgarne zachowanie – stwierdził Win. – Jesteś zbyt subtelna, żeby tu mieszkać.

– Nie jestem ani trochę subtelna. Pewnie dlatego nie wybiegłam stąd z krzykiem, co zrobiłaby każda inna rozsądna osoba.

– Może subtelna to nie najlepsze słowo. Masz w sobie, jak to powiedzieć... „kobiecą godność nieco pośledniejszego gatunku”.

– Kobiecą godność nieco pośledniejszego gatunku – powtórzyła.

To nie były słowa jego autorstwa. Zamknęła oczy i od razu sobie przypomniała zapach książki, z której pochodziły.

– Hardy? – zapytała i otworzyła oczy. – Mam rację?

– Tak – przytaknął i pociągnął łyk wina. – Tak określono Liddy, pokojówkę Betsaby, w *Z dala od zgiełku*.

– A więc jestem pokojówką?

– A czy tak nie jest?

– Tak – przyznała z westchnieniem. – Pewnie tym właśnie jestem.

– Nie smuć się tak. To ja jestem nadwornym nieszczęśnikiem. Ty masz przynajmniej godność.

– Nie jesteś nieszczęśnikiem – skłamała.

– Sama przed kilkoma chwilami zasugerowałaś, że powinienem ze sobą skończyć.

Wielkie nieba, nie oburzaj się tak. Miałaś rację. – Pociągnął kolejny łyk wina. – Ktoś powinien wybawić mnie z mojej niedoli. – Win podniósł magnetofon, który leżał na łóżku. – To cholerne urządzenie – powiedział. – Wiesz, co tu jest?

– Twoje rozmowy z panią Spencer?

– Zgadza się. Czyli wielkie nic. Zero. Proszę. Sama posłuchaj. – Nacisnął guzik.

– Gęsi – powiedziała pani Spencer. Jej głos trzeszczał z taśmy. – W stawie mieszka rodzina gęsi. Każdego wieczoru o osiemnastej zrywają się do lotu, jak w zegarku. Okrążają całe Banbury i wracają do domu. Lubię rytuały. A pan, panie Seton?

– Tak, pani Spencer. Nie ma nic wspanialszego od rytuałów gęsi.

Win nacisnął drugi przycisk.

– Może przewiniemy taśmę do kolejnej wypowiedzi naszej GD – zapytał, próbując przekrzyczeć zgrzyt przewijanej taśmy.

– GD?

– Gladys Deacon. Albo Guzik ci Dam. Proszę wybierać. Powiedz, kiedy mam zwolnić ten przycisk. W dowolnym momencie. W dowolnym! – Oderwał palec. – Proszę.

– Czasami nie mogę się doliczyć kurczaków – powiedziała pani Spencer. – Pewnie pan myśli, że pozwalam im biegać bez ładu, zupełnie ich nie kontrolując. Owszem, pozwalam im biegać swobodnie. Komu powinno się tego zabronić? Ale prowadzę uważną inwentaryzację. Znam ich imiona i wiem, gdzie który jest pod koniec dnia.

– Gęsi i kurczaki – burknął Win i wyłączył magnetofon. – Proszę nie zapominać o łabędziach i perliczkach. Te nagrania byłyby nie do zniesienia nawet dla ornitologa.

Westchnął, wziął zamach i rzucił magnetofonem. Kiedy sprzęt uderzył o ścianę, Pru podskoczyła. Przywykła do jego zrzędzenia, ale nie spodziewała się przejawu determinacji. Na swój sposób było to pokrępiące. Win miał w sobie jeszcze trochę życia.

– Powinieneś uważać – powiedziała i podbiegła, żeby podnieść urządzenie. – Wątpię, żeby pani Spencer kupiła ci nowy magnetofon.

Kiedy się pochyliła, zauważyła, że sprzęt jest cały. Mimo że Win był (niegdyś) opalony i zachowywał się jak pewny siebie futbolista, nie był raczej wysportowany. Widziała bardziej niszczycielskie napady złości w wykonaniu dzieci, które kręciły się w okolicy przedszkola w Banbury.

– Nie będę miał magnetofonu? – odezwał się Win. – Tragedia, bo co ja pocznę bez szczegółowych informacji na temat kurczaków? Możesz go zatrzymać, panno Valentine. Nie wiem, jakie masz hobby i czy zdobyłaś jakieś wykształcenie. Lecz na pewno będziesz mogła coś nagrać. Jakies przemyślenia filozoficzne lub równania kwadratowe wymagające rozwiązania. Możesz śpiewać. Świergolić jak Don McLean. Nagrać *American Pie* w wersji z Grange.

– Jeszcze nigdy nie spotkałam człowieka tak bardzo opętanego uzalaniem się nad sobą. Przypominasz jakiegoś przekłętą szczura, który ciągle wraca do pułapki. I owszem, mam jakieś wykształcenie. Studiowałam w Berkeley. – Uniosła pięść. – Walczmy. Proszę. – Cisnęła magnetofonem w jego kierunku. – Weź to cholerstwo. Przyda ci się jeszcze. W pewnym momencie.

– Tak? – Win znowu westchnął. Tym razem głębiej, jakby chciał mieć pewność, że słyszano go w całych wzgórzach Cotswolds. – Usiądź. – Poklepał miejsce obok siebie.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – zapytała.

– Skończyłaś pracę na dzisiaj, prawda? – upewnił się. – Spaniele wykąpane, mają przycięte pazurki, są nakarmione i wysterylizowane...

– Gdyby to było możliwe.

– Starsza pani pójdzie zaraz spać. Dołącz do mnie. – Poklepał łóżko ponownie. – Razem mieszkamy w tym bałaganie. Równie dobrze moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

– Domyślam się, że sporo już wypieś.

– Możemy wznieść toast za moje dalsze porażki.

Pru z westchnieniem usiadła na łóżku.

– Mogę zostać – stwierdziła. – Na chwilę.

Jeszcze nie skończyła pracy zaplanowanej na ten dzień, ale Win był bardziej interesujący od zbierania psich kup – przynajmniej tyle mogła o nim powiedzieć.

– Proszę – powiedział i podał jej wino. – Do dna.

Pru wzięła od niego butelkę i zajrzała do środka. Czy na dole mogą być jakieś kieliszki? Czy też ma pić prosto z butelki? Nie była zbyt wymagająca, ale jakieś szkło by się przydało.

– Skąd je wziąłeś? – zainteresowała się.

– Przywiozłem ze sobą kilka litrów. – Beknął cicho, ale ostro. – Moja rodzina ma

winnicę. Walijskie wino. Jest do bani i radziłbym nie stawiać go nigdy blisko ognia. Jest to jednak wino. I czasami to wszystko, czego człowiekowi potrzeba.

Pru nigdy nie przepadała za winem. Lubiła się od czasu do czasu napić piwa na studiach, niekiedy pociągnęła kilka machów jointa, ale to tyle. Teraz jednak tkwiła w nawiedzonym domu, mając za towarzystwo pisarza i wariatkę. Wino wydawało się logicznym lekarstwem.

– A co mi tam – powiedziała i pociągnęła łyk.

Kiedy trunek przesunął się w jej gardle, gorący i lekko palący, Pru natychmiast zrozumiała komentarz dotyczący otwartego ognia. Po kilku sekundach ściśnięty żołądek się rozluźnił. Pru przechyliła butelkę po raz drugi.

Może i Win był trochę wstawiony, ale był też zdezorientowany. Sytuacja niebywale go zaskoczyła – jakaś kobieta znajdowała się dokładnie tam, gdzie chciał. W tym wypadku z własnej woli uczestniczyła w rozmowie z nim.

Pru wyróżniała się również na tle innych. Nie była typową dziewczyną, jakie spotykał na uniwersytecie i podczas niezbyt subtelnych prób swatania go przy kolacji w domu rodziców. Wszystkie te Imogeny, Rosalie, siakie i owakie, nie były tak atrakcyjne jak Pru.

Owszem, zauważył, że byłaby tym zaskoczona. Chociaż pozornie wybrał się w podróż w jedną stronę do posiadłości księżnej, to jednak nabrał sporo szacunku dla Pru. Była urocza, mądra, a za jej nerwowością kryło się szelmowskie poczucie humoru. Kiepsko ją znał, ale prawda była taka, że Pru intrygowała go od początku. A teraz, kiedy siedziała obok niego, miał problem z tym, co z nią zrobić, i jeszcze większy z tym, jak ją skusić, żeby została.



– Moja jasna Amerykanko – zagaił Win, kiedy tak podawali sobie wino. – Co tutaj robisz?

– Przyniosłam ci jedzenie, jak zawsze. Ale jeśli chcesz, żebym wyszła... – Pru wstała. Czowała gorąco i słabość w nogach.

– Nie – zaoponował Win i delikatnie pchnął ją z powrotem na łóżko.

Nie od razu zabrał dłoń z jej kolana. Po ciele Pru przebiegł dreszcz.

– Proszę, zostań – powiedział. – I nie pytałem o to, co robisz w tym pokoju. Tylko tutaj, w tym starym domu, z tą staruszką? Napij się jeszcze.

– Mogłabym zapytać o to samo – odparła. Była coraz śmielsza za sprawą wina, chociaż jego posmak nadal gryzł ją w nos. – W przeciwieństwie do ciebie otrzymuję wynagrodzenie. I to dość przyzwoite.

– Twoje wytłumaczenie jest znacznie lepsze od mojego.

– Nie musiałam się za bardzo starać.

– Auć! Chyba będę miał bliznę po tym ciosie. – Zachichotał. – Uważasz, że to dziwne, prawda? Że tak bardzo przejmuję się tą staruszką?

– Można to tak ująć.

– Co mi się udało osiągnąć w ciągu tych trzech tygodni?

– Z tego, co wiem, to nic – odparła Pru i znowu się napiła.

– Tyle wysiłku. Tyle niepotrzebnej walki! Naraziłem się na wysrane z palca konfabulacje, ślęczenie nad pustymi taśmami. Być może nawet zarażę się tyfusem w tym zatęchłym domu. Wszystko w imię badań.

– To ty to powiedziałaś, nie ja.

– Czy nie wiem, że na świecie żyją głodujące dzieci? – ciągnął. – Wydarzają się kataklizmy? Trwają wojny, na Boga! W Afryce. Na Bliskim i Dalekim Wschodzie. Dzięki wam, dziarscy Amerykanie, całe wioski są wysadzane w powietrze!

Pru się wzdygnęła i wyrwała mu butelkę z łap.

– Teraz już rozumiem, dlaczego jesteś pisarzem – powiedziała. – Brakuje ci umiejętności interpersonalnych, by wykonywać prawdziwą pracę.

– Nie będę z tym dyskutował.

Kurczę, już to chrząnił, a nie wiedział nawet dlaczego. Choć nie powinno go to dziwić. Niewłaściwe zwrócenie się do tej ślicznej dziewczyny było tylko kwestią czasu.

– Nie wiem, co takiego powiedziałem, że cię uraziłem...

– Może i mieszkam w rozpadającej się rezydencji – odezwała się Pru, przerywając tym samym jego wypowiedź. W jej głosie pobrzmiwało rozgoryczenie. – I pracuję dla staruszki, która lubi dla rozrywki strzelać do ludzi. Ale przynajmniej mam dość rozsądku, by nie rozprawiać o kwestiach, o których nie mam pojęcia.

– A ja to niby robię, tak? Lubię się wymądrzać. Wiedza jest przeceniana, moja dociekliwość zaś sprawia, że ludzie cieszą się, że nie są obciążeni tak pokretnym umysłem.

Wyświadczam społeczeństwu przysługę! Dość tej kwaśnej miny. Mam prawo wyrażać swoją opinię. Jak wy to nazywacie tam w Ameryce? Wolnością słowa?

– Owszem, ale wolność słowa nie usprawiedliwia ignorancji.

– Chryste. Drażni cię trochę temat Wietnamu, co?

Win przechylił butelkę, ale osuszyli ją do dna. Zastanawiał się, czy Pru chciałaby, żeby otworzył kolejną.

– DRAŻNI?! – powtórzyła Pru. – Czy ty masz w ogóle jakieś maniery?

– O co chodzi? Nigdy nie spotkałaś przeciwnika wojny? – zapytał i rzucił butelkę na podłogę. Wydała głośny dźwięk i potoczyła się w stronę Pru. – Podobno studiowałaś w Berkeley. Słyszałem, że jest tam całkiem sporo protestujących.

– Nie masz o tym bladego pojęcia – stwierdziła Pru. – Dlatego proszę z szacunkiem, żebyś zamknął jadaczkę.

– Cholera, nie spodziewałem się takiego...

– A skoro już rozmawiamy o wojnie – ciągnęła Pru, teraz już mocno zirytowana. Kopnęła butelkę i patrzyła, jak toczy się w kierunku Wina. – Cieszę się, że wybawiliśmy twoich bladych, budyniowatych ziomków z niemieckiej opresji.

Win otworzył usta. Chciał się odezwać, ale zabrakło mu słów.

Można było powiedzieć o nim wiele rzeczy, także to, że był nadwornym idiotą w Banbury, ale nigdy nie chciał być celowo nieuprzejmy. Owszem, zdarzało mu się być przypadkiem okrutnym i otrzeć się o przestępstwo, ale nigdy celowo. Nie docierało do niego, co robi, dopóki nie dostrzegł, jak bardzo upodlił tę dziewczynę. Sprowadził ją do swojego nieszczęsnego poziomu. Tylko po co? Przecież guzik go obchodził ten Wietnam.

– Jasna cholera – powiedział i przecesał palcami zarost na twarzy. – Panno Valentine, nie chciałem być takim dupkiem. To miał być żart. Który okazał się strasznym niewypałem.

– Owszem. Nie był ani trochę zabawny – odparła Pru i skrzyżowała ręce na piersiach. Przyglądała mu się dłuższą chwilę, zanim znowu się odezwała. – Chyba zareagowałam zbyt żywiołowo – przyznała. – To dla mnie drażliwy temat.

– Chryste – rzucił, bo prawda uderzyła go z całą mocą. To jasne, że temat był dla niej drażliwy. Takie oczywiste. – Twój ukochany walczy z Wietnamcami, prawda?

Pru zacisnęła usta. Nie zamierzała odpowiadać. Nie chciała brać udziału w tej grze.

– O ja pierdolę! Wybacz mi, jeśli potrafisz. Jestem pisarzem. Pisarze przesadzają.

Wygłaszamy nonsensowne stwierdzenia i uważamy się za mądrzejszych, niż kiedykolwiek uda nam się być. Otworzę kolejną butelkę. Wypijmy ją i zapomnijmy o tym, że ta rozmowa kiedykolwiek się odbyła.

Wyciągnął korek kilka sekund później. Pru w okamgnieniu pochwyciła butelkę i się napiła.

– Masz rację – oznajmiła usatysfakcjonowana. – Temat jest dla mnie drażliwy. Ale informuję, że w Wietnamie nie ma żadnego mojego ukochanego. Przykro mi.

– Serio? Wielka miłość nie puszcza tam długich serii z karabinu?

Pru pokręciła głową. Oczy ją piekły.

– Nie – powiedziała. – Nie ma tam wielkiej miłości.

– Dzięki Bogu! Co za ulga. Prawie się posikałem z wrażenia. Jeśli jeszcze nie zdążyłaś się zorientować, zawsze coś palnę jak chory w kubel. Wszystko zepsuję. Zawsze.

– Niczego nie zepsułeś – zauważyła Pru. – Po prostu nie wiedziałeś.

Sięgnął po butelkę, ale Pru najpierw pociągnęła z niej łyk.

– Chcesz usłyszeć coś zabawnego? – zapytał Win, kiedy Pru oddała mu wreszcie wino. – Kiedy pani Spencer mówiła o zaręczynach... – Przez chwilę wyglądał na zamyślonego. – Nie

opowiadała o udomowionym ptactwie. Zdumiewające. W każdym razie, kiedy pani Spencer wygłaszała kazanie na temat konieczności zrywania z narzeczonymi, posyłała ci znaczące spojrzenia.

– Często posyła mi znaczące spojrzenia. Przewraca oczami. Puszczą oczko. Patrzy gniewnie.

– To było konspiracyjne spojrzenie – stwierdził Win. – Przez to się zastanawiałem, czy to dlatego tu trafiłaś. Pomyślałem, że rzuciłaś jakiegoś kolesia, być może wojennego podżegacza, i postanowiłaś się ukryć w wesołej starej Anglii.

– Pomyliłaś się – odpowiedziała Pru. Głowa się jej kiwała. – Żadnych porzuconych narzeczonych. Żadnego podżegacza wojennego wiele kilometrów stąd.

– Kurczę. Nie znoszę się mylić. Zbyt często mi się to zdarza.

Porzucony narzeczony w Wietnamie? Powinna mieć takie szczęście.

To ona została porzucona. Albo celowo, albo z powodu okoliczności, porzucił ją każdy, kogo znała. Charlie. Rodzice. Przeróżne ciotki i kuzynostwo. Przyjaciele ze studiów. Nawet rodzice Charliego.

Dobrze się trzymała w Grange, zajęta codziennymi obowiązkami pielęgnowania spanieli i dbania o tego pisarza. Ale czasami w środku nocy, kiedy sowy poleciały już do dziupli i stary dom wreszcie milczał, wpadała w panikę i brakowało jej tchu, gdy myślała o tym, jaka jest samotna.

Gdyby umarła w Grange (z powodu postrzału, tęcza, dowolnej trucizny), nie byłoby dokąd posłać jej ciała. Murray, Edith, pani Spencer, teraz Win. Tylko te cztery nieszczęsne osoby wiedziały, kim była. I tylko dwie przebywały na tym samym kontynencie co ona. I tylko jedna by się pewnie nią zajęła i wpakowałaby ją do lodówki z kotami.

– Uśmiechnij się, panno Valentine – odezwał się Win, zaniepokojony widokiem kogoś bardziej ponurego od niego. – Głowa do góry. Wszystko będzie dobrze.

Pru zastanawiała się, co Win by pomyślał, gdyby poznał wyobrażenia przewijające się przez jej umysł. Martwe koty. Unicestwieni narzeczeni. Części jej ciała zapakowane i schowane.

– Jestem pewna, że któregoś dnia będzie lepiej – przyznała bez przekonania. – Ale jeszcze nie teraz. Masz więcej wina? Odnoszę wrażenie, że ta butelka była mniejsza od poprzedniej.

Win pomyślał, że pewnie powinien uchronić tę sikorkę przed większą ilością trunku. Pru była młoda. Jej wątroba również. Jeszcze nie miała okazji sprawdzić, jak sobie radzi z przygnębiającym działaniem alkoholu. A on deprawował jedyną przyzwoitą osobę w tym cholernym domu.

– Panno Valentine – powiedział i otworzył trzecią butelkę. Do diabła ze zdrową wątrobą i złym wpływem. – Jesteś piękną młodą dziewczyną. Spotkasz na swojej drodze jeszcze wielu facetów. Często znajdowałem się w podobnej sytuacji i wiem, o czym mówię. – Przyjrzał się butelce, zanim podał ją Pru.

– Nie chodzi o to, że chcę...

– Myślisz, że moglibyśmy zaprosić panią Spencer? – zapytał Win. Zakłócił tok jej myślenia i nie pozwolił dążyć do wyjawienia prawdy, do czego się właśnie skłaniała. – Może by się rozgadała?

Pru chrząknęła. Pani Spencer. Oczywiście. Wszystko zawsze sprowadzało się do *Zaginionej księżnej*. Dla tego człowieka nie istniało nic więcej. Był bardziej żaloszny, niż początkowo zakładała.

– Jesteś niesamowity – powiedziała.

– Dziękuję.

– To nie był komplement. – Wyrwała butelkę z rąk Wina i pociągnęła łyk. Ciepło wywoływane przez trunkę wypełniało nadal jej ciało i umysł. – Nie pojmuję tego – stwierdziła, kiedy już ciężko przełknęła. – Dlaczego masz taką obsesję na jej punkcie? Pani Spencer. Lady Marlborough. Gladys Deacon. Jakkolwiek chcesz ją nazywać. Przecież dopiero ją poznałeś, prawda? Ja znam ją dłużej od ciebie.

– Owszem. Ale mam wrażenie, jakbym znał ją od zawsze.

– To nie ma sensu. I jest wysoce irytujące.

– Bo takie jest – odparł z nienaturalnym śmiechem.

Irytujące? Naprawdę był aż tak okropny?

– Moje życie było pełne bajek – ciągnął. – Bezustannie słuchałem historii o legendarnej Gladys Deacon. W moim umyśle stała się mitycznym stworzeniem, chimera, czarownicą, która nigdy nie straciła swojej mocy.

– Była również piękna – dodała Pru. – To też pomaga.

– Jasne. To prawda. Kiedy byłem nastolatkiem, jej portrety budziły we mnie... No, budziły coś we mnie. A w zasadzie na zewnątrz mnie, jeśli miałbym być poprawny z medycznego punktu widzenia.

– Boże, przestań, proszę. Dość tych komentarzy na temat pobudzenia twoich przydatków. Kochasz ją?

– Kogo? Księżną? Boże uchronaj! Przecież ma prawie sto lat.

– Czyli jest mniej więcej w twoim wieku.

– Ciekawe – powiedział Win, a w jego wesołości nie było tym razem nic wymuszonego. – Masz dość cięty język jak na kogoś, kto wydaje się ciągle rumienić i sprawia wrażenie, że jest zupełnie niewinny. – Win wcisnął butelkę w ręce Pru i zaczął chodzić po pokoju. – Ujmijmy to tak – ciągnął. – Dla mnie była mitem, legendą.

– Czy mit nie jest z definicji czymś wymyślonym? Tak przy okazji, wydaje mi się, że większą jego część wymyśliła, począwszy od zmiany daty urodzin.

– Księżna słynęła z tego, że opowiadała niestworzone historie – zgodził się z nią. – Ale jak ujął to Hardy: „Chociaż znaczna część jest zbyt dziwna, by dać jej wiarę, nic nie jest dość dziwne, by się wydarzyć”. Najbardziej nieprawdopodobne z jej historii to te, które inni potwierdzają jako fakt. A jak było z tobą, panno Valentine? Kto cię oczarował, gdy byłaś małą? Kto był twoim bohaterem w dzieciństwie?

– Nie wiem. Może Harriet szpieg<sup>12</sup>. Albo Mary Tyler Moore<sup>13</sup>.

– W porządku – stwierdził rozbawiony Win. – Mary to urocza dziewczyna. No i kto nie kocha Harriet? Ale dziewczyna z serwisu informacyjnego czy dzielny detektyw to nie to, o czym mówię.

– A więc o co chodzi? – zapytała Pru. – Wydaje mi się, że czekam na tę informację, ale nigdy jej nie usłyszę.

– Jasny gwint! Dlaczego tak trudno mi to wytłumaczyć? Mimo że żyję słowem, okazuje się, że kiepsko nim władam.

– Znowu się zaczyna – rzuciła Pru i przewróciła oczami. – Lejcie łzy nad najbardziej pechowym pisarzem na świecie! Na miłość boską, Seton, dlaczego nie zaczniesz działać jak normalny człowiek?

– A co to konkretnie znaczy?

– Zachowaj się jak gawędziarz z prawdziwego zdarzenia i zacznij od początku.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

STYCZEŃ 1973 ROKU

- Wszystko zaczęło się od mojego kupła Gadsa – powiedział Win.
- Gadsa? – Pru nie potrafiła się powstrzymać i prychnęła.
- O, młoda dama czepia się imienia mojego najlepszego przyjaciela. Już rozumiem.
- To mi wygląda na niedopracowany teatrzyk kukielkowy. Win i Gads zabawiają dzieciaki w bibliotece o trzynastej.
- Win otworzył usta z udawanym oburzeniem. Nie był przyzwyczajony słyszeć tak wiele złośliwości z ust kogoś, kto nie był zmęczony latami znoszenia jego gaf i błażeństw. O dziwo, nie miał nic przeciwko temu. Zapomniał, że porządne drwiny nie zawsze były bolesne.
- Teatrzyk kukielkowy? – zapytał ze śmiechem.
- Już wiem, że ta historia będzie komiczna. Win i Gads. Absurd!
- Dlaczego? To całkiem przyzwoite imiona! – powiedział Win, przyłączywszy się do żartów. – Zwiężle! Wyraziste! – Dwukrotnie machnął ręką, jak na kogoś o imieniu Win lub Gads przystało. – Nie widzę w tym nonsensu.
- Nie? Gads?
- To przydomki. Są praktyczne. I nie mają żadnych romantycznych odniesień, *Prunus laurocerasus*<sup>14</sup>. Nie powiem nic na temat twojego nazwiska, chociaż powinienem.
- Zarówno moje imię, jak i nazwisko są bez zarzutu.
- Zależy według kogo. Jeżeli miałabyś poczuć się z tym lepiej, Gads to oficjalnie lord George William bla-bla-bla wielkie mecyje. Jest najmłodszy z braci, więc jego tytuł nic nie znaczy. Od czasów dzieciństwa i potem w Eaton zawsze był dla mnie Gadsem.
- Gads – powtórzyła Pru po raz trzeci. – Nie rozumiem tych imion. Gads. Egads. Egads, ten to dopiero jest szurnięty! Jak szalony kapelusznik!
- Powinnaś popracować nad brytyjskim akcentem. I chociaż wydaje ci się, że jesteś zabawna, musisz wiedzieć, że wszystkie jego trzy żony, byłe i obecna, twierdziły, że jest stuknięty. – Win pokręcił głową, wciąż się śmiejąc. – Podobnie jak o większość rzeczy tak o żywe zainteresowanie lady Marlborough winię...
- Obsesję.
- Tak sumienne zainteresowanie księżną zawdzięczam Gadsowi i jego rodzinie. Gads jest tylko niewydarzonym młodszym bratem. To jego starszy brat John odziedziczył rodzinną spuściznę, jak to zawsze ze starszymi braćmi bywa.
- Tak, tak – potwierdziła Pru. – Zawsze tak jest. Gdybym tylko miała starszego brata, który odziedziczyłby nasz majątek.
- Pozwolisz mi skończyć? – zapytał Win z uśmiechem. – Starszy brat Gadsa odziedziczył tytuł w ubiegłym roku, po tym, jak poślubił trzecią żonę, córkę szwedzkiego księcia. Gads raczej się nie spodziewa, żeby ich związek był trwały.
- Brzmi to tak, jakby to wiedział na pewno.
- Niemniej jednak ta żona numer trzy może powiedzieć, że swego czasu była żoną jedenastego księcia Marlborough.

– Tego samego co... – Pru wskazała w stronę pokoju pani Spencer. – Tego?  
– Tak! Oczywiście, że tego! Jest tylko jeden książę Marlborough! To nie jest korporacyjne stanowisko, tylko tytuł. Dziedziczny. Naprawdę, panno Valentine, nie wiem, czy mogę mówić dalej.

– Spokojnie, kolego. Proszę o wybaczenie. My, Amerykanie, nie jesteśmy przyzwyczajeni do dziedzicznych tytułów. Zazwyczaj musimy włożyć trochę wysiłku, by zyskać takie uznanie.

– No tak. Nic za darmo. Trzeba sobie ręce urobić po łokcie. – Win przewrócił oczami. – W każdym razie leniwy brat Gadsa, nie-Amerykanin, odziedziczył tytuł po swoim ojcu, który był dziesiątym księciem Marlborough. Jak zapewne wiesz dzięki swoim rzekomym studiom, dziesiątka stoi przed jedenastką.

Teraz Pru musiała przewrócić oczami.

– Powinam to zapisać? – zapytała.

– Na wszelki wypadek – odparł. – Dziesiąty książę był nie tylko ojcem Gadsa i Johna, ale też tym okropnym pasierbem naszej gospodyni. – Ruchem głowy wskazał na drzwi. – Pani Spencer vel lady Marlborough, która poślubiła dziewiątego księcia. Nie dogadywała się najlepiej z dziesiątym. O, nie.

– Zatem księżna jest... – Pru zamilkła. – Babką Gadsa?

Win przytaknął.

– Pani Spencer jest babką twojego najlepszego przyjaciela? – upewniła się Pru. – Powiedziałeś jej o tym? Wydaje mi się, że powinna o tym wiedzieć.

– Dokładnie jest jego przybraną babką, ale to wystarczy. I nie, ta kobieta nie wie nic o moich relacjach z Gadsem. Oczywiście twierdzi, że nie jest księżną. Prawdziwą babką Gadsa była Consuelo Vanderbilt.

– Coon! – wykrzyknęła Pru i cicho klasnęła. – Najlepsza przyjaciółka pani Spencer.

– Zgadza się. Jak wiesz, Gladys zastąpiła Coon w roli księżnej Marlborough.

– Prosty przepis na zerwanie przyjaźni.

– E tam. – Win wzruszył ramionami. – Coon cieszyła się, że się wyzwoliła z oków zaaranżowanego małżeństwa z dziewiątym księciem Marlborough. Mówiono na niego Sunny od Sunderland, ale nie miało to najmniejszego związku z jego temperamentem<sup>15</sup>. Sunny i Coon pobrali się, żeby książę zdobył pieniądze, a ona jego klasę. Kiedy się rozwiedli, oboje się cieszyli ze zrzucenia fasady.

– Pani Spencer powiedziała mi, że wyszła za mąż dopiero po czterdziestce – powiedziała Pru. – Kiedy Coon i Sunny się rozwiedli?

– Krótko przed ślubem Sunny'ego z Gladys, choć żyli oddzielnie przez blisko dwie dekady, zanim wszystko sfinalizowano. Coon wyszła za mąż ponownie kilka miesięcy po podpisaniu papierów. Podobnie jak Gladys i Sunny, którzy jednak podróżowali już jako para od dziesięciu lat.

– Gladys dziesięć lat wcześniej oświadczyła, że go kocha – zauważyła Pru. – Kochała tego samego człowieka prawie przez całe życie. Wyobrażasz to sobie? Jaka z niej szczęściara.

– Szczęściara? Większość ludzi by się z tym nie zgodziła. Gladys i Sunny byli doskonałymi kochankami, ale zaraz po ślubie zaczęli drzeć koty. Chyba kochali się tak bardzo i tak długo, że mieli zbyt wygórowane oczekiwania względem siebie. Poza tym jego rodzina jej nie znosiła. Marlborough dziesiąty, ojciec Gadsa, nie mieszkał już w domu, kiedy odbył się ich ślub, ale był wściekły, bo uważał, że ta kobieta podstępem zdobyła ich dobre nazwisko. Kiedy dziewiąty kopnął w kalendarz, zanim zdążył się rozwieść z Gladys, dziesiąty był siny z wściekłości, ponieważ zachowała ich tytuł.

– Biedna pani Spencer. Lady Marlborough. Nowa rodzina jej nienawidziła.

Pru wiedziała co nieco na ten temat, aczkolwiek w mniejszym stopniu. Ona i Charlie nie zdążyli się pobrać, no i Charlie nie miał synów, z którymi mogłaby się klócić, ani tytułu, który mógłby komuś przekazać, niemniej Kelloggowie byli zdania, że jej kiepskie pochodzenie uwłacza ich nazwisku. Od początku nie powinni się zgadzać, żeby ich złoty synek uczęszczał do tak anarchicznej uczelni.

– Nie wszyscy jej nienawidzili – poinformował Win. – Jej drugi pasierb, Ivor, ulubiony wuj Gadsa, świetnie się dogadywał z nową księżną. Ale jego zdanie nic nie znaczyło, nie był przecież dziedzicem.

– Nic dziwnego, że była w Blenheim taka nieszczęśliwa – stwierdziła Pru. – Nazywała pałac lochem lub więzieniem.

– Nazwała go konkretnie „monolityczną bestią udającą dom”. – Win uderzył w biurko. – To jeden z nielicznych kąsków, które nam dotychczas rzuciła.

– Blenheim było ich rodzinną posiadłością. Ze względu na przyjaźń z Gadsem spędzałeś tam wakacje i pozwoliłeś się omotać przekazami na temat księżnej. Pewnie uznałeś, że twoja rodzina wypada w porównaniu z nimi nudno.

– W skrócie można to tak przedstawić – przyznał.

– Nadal tam mieszkają? W Blenheim?

– Tak. Ale co roku rodzina otwiera nowe części pałacu dla turystów, żeby móc go oświetlić, a sama przenosi się do kurczących się coraz bardziej kwater w niegdyś ogromnej prywatnej rezydencji. Morał całej historii? Nawet majątek Vanderbiltów nie jest wieczny.

– To dziwne – zauważyła Pru. – Skoro rodzina Marlborough tak bardzo nie lubiła księżnej, dlaczego ciągle o niej mówiła? Zwłaszcza po jej odejściu?

– Nadal się o niej opowiada. Po dziś dzień. Czterdzieści lat po jej zniknięciu.

– Przecież wyświadczyła im przysługę, prawda? Nie kręcąc się tam.

– Księżna wdowa zdecydowanie się nie kręciła.

– Zeszła im z oczu – powiedziała Pru i pomyślała o rodzinie Charliego. – Na swoich warunkach.

Czy w Bostonie narzekano na nią? „Cygańska sierota. Co za skaza na skądinąd szacownej rodzinie”.

– Można by pomyśleć, że powinni docenić jej wysiłek – dodała Pru i pociągnęła nosem.

– Zgadza się. Ale ojciec Gadsa przeklinał jej imię do dnia swojej śmierci, czyli jak już powiedziałem, jeszcze kilka miesięcy temu.

– A Gads i jego brat? Jaki mieli stosunek do księżnej?

– Gads jest i był obojętny. Jest rozsądnym gościem, przynajmniej w tej kwestii. Nigdy jej nie poznał, więc zachowuje rezerwę. John z kolei odziedziczył nie tylko tytuł ojca, ale także jego bezbrzeżną nienawiść do tej kobiety. Jego kolejne żony też nie były zbyt szczęśliwe, bo przez jakąś tam księżną wdowę nie mogły nosić lepszego nazwiska, na które mogłyby mieć nadzieję.

– W głowie mi się kręci od tych wszystkich żon – stwierdziła Pru. A może to przez wino? O ilu rozmawiamy?

– Brat Gadsa poślubił w ubiegłym roku trzecią, wspomnianą córkę hrabiego. Jego druga żona, Greczynka, była narkomanką. Można się stoczyć, kiedy pierwszy mąż rzuca cię dla Jackie Kennedy.

– Gads i jego brat obskoczyli sześć małżeństw – policzyła Pru. – Jeśli dorzucić do tego dziewiątego księcia, to było ich osiem. Wygląda na to, że panowie z rodu Marlborough mają kiepski gust. Albo pecha. Albo jedno i drugie.

Pru położyła się na łóżku Wina. Zazwyczaj zachowywała więcej przyzwoitości i nie

wyciągała się na łóżku obcego mężczyzny, ale też zwykle nie była tak wstawiona.

– Większość ludzi ma kiepski gust – zauważył Win. – Jak myślisz, dlaczego jeszcze nie mam żony?

– Nie sądziłam, że miałeś na to jakiś wpływ – odparła sennym głosem.

– Boże. Czy tak zwana druga fala feminizmu uwzględnia również nękanie niechlujnego pisarza? Posłuchaj. Kiedy trzeba utrzymać tytuł i pałac, czasami bierze się ślub z niewłaściwych powodów. O ile pieniądze mogą być niewłaściwym powodem, z czym można by się sprzeczać.

– To dlatego wszyscy nienawidzili Gladys Deacon? Bo nie była z Vanderbiltów?

– Po części tak. Byli też tacy, według których rzuciła klątwę na pałac i ziemię. To dlatego zawsze brakowało tam pieniędzy. I miłości. Ludzie wychodzili z tego domu w gorszym stanie, niż kiedy do niego wkraczali. Jak głosi historia, Douglas Fairbanks i Mary Pickford postanowili się rozwieść krótko po wizycie w Blenheim.

– Klątwa? I oni uważają, że to ona jest wariatką?

– Pominąwszy klątwę, obraziła ich. Gladys Deacon była genialna i ekscentryczna. Nie przejmowała się obyczajem. Nie zgodziła się grać zgodnie ze skrupulatnie obmyślonym scenariuszem. Rok w rok gardłowano na jej temat, opowiadano niemające końca historie o skandalach i występkach. I właśnie z tego powodu ta jędrza mnie zafascynowała, kiedy byłem chłopakiem. A gdy stałem się młodym mężczyzną, zainteresowałem się czym innym. Kiedy już przebrnąłem przez całe gówno, musiałem z niechęcią przyznać, że ją szanuję. Albo jak ujął to Berenson: „Człowiek ją podziwia i równocześnie jest nią przerażony”.

– Doświadczam czegoś takiego przynajmniej raz dziennie – powiedziała Pru i wydała z siebie znużony chichot. Miała przymknięte oczy. – Pani Spencer i księżna to na pewno ta sama osoba. Też uważałeś, że dom był przeklęty? Kiedy byłeś dzieckiem. Domyślałam się, że było tam strasznie jak diabli.

– Panno Valentine! – wykrzyknął, bardziej tym urażony niż jej komentarzem na temat teatryku kukielkowego. – Blenheim nie jest straszny jak diabli. Jest magiczny. To moje dzieciństwo.

– Jak rany. Aleś ty drażliwy. To tylko dom.

– TYLKO DOM?! Pewnie tak, jeśli ziemia jest tylko grudą, a oceany miejscem, w którym można się wykapać. Blenheim jest niewiarygodny, otaczające go ogrody są urzekające. Kiedy byliśmy dziećmi, zatrucaliśmy się tam przez weekend, nawet tygodnie, gdy graliśmy w tenisa, strzelaliśmy do lisów i przedzieraliśmy się przez labirynty z bukszpanu.

– Domyślałam się, że mężczyzną też stałeś się właśnie tam – powiedziała Pru.

– Owszem, ale to nie...

– Aha! Teraz to wszystko ma sens.

– W każdym razie, roznamiętniona dziewczyno, jak już mówiłem, każdy dzień był pamiętny, podobnie jak każdy sen. Urządzaliśmy tam wielkie bale i słuchaliśmy orkiestr grających na trawie. Gdy pogoda była ładna, pływaliśmy łodziami po kanałach. Harcowaliśmy w fontannach, kiedy złote krople wody spadały na nas w promieniach zachodzącego słońca.

– Rety. – Pru otworzyła oczy i oparła się na łokciach. – To nawet nie brzmi realnie.

Zaskoczyło ją, że ten mężczyzna był nie tylko gburowaty i zgorzkniały.

– Z tym miejscem łączą się moje najwspanialsze wspomnienia – ciągnął Win. – I wszystko miało związek z księżną. Z historiami z jej przeszłości. Teoriami na temat terażniejszości. Jej temat pojawiał się przy okazji wszystkich kolacji, przyjęć, polowań.

– Lecz nigdy jej nie spotkałeś. Jak to możliwe, skoro bywałeś tam tak często?

– Mimo że masz na ten temat nieprzychylnie zdanie, mnie i księżną dzieli ogromna różnica wieku. Gladys Deacon opuściła pałac w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku,



po śmierci księcia. Ja urodziłem się dopiero w trzydziestym ósmym. Możesz darować sobie szok.

– Rety. Wychowałeś się bez telewizji.

– Owszem. Wieści wojenne czerpaliśmy w staromodny sposób, z radia i gazet. Były to mroczne i zacofane czasy. Blenheim zobaczyłem dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, jedenaście lat po zniknięciu księżnej.

– A oni nadal o niej rozmawiali.

– Obsesyjnie. Robili to także ludzie znacznie zaniejsi od Gadsa i jego rodziny. Na przykład sir Winston Churchill. Chociaż on w zasadzie należał do rodziny.

– A, Winston. Ulubiony temat pani Spencer.

– Niewątpliwie ulubiony. Lubiła go nękać. „Nie potrafił dokonać tego co Hitler!” – Win doskonale naśladował piskliwy głos pani Spencer. – Złośliwe plotki szerzyła nie tylko rodzina Marlborough. Goście ciągle zadawali te same pytania. Co się stało z księżną? Czy żyła? A co z jej dobytkiem? Książę i księżna byli w trakcie rozwodu, kiedy książę zmarł, czyniąc ją na zawsze swoją żoną. Rodzina uważała, że jej rzeczy należały do nich, mimo że dziewiąty książę wykluczył ją z testamentu i pozostawił posiadłość dziesiątemu. Posiadłość. Albo brzemień. Jak wolisz.

– Hm – mruknęła Pru i opadła z powrotem na łóżko. – Niesamowite, ile szkody może wyrządzić jedna osoba.

Prawie zasnęła, przez co jej szanse na powrót do własnego pokoju mocno się skurczyły. Czy mogła spać tutaj? Na łóżku obcego mężczyzny? Co on o niej pomyśli? I co ważniejsze, co ona pomyśli o sobie?

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej studiowała w Berkeley, mieszkała z koleżankami, które nazywały siebie „lesbjkami feministkami”. Pru posłusznie protestowała przeciwko wojnie, ale machała chusteczką do nosa na pożegnanie, kiedy posyłała narzeczonego na front. Potem rzuciła studia, żeby wyjść za mąż – nie mogła pogodzić tej decyzji z pragnieniem nazywania się feministką. Ale chodziło o Charliego. Miłość zwyciężyła.

Pru była w równym stopniu niezależna i wyznawała tradycyjne poglądy. Marzyła zarówno o szpilkach, jak i o ciężowym brzuchu oraz podomce. A teraz, na tym kontynencie, pośród ludzi, których rodzinne tradycje sięgały wieków wstecz, nie wiedziała już, kim była. Już się czuła jak ktoś inny, ale nie potrafiła określić, pod jakim względem.

– Czy jesteś nadal ze mną, panno Valentine? – zapytał Win półszepem, kiedy stanął nad nią.

Przytaknęła. Potarła tyłem głowy o poduszkę tego mężczyzny.

Zaczęła rozumieć jego obsesję. Jeżeli ona była lekko opóźniona w osobistym rozwoju, on był opóźniony w dwójnasób. Miał trzydzieści cztery lata. Był nadal chłopcem, który żył w świecie rodzinnych historii i bajek. Sam to powiedział. Jakie dorosłe dziecko nie chciałoby spotkać swojego Piotrusia Pana lub Wendy? Alicji z Krainy Czarów?

– Teraz rozumiem – powiedziała sennym tonem. Jej umysł i rozsądek już spały. –

W Blenheim latami opowiadano o księżnej. Osiągnęła baśniowe proporcje. Dla odwiedzających stała się boginią.

Pru otworzyła oczy. Win nadal wisiał nad nią. Wsparł dłonie na biodrach i patrzył na nią zmrużonymi błękitnymi oczami.

– Przesuń się trochę – polecił jej i trącił jej nogę stopą. – Możesz tu spać, ale, proszę, zrób miejsce dla mnie. I to czym prędzej. Nagle zrobiło mi się nieswojo, mogę zemdleć i upaść prosto na ciebie.

– Mhm – mruknęła i przesunęła się w prawo. – Nie mogę na to pozwolić.

– Jakaś ty wspaiałomyślna. Dziękuję, że udostępniłaś mi trzy centymetry w moim łóżku.

Poczuła, jak położył się obok niej. Otworzyła oczy szeroko, kiedy jego palce musnęły delikatnie jej dłoń.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. Wyczuł, że jej ciało się napięło.

– Tak. Wybornie. – Zamknęła oczy i usiłowała uspokoić oddech. – Win, dla kogo ty piszesz tę książkę? Naprawdę uważasz, że ktokolwiek zainteresuje się kobietą, która zaginęła trzydzieści pięć lat temu? Kobieta, która była w większym stopniu legendą niż prawdziwą osobą?

– Jak możesz nie dostrzegać, że jest fascynująca? – spytał. – Wyborna hodowczyni spanieli, wielbicielka broni palnej, ofiara porwania, kochanka wybitnych mężczyzn i osoba, która mogła zapobiec wybuchowi pierwszej wojny światowej.

– Owszem, ta osoba wydaje się fascynująca. O ile w ogóle istniała. Jeżeli kobieta tam na dole to ona.

– A staruszka, która trzyma martwe koty w zamrażalniku i słynie z tego, że biega nago po centrum miasta? Jeżeli to nie robi na tobie wrażenia, może zaproponuję ci bardziej plebejską rozrywkę. Co byś powiedziała na odcinek amerykańskiej komedii *Sanford and Son*?

– No cóż – odparła Pru, uspokoiwszy wreszcie oddech. – Może masz rację.

Na te słowa Win się rozpromienił, ale Pru miała zamknięte oczy i nie mogła tego widzieć.

Racja? Miał rację? Bardzo rzadko ktoś mówił takie rzeczy o Winie Setonie. Naprawdę bardzo rzadko.

– Jesteś przekonany, że pani Spencer to zaginiona księżna? – zapytała Pru, zanim w końcu zasnęła.

– Oczywiście. W przeciwnym razie co bym tutaj robił?

– Ale jakie masz dowody oprócz domysłów i garści plotek?

– Mam zdjęcia. I dokumenty. No i jej nazwisko.

– Czyje nazwisko? Gladys Deacon? To nie jest ściśle tajna informacja.

– Mam na myśli panią Spencer, twoją na wpół nagą pracodawczynię. Widzisz, nie wyjawiałem ci, jak Gads ma na nazwisko.

– Nie Marlborough?

– Nie. Spencer. A konkretnie Spencer-Churchill. I czy odcięcie członu Churchill nie jest czymś, co zrobiłaby twoja droga przyjaciółka? Przecież Winston nie był Hitlerem.

GD: Był najgorszy. Zdecydowanie najgorszy.

WS: Nie wiem, dlaczego jest pani tak uprzedzona do Churchilla. GD: Bo nie był wielkim człowiekiem! A wszyscy wokół błędnie go za takiego uważali. A on tylko puszył się jeszcze bardziej.

WS: Jak dobrze go pani znała?

GD: Wystarczająco dobrze. Odwiedzał miejsce, w którym przebywaliśmy.

WS: To znaczy Blenheim?

GD: Lubił ustanawiać zasady! Nie miał za grosz współczucia. Nie był zdolny do miłości. Był zakochany w swoim lustrzanym odbiciu. Coon też uważała, że był męczący.

WS: Dla jasności, mówi pani o jego wizytach w Blenheim.

GD: Oczywiście.

WS: Pani rodzinnej posiadłości.

GD: To nie jest moja rodzina.

WS: Churchill był kuzynem pani męża. Jego najlepszym przyjacielem.

GD: Powtarzam panu, że to nie moja rodzina.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

Kiedy jej ojciec zmarł, zostawił każdej córce pokaźny fundusz powierniczy. Rzecz jasna, ten nagły przyływ bogactwa sprawił, że Gladys Deacon stała się tym atrakcyjniejsza dla potencjalnych absztyfikantów. Interesy w duchu „gotówka za klasę” kwitły. To określenie wymyśliła sama Consuelo Vanderbilt. Stara Coon miała świadomość swojej pozycji w tej konkretnej wymianie.

Mimo ciągłych zmian kochanków Gladys Deacon dostrzegała w swoich dolarach nie wiano, tylko szansę na wolność. Kupiła sobie mieszkanie w Paryżu przy Trocadéro i odwiedzała najlepsze salony, nie musząc się o nic troszczyć. W weekendy przyjeżdżała do Moneta w Giverny i spotykała się z Renoirem, Rodinem i Degasem.

Dzięki tej wolności Gladys starała się ulepszyć pod każdym względem. Rozumiała, że uroda i pieniądze znikną, zanim będzie miała szansę w pełni je docenić. Lecz wiedza, wykształcenie i umiejętność błyszczenia na salonach – to były cechy, których wiek i złe decyzje nie mogły zniweczyć.

Gladys była utalentowaną matematyczką i osobą wręcz groteskowo czytaną, teraz postanowiła zrozumieć lepiej świat sztuki, a wiedzę w tej dziedzinie poszerzała dzięki przypominającej związek ojca i córki relacji z krytykiem Bernardem Berensonem.

Możemy się tylko domyślać, co się stało z ich przyjaźnią. Od wspólnego spędzania po kilka miesięcy w podróży po świecie przeszli do całkowitego braku kontaktu. Cokolwiek doprowadziło do tego rozłamu, musiało być czymś potwornym, skoro ta przyjaźń skończyła się tak definitywnie. Zaletą jest to, że nikt nie został przy tym zastrzelony.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

– Goń się, Gus – burknęła Annie do siebie, kiedy wdrapywała się na parapet i włamywała do Grange bez wyrzutów sumienia. – I ty też, mamó, skoro już o tym mowa.

Nie chciała tego mówić, naprawdę, ale niosło to pocieszenie. Gus opowiedział jej tylko połowę historii i sprawił, że czuła się głupio, kiedy chciała poznać drugą połowę.

– Spali ze sobą? – zapytała, kiedy skończył opowiadać o wspólnym picciu wina.

– Tego nie powiedziałem – odparł.

– Więc ze sobą nie spali.

– Tego też nie powiedziałem.

Dzięki, palancie.

No i była także Laurel, która obiecywała wyjątkową wyprawę matki i córki, a przecież spędzały więcej czasu osobno niż razem. Spędzanie czasu osobno miało pewne korzyści, owszem – dawało Annie więcej czasu na węszenie.

Westchnęła, zeskoczyła z okna i rozejrzała się po pokoju. Wszystko wydawało się wyglądać jak poprzednio. Zachowując mniejszą ostrożność i działając bardziej gorączkowo niż podczas pierwszej wizyty, Annie udała się prosto do przeciwległej części domu i wspięła się po schodach, pokonując po dwa stopnie jednocześnie.

– No dobra, Seton – powiedziała, kiedy weszła do jego pokoju. Opadła na kolana i zajrzała pod łóżko, przyświecając sobie latarką. – Co przeoczyłam podczas ostatniej wizyty?

Pośród kurzu i trucheł owadów odkryła niewiele, zaledwie kilka kartek, które przyciągnęła do siebie patykiem. Spojrzała jeszcze raz i stwierdziła, że nie znajdzie nic więcej, przynajmniej nie pod łóżkiem. Wstała i wcisnęła maszynopis do plecaka.

– Co dalej? – zapytała i lekko zakasłała.

Drapała ją w gardle i miała opuchnięte powieki. Będzie musiała niebawem stąd wyjść.

Kiedy podeszła do maszyny do pisania, zauważyła naddartą, starą kartkę nawiniętą na wałek. Obróciła pokręteł, które się zacięło z powodu rdzy. Obiema rękami szarpała i ciągnęła, aż udało się jej przeczytać słowa.

„Czy pamięta pan, co mi pan kiedyś powiedział? Że może mi pan pomóc, tylko kochając mnie. No cóż, kochał mnie pan przez chwilę i pomógł. Zawsze było mi to pociechą”.

Edith Wharton, *Świat zabawy*<sup>16</sup>

„Od rana umarłem prawie trzy razy”.

Marcel Proust

Annie wcisnęła kartkę do plecaka razem z resztą przywłaszczonych sobie maszynopisów. Niewiele mogła wynioskować z cytatów zmarłych pisarzy, ale jak udowodnił wypadek z dietetyczną colą, czasami na kartce można znaleźć coś więcej niż zapisane na niej słowa.

Przed wyjściem z pokoju zatrzymała się, żeby spojrzeć na biurko. Były w nim dwie szuflady, które dopiero teraz zauważyła. Cofnęła się, żeby je wyjąć, ale odkryła, że były zamknięte.

– Hm – powiedziała, rozglądając się po pokoju. – Hm. Czego by użył złodziej, gdyby chciał otworzyć zamek?

Łóżko, pomyślała zaskakująco szybko. Łóżko, na którym Pru i Win spędzili być może lubieżny, a może niewinny pijacki wieczór. Na pewno jest tam jakaś luźna sprężyna, którą Annie zdoła otworzyć szuflady.

Z wysoko zadartą brodą podeszła żwawym, pewnym krokiem do łóżka.

– Cześć, sprężyno – powiedziała i pociągnęła jedną.

Krzywiąc się i wykazując się nadzwyczajną siłą, Annie stanęła z jednej strony i wyrwała całą sprężynę. Potem, zaledwie kilka minut później, udało się jej otworzyć oba zamki szuflad. Jeżeli kariera naukowca nie wypali, Annie radziła sobie jako włamywacz. CIA miało kwatery niedaleko Goose Creek Hill. Może przyda im się kolejny tajny specjalista.

Mimo całego wysiłku w szufladach znalazła zaledwie kilka ołówków, szpulki z taśmą korektorską i czyste kartki.

Po rzuceniu znaleźsk na łóżko sięgnęła głębiej do szuflad. Jej dłoń natrafiła na plastikowe opakowania. Taśmy magnetofonowe, łącznie osiem, wszystkie zniszczone, poskręcane i pogniecione. Nie miała najmniejszego pojęcia, co mogłaby zrobić ze zniszczonymi taśmami, nie dysponując żadnym odtwarzaczem, ale mimo to wrzuciła je do plecaka włamywaczki.

Zbierając się do wyjścia, zerknęła na łóżko po raz ostatni. Biedna skołowana Pru Valentine. Feministka i wiktoriańska dama w jednej osobie.

Uśmiechnęła się i ruszyła w stronę schodów. Już się nie bała, że mogłaby z nich spaść. Jakimś cudem czuła się bezpieczniej, mając świadomość, że wcześniej byli tu Win i Pru.

Gdy doszła do ostatniego stopnia, przechyliła się przez balustradę. Zrobiła kilka kroków i zamarła.

Coś przykuło jej wzrok.

– Hę? – mruknęła i się cofnęła.

Przykucnęła i zobaczyła tkwiący w balustradzie jasnobrązowy prostokątny kawałek skóry, na którym znajdował się pasek metalu. To był wizytownik do walizki.

Wzięła go do ręki i przesunęła palcem po mosiężnej blaszce. Metal poczerniał i pokrył się plamami, ale można było odczytać napis. Widziała już ten adres.

JAMES E. SETON  
24 QUAI DE BÉTHUNE  
PARYŻ

## BASIL'S WATCHES &amp; SUCH

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

Annie stała przy ladzie, patrząc na wizytownik do walizki w prawej ręce i kasety magnetofonowe w lewej.

James E. Seton. Paryż.

Gus nigdy nie wspominał, że inicjał „J” w „J. Casper Augustine Seton” pochodził od imienia James. Annie bardziej interesowało to, co się wydarzyło między Winem i Pru, a nie szczegóły dotyczące ich imion, niemniej jednak zatajanie faktów przez Gusa dotknęło ją. Kolejny ukryty szczegół, niewyjawiony detal.

– Dzień dobry, panienko. Mogę w czymś pomóc? – zapytał mężczyzna zza bładofioletowej kotary.

– Dzień dobry. – Annie wsunęła wizytownik do kieszeni i wyciągnęła rękę w stronę mężczyzny. Przyjrzał się jej podejrzliwie. – Nazywam się Annie Haley. – Opuściła nietkniętą dłoń na ladę. – Skierowała mnie do pana Nicola Teepers. Mam w posiadaniu zniszczone taśmy magnetofonowe. – Kiedy Annie pchnęła kasety do przodu, zazgrzytały na szkle. – Uważa, że być może uda się panu je naprawić.

Mężczyzna, który miał chude nogi, ale był krągły w talii, skrzywił się, skonsternowany. Czy można było mieć mu to za złe? Przecież znajdowali się w warsztacie zegarmistrza, a ona podsunęła mu zniszczone taśmy.

– No tak – powiedziała i zgarnęła je z powrotem. – Rozumiem, że to był głupi pomysł, żeby tu przychodzić. Widocznie coś źle zrozumiałam. Miłego dnia. Do widzenia!

– Chwila. – Chwycił ją za rękę. Miał zimne i suche palce. – Mogę pani pomóc.

– Naprawdę?

Wyswobodziła dłoń i zerknęła na kukułkę na ścianie. Biedny ptak potykał się za każdym razem, kiedy próbował wychylić się z zegara.

– Zajmujemy się głównie zegarkami – wyjaśnił mężczyzna. – I zegarami. Ale od czasu do czasu przyjmuję inne zlecenia. – Wyciągnął szkło powiększające z kieszeni koszuli i przyjrzał się taśmie. – Chyba uda się to naprawić – stwierdził.

– To wspaniałe wieści!

Annie klasnęła w dłonie, przez co kukółka znowu wyskoczyła ze swojej kryjówki.

– Doceniam to – powiedziała Annie do mężczyzny, który kiwał ciężko głową. – Jestem badaczką i staram się...

– To mi zajmie około tygodnia.

– Tydzień? Proszę pana... Przepraszam, nie usłyszałam pańskiego imienia. Mam przyjemność z Basilem?

– Proszę mi mówić sir.

– Proszę pana, sir. Jestem wdzięczna, że mi pan pomoże, ale nie mam tygodnia.

Przyleciałam ze Stanów.

– Co pani powie?

– Muszę wracać. Już niedługo. Nie wiem dokładnie kiedy, ale najprawdopodobniej

w ciągu najbliższych dni.

– I całe miasto powinno nad tym ubolewać – rzucił. – Postaram się naprawić je szybciej. Ale niczego nie obiecuję. Zajmuję się nie tylko pani problemem.

– Rozumiem. Dziękuję, że się pan postara. Znajdzie mnie pan w Banbury Inn. Nazywam się Annie Haley. Chce pan to zapisać?

Mężczyzna spojrział na nią znużonym wzrokiem. Jedno oko patrzyło w innym kierunku.

– Rozumiem – powiedziała Annie. – Zajrzę do pana za kilka dni. Jeszcze raz dziękuję.

Mężczyzny już nie było. Ulotnił się za swoją fioletową kotarą.

– Nie jest pan zbyt radosny, co? – burknęła Annie pod nosem. – Zagarnęła włosy za uszy i wyszła przed warsztat. – No dobra – mruknęła do siebie. – To dopiero początek.

Naprawienie kaset było pierwszym krokiem. Drugi wymagał wymyślenia, jak za to zapłacić. Musiała też znaleźć w ciągu najbliższych kilku dni jakiś odtwarzacz. I to bez wiedzy Laurel. Ściągnęła brwi. Sprawy nie przedstawiały się zbyt optymistycznie. Przygnębiona, ruszyła powłóczęstym krokiem w stronę hotelu.

– Przepraszam – powiedziała, lawirując między jakąś parą i kobietą. – Bardzo przepraszam.

Nie. Nie rozplacze się. Nie tutaj. Nie w obcym kraju i nie z powodu jakichś kaset.

– Przepraszam. – Oczy ją szczypały. – Przepraszam.

– Annie? – zapytał głos.

Próbowała strzepnąć z siebie pajęczyny.

– Annie? Annabelle! Co ty wyprawiasz?

Odwróciła się. Kobieta, którą wyminęła niezbyt uprzejmie, okazała się jej matką. I to wkurzoną. Nie była zawadiacka jak podchmielona Brytyjka. Nie, nie. Laurel Haley była wściekła na amerykańską modłę.



## BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

## LISTOPAD 2001 ROKU

– Och – powiedziała Annie i z trudem przełknęła ślinę. – Cześć, mammo.

– Co tu robisz?

– W zasadzie to nic. Przechadzam się. Wyszłam na spacer.

– Na spacer? To już przestałaś biegać?

– Ha! Niezłe!

Kiedy puls jej przyspieszył, przypomniała sobie, że przecież nie zrobiła nic podejrzanego. Nie miała przy sobie wykradzionych taśm. Osobą, która powinna być zmieszana, była Laurel.

– A co ty tutaj robisz? – zapytała Annie. Starła się odwrócić role, ale brakowało jej siły.

– Myślałam, że miałaś mieć jakieś spotkania przez cały dzień.

– Ach, spotkania... – powiedziała Laurel z cierpkim uśmiechem. – Wyszłam w trakcie.

– Wyszłaś w trakcie?

– W rzeczy samej. Z dramatyzmem i piekląc się. Zwykle się tak nie zachowuję, ale miałam tego dość. Zmęczyło mnie to targowanie się.

– Ciebie? Prawniczkę? Zmęczyło targowanie się?

– Jestem tym zaskoczona tak samo jak inni. Ale to było... sama nie wiem...

Laurel nie mogła znaleźć słów. Annie była świadkiem czegoś takiego po raz pierwszy w życiu.

– Nagle to wszystko wydało mi się bezsensowne – powiedziała i wyduła policzki. – Wszystko. Tyle wysiłku. I po co? Dla szansy zgarnięcia kilku dolarów więcej? Strata czasu, zwłaszcza jeśli uwzględnisz wydatki na prawnika, noclegi i leki uspokajające, które z pewnością okażą mi się potrzebne.

– Rany, mammo. Jestem pod wrażeniem. Ale to dobrze. Chyba. Po co się stresować z powodu czegoś, co było przecież prezentem?

– Właśnie. – Laurel westchnęła. – Dokładnie.

– Więc co teraz?

– Myśle... – zaczęła i zamilkła. Spojrzała na niebo i chmury dryfujące nad ich głowami. – Chyba przyjmę zaniżoną ofertę. A co tam. To tylko pieniądze.

– Masz ich dość, prawda? – zapytała Annie. – Na emeryturę. Do czasu...

– Poradzimy sobie. Dużo odłożyłam, kiedy pracowałam w firmie, a ta umowa nawet i teraz zapewni mi sporo gotówki. Poza tym ile pieniędzy jest człowiekowi potrzebne? Powinno pozwolić, żeby mój prawnik załatwił sprawę, i czekać w Stanach na czek.

– O rety – powiedziała Annie. Nie podobała się jej ta myśl. – Po prostu rety.

Co by było, gdyby jej matka rzeczywiście tak zrobiła?

Co by było, gdyby zostały w Wirginii, gdzie Laurel jeździłaby konno i czekała na czek? Annie ledwie pamiętała, co robiła przez całe dni, zanim zaczęła uganiać się za starym dziwakiem i pochłonęło ją życie w Grange. Gdyby nie przyjechały do Anglii, nic by się nie zmieniło, a równocześnie wszystko byłoby odrobinę inne.

– Dlaczego tak nie zrobiłaś? – zapytała Annie. – Dlaczego po prostu nie zgarnęłaś pieniędzy?

– Sama zadaję sobie to pytanie po dziesięć razy dziennie. Chyba czułam, że powinnam

zobaczyć to miejsce, oddać tej nieruchomości należny szacunek. Nie wspomnę nawet o tym, że wydawało mi się, że pojawiając się osobiście, mogę zgarnąć więcej kasy. Teraz jest to niedorzeczne. Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowana.

– Tym, że nie zgarnęłaś więcej kasy? – Annie skrzyżowała ręce na piersiach, po czym rozplotła je. – Nie. Nie jestem tym rozczarowana.

– Przepraszam, Annabelle. Przepraszam, że nie wynegocjowałam dla ciebie wyższej ceny.

– Dla mnie? A co to ma ze mną wspólnego?

– Przecież w końcu to wszystko, co tu jest... – Laurel gestykulowała obiema rękami. – Co jest w domu, przejdzie na ciebie. Oczywiście nie w najbliższym czasie. Tego jestem pewna. Ale któregoś dnia.

– Boże, mamó, nie myśl o tym w ten sposób.

Jakby Annie dbała o spadek. Jakby w ogóle zakładała, że go dostanie.

Zastanawiała się, czy jej matka zadałaby sobie tyle trudu, gdyby Annie miała pracę lub gdyby miała jakieś pewne perspektywy finansowe, które gwarantowałyby jej ślub z facetem ze stałą pensją. Pensja w wojsku raczej nie wiązała się z wejściem w wyższy próg podatkowy i nie wystarczyłaby na opłacenie oświetlenia Blenheim, ale płaca Erica wydawała się fortuną w zestawieniu z jej zerowym dochodem.

– Nie rób tego dla mnie – dodała Annie.

– A czemu nie? – spytała Laurel. – Jesteś powodem, dla którego robię cokolwiek. I tyle. Moją jedyną motywacją. Jest tak od dnia, w którym się urodziłaś. A nawet było tak wcześniej.

– Ale, mamó, jak sama powiedziałaś, to są tylko pieniądze.

– To prawda. Lecz zawsze chciałam ci dać wszystko, co najlepsze, jak najwięcej, dosłownie i w przenośni. Przerosło mnie to jednak. Ziemia. Prawnicy. Inni sprzedający. Denerwuje mnie nawet to miasteczko.

– Tak – powiedziała Annie i zerknęła w stronę George & Dragon. – Wiem, co masz na myśli. Mamó, to nie będzie trwało wiecznie. Wiem, że się martwisz, ale znajdę pracę. Zrobię coś ze sobą. Nie jest ze mną tak źle, jak się wydaje.

– Annie. – Laurel odwróciła się, żeby na nią spojrzeć. Chwyliła córkę za ramiona. – Nie musisz tego robić. Nie musisz wychodzić za Erica, żeby udowodnić swoją dojrzałość.

– Jak rany. – Wyswobodziła się z objęć Laurel. – Tak o mnie myślisz?

– Nie myślę tak o tobie – zapewniła ją Laurel i zacisnęła usta. – Martwię się, że ty tak myślisz.

– Mamó...

– Małżeństwo to nie dorosłość – ciągnęła Laurel. – I nie oznacza bezpieczeństwa. A kiepskie małżeństwo to najbardziej niepewne miejsce na świecie.

– Przykro mi, że twoje małżeństwo było nieudane – odparła na to Annie. – Nie żartuję. Fajnie by było mieć ojca.

– Wiem. – Do oczu Laurel zaczęły napływać łzy. – Żałuję, że nie mogłam ci dać dobrego taty i wsparcia z tym związanego. On po prostu nie był tego typu mężczyzną.

– A czy dałaś mu szansę? Taką prawdziwą?

– Oczywiście, że tak. – Laurel potaknęła. – Niczego nie pragnęłam tak bardzo jak tego, żebyśmy tworzyli rodzinę.

– Ale odeszłaś od niego, zanim się urodziłam.

– Zgadza się. Spędziliśmy ze sobą wiele lat wcześniej. Rodzina nie musi się wiązać z posiadaniem dzieci. Wy, dzieciaki, nie jesteście pępkiem świata – próbowała żartować.

– To nie było śmieszne – skomentowała Annie. – Staram się prowadzić z tobą poważną

rozmowę.

– Annabelle, ubiorę to w proste słowa. Sytuacja z twoim ojcem była kiepska. A nawet jeszcze gorzej. Nie chodziło o kilka sprzeczek nad rachunkami lub trzaśnięcie drzwiami. Nie miałam wyboru. Teraz też zrobiłabym to samo, bez zastanowienia.

– Może on też się czuł z tym okropnie.

Annie pomyślała o maszynopisie, o historii księżnej i ojcu Gladys. Ten człowiek był mordercą, a ona mu wybaczyła. Słowo „wybaczenie” miało w sobie tak wiele do zaoferowania.

– Jak najbardziej – odpowiedziała Laurel. – On także czuł się okropnie, ale w kwestiach, które nie miały z nami wiele wspólnego. Staralam się, Annie. Bóg mi świadkiem, że się starałam. Ale nie da się naprawić drugiego człowieka.

– Rozumiem – stwierdziła Annie i wyzywająco pociągnęła nosem. – Podjęłaś jedyną możliwą decyzję. Ale fakt, że tobie było źle, nie znaczy, że ze mną będzie tak samo.

– Nigdy tak nie powiedziałam.

– Wiem, co myślisz – dodała Annie.

– Nie jestem tego pewna.

– Nie wychodzę za Erica dlatego, że nie mam nic innego do roboty. Znajdę pracę. Zrobię karierę. Będę miała życie poza nim.

– Potrzebujesz jednak bezpieczeństwa. Pozwól, że ja ci je zapewnię. A nie Eric. Niech to będzie ja. Posłuchaj, Annie. Nie zamierzam ci zabraniać wyjść za niego.

– To dobrze, bo nie mogłabyś tego zrobić.

– Pamiętaj tylko, że cokolwiek się wydarzy, jakkolwiek wydarzenia się potoczą po jego powrocie, możesz się wycofać. Czy będziesz miała pracę, czy też nie. Czy będziesz miała pieniądze, czy też nie. Nikt nie wykuł dla ciebie drogi w kamieniu i żadna umowa nie jest wieczna. Nawet zaręczyny. Ani umowa sprzedaży ziemi. Żadna. I nie pozwól, by ktokolwiek twierdził, że jest inaczej.

– Eric nigdy by mi nie powiedział, że mnie uziemił. Twierdzi wręcz coś przeciwnego. Mówi, że nie muszę dotrzymać obietnicy. Mogę zerwać zaręczyny i nie będzie miał mi tego za złe. Według niego jestem dla niego za dobra, co jest ewidentną nieprawdą.

– Cieszę się, że na ciebie nie naciska – stwierdziła Laurel.

– Nigdy nie wywierałby na mnie presji!

– Nie mówiłam jednak o Ericu. Miałam na myśli ciebie.

Annie zmrużyła oczy, zakłopotana. Skronie zaczęły jej pulsować.

– Mnie? – zapytała. – Mnie?

– Tak. Jeżeli sytuacja się zmieni po jego powrocie... Jeśli ty się zmienisz albo on, wiedz, że nie musisz mówić „tak” tylko dlatego, że mu to obiecałaś.

Annie stała w miejscu. W głowie jej dudniło, kiedy powtarzała słowa Laurel w myślach. Czy zrobiłaby tak, gdyby musiała? Gdyby Eric nie okazał się osobą, którą kocha, powiedziała by „nie”? Wierzyła, że tak.

– Wiem, że nie muszę brać z nim ślubu – powiedziała w końcu. – Wyjdę za mąż we właściwym czasie za właściwego człowieka. Jestem pewna, że jest nim Eric. W każdym razie, czy to nastąpi, gdy będę miała dwadzieścia dwa, czy wtedy, gdy skończę czterdzieści lat, po jednych czy po piętnastu zaręczynach, mogę poczekać.

Ona również rozumiała, że nie musi tego robić.

– Okej – przytaknęła jej Laurel. – Świetnie. Chociaż wolałabym, żeby zaręczyn było mniej niż piętnaście.

– Żartowałam – rzuciła Annie. – Czytałam o czymś takim w książce.

Laurel się uśmiechnęła.

– W książce. Oczywiście. Posłuchaj, przepraszam, że poruszyłam ten temat, kiedy nie musiałam. To zabawne. Coś się w tobie ostatnio zmieniło. W czasie tego wyjazdu nagle zrobiłaś się starsza, dojrzała. Przypuszczam, że jest to smutny komentarz do tego, że tak często mnie nie było.

– Nie obwiniaj się z tego powodu, mam. Miałam co robić i nawet nieźle się przy tym bawiłam.

– Taką mam nadzieję. – Laurel westchnęła. – Nie chciałabym, żebyś miała złe wspomnienia z tego wyjazdu. Albo co gorsza, żadnych wspomnień.

– To mi nie grozi.

– Cieszę się. – Laurel znowu westchnęła. – To co, robimy rząd i spadamy stąd? Czy też zamierzasz raczyć mieszkańców Banbury naszymi najbardziej prywatnymi problemami?

– Chodźmy – powiedziała Annie. – Ale musisz coś dla mnie zrobić.

– Wszystko, czego sobie życzysz.

– Robimy rząd i spadamy stąd? Mamo, proszę, nigdy więcej tak nie mów. W twoich ustach brzmi to dziwnie.

Laurel zamknęła oczy i się zaśmiała.

Jej śmiech brzmiał tak radośnie: lekko, wysoko, dźwięcznie. Do Annie dotarło, jak dawno go nie słyszała. To miasto naprawdę dawało Laurel w kość. Im obu.

– Muszę cię o coś zapytać – powiedziała Laurel, kiedy wyszły zza rogu i zmierzały w kierunku hotelu. – Nicola mówiła, że spotykasz się z dziwnymi ludźmi, zadajesz dziwne pytania, pożyczasz rowery i latarki. W jakim celu?

– Eee... – Annie się zatrzymała i pozwoliła matce wyprzedzić się o kilka kroków. – Przeprowadzałam... badanie.

– Badanie? – Laurel też się zatrzymała i odwróciła.

– Tak, badanie. Dotyczące historii miasteczka.

– Wielkie nieba. – Laurel przewróciła oczami. – Czy to ma jakiś związek z książką, którą znalazłaś?

– Tak jakby – przyznała. – Od tego się zaczęło.

Ponieważ teraz nie chodziło już wyłącznie o książkę.

– Kochanie, przestań zaprzętać sobie tym głowę. Nie marnuj czasu na te nonsensy. Zapomniałam ci powiedzieć, ale któregoś dnia po tym, jak zapytałaś mnie o Grange, przyjrzałam się tej nieruchomości.

– Przyjrzałaś się? – Annie patrzyła spokojnie na Laurel. – Co to znaczy, że się jej przyjrzałaś?

Weszła nielegalnie na teren? Patrzyła z zewnątrz? Widziała, jak jej jedyne dziecko wchodzi tam i wychodzi stamtąd?

– Okazuje się – odpowiedziała Laurel – że tej nieruchomości już nie ma.

– Nie ma?

– Aha. – Laurel sztywno skinęła głową. – Nie ma. Zburzyli Grange. Zmiotli z powierzchni ziemi.

– Gdzie to słyszałaś?

– Od Nicoli?

Od Nicoli. Tej samej, która pożyczyła Annie rower. Tej, która podała jej adres rezydencji i kazała odwiedzić mieszkającą po sąsiedzku przyjaciółkę.

– Jesteś tego pewna? – zapytała Annie piskliwym głosem. – Najzupełniej pewna? Może coś źle usłyszałaś.

– Też tak pomyślałam. Dlatego kiedy miałam wolną chwilę podczas powrotu do domu,

podjechałam tam. I okazało się, że budynek... – Laurel gwizdnęła przez zęby. – Został zrównany z ziemią, jakby nigdy go tam nie było.

– Zrównany z ziemią. Naprawdę?

– Tak. Nie denerwuj się tak! To był tylko stary dom. W okolicy są ciekawsze obiekty do obejrzenia! – Laurel się uśmiechnęła. Annie nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na to, jak ostro zakończone były jej siekacze. – Wiesz, co myślę? Dobrze by nam zrobiło wino. Gdzie możemy się go napić?

– Na pewno Nicola coś ma – powiedziała zdezorientowana Annie. Aż kręciło się jej z bólu w głowie. – Zwykle o tej porze wystawia sery i wino.

– Tak! – zaświergotała mama.

Annie przyjrzała się jej.

– Ale że co?

– Wina i sery Nicoli! – zawołała śpiewnie Laurel. – I ciasta. Nie zapominajmy o ciastach!

Mrugnęła przesadnie okiem i wykonała gest, jakby strzelała z rewolweru, czego Laurel Haley nie zrobiła nigdy w życiu. Następnie żwawo pokonała schody prowadzące do hotelu. Annie została na dole. Otworzyła usta, język miała lepki, wysuszony.

– Mamo?

Laurel była już na górnym stopniu. Zerknęła na nią przez prawe ramię.

– O co chodzi, Annie?

– Jeśli chodzi o Gr... – zaczęła.

Ale przerwała. To nie była odpowiednia pora, by o to pytać. Ta rozmowa była zbyt zagmatwana, jej elementy zbyt rozproszone. Nawet nie wiedziała, od czego zacząć lub który aspekt kłamstwa najbardziej ją wytrącał z równowagi.

– Nieważne – dokończyła.

– Okej. – Laurel beztrząsco wzruszyła ramionami. – No to chodźmy! Nie mogę się już doczekać tego wina!

Annie pokręciła głową i w milczeniu ruszyła za matką. Wpatrywała się z zakłopotaniem w ptasie plecy Laurel. Przez cały czas chciała zdobyć więcej informacji na temat ojca, a tymczasem wyglądało na to, że nie znała zbyt dobrze Laurel. Niezłe poczucie bezpieczeństwa jej zapewnia. Trochę kulawe.

## GEORGE &amp; DRAGON

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

– Czy to nie mój ulubiony gawędziarz lubiący niedopowiedzenia? – odezwała się Annie i usiadła na stołku barowym obok Gusa. – Cześć, Ned. Jak się masz?

– Cześć, Annie. Ładny mamy dzień, prawda?

Matko Boska, była stałym bywalcem. Rzuciła plecak na podłogę.

– Jest ładnie – przyznała. – Ale spodziewam się, że pogoda zrobi się gówniana lada moment. Co u ciebie, Gustavo?

– Gustavo? – Mężczyzna się skrzywił. – Czy my się znamy? Wygląda pani jak uprzejma młoda dama, którą znam, ale brakuje pani jej wdzięku.

– Pewnie spędzała za dużo czasu z tobą – skomentował Ned. Pchnął kufel z piwem w jej stronę i poszedł obsłużyć klienta przy drugim końcu baru.

– Mam pytanie – powiedziała Annie i pociągnęła łyk piwa.

Ned podsunął jej na spróbowanie coś nowego, trunek w ciemnobursztynowym kolorze. Studiowała przez cztery lata, ale smak piwa doceniła dopiero w czasie spotkań z jakimś staruszkiem w pubie.

– W zasadzie mam ich kilka – dodała. – Ale zacznę od jednego. Czy znasz jakiś powód, dla którego ktoś mógłby kłamać na temat Grange?

– A jakiego rodzaju jest to kłamstwo?

– Ta osoba powiedziała, że rezydencji nie ma, że zrównano ją z ziemią. A przecież tak nie jest.

Gus odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– Ktoś stwierdził, że jej nie ma? – upewnił się. – Kto?

– Osoba, którą spotkałam przypadkowo w hotelu. Nie znam jej.

– Nie znasz? – Gus pociągnął łyk piwa, mimo że szklanka była już prawie pusta. – Nie umiem odpowiedzieć, skoro nie znam okoliczności. Aczkolwiek zrównanie z ziemią brzmi dość drastycznie. Może ta przypadkowa osoba się pomyliła. Albo bardzo chce kupić mikroskopijną nieruchomość, kiedy zostanie wystawiona na sprzedaż.

– To już przesądzone? – zapytała Annie. – Że wjadą tam buldożery? Myślałam, że to były tylko twoje domysły.

– Nie. Chcą położyć swoje brudne łapska na tej ziemi, najszybciej jak się da. Niestety, powstały pewne utrudnienia ze zdobyciem pozwolenia. Jakaś miejscowa zakała stara się, żeby uznano budynek za historyczny.

Annie przypomniała sobie pierwszą ukradzioną stamtąd rzecz, notkę przyczepioną do bramy. „Wniosek o wpisanie budynku na listę obiektów zabytkowych. Dom z początku XVIII wieku. Gruz wapienny i z syderytu...”

– Niemniej jednak Grange zmienia właściciela, że tak powiem – dodał Gus.

– Jak to zmienia właściciela? – zapytała Annie i spojrzała na niego z ukosa. –

Wystawiono dom na sprzedaż?

– Nietradycyjnie, bez pośrednictwa agentów i tak dalej. Wyobrażasz sobie, że miałyby go

sprzedawać agencja? Koszmar każdego nabywcy. W każdym razie dom sprzedano w ramach prywatnej transakcji.

– Prywatnej transakcji? – powtórzyła Annie, a serce jej waliło jak opętane. – Jakiej prywatnej transakcji?

– Gotówkowej. Sprzedam ci swoją ziemię, a ty mi dasz kilka dolców. Czy w Stanach to się nie odbywa w ten sposób?

– Pozwolenie – powiedziała. – Czy opóźniło sprzedaż?

I czy utrudniało życie amerykańskim eksprawniczkom? Takim, które przez cały dzień siedziały na spotkaniach i ignorowały niemające celu w życiu córki? Bo kiedy Annie słyszała słowa „opóźnienie” i „transakcja”, mogła myśleć wyłącznie o Laurel.

– Tak. Sprzedaż przesunęła się o kilka tygodni – odpowiedział Gus. – Dlaczego pytasz?

– Ta kobieta, którą spotkałam. Myślę, że może być stroną w tej transakcji. Może sprzedającą.

– Powiedziała to?

– Tak jakby.

– Kto to był? – zapytał Gus, a jego głos brzmiał jak kanonada. – Przedstawiła się? Jak wyglądała?

– Blondynka. Drobna. Amerykanka, jak ja.

Czy to możliwe?

Czy Laurel była właścicielką Grange? Twierdziła, że to ziemia rodzinna. Czy Laurel może być spokrewniona z księżną? Albo Edith? Tomem lub Winem?

– Kto odziedziczył posiadłość po śmierci księżnej? – spytała Annie.

– Już wcześniej wspomniałem, że pani Spencer nie przekazała jej konkretnej osobie.

Właścicielem jest ślepy fundusz powierniczy. Nazwiska beneficjentów nie są znane. Czy znasz nazwisko tej kobiety? Tej drobnej Amerykanki?

– A Win?

Annie pomyślała o adresie z maszynopisu, tym samym, który widnieje na wizytowniku do walizki, który wsunęła do kieszeni. Chodziła z nim teraz jak z jakimś talizmanem, który ma jej przynieść szczęście.

– Czy Win jest właścicielem Grange? – naciskała.

– Nie – odparł Gus. – Grange nie należy do Wina Setona.

– Czy mogłabym się z nim jakoś skontaktować?

– Dlaczego chcesz to zrobić? Powiedziałem ci...

– Gus, dobijasz mnie. Wszyscy mnie dobijają. Daj mi to, czego chcę!

Annie jęknęła sfrustrowana i kopnęła w bar. Ned natychmiast posłał jej znaczące spojrzenie. Niszczenie cudzego mienia. Kolejne przestępstwo na coraz dłuższej liście.

Uśmiechnęła się słabo do Neda.

– Annie, uspokój się – poprosił Gus. – Nie rozumiem, dlaczego się tak wściekasz.

Wyjęła wizytownik z kieszeni i położyła go z traskiem na blacie.

– Co o tym myślisz? – zapytała.

Twarz Gusa poczerwieniała.

– Musisz przestać...

– Kraść? Wiem. Znalazłam to przy balustradzie schodów w Grange. Najwyraźniej plakietka należała do pisarza. Kiedy się poznaliśmy, powiedziałaś, że Win przebywa w Paryżu. Czy nadal pod tym adresem? Bo to jest w Paryżu, prawda?

– Île Saint-Louis. – Gus wskazał wizytownik ruchem głowy. – Jedna z najstarszych części miasta. Wiele tamtejszych domów należy do rodzin od pokoleń.

– Wiem, byłam tam – stwierdziła Annie. – I nie pytam cię o historię wyspy. Chcę wiedzieć, czy Win Seton mieszka przy Quai de Béthune dwadzieścia cztery.

– Jakim cudem mam odpowiedzieć na to pytanie?

– Wiesz, poczyniłeś sporo lekceważących uwag na temat tego faceta. Jest pismakiem, palantem, nieudacznikiem i tak dalej. Sam też nie jesteś cholernie błyskotliwy.

– Nie użyłaś tego słowa zbyt poprawnie. W tym kontekście „cholernie” nie jest przekleństwem.

– A co z Pru? – dopytywała. – Pru także mieszka w Paryżu?

– Mało prawdopodobne. Młoda kobieta wróciła do Ameryki.

– Naprawdę? – zdziwiła się Annie i lekko się nadaśała. – Tak zrobiła? Myślałam, że...

Przerwała i pociągnęła łyk piwa, chociaż nie miała już na nie ochoty. Co takiego myślała? Jakie zakończenie przewidywała dla tych ludzi, podświadomie lub na innym poziomie?

– To głupie – powiedziała. – Chyba... Chyba zakładałam, że się w sobie zakochali. Że po tym, jak Win dostał od pani Spencer to, czego chciał, wrócił do Paryża i że Pru do niego dołączyła. W końcu.

Oczami wyobraźni ujrzała maszynopis i adres Wina zapisany na odwrocie kobiecą ręką. Przyjęła, że adres napisała Pru.

– Myślałaś, że się zeszli? – upewnił się Gus i ściągnął brwi. – Przykro mi, ale nie było „żyli długo i szczęśliwie”.

– Okej. – Annie westchnęła. – Jestem w szoku. – Nawet nie wiem, dlaczego, bo nigdy słowem nie wspomniałeś o romansie. Ale tak dobrze zaczęli się dogadywać.

– To prawda.

– Więc pomyślałam...

– Nie do końca niesłusznie.

– Ale on wszystko spaprał, tak? – spytała. – Mogliby żyć razem długo i szczęśliwie, tylko że Win Seton pokpił sprawę, zgodnie z tym, co sugerowałaś.

– Ja to sugerowałem?

– Ależ oczywiście! Przecież przedstawiłeś go jako offermę.

– Nie zamierzałem posunąć się aż tak daleko – zaproponował Gus. – Zdarzało mu się wygłupić, ale ogólnie nie był złym człowiekiem.

– Nie był zły? Powiedz mi, Gus, jak zakończyłeś swoją poprzednią opowieść? A, tak, Win zwabił Pru do swojego pokoju i upił ją tanim winem. Rzeczywiście wydaje się godny zaufania.

– Nie zwabił jej! Sama tam przyszła!

– I zasnęła w jego łóżku. Bóg jeden wie, do czego ją nakłonił.

– Nie wiem, co sugerujesz – powiedział Gus i świdrował Annie wzrokiem. – Ale nie wydarzyło się nic z takich rzeczy. Win często był bełkoczącym nierobem i trochę za szybko naigrawał się z ludzi, nie był jednak potworem. Win Seton przejmował się nimi. Przejmował się panią Spencer. I zdecydowanie przejmował się Pru.

– Tylko że Pru była naiwna, chowana pod kloszem. A Win był światowcem. Miał w zanadrzu różne sztuczki.

– Nie nazwałbym tego gościa światowcem. Przegapiłaś moment, w którym wspomniałem, że był rozpieszczany od dziecka? Pru była od niego mądrzejsza i bardziej wyrobiona pod wieloma względami.

– W takim razie powiedz mi, co się wydarzyło w łóżku? – zażądała.

– Nic a nic. Kurczę, okaż tym dwojgu trochę szacunku.

– W porządku. Zapewnię im prywatność. Ale jeśli twierdzisz, że dziewczyna nie



wyjechała z Winem, powiedz mi, co się stało następnego ranka, kiedy już się obudzili.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

STYCZEŃ 1973 ROKU

Pru obudziła się, bo ktoś posadził jej na głowie dwa żywe kurczaki.

– Panno Valentine! – krzyknął piskliwy głos, do którego bardzo się już przyzwyczaiła. Mimo tylu decybeli to był cud, że się obudziła. Nauczyła się doskonale wyciszać staruszkę. A poza tym miała gigantycznego kaca. Pewnie starszej pani pomogły kurczaki.

– Wie pani, gdzie znalazłam te ptaki? – zapytała pani Spencer.

– Hm. Na podwórku? – domyśliła się Pru i uniosła się na łokciach. Zerknęła w bok i zobaczyła chrapiącego obok siebie Wina. A więc spał. Rewelacja. Boże.

Win leżał obok niej.

A pani Spencer stała nad nimi i przyglądała się tej z pozoru nieprzyzwoitej scenie, chociaż oboje byli w pełni ubrani.

– Mogę je wynieść na zewnątrz, jeśli pani chce – powiedziała Pru i wstała z trudem. – Głupie kurczaki nie powinny przebywać w domu!

– Były w pani pokoju, panno Valentine!

Głos kobiety przeszył ją na wskroś, aż po czubki palców. W chwili, w której weszła na teren posiadłości, zrozumiała, że pani Spencer mogłaby zabić człowieka z odległości dwudziestu kroków. Ale po raz pierwszy naprawdę się bała.

– Znalazłam te kurczaki w pani pokoju! – grzmiała pani Spencer. – Nocowały tam, bo miały tam mnóstwo miejsca. A to dlatego, że moja roznamiętniona asystentka dała nogę!

– Nie dałam nogi – upierała się Pru, a stopą szukała butów. Przełknęła ślinę. Poczula na języku ciężki posmak wina. – Pomagałam panu Setonowi... w pisaniu. I zasnąłam.

– Raczej urwał się pani film, sądząc po zapachu i fioletowych ustach. Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego postanowiła pani całować się z moim biografem?

– Całować się? – zapytał Win, który w jednej chwili odzyskał przytomność. – Czy ktoś tu kopuluje? To nie wydaje się w porządku.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła pani Spencer i uniosła rękę.

Obiema pięściami wymachiwała groźnie w stronę sufitu, a ptaki biegały po pokoju, machając skrzydłami. Przez dobrych pięć minut rozrzucały papiery i uderzały w okna i ściany, aż wreszcie udało im się uciec na korytarz.

– Nikt nie kopuluje – burknęła Pru i podniosła buty. – Nie musisz się martwić.

Przycisnęła do piersi oba buty i podbiegła pod ścianę. Próbowwała wymknąć się na zewnątrz, ale pani Spencer zatrzasnęła kopniakiem drzwi.

– Nikt stąd nie wyjdzie, dopóki nie wyznacie swoich grzechów.

– Nie jest pani księdzem – oznajmiła Pru. – I nie mam na sumieniu żadnych grzechów.

– Wielka szkoda – rzucił Win, a Pru posłała mu groźne spojrzenie. – Auć, pani Spencer, nie kopulowaliśmy. Proszę się nie martwić, wszystkie części ciała pozostawały przy ich właścicielach.

Pru znowu zrobiła gniewną minę, co niewątpliwie było błędem. Jej urocze spojrzenie

spode łba zostało odebrane jako zaproszenie do jeszcze większej bezczelności.

– Proszę nie posyłać mi tych uwodzicielskich spojrzeń, panno Valentine – powiedział Win i puścił do niej oko. – Ten biedny stary człowiek nie może znieść pani podstępów.

– Patrzyłam gniewnie, a nie uwodzicielsko!

– Panno Valentine, nie sądziłam, że jest pani taką nierządnicą! – oznajmiła pani Spencer.

Pru jęknęła. Popełniła błąd, myśląc przez chwilę, że Win Seton był jej kumplem. Jego całkowity brak umiejętności społecznych zdumiewał. Nic dziwnego, że w wieku trzydziestu czterech lat nie miał jeszcze żony. Facet był nieudacznikiem.

– Nic się między nami nie wydarzyło – poinformowała Pru. – Próbowałam uratować pani rzekomego biografa przed załamaniem nerwowym. Okazało się to niewykonalnym zadaniem.

– Nie byłoby to dziełem przypadku, prawda? – zapytał Win i zachichotał. – Poza tym nierządnica to nie jakaś straszna obelga. „Jeżeli kobieta nie ma w sobie kapki nierządnicy, jest z definicji nudna”.

Pru natychmiast rozpoznała cytat, ale ani trochę nie osłabiło to jej irytacji.

No dobrze, może była odrobinę mniej zirytowana. Ale tylko troszeczkę.

– Bardzo ładnie pan cytuje D.H. Lawrence’a, Seton – odezwała się pani Spencer, która wychyciła cytat równie szybko jak Pru. – Przyjaźniliśmy się. Mam w bibliotece książkę z jego erotycznymi ilustracjami.

– Proszę mi ją natychmiast pokazać.

– Oboje jesteście żenujący – stwierdziła Pru. – Jak już pani powiedziałam, do niczego między nami nie doszło, a pan Seton nie miał szczęścia zobaczyć mojego uwodzicielskiego spojrzenia.

– Proszę, proszę – powiedział Win.

– Edith przysięgała, że jest pani miłą dziewczyną – odparowała pani Spencer. – Związaną z jedną z najlepszych rodzin w Bostonie. Co by pomyśleli Kelloggowie o tych buduarowych wyczynach?

– Nie sądzę, żeby się tym przejęli.

– Kelloggowie? – spytał Win. – Ci od żywności?

Pru przytaknęła. Odsunęła się od zablokowanych drzwi i opadła ciężko na krzesło przy biurku Wina.

– Pani Spencer... jestem miłą dziewczyną – upierała się, chociaż nie brzmiało to ani trochę przekonująco. – To jest nieporozumienie.

– Co takiego można opacznie zrozumieć w tym, że wykorzyststała pani seksualnie mojego biografa? Nawet nie jest pani Francuzką!

– Ile razy mam to powtarzać? Nie wydarzyło się tu nic seksualnego! Chociaż on chciałby, żeby tak było.

– Podoba mi się, jak wymawiasz słowo „seksualny” – rzucił Win i poruszył brwiami.

– Jak rany! Nie sądzi pani, że to raczej on jest wykorzystującym? Jestem młodą, niewinną dziewiętnastolatką. A on jest szpakowatym starym kawalerem.

– Jestem zszokowany – stwierdził Win. – To przechodzi wszelkie pojęcie! Panno Valentine, proszę powiedzieć prawdę. Siedziałem sobie niewinnie nad maszynopisem...

– Nie tknęłabym pana nawet czyimiś rękami! – warknęła Pru.

Dopadło go niepokojące uczucie. Żal? Smutek? Dotarło do niego, że to wszystko było tylko żartem, że nie mógł mieć nadziei na to, by zabiegać o jej względy.

Win nie miał co prawda żadnych planów wobec tej dziewczyny. Rzeczywiście była piękna i schlebiałoby mu, gdyby okazała mu zainteresowanie. Ale nigdy nie usiłował uwieść biedaczki. Była zbyt niewinna, taka eteryczna z tymi jedwabistymi błyszczącymi włosami

i jasnymi oczami.

I nawet jeśli pominąć kwestię liberalnego wykształcenia, dziewczynie brakowało pewnej realności. Nie chodziło o to, że była niewyrobiona, ale coś zbliżonego. Pru była uprzejma i dobrze wychowana, trochę jednak jak uczennica. Jakby ktoś jej powiedział, jak powinna się zachowywać, lecz jeszcze nie przyswoiła sobie tych zasad.

Oczywiście Win nie wiedział o jej nieżyjącym narzeczonym i sprawach, z którymi usiłowała się pogodzić. Gdyby wiedział, prawdopodobnie nie wzięłyby jej dzielnej i cichej pewności siebie za zwykłą ciemnotę.

– Tylko się wyglupiam – powiedział w końcu Win. Czuł się źle, jakby przyłapano go na dręczeniu przestraszonej dziewczynki. – Panna Valentine zachowywała się przyzwoicie pod każdym względem. I jak pani widzi, oboje jesteśmy ubrani.

– Pan ma na sobie bokserki! – wykrzyknęła pani Spencer. – Widzę pod nimi zarys pańskiego fiutka!

Pru mocno się zarumieniła i odwróciła w stronę okna. Nie chciała, żeby Win zauważył, że chichocze. Ale zauważył. Wyczuła, że uśmiecha się szeroko, choć dzieliła ich odległość pokoju.

– Zarys mojego fiutka? Wielkie nieba! – Win zsunął nogi z łóżka. – Proszę mnie oświecić, pani Spencer. Jak mój fiutek wypada w porównaniu z przyrodzeniem księcia Prus, na przykład? Albo mężczyzny, w którego posiadaniu znajdował się brylant Hope? Zapewniam panią, że jego możliwości sprawiają, że kobiety lśnią jaśniej od brylantu.

– Litości! – powiedziała Pru i oparła się czołem o biurko. – Pomarzyć dobra rzecz.

Win ruszył w jej stronę, utykając. Miał zmęczone kości po tym, jak przez całą noc dbał o to, by utrzymywać stosowną odległość od nieoczekiwanego gościa. Kiedy szedł, Pru starała się z całych sił nie patrzeć na jego gołe i muskularne nogi w sposób, który przywodził na myśl konkretną książkę D.H. Lawrence'a.

– Wstawaj – burknął.

– Słucham?

Nie mogła przestać gapić się na jego nogi. Lepsze to od „zarysu jego fiutka”, rzecz jasna.

– Zwolnij moje krzesło, szczerwana lisico. Nie pozwolę, by rozpraszały mnie twoje seksualne napaści. Muszę pisać książkę.

– Jesteś odrażający – podsumowała go Pru i znowu ruszyła w stronę drzwi.

Pani Spencer odgoniła ją.

– Nie zgadzam się na takie rzeczy – oznajmiła staruszka głosem coraz bardziej piskliwym z każdą sylabą. – Dwójka pracowników cudzołożących w moim domu! Mamy dość nowych szczeniaków. Nie zamierzam dawać schronienia waszemu potomstwu.

– Które z pewnością byłoby mniej wyjątkowe od spanieli – wypalił Win i wkręcił kartkę papieru do maszyny.

– Nie musi mi pan tego mówić!

– Spokojnie – powiedział Win. – To może być świetna zabawa. Staram się tylko was zdenerwować.

– To moja specjalność!

– Nie musi się pani martwić tym, że pani wynajęta pomoc z kimś się łądaczyła – poinformował Win. – Widzi pani skutki tego, że dwójka kumpli wypila razem butelkę taniego wina i szybko się ululała. Jest jeszcze to, co panna Valentine mówiła o moim załamaniu. To też było prawdą.

– Cieszy mnie, że ma pan tyle wolnego czasu, żeby pić i tracić wątek. Wydawało mi się, że pisze pan książkę. Oboje jesteście tu po to, żeby pracować.

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu pani niewinnej młodej lokatorki, ale jeśli chodzi

o mnie, klnę się na Kościół<sup>17</sup> – powiedział Win i puścił oko do Pru – że pracuję najciężej, jak umiem.

– Proszę mi tu nie wspominać znowu Winstona – rzuciła pani Spencer i prychnęła.

– Już wszystko tłumaczę – ciągnął Win. – Dostarczyła mi pani tak mało materiału do pracy, że często mam mnóstwo wolnego czasu. Może mieć mi pani za złe to, że zaprzyjaźniłem się z pani jedyną pracownicą w Grange? Nudzę się, a panna Valentine jest wybornym towarzyszem.

– Jestem tego pewna – prychnęła pani Spencer. Siedziała na łóżku. Pru przesunęła się w stronę drzwi. – Powinien pan opisywać moją historię, Seton. Poświęcać uwagę mnie.

– Proszę pani, staram się od początku. Tylko że nie daje mi pani szansy.

– W porządku. Niech pan robi, jak chce – powiedziała pani Spencer i przycupnęła na skraju łóżka Wina, podobnie jak kurczaki. – Odpowiem na wszystkie pana pytania. Ale jak już powiedziałam, nie jestem księżną. Gdzie pański magnetofon, Seton?

– Magnetofon? – powtórzył Win. Z zaskoczenia aż wybałuszył oczy. – Szczerze powiedziawszy, wolałbym spisać naszą rozmowę. Magnetofon zdążył mnie zirytować. Niech pani zapyta pannę Valentine. – Ruchem głowy wskazał na Pru stojącą przy drzwiach.

Chociaż nikt jej już nie powstrzymywał, nie mogła się ruszyć. Zachowanie pani Spencer się zmieniło. W jednej chwili zrobiła się uważniejsza, gotowa do gry. Pru chciała zostać i w końcu poznać całą opowieść.

– Pannę Valentine? A co panna Valentine wie o pańskim magnetofonie?

– Dałem jej posłuchać kilku nagrań. Szybko osiągnąłem granice swojej wytrzymałości i cisnąłem nim o ścianę.

– Rzucił pan nim?

– Nie rozpadł się! – zaświergotała Pru. – Nie włożył w to wystarczająco dużo siły. To był raczej niezdamny rzut. – Zademonstrowała ten ruch.

– Wielkie dzięki – powiedział Win. – Mężczyzna nie może się tu czuć zbyt męsko, co?

– Chcę, żeby mnie pan nagrywał – zaoponowała pani Spencer. – Nie mogę ufać, że zapisze pan moje słowa zgodnie z moją wypowiedzią. Proszę się nie gniewać, ale nie wydaje się pan szczególnie bystry.

– Jak mógłbym się gniewać o coś takiego? – zapytał i przewrócił oczami. – Wygrała pani, pani Spencer. Jeśli rzuci mi pani okrucieństwo informacji niedotyczący opierzonych stworzeń, z przyjemnością nagram pani wspomnienia.

Otworzył szufladę biurka. Szperał w niej przez pół minuty, aż w końcu znalazł czystą taśmę. Wsunął ją do magnetofonu i nacisnął czerwony przycisk.

– Od czego chciałaby pani zacząć? – zapytał.

– Urodziłam się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku.

– Zgadza się – przytaknął Win. – Tak samo jak księżna Marlborough.

– Nie. To był tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty drugi rok. Przepraszam. Pomyliłam się. Jestem już stara.

– Też się tak często tłumaczę.

– Tak, tak. Urodziłam się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku w Paryżu, w hotelu Brighton. Stał przy Rue de Rivoli naprzeciwko ogrodów Tuileries. Mój pierwszy oficjalny dom znajdował się przy Rue Pierre Charron czternaście, kilka przecznic od Pól Elizejskich. Rodzina pochodziła z Ameryki, ale większą część życia spędziłam w Europie i uważam się za paryżankę z krwi i kości.

Win sporządził kilka notatek. Pru usiłowała przeczytać je ze swojego miejsca przy drzwiach.

– Moja matka była znaną *femme fatale* – ciągnęła pani Spencer. – Nawet więcej. Była

*demimondaine*, nieistniejącym już połączeniem hrabiny i kurtyzany.

– *Demimondaine* – powtórzył Win, zwracając się do Pru. – Czyli prostytutką. Wyższej klasy.

– prostytutką? – Wytrzeszczyła oczy Pru.

– Panno Valentine, niech pani nie będzie taka pruderyjna – burknęła pani Spencer. – Zresztą, po co ja się tak staram. Nie potrafię wyjaśnić tego współczesnej kobiecie, która szuka pracy i pali biustonosze.

– Uwaga na potrzebę rękopisu: pani Spencer popatrzyła wrogo na pannę Valentine, gdy wypowiadała słowo „biustonosz”.

– Proszę mi wierzyć, że to była zaszczytna pozycja. Świadczyła o tym, że ktoś potrafił wykorzystywać swoją urodę i czar, by się utrzymać. I to na dość wysokim poziomie. Ostatnim domem mojej matki był pałac ozdobiony jednoróżcami i dziewczycami.

– Nie ma w tym nic wulgarnego – dodał Win. – Aczkolwiek to była kobieta, która oferowała seks za peniuary i przyczyniła się do co najmniej jednej śmierci.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Uwaga na potrzebę rękopisu: pani Spencer wyniośle pociągnęła nosem.

– Nagrywa pan wywiad ze mną czy swoje komentarze?

– Jedno i drugie – odparł. – Panno Valentine, chyba jest pani niewygodnie tak stać. Może by pani usiadła.

Kiedy popatrzyły na nią dwie pary oczu, Pru przeszła pod ścianą i usiadła w dalszym końcu łóżka, w pobliżu poduszki Wina, na której nadal utrzymywała się śladowa piżmowa woń jego skóry. Serce zaczęło jej żwawiej bić.

– O czym mówiłam? – zapytała pani Spencer, przyglądając się Pru.

– O pani matce – przypomniał jej Win.

– A tak, o matce. Była majestatyczną istotą. Sławną *femme fatale*, jak już wspomniałam.

I przez to wpadła w tarapaty.

– Domyślam się.

– Matka była... jej uroda... była przygniatająca. Ta kobieta była elegancka i pełna gracji. Robiła wrażenie samym pojawieniem się gdzieś. Cudownych kasztanowych włosów zazdrośczone jej bardziej niż figury i strojów, a to o czymś świadczyło, zważywszy na olśniewające suknie. Jej rachunki z najlepszych sklepów regulowali najwspanialszy mężczyźni.

– Jak mówiłem, była to prostytutka wysokiej klasy.

– Matka podróżowała po świecie – ciągnęła pani Spencer. Celowo zignorowała wtępotę w ramach swojej strategii traktowania Wina. – Ale zawsze z nami czterema i naszymi opiekunkami, niańkami i guwernantkami. Spędzałyśmy wakacje w Newport, gdzie nasze amerykańskie kuzynki uważały, że jesteśmy wyuzdane, bo przyłapały nas na tym, że ogrzewaliśmy nasze pantalone przy ogniu. Odwiedziłyśmy Afrykę. Amerykę Południową. Daleki Orient. Najwięcej czasu spędzałyśmy jednak w Paryżu. Czasami mieszkaliśmy w najlepszych hotelach, kiedy indziej w luksusowo urządzonych mieszkaniach w Marais. Paryż był naszym domem.

– Studiowała pani w Paryżu? – zapytał Win. – W młodości.

– Oczywiście. Matka zadbała o to, żebyśmy zdobyły artystyczne wykształcenie.

Wszystkie władałyśmy biegle sześcioma językami, gdy miałyśmy po dziesięć lat. Nawet Edith, która jest tępa jak pień. Matka wyciskała z nas wszystko, co najlepsze. Taka już była. Moja najdroższa siostra Audrey i ja wykazywałyśmy talent muzyczny od najmłodszych lat, więc ćwiczyłyśmy w Sacré-Cœur. Nadal czuję dotyk dłoni Audrey, kiedy przechodziłyśmy przez wyłożone deskami przejście i szłyśmy w stronę białych kopuł górujących nad miastem.

W chłodnych wieżach bazyliki znajdowałyśmy największe szczęście. Tak wielu ludzi nie znosiło Sacré-Cœur, bo tak silna była ich fascynacja gotykiem. Agresywny katolicyzm tego budynku nigdy nie przerażał ani Audrey, ani mnie. To było miejsce, w którym miałyśmy ochotę śpiewać.

– Proszę mi opowiedzieć o życiu w Rzymie – poprosił Win. – O mieszkaniu z mamą we wspomnianym pałacu z jednorożcami.

– To było obniżenie statusu – powiedziała pani Spencer. – Mimo że to był renesansowy pałac. Matka napotkała spore trudności w zdobyciu statusu. Włosi są bardziej rygorystyczni od paryżan i patrzą mniej przychylnym okiem na kolorową lub zbrukaną przeszłość. Paryżanie celebrytują życie i intelekt, nie bacząc na szkielety ukryte w szafie.

– W tym wypadku dosłowne. *Ergo, Coco.*

– Mimo to – ciągnęła pani Spencer, która z heroicznym wysiłkiem starała się ukryć irytację – matka nadal nosiła głowę wysoko i była elegancka. Nie przejmowała się głupcami. Nie przejmowała się niczym. Nawet pozbawiona środków do życia, u kresu swoich dni, kiedy nie było komu opłacać jej rachunków, przechadzała się po pałacu, gdzie po trawnikach spacerowały błękitne i białe pawie.

– Przerost formy nad treścią, nieprawdaż, pani Spencer? – zapytał Win z szelmowskim uśmiechem.

– Młody człowieku, moja matka była treścią. Musiała tylko dopasować do niej formę.



Kilka dni później Pru kąpała trzy psy. Wyrzała przypadkiem przez okno. Prawie nie mogła uwierzyć własnym oczom.

To był Win Seton. Na zewnątrz. Stał pod wierzbą płaczącą w biały dzień. Jeszcze się nie zamienił w słupek soli. Pru uznała, że musi się tym zainteresować.

Podeszła do niego, kiedy stał na brzegu na poły zamrożonego stawu, gwizdał i rzucał kamieniami. Nie wiedziała, czy próbował uderzać gęsi celowo, czy też był to skutek jego kiepskiego celu.

– Pisarz wychynął ze swojej nory – odezwała się i podeszła do niego od tyłu. – Wreszcie. Odwrócił się w jej stronę z szerokim uśmiechem.

– Nie pozwól, by ktokolwiek, to znaczy mój ojciec, powiedział ci, że nie lubię przebywać na zewnątrz – rzucił, a słońce przeświecało mu przez włosy. – Piękny dzień, prawda?

Pru przytaknęła. Czowała się głupio i niezręcznie. Boże, dopomóż. Spędziła w tym przeklętym domu zbyt dużo czasu. Win Seton zaczął przypominać gwiazdora kina, był taki złoty i promienny. Pru pokręciła głową. To nie ma sensu.

– Proszę. – Podał jej kamyk. – Chciałabyś spróbować?

– Chętnie.

Wzięła gładki chłodny kamyk i szybkim ruchem nadgarstka puściła kaczkę.

– Nie najgorzej – skomentował. – Na pewno pomógł ci w tym lód.

– Co tam lód! Wiem, że to nie to samo co rzucanie magnetofonem o ścianę – odparła Pru i puściła drugą kaczkę, niezmiernie zadowolona z nowo odkrytej umiejętności. – Ale działa.

Seton znowu się uśmiechnął. Szeroko. Było w tym coś niepokojącego, a przecież nie zrobił nic złego.

Pru natychmiast odwróciła głowę, ponownie się rumieniąc. Chciała odejść, ale Win powiedział prawdę. To był cudowny dzień, mimo że mieli zimę. Ten dzień w ogóle nie wydawał się zimowy.

Wokół nich kwitły oczary wirginijskie, a także wiciokrzewy roztaczające cytrynową woń. Kwiaty kaliny chełpiły się różowym odcieniem waty cukrowej, a wzdłuż południowego muru rozkwitły fioletowe irysy. A wszystko to otulała warstewka śniegu i lodu połyskująca jak tiul.

Pru zastanawiała się, co to jest. To nieznanne uczucie? Czyżby jakiś rodzaj... szczęścia? Ta myśl wydała się jej zbyt egzotyczna.

– Co cię tu sprowadziło w ten jasny i miły dzień? – zapytał Win.

– Przechodziłam w pobliżu. Postanowiłam się przywitać.

Nie wspomniała, że wypatrzyła go z sypialni pani Spencer, położonej w najwyższej części domu. Zostawiła tam trzy psy, które chlapały wodą na złotą tapetę w lirogony, a sama zeszła do niego.

– A co ty tutaj robisz? – zapytała. – Chyba nigdy nie widziałam, żebyś wychodził z domu.

– Chyba nie wychodziłem. Otóż pisałem jak oszalały i postanowiłem zrobić sobie przerwę. Na pewno jest to dobry powód. Pani Spencer daje mi wreszcie to, czego potrzebuję.

– I zapewne sporo tego, czego nie potrzebujesz.

– To też. Ale przyjmuję wszystko, mimo że nadal nie chce się przyznać do tytułu.

Powiedz mi, co myślisz o naszej starej pani? Prostytucja. Porwania. Zabójstwo. Ze wszystkim tym zetknęła się przed ukończeniem dwunastego roku życia.

– Jaka to ironia, zważywszy na fakt, że oskarżyła mnie o rozwiązłość i zły wpływ. Jeśli mam być szczerą, bardziej podobają mi się późniejsze lata pani Spencer. Na przykład jej związek z Proustem.

– Przyjaźń trwająca wiele lat.

– Imponuje mi, że jeździł za nią po świecie, opętany chęcią przyjaźnienia się z nią. Żądał tej przyjaźni!

– Jej się podobała ta pogoń.

– Bez dwóch zdań – stwierdziła Pru. – Aczkolwiek miała prawo się wkurzyć, kiedy przez jego zawziętą pogoń trafiła do rzymskiego więzienia.

– Bezcenne dzieła sztuki nie mogły opuszczać miasta – zauważył Win ze śmiechem. – A Proust musiał znaleźć jakiś sposób, żeby spowolnić Gladys. Niezły był, prawda? Neurotyk, który dekował się na wiele miesięcy w swoim wyłożonym korkiem pokoju. Musieli stanowić nie lada widowisko, kiedy byli razem.

– Powiedziałam pani Spencer, że kilka miesięcy temu przeczytałam *W poszukiwaniu straconego czasu*...

– Ha! Lubisz cienkie książki – powiedział Win z uśmiechem. Mrużył oczy przed słońcem.

– Pewnie przeczytałas wszystkie tomy po francusku. Mnie się nie udało przebrnąć przez to dzieło, co nie znaczy, że nie próbowałem. Zbyt wiele stron, za mało akcji.

– Tylko nie pozwól, żeby pani Spencer coś takiego usłyszała! Proust nie należy do moich ulubieńców, ale w jego wypadku akcja nie jest ważna!

– Więc co jest ważne?

– *W poszukiwaniu straconego czasu* to studium ludzkości – powiedziała Pru. Jej poglądy na temat tego pisarza złagodniały za sprawą pani Spencer. – Dość rewolucyjne jak na tamte czasy. Nawet współcześnie. Jeden z moich profesorów utrzymywał, że to najlepsza dwudziestowieczna książka, jaką dotychczas napisano.

– Hrabia Robert de Montesquiou nazwał ją „mieszaniną litanii i spermy”.

– Domyślam się, że z ust takiego dandysa był to komplement.

– Wiesz, co jest najlepsze? – zapytał Win. – W jej historyjkach i anegdotach? – Puścił kolejną kaczkę. Gęsi zagęgały i zatrzepotały skrzydłami. – Najlepsze jest to, że w większości są one prawdziwe.

Pru zachichotała.

– Taką mam nadzieję – stwierdziła. – Szkoda by było, gdyby świat ich nie poznał.

Pru wyciągnęła rękę, a Win położył jej na dłoni kamyk. Odwróciła się i puściła kaczkę, dłuższą i prostszą od jego najlepszego rzutu.

– Nie przyznała jednak, że jest księżną – zauważyła. – To jest irytujące i dziwne.

– Otworzyła się jednak, więc na razie mi to nie przeszkadza. Jeśli zaś chodzi o ciebie... – Wskazał na nią. – Muszę ci za wszystko podziękować.

– Mnie? Ja się tylko obudziłam w twoim łóżku i wyglądałam jak nierządnicą.

– No właśnie. Lady M jest zazdrosna. Bernard Berenson powiedział o niej... – Zamknął oczy, żeby sobie przypomnieć. – Powiedział między innymi, że musi „dominować, zmiżdżyć obcasem głowy tych, którzy są słabsi od niej. Kiedy dostrzeże potencjalną ofiarę, zapomina o wszystkim, nawet najgłębszych zainteresowaniach, i będzie ją nękać tak długo, aż wykończy”.

– I nęka ciebie – zauważyła Pru i dobrotliwie przewróciła oczami. – Jakie to wspaniałe, że

tak o sobie myślisz.

– Nie zawdzięczam tego sobie, tylko swojej płci. Księżna pragnęła wyłącznie miłości. Od wszystkich. Zawsze.

– Nie jest to zbyt wyjątkowe pragnienie, jeśli się nad tym zastanowić – stwierdziła Pru. – Te słowa z ust Berensona z pewnością ją zabolaly. Tak bardzo go kochała. Przynajmniej przez jakiś czas.

Win się skrzywił.

– Nie. Była w niego wpatrzona, to pewne, ale ich relacja przypominała związek ojca z córką, mentora i uczennicy.

– Przecież prawie rzucił dla niej żonę!

– Co czyniło go tak wyjątkowym jak mucha. Gladys Deacon chciała, żeby kochał ją każdy mężczyzna, nawet jeśli nie odwzajemniała tego uczucia. Wobec Berensona nie miała romantycznych zamiarów. Zależało jej po prostu, żeby on miał zamiary wobec niej.

– Bzdura, jak byś powiedział. Dlaczego spędzała z nim tyle czasu? – zapytała Pru.

– Gladys Deacon uważała siebie za najbardziej inteligentną i kulturalną kobietę, jaka chodziła po świecie, ale miała słabą wiedzę z dziedziny sztuki. Według niej Berenson był jedynym człowiekiem, który mógł ją nauczyć czegoś nowego. Wykorzystała go, by poszerzyć swoją wiedzę i osiąść nowe informacje, którymi mogła zabłysnąć na salonach.

– Nie potrzebowała do tego Berensona – nie zgodziła się Pru. – Przyjaźniła się z Monetem! Degasem! Każdym artystą. Nie. Zamiłowanie do starych mistrzów było tylko wymówką, by spędzać czas z Berensonem. Można to wywnioskować ze sposobu, w jaki wypowiada jego imię. Ani razu nie obraziła jego sprawności seksualnej. Obrażała Prousta, który przecież był gejem!

– Za bardzo żyjesz powieściami, słodka Pru. Tych dwoje dzieliła przepaść wiekowa. Prawie piętnaście lat.

Tyle samo dzieliło również Wina i Pru.

– Czy Sunny nie był starszy o jedenaście lat? – spytała. – A pobrali się.

– Z miernym skutkiem.

– Nie rozumiem, co wiek ma z tym wspólnego. Słyszałaś, jak sarkastycznie pani Spencer wypowiada się o żonie Berensona, mimo że się przyjaźniły. Nie mówi tak o Coon, która była żoną księcia!

– Coon nigdy się nie starała brylować w jej towarzystwie – przypomniał jej Win. – Gdyby to zrobiła, byłoby po niej. Jak w naszym wypadku. Dopiero kiedy pani Spencer zastała cię w moim łóżku, okazała zainteresowanie moim pytaniem. Woli już zająć się mną, niż pozwolić, żebym poświęcał uwagę tobie.

Pru zbladła.

Uwagę? Czy Win poświęcał jej uwagę? Pru zdążyła już zapomnieć, jak powinno wyglądać zainteresowanie okazywane przez mężczyznę. Nagle zrozumiała.

– Twoja obecność pobudziła panią domu – powiedział Win. – Musi być jądrem wszystkiego i nie pozwoli, by przyćmiła ją jakaś wędrowna, zagubiona Amerykanka.

– Hm. – Pru uśmiechnęła się nerwowo. – Nie wiedziałam, że jestem zagubiona. I wędrowna. I czy przypadkiem nie powiedziałeś przed chwilą, że między nią a Berensonem nic nie było ze względu na różnicę wieku? Czy może chcesz powiedzieć, że blisko ci do wieku pani Spencer?

– Przeszabawne. Owszem. Zbliżam się do osiemdziesiątki. Moja wątroba na pewno.

– Nawet gdybym się zgodziła z twoją hipotezą – stwierdziła – że dostrzegła we mnie rywalkę, dlaczego dziewięćdziesięcioletniej staruszce miałyby zależeć na zdobyciu względów

młodego mężczyzny? Oczywiście określenie „młody” jest w tym wypadku względne.

– Oczywiście! Widzisz, panno Valentine, na tym polega problem starzenia się. Ciało się zmienia, ale serce nie. Lady M pragnie tego samego co zawsze.

– To raczej tobie podoba się pomysł, że możesz być w centrum miłosnej intrygi.

Win odchylił głowę do tyłu i się zaśmiał.

– Moja nowa przyjaciółko. Ze względu na ciebie to całe przedsięwzięcie będzie wartościowe. Nieważne, co uda mi się wydusić z pani Spencer.

Nagle Win chwycił ją za rękę. Skutek był straszniejszy od jakiegokolwiek odgłosu wystrzału, który rozległ się na tej posesji. Kiedy poczuła jego dłoń w swojej, Pru gwałtownie wciągnęła powietrze. Miała nadzieję, że nie usłyszał jej stłumionego okrzyku.

– Chodź – rzucił. – Chodź ze mną do środka. Chcę ci coś pokazać.

Nie mogąc wydusić z siebie słowa, Pru pozwoliła, żeby pociągnął ją przez wrzos i tymianek. Kiedy tak szli, zerknęła w stronę sypialni pani Spencer. Mokre psy poradzą sobie jeszcze chwilę.

Nagle dostrzegła ruch w oknie. Zamrugła raz, potem drugi. Spuściła wzrok, żeby móc lawirować między leżącymi na ziemi gałęziami. Kiedy popatrzyła do góry raz jeszcze, mogłaby przysiąc, że zobaczyła kamienne spojrzenie pani Spencer migoczące za szybą.

## WIELKI POKÓJ STOŁOWY

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

STYCZEŃ 1973 ROKU

– Chciałeś mi pokazać jadalnię? – zapytała Pru. – Dzięki, ale już ją widziałam z dziewięćset razy, głównie kiedy niosłam mokrego psa.

Gdy stanęli w drzwiach, Win puścił jej rękę. Pru starała się nie ściągnąć brwi. Pewnie dobrze zrobił. Pani Spencer bez wątpienia rzuciłaby w nich czymś ciężkim, gdyby była świadkiem kontaktu fizycznego między nimi. A na pewno zaraz tu zejdzie.

– Powinam wracać... – zaczęła Pru.

– Cii! Zaczekaj chwilkę. Po pierwsze, to nie jest zwykła jadalnia, tylko wielki pokój stołowy. – Wskazał na plaketkę nad drzwiami. – Nie widzisz?

– Wielki – powtórzyła Pru – to lekka przesada.

Pokój nie był mały, ale też nie był wielki. Stał w nim stół, który wydawał się równocześnie zbyt wąski i za duży dla tego pomieszczenia. Przy stole mogły usiąść cztery osoby, pod warunkiem że były drobnej lub średniej budowy i gość nie miał nic przeciwko siedzeniu na taborecie.

– Zgadzam się, że pokój nie jest szczególnie imponujący – przyznał Win. – Ale to. – Wskazał na portret wiszący nad kominkiem. – To jest majstersztyk.

– Czy to...? – Pru podeszła kilka kroków bliżej. – Czy jest pani Spencer?

W ciągu kilku miesięcy mijala ten obraz niezliczenie wiele razy. Wielki pokój stołowy był drogą na skróty między kuchnią a legowiskami kilku grupek szczeniąt. Obraz był świetny, owszem, ale Pru nigdy nie przyszło do głowy, że sportretowana kobieta była tą samą, która pędziła przez miasteczko ze skołtunionymi włosami, miała diabła w oczach i wrzeszczała na dzieci.

– To jest księżna we własnej osobie – poinformował ją Win. – Albo jeśli wolisz, pani Spencer.

Portret kipiał kolorem, odcieniami zimowego zachodu słońca – różem, srebrem i bielą. Gladys Deacon siedziała na tapicerowanej ławce, na poduszce. Miała na sobie suknię z różowej organzy, z odsłoniętymi ramionami, ozdobioną z przodu różami. Włosy ułożone w fale miała zaczesane do tyłu i upięte nad karkiem. Opierała się na różowej poduszce, a za plecami miała białe i czarne pióra. Nawiązanie do ptaków, pomyślała Pru z uśmiechem. Jakie to wymowne.

– Wygląda olśniewająco. – Poczula, że brakuje jej tchu.

Jeżeli portret mógł coś sugerować, księżna była najatrakcyjniejszą kobietą swoich czasów, zgodnie z tym, co utrzymywała pani Spencer.

– Była olśniewająca – zgodził się z nią Win. – Artysta to Giovanni Boldini, najslawniejszy portrecista swoich czasów. Nazywano go mistrzem ze względu na pełne gracji pociągnięcia pędzlem.

– Widzę. Obraz pulsuje, jakby ona żyła. Mam wrażenie, że rozmawia z kimś, kogo nie widać.

– Człowiek miał talent – przyznał Win. – Aczkolwiek pracował z najwyborniejszymi. Boldini i John Singer Sargent malowali najświetniejszych przedstawicieli *belle époque*. Sargent

wielokrotnie szkicował Gladys Deacon, ale nigdy nie namalował jej portretu, z obawy, że nie będzie potrafił oddać jej prawdziwego piękna.

– Boldini był zatem większym ryzykantem? – zapytała Pru.

– Albo to, albo liczył na porządne chędożenie. Słynął z tego, że był łajdakiem. – Win puścił oko do Pru. – Boldini namalował też Coon. Księżę wściekł się w obu wypadkach, ale pozwolił na to. Portret sporządzony przez Boldiniego był symbolem statusu.

Win postąpił kilka kroków w stronę obrazu. Przyglądał mu się przez chwilę i gładził dłonią pęknięcie w ścianie.

– Była atrakcyjna – stwierdził.

A więc to była pani Spencer. Za tym wszystkim, za bronią i spanielami, kryła się młoda kobieta sportretowana przez sławnego artystę, patrząca w kierunku bezimiennego towarzysza siedzącego w tym samym pokoju.

– Co się dzieje z tą ścianą? – mruknął Win, nadal napierając na pęknięcie. – Mam nadzieję, że ten pokój nie runie.

– Albo cały dom – powiedziała Pru. – Myślisz, że to jest ona, Seton? Naprawdę?

Win zerknął na nią przez ramię.

– Ależ oczywiście! Spójrz na kolor oczu, kształt nosa. Nie dostrzegasz tego?

Pru przytaknęła.

– Chyba dostrzegam.

Win oderwał dłoń od ściany. Cofnął się o krok.

– Pięknie pani wygląda, lady Marlborough – powiedział i ukłonił się nisko. – Jak zawsze, miło panią widzieć. – Odwrócił się i usiadł przy stole. – Siadaj. – Poklepał miejsce obok siebie. – Odpocznij.

Pru przytaknęła i posłuchała go, przez cały czas zerkając ukradkiem w stronę drzwi. Pani Spencer z pewnością wpadnie tu lada moment. Nakrzyczy na Pru za to, że nie robi, co do niej należy, i na biografa z tego samego powodu.

– Dokąd się stąd udasz, panno Valentine? – zapytał Win.

– Nie rozumiem.

– Gdy opuścisz Grange. Dokąd pojedziesz?

Pru się zaśmiała, chociaż nie było jej wcale do śmiechu.

– Co to za pytanie?

Żenujące było to, że Pru nie miała pojęcia, jak na nie odpowiedzieć. Teraz to był jej świat, nieefektowny i zaniedbany. Zważywszy na fakt, że pani Spencer mogła umrzeć w każdej chwili, życie w Grange było też ulotne. Dokąd się stąd uda?

– Ty również tego nie wiesz – zauważył Win z uśmiechem. – Witaj w klubie.

– Ależ skąd. Wiem. Wrócę do Stanów.

– Tylko dokąd? Słyszałem, że Ameryka jest dość rozległa.

– Na Wschodnie Wybrzeże – burknęła Pru.

Brzmiało to nawet prawdopodobnie. Kalifornia wydawała się leżeć niemożliwie daleko, pod wieloma względami. Z drugiej strony jazda do Bostonu też była nie do pomyślenia.

– Może do Nowego Jorku – dodała.

– Wygląda na to, że masz to gruntownie przemyślane.

– Wszystko się zająbia. – Pru splotła palce. – Powinnam dowodzić armią, taki mam talent organizacyjny.

Armią. Pru opuściła gwałtownie rękę, bo poczuła ukłucie pod żebrami, jakby obudziła się dawno temu odniesiona rana. Nie myślała o Charliem od pewnego czasu. A jeśli myślała, to tylko przelotnie. Czy gdy wróci do Stanów, znowu będzie wypełniał jej dni i przedostawał się do

snów?

Zrobiło się jej trochę niedobrze.

– Wszystko w porządku, panno Valentine? Wyglądasz blade.

– Czuję się wyśmienicie. A ty? – zapytała szybko.

Odejdź, Charlie. Odejdź, do cholery.

– Wrócisz do Londynu? – spytała. – Czy tam mieszkasz?

– Mam mieszkanie w Londynie, owszem. Dzielę je z dwoma kuzynami. Mamy też dom rodzinny w Île Saint-Louis w Paryżu. Nie wiem jeszcze, w którym progu stanę.

– Może w tym, z którego masz bliżej do wydawcy – podsunęła.

– Słucham.

– Albo redaktora. – Pru wskazała na obraz. – Twojej biografii. Kiedy skończysz pisać, domyślałam się, że będziesz chciał mieszkać blisko wydawnictwa. Czy też miejsce nie ma znaczenia? Nie wiem, jak to się odbywa.

– Eee... – Zachichotał z goryczą. – Zdecyduje o tym los, nie ja.

– Jestem pewna, że się namyślisz – powiedziała. Starła się wyglądać radośniej. – Kiedy już twoja książka okaże się literackim przebojem i zostaniesz wziętym autorem, będziesz musiał żyć tam, gdzie będziesz mógł się spotykać z innymi pisarzami i odwiedzać najlepsze salony. Zapytaj panią Spencer.

– Boże, inni pisarze. To wcale nie brzmi fajnie.

– Więc też nie wiesz, dokąd się udasz – stwierdziła Pru. – Doskonale. Nie czuję się aż tak bardzo źle w związku z tym, że nie mam celu.

– O rety, nigdy nie traktuj tego starego capa jako odniesienia w kwestii ambicji i motywacji. W moim wypadku są dość niskie. Prawie zerowe.

– Pomyśl o tym, jaki będziesz szczęśliwy. Kiedy już skończysz pisać i puścisz biografię Gladys Deacon w świat.

– Będę? To zabawne. Bo... bo... – jąkał się. – Od tak dawna uganiam się za tym marzeniem. I nie wiem, co zrobię, jeśli je dogonię.

Przez większość minionych dwudziestu lat Win wierzył, że wszystko się zmieni, gdy już napisze książkę. Dokładnie tak, jak mówiła Pru. Tylko czy cokolwiek się naprawdę zmieni? Czym była książka oprócz słów, które przeczyta kilka osób? Czy kiedy Win osiągnie cel, rodzina wyzbędzie się wątpliwości na temat jego osoby? Nie mówiąc o wątpliwościach, które sam miał.

– Co masz na myśli, mówiąc „jeśli”? – zapytała Pru. – Dogonisz je. A kiedy to zrobisz, poszybujesz na tym osiągnięciu tak daleko, jak tylko się da. Będę pierwszą osobą, która ustawi się w kolejce po tę książkę. I wszystkie następne. Będę się chwaliła tym, że cię poznałam.

– No tak. A co, jeśli się okaże, że... – Spojrzał na Gladys Deacon, która jak się wydawało, miała sceptyczną minę na tle piór i różu. Jesteście przegrani, zdawała się mówić. Najsmutniejsze przypadki, jakie kiedykolwiek widziałam. – A co, jeśli to – odezwał się. – Jeśli się okaże, że tak naprawdę nie chciałem tego, czego pragnąłem od zawsze?

– Spróbujesz odkryć, na czym ci tak naprawdę zależy.

Win odwrócił się i popatrzył na nią. Zrobiło się jej gorąco od jego spojrzenia.

– Mam lepszy pomysł – oznajmił. – Co powiesz na to? Będziemy tu mieszkać do śmierci pani Spencer. I potem również, bo przecież kupiła tę farmę. Psy będą się mnożyły wiecznie. W to nie wątpię. Ktoś powinien się nimi opiekować. A ja mogę pisać wszędzie.

– Seton, ale z ciebie kawalarz! Pani Spencer nie zgodzi się, żebyśmy zostali w Grange bez niej. Ledwie nas teraz toleruje!

– O niczym się nie dowie! – stwierdził Win. – Przywilej zmarłych. Chyba że będzie nas nawiedzać.

– Co do tego nie mam wątpliwości.

– Posłuchaj, to ma rację bytu. Po jej śmierci bardzo cichutko... zostaniemy tutaj. A jeśli ktoś się tu pojawi, powołamy się na prawo dzikich lokatorów. Kto by chciał ten motel dla pcheł? Będziemy spędzali dni, nie snując żadnych konkretnych planów. Będziemy robili, co się nam będzie podobało.

Pru się uśmiechnęła.

– Brzmi to całkiem nieźle – stwierdziła.

– A nawet dobrze.

Win wstał. Kolana mu przy tym zatrzeszczały.

– Aczkolwiek – powiedział, kiedy szedł w stronę drzwi. Zatrzymał się i spojrzał znowu na Pru. – Pewnie powinniśmy mieć się na baczności. Uważać na to, czego sobie życzymy i tak dalej.

– A co jest złego w pragnieniu czegoś?

– Panno Valentine, nie rozumiesz? To przez nasze pragnienia wpakowaliśmy się w taki bałagan.



GRANGE,

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

STYCZEŃ 1973 ROKU

– Panno Valentine!

Zza drzwi dobiegało energiczne walenie. To był Win, rzecz jasna. Pani Spencer nigdy nie pukała.

– Panno Valentine, jesteś tam? Wpuść mnie!

Pru nie spieszyła się z odpowiedzią. Było jej dobrze, leżała przy ogniu owinięta kocem i z książką. Tym razem oddawała się lekturze *Love Among the Chickens* P.G. Wodehouse'a. Nigdy wcześniej nie czytała tego autora. Jego prace tryskały humorem, były lekkie i nie nadawały się, by uwzględnić je w bardzo poważnym programie studiów. Ależ była z niej kiedyś nudziara!

– Panno Valentine?

– Tak – odpowiedziała trochę niechętnie. – Jestem tu. Chyba.

Ledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, a Win już wparował do pokoju.

– Musisz ze mną iść! – powiedział i doskoczył do niej. Włosy podskakiwały mu przy tym jak uszy podekscytowanego spaniela. – Natychmiast! To pilne! Muszę ci coś pokazać!

– Win... – powiedziała Pru i jęknęła. – Jest późno. Jest mi wygodnie i nie chce mi się wstawać.

– Nie bądź takim leniem – rzucił. – Poza tym nie jest aż tak późno. Palisz ogień? Przecież nie jest zimno.

– Mamy styczeń! A w tym domu wieje bardziej niż na saniach Świętego Mikołaja.

Poza tym wszyscy wiedzieli, że najlepiej się czyta przy trzaskającym ogniu, zwłaszcza gdy jest się tysiące kilometrów od domu. Lub jeśli się nie ma domu.

– Jestem w trakcie lektury.

Win rzucił okiem na okładkę.

– *Love Among the Chickens* – przeczytał. – Wolę jego serię opowiadającą o zamku Blandings. Ale dla każdego coś milego. W każdym razie Wodehouse może poczekać. Wierz mi. Chcesz to zobaczyć.

Podał jej rękę. Ujęła ją z kolejnym jękiem. Podniósł ją.

– Jestem blisko piętnaście lat starszy od ciebie, ale to ty wylegujesz się jak jakaś stara panna.

– Nie jestem stara. Po prostu było mi dobrze. I wolę, kiedy mi się nie przeszkadza.

– No to znalazłaś się w niewłaściwym miejscu.

Prowadził ją korytarzem.

– A co z panią Spencer? – szepnęła Pru, kiedy szli w stronę schodów. – Wiesz, że nie znosi, kiedy włoczemy się po domu, gdy ona uda się już na spoczynek.

– Nie włoczmy się. I dlaczego przejmujesz się tym, co myśli dziewięćdziesięciolatka?

– Po pierwsze, płaci mi. Po drugie, już się na mnie wkurzyła o to, że schrzałam robotę z karmieniem szczeniaka dwa dni temu. Nikt mi nie powiedział, że powinnam go karmić, więc nie można mieć mi tego za złe. Ale pani Spencer, rzecz jasna, nie przejmuje się takimi

drobiazgami.

– Nie martw się – powiedział Win i pomógł Pru pokonać uszkodzony stopień. – Stara ptaszyna wpadła już w fioletową mgiełkę wywołaną przez nalewkę z opium.

Spała, ale jak długo? Problem z fioletową mgiełką wywołaną przez nalewkę z opium polegał na tym, że kiedy pani Spencer się budziła, była czerwona ze złości.

– Dokąd idziemy? – zapytała Pru.

Gdy dotarli na parter, Win zaprowadził ją za róg w kierunku wielkiego pokoju stołowego.

– Wielkie nieba – stęknęła Pru. – Wracamy do portretu? Jest piękny, ale czy nie mógłbyś gapić się na niego bez towarzystwa?

– Cii! To nie ma nic wspólnego z Boldinim.

Kiedy weszli do pokoju, oczy Pru natychmiast powędrowały na srebrne pióra Gladys Deacon. I w tym momencie zwróciła uwagę na ścianę obok. Pęknięcie, które widziała przed kilkoma dniami, zamieniło się w wielką szparę.

– O Boże! – krzyknęła. – Co się stało? Pokój się wali? Czy w Anglii zdarzają się trzęsienia ziemi? Trzeba przenieść portret, żeby nie ucierpiał. Jak się przewozi bezcenne dzieła sztuki? Z pomocą firmy transportowej?

– Nie ma u nas trzęsień ziemi. Otworzyłem tę ścianę własnymi rękami.

– Pani Spencer cię zabije! Tak naprawdę! Zapewne z użyciem rewolweru!

– Panno Valentine, patrz. Przestań tyle gadać i patrz.

Przyciągnął ją bliżej. Ręce się jej trzęsły jak w czasie trzęsienia ziemi, które sobie wyobrażała.

– Ta szczelina w ścianie – powiedział. – Sama ściana. Dziwnie mi to wyglądało, kiedy byliśmy tu poprzednio. Postanowiłem zbadać tę sprawę.

Podeszli do szczeliny, która wyglądała raczej jak wejście, a nie dziura – drzwi prowadzące do innego pomieszczenia.

Pru wydała stłumiony okrzyk, kiedy precyzyjnie się przez przejście.

– Czy to... – zaczęła.

– Tak. Tajna biblioteka. Widziałaś kiedyś coś takiego?

– O... mój... Boże...

Postąpiła jeszcze kilka kroków. Nagle książki otoczyły ich ze wszystkich czterech stron. A były ich setki. Być może tysiące.

Oddech Pru przyspieszył, kiedy rozglądała się po pokoju.

Półki ciągnęły się od podłogi do sufitu, od jednego rogu do drugiego, a wszystkie zastawione książkami wszelkich rozmiarów i kolorów. Każde inne pomieszczenie w Grange było co najwyżej częściowo wykończony – kilka urządzeń, minimalna liczba naczyń w kuchni, spartańska jadalnia i łóżko w pokoju Wina. Ale ten pokój urządzono starannie. I zapełniono.

– Win! – powiedziała Pru i podbiegła do rzędu dzieł J.M. Barriego. – To jest coś wspaniałego!

*Piotruś Pan*

*The Little White Bird*

– Wiedziałem, że będziesz zachwycona. – Uśmiechnął się szeroko. – Warto było wyrwać się spod koca, co?

– O, tak. Po tysiąckroć.

Pru odwróciła się i spojrzała na zbiór książek Arnolda Bennetta. Przymknęła oczy i wdychała silną woń papieru.

– Czuję się lekko upojona – wyznała.

Win zachichotał.

– Wcześniej też tak wyglądałaś.

Pru otworzyła oczy i wypatrzyła starą przyjaciółkę.

– Popatrz! – wykrzyknęła i zdjęła książkę z półki. – Virginia Woolf! *Własny pokój*. Każda dziewczyna z Berkeley zemdlałaby w tej chwili. – Otworzyła okładkę. – Pierwsze wydanie. Z autografem!

– Pisarka i Gladys Deacon się znały – poinformował ją Win. – Virginia powiedziała o niej: „Każdy z miejsca się zakochuje w księżnej Marlborough. Ja zakochałam się natychmiast”.

Win przeszedł wzdłuż szeregu książek w poszukiwaniu czegoś konkretnego.

– Ach! Tu jest. Kolekcja R.C. Trevelyana, poety. *Polyphemus and Other Poems. The foolishness of Solomon. The Death of Man*. Na początku lat dwudziestych, nawet chwilę wcześniej, miał potworną blokadę. Według Virginii Woolf to właśnie lady Marlborough wyrwała go z niedoli. Nazwała to „spuścizną Gladys Deacon”.

– Ta spuścizna polegała na tym, że potrafiła wyrwać pisarzy z niemocy? – spytała Pru. A potem puściła do Wina oko. – To powinna się ostrzej wziąć za ciebie.

– Przeszabawne, doprawdy! Panna Valentine prezentuje nam swój komediowy talent. Tak, miała na myśli twórczą blokadę pisarza, ale nawiązywała także do czasu, w którym Trevelyan mieszkał w domu Gladys. Po okresie spędzonym pod opieką księżnej niegdyś homoseksualny poeta odzyskał zainteresowanie kobietami. Albo seksem z kobietami.

– Czy naprawdę musiałeś wyjaśniać tę ostatnią kwestię? – spytała Pru. Spojrzała znowu na półkę. – Witaj, *Pani Dalloway*. – Uśmiechnęła się, ale mimo że uwielbiała *Panią Dalloway*, pominęła ją dla książki stojącej obok. *Grand Babylon Hotel*. – Pani Spencer umieściła Woolf obok Arnolda Bennetta? Woolf nie znosiła tego człowieka. Uważała go za komicznie skostniałego.

– Jestem pewien, że możesz przedyskutować to z panią Spencer. Może pozwoli ci poprzestawiać książki według kryterium utyskiwań pisarzy i stopnia ich zazdrości.

– Daruję to sobie w imię szansy na przeżycie. Najwyraźniej nie chciałyby, żebyśmy tu przebywali, skoro ukryła te zbiory w ten sposób. – Poglądziła grzbiet Cocteau, potem zbiór dzieł Conrada. – Rety – powiedziała. – Rety.

– Spójrz, co znalazłem – odezwał się Win i podniósł książkę wysoką i chudą. – Sławna kolekcja ilustracji erotycznych D.H. Lawrence’a.

– Nie wątpiłam, że ją znajdziesz – mruknęła Pru i przewróciła oczami. Wzięła stojący w rogu stół i wspięła się na niego, żeby przyrzeć się górnym półkom. Forster, Wells, Shaw, Wharton. Wszyscy tu byli. – Och! – rzuciła i wyciągnęła się w prawo. – Czy to...? Nie mogę uwierzyć, że to ma! – Pru wyciągnęła książkę pomiędzy dwóch innych i przycisnęła do piersi. – *Sam jeden żaglowcem naokoło świata*. Ulubiona książka moich rodziców.

– Nie znam jej – wyznał Win i podszedł kilka kroków bliżej.

Pru zeskoczyła ze stołka z książką w rękę.

– To pamiętnik Joshui Slocuma – wyjaśniła. – Był pierwszym człowiekiem, który samotnie opłynął świat na jachcie. Jego relacja była wielkim przebojem, kiedy ją wydano. – Otworzyła książkę i przekartkowała kilka stron. – Jego wydawca zaopatrzył mu biblioteczkę na czas wyprawy – powiedziała. – Postąpił elegancko. „Przekonałem się już, że niedobrze jest przebywać w samotności, więc szukałem towarzystwa wśród tego co mnie otaczało – czasami obcując z wszechświatem, czasami zaś z moim własnym, małym «ja»; lecz najlepszych przyjaciół miałem w zabranych książkach”<sup>18</sup>. Lecz najlepszych przyjaciół miałem w zabranych książkach – powtórzyła z głupkowatym, choć ujmującym uśmiechem.

Win odstawił pornografię na półkę.

– Lubisz książki o morskich podróżach. Przypuszczam, że można się tego spodziewać po

dziewczynie z Bostonu.

– Nie pochodzę z Bostonu – odparła Pru, wpatrując się w książkę. – Wychowywałam się w Sausalito. To była niegdysiejsza wioska rybacka pod San Francisco.

„Co do mojej osoby, to czar morza miał dla mnie niewysłowiony urok od wczesnego dzieciństwa”<sup>19</sup>.

Nawet po upływie dekady Pru potrafiła wyobrazić sobie swój dom. Widziała, jak wiatr muskał morską taflę, jak poranna mgła otulała drogi. Zamknęła oczy, żeby przywołać obraz wstającego słońca, które przebijało się przez mgłę i oczyszczało świat. Wdychając woń książek, Pru niemal czuła zapach morza.

– To dziwne – zauważył Win. – W czasie naszych rozmów chyba nigdy nie wspomniałaś o swoim dzieciństwie. Ani o rodzicach. Nie macie zbyt dobrych relacji?

Pru pokręciła głową.

– Żadnych – odparła. – Kiedy byłam dzieckiem, podziwiałam ich. Byli piękni, beztroscy i tacy zabawowi.

– W stylu Gatsby’ego?

– Tak jakby. Powodziło im się na tyle dobrze, że mogli uchodzić za bogatych, ale nie powinni wydawać pieniędzy tak bez opamiętania, jak to robili. Przypuszczam, że mama przypominała trochę panią Spencer, tyle że nie miała kochanków. Zdawali się jednak tacy zadowoleni ze swoich ubrań, łodzi i szampana wylewanego w zatoce.

– To dlatego twoja rodzina tak bardzo lubiła tego żeglarza – zauważył Win i wskazał na książkę, którą nadal trzymała. – Miałaś pływać po morzu.

– To była ironia. Kiedy miałam dziewięć lat, rodzice wypłynęli na „Day in the Sun” i nigdy nie wrócili.

– Nie! – wykrzyknął Win i otworzył usta. – To na pewno nieprawda.

– Niestety, nie.

– To okropne!

– Znaleziono jacht wywrócony do góry dnem, jak kołysał się na falach w zatoce. Ich ciała pewnie poszły na dno, o ile nie pożarły ich rekiny. – Pru rzuciła książkę na stół. – Joshua Slocum, autor, też zaginął na swojej łodzi.

– Panno Valentine. – Przyciskał dłonie do piersi. – Jestem zdruzgotany. Naprawdę. Przykro mi, że nie jestem lepiej wychowany. Nie mam najmniejszego pojęcia, co powiedzieć.

Pru wzruszyła ramionami.

– Nie ma o czym. Byłam w szkole, kiedy się to wydarzyło, co było godne uwagi, zważywszy na fakt, że według moich rodziców doświadczanie życia było ważniejsze od siedzenia w klasie. Na szczęście miałam w sobie coś z kujona. Oczywiście nie zawsze czułam się taką szczęściarą w związku z tym, że jestem w szkole, a nie przez cały dzień z nimi.

– Panno Valentine – powiedział Win i objął ją ramieniem.

Poczuła przypływ sił. Spokoju. Bezpieczeństwa.

– Żałuję, że nie mogłam nic zrobić.

Przytulił ją mocniej, ona zaś ze zdziwieniem stwierdziła, że wtuliła się w niego nosem, a do oczu napłynęły jej łzy. Już tak dawno nie płakała nad nimi. Oczywiście ostatnio wszystkie łzy ronila z powodu Charliego.

– Co się stało później? – zapytał Win. – Kto cię wychowywał?

– Mieszkałam z ciotką i dwoma o wiele starszymi ode mnie kuzynami – poinformowała.

– Możliwe nawet, że są w twoim wieku.

– I nadal żyją? Nie do wiary!

Pru zaśmiała się przez łzy.

– Potem była kolejna ciotka. I jakaś inna kuzynka. Nawet nie pamiętam stopnia pokrewieństwa. Moi rodzice uchodzili za wysoce nieodpowiedzialnych, ale w ciągu pierwszych dziewięciu lat życia miałam jeden dom. W ciągu następnych dziewięciu – osiem.

– O kurczę, serce starca tego nie zniesie. Rozdziera się na samą myśl o malutkiej Valentine pośród poczucia straty i chaosu. Te wielkie oczy, słodka buzia. Jestem zdruzgotany, naprawdę. Doszczętnie.

– Niepotrzebnie – upierała się Pru. – Wszyscy byli w porządku. Nie wydarzyło się nic strasznego. W najgorszym razie ktoś z opiekunów mnie ignorował. Czasami ktoś mnie przytulił, dostałam prezent na Gwiazdkę. Nie zalewano mnie miłością, ale jak na dziecko w rodzinie zastępczej prowadziłam całkiem przyzwoity żywot. – Wyswobodziła się z jego objęć. – Już znasz moją historię. Jestem pewna, że wolałbyś oglądać niedwuznaczne obrazki.

– Trudno mi przetrwać tę informację – przyznał Win. Miał prawie szkliste oczy. – Boże, jesteś sierotą. Rodem z książek Dickensa, szelmowską i rozwydrzoną.

– Rodem z Dickensa? – Pru popatrzyła na niego, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Zabawne. To samo myślałam o tobie. Chyba nie powinno dziwić, że skończyliśmy w tej samej książce.

Tamtego wieczoru spędzili w bibliotece ponad dwie godziny. Przeglądali książki, cytowali mistrzów, chichotali nad rysunkami Lawrence'a. Artysta miał tendencję przedstawiać wyglądających idealnie mężczyzn, podczas gdy kobiety były powykręcane i zdeformowane.

W końcu nawet Pru miała dość.

– Chyba pora się zwijać – oznajmiła. – Kręci mi się w głowie od tych wszystkich książek. Albo kurzu.

Pru popatrzyła na dłonie. Jej palce lśniły, miały lekko srebrny odcień od przeglądania stron i muskania druku. Wytarła je w spodnie.

– O co chodzi? – zdziwił się Win. – Nawet wielce ocytana panna Valentine ma dość książek?

– Mój mózg nie przywykł do takiej liczby słów. Daj mi spaniela do odrobaczenia, natychmiast.

Wcisnęła pierwsze wydanie *Księgi dżungli* na półkę.

– Co zamierzasz teraz robić? – zapytał Win.

– Położyć się spać? Jak normalny człowiek?

– Nie wiedziałem, że normalny oznacza nudny – skomentował Win. – Daj spokój. Wyśpisz się po śmierci. Chodźmy się czegoś napić.

– Napić? Tego twojego okropnego wina? Nie, dziękuję, ale nie chcę znowu mieć trzydniowego kaca.

– Nie możesz winić o to jakości trunku, tylko raczej jego ilość – stwierdził. – Ale nie. Myślałem, żebyśmy poszli na piwo do porządnego pubu. W mieście.

– W mieście?

– Jasne. Royal Oak. George & Dragon. Wybieraj.

Pru zastanawiała się nad propozycją. Mogła dostać cięgi od pani Spencer lub wylądować po raz drugi w łóżku Wina. Co więcej miała do stracenia? Nagle dokończenie książki Wodehouse'a przestało być takie ważne.

– A wiesz co? – odezwała się. – Zróbmy to. Czemu nie?

– Czemu nie? Dobre pytanie. Idziemy. Nie traćmy czasu.

Zanim Pru zdążyła zmienić zdanie, Win wygonił ją z biblioteki, a potem na ulicę. Miał nadzieję, że otworzą mu rachunek w George & Dragon, bo nie chciało mu się wracać po kilka funtów.

– To jest jakiś wyścig? – zapytała Pru, kiedy szli szybko. – Jeśli tak, to chyba prowadzimy.

– Ha! Zabawna jak zawsze! Nie. Po prostu chcę tam dotrzeć przed zamknięciem.

Była dwudziesta pierwsza.

Kiedy wpadli do George & Dragon, Pru kapało z nosa z powodu zimna i szybkiego tempa marszu. Spojrzała w dół i dotarło do niej, że miała na sobie kapcie i domowy strój. Nawet nie włożyła płaszcza.

– Win – powiedziała. – Chyba powinniśmy zawrócić. Popatrz na mnie! Przecież nie jestem odpowiednio ubrana. To zły pomysł...

– Oczywiście, że to zły pomysł. I właśnie dlatego go realizujemy. Mimo to... – Obrzucił ją spojrzeniem. – Wyglądasz dość uroczo. Słodko.

Pru się zarumieniła, natychmiast. Win zaprowadził ją na tył pubu i zamówił po drodze dwa piwa.

– Ten lokal ma bardzo angielski charakter – zauważyła Pru, gdy usiedli.

– Ciekawe. Przecież wcale nie jesteśmy w Anglii.

– Twierdzisz, że to ja mam komediowe zacięcie?

Nie pytając jej o zdanie, Win ściągnął z siebie sweter i rzucił w jej stronę.

– George & Dragon to siedemnastowieczny pub – poinformował ją. – Zachowała się w nim większość oryginalnych belek i kominków.

– Ładnie tu – powiedziała Pru i otuliła się swetrem. – O wiele przyjemniej niż w twoim pokoju, po którym chodzisz w bieliźnie.

– To był ostatni raz, kiedy tak zrobiłem, gdy byłaś na noc.

Pru zachichotała. Barman przyniósł im piwo. Pociągnęli po łyku. Pru natychmiast się rozgrzała dzięki trunkowi i swetrowi.

Win otarł piankę z górnej wargi.

– Opowiedział mi o rodzicach, wspomniałaś o Berkeley. Pora, żebyś wyspowiadała się z reszty.

– Jakiej reszty?

– Życia. Ale głównie chodziło mi o narzeczonego.

– Charliego? – upewniła się z walącym sercem.

Nie chciała mówić Winowi o Charliem. Odnosiła wrażenie, że należeli do dwóch różnych światów, których nie należało mieszać.

– Charlie. – Win pociągnął kolejny łyk piwa. – Jasne. Okej. No, wal. Opowiadaj o starym dobrym Chucku.

– Nie ma o czym mówić. Nie ma go. Byliśmy zaręczeni bardzo krótko. To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia.

– Na pewno jest coś więcej, skoro chciałaś poślubić faceta.

– Nie – odparła. – To wszystko.

– A chcesz wiedzieć, co myślę?

– Nieszczęśliwie.

– Uważam, że to przez niego bezmyślnie rzuciłaś studia. Poczyłaś luźne uwagi na temat braku środków i że nie wiesz, co chcesz robić w przyszłości. Ale wydaje mi się, że odeszłaś przez niego. To narzeczony był głównym powodem.

– Były narzeczony – podkreśliła. – „Bezmyślnie rzuciłam studia”? Moje odejście miało być jak najbardziej przemyślane. Miało prowadzić do ślubu.

– Tak właśnie myślałem. Opowiedz mi więcej. Umieram z ciekawości.

– Umierasz? – powtórzyła Pru. – Naprawdę chcesz użyć tego słowa?

– Tak. To, jak zatajasz informacje, jest źródłem mojego bólu.

– Będziesz żałował tej decyzji, przyjacielu. – Pociągnęła kilka łyków piwa. – Wstrząsnęła tobą śmierć moich rodziców? – spytała. – Byłeś zdruzgotany, tak. Tego słowa użyłeś? No to trzymaj się mocno, bo historia starego dobrego Charliego jest raczej żałosna. Aby nie przedłużać, powiem ci, że drań wziął i zginął.

Win otworzył szeroko oczy.

– Zginął? To nie jest... Czy próbujesz być zabawna? Chcesz się ze mnie nabijać? Dać mi

nauczkę?

– Myślisz, że powiedziałabym, że ktoś umarł, tylko po to, żeby ci dopiec?

– Nie. Nigdy. Cholera. – Win zakrył twarz. – Przepraszam. Nie. To nie jest właściwe słowo. Jasna cholera. – Spojrzał na nią. – O, ja pierdzielę. Dość regularnie nienawidzę siebie, ale nie aż tak.

– Nie wiedziałeś. Ale muszę ci powiedzieć, że jest z tobą coraz gorzej.

– CHRYSSTE!

– Pamiętasz tę wymianę zdań, którą odbyliśmy wieki temu? – zapytała. – O żołnierzach wysadzających Wietnam w powietrze i tak dalej?

– KURWA MAC. – Win wsunął obie dłonie we włosy i wbił czubki palców w głowę. – Tylko nie mów, że był żołnierzem. Powinienem palnąć sobie w łeb.

– Win, o niczym nie wiedziałeś – powtórzyła.

– Jezu Chryste. Gdzie się podziewa rewolwer, kiedy człowiek go potrzebuje?

– Wszystko w porządku – zapewniła go Pru. – To znaczy z tobą. Bo z całą resztą ewidentnie nie.

Osobliwe było to, że ostatnio życie, jeśli nawet nie było jeszcze w porządku, to przynajmniej wydawało się prawie całkiem do wytrzymania. Pru czuła się niemal tak samo okropnie jak Win w związku z tym, że ten temat się pojawił.

– Co się stało? – dopytywał Win. – Walczył, tak? Na wojnie?

– Tak. Charlie walczył w Wietnamie<sup>20</sup> – powiedziała. – I nie przepraszaj za ten uśmiezek, który próbujesz ukryć. To jest zabawne na swój pokrętny sposób. Jestem pewna, że po obu stronach jest sporo Charliech. Najgorsze oprócz jego śmierci jest to, że on nie musiał tam jechać. Jego rodzice dostarczyli mu, albo kupili, zwolnienie ze służby.

– Jak to? – zapytał Win.

– U Charliego stwierdzono poważny uraz powstały podczas gry w futbol, mimo że grywał wyłącznie w koszykówkę i tenisa. Medyczny cud.

– Ale pojechał – powiedział Win i ujął jej dłonie. – Bo był honorowy.

– Miał w sobie to coś. Nie potrafiłabym tak zrobić. Wykorzystałabym swoją zmyśloną karierę w maksymalnym stopniu.

– Wątpię.

– Zginął w czasie ofensywy wielkanocnej – poinformowała Pru. Kiedy to powiedziała, poczuła ulgę, jakby wypuściła powietrze po tym, jak wstrzymywała oddech. – Znaleźli jego ciało, z którego według mnie zostało raczej niewiele, pod Kon Tum. Cała jego kompania zginęła od granatu rzuconego ze zbyt bliskiej odległości.

– Chryste. Ale jatka.

– Dosłownie – powiedziała i potaknęła ze znużeniem. – To się stało prawie rok temu, ale jego szczątki dotarły do Stanów dopiero jesienią. Trochę to trwało, zanim posegregowali części ciała.

Wysunęła rękę z dłoni Wina i sięgnęła po piwo, ale po drodze delikatnie musnęła jego przedramię. Chciała w ten sposób wyrazić podziękowanie za jego delikatność, zapewnić go, że chociaż poruszył tę kwestię, nie miała mu tego za złe.

Mimo że Win rozumiał znaczenie gestu – nie był takim kompletnym gamoniem – dotyk Pru poruszył także inną, nieszczęsną część jego ciała. Po raz pierwszy widział pełną Pru. Nie była łatwo się rumieniącą wstydliwą dziewczyną, za jaką ją uważał.

– Teraz już wiesz – powiedziała – dlaczego znalazłam się tutaj, w tym rozpadającym się domu, zupełnie nie mając planów. Nie mam do kogo ani do czego wracać. W końcu wrócę do Ameryki, bo przecież urząd imigracyjny nie pozwoli mi tu przebywać bez końca, ale nie mam



domu nawet w swoim kraju.

– Pru, na pewno ktoś na ciebie czeka. Jak mogłoby być inaczej?

– Mam kilka przyjaciółek ze studiów, ale... czekaj. Co ty powiedziałaś?

– Że na pewno ktoś na ciebie czeka.

– Nie. Wcześniej. Nazwałeś mnie Prudence?

– Słucham? Ależ skąd. – Wydawał się przerażony. – Chyba nazwałem cię Pru.

– Pru?

– Jasne. Każdy ma jakiś przydomek. No wiesz. Ja, Gads, GD. Nie słyszałaś, żebym cię tak nazywał?

– Nie. Nigdy.

– Cóż. Pewnie nazywałem cię tak w myślach.

– Pru brzmi jeszcze bardziej nonsensownie niż Gads.

– To skrót od *Prunus laurocerasus*, łacińskiej nazwy laurowiśni wschodniej. Zdaje się, że wy, jankesi, nazywacie ją laurośliwą.

Już kiedyś się z nią o to droczył. Z jednej strony jej imię nie różniło się znacznie od imion Petal i Daisy, jej przyjaciółek z Berkeley. Też budziło skojarzenia z rośliną. Z drugiej strony owoce tej rośliny były toksyczne, wywoływały u ludzi chorobę. No i rozrastała się ona jak chwast.

Win oczywiście był zachwycony jej imieniem, bo należało do niej. Podobał mu się także jej przydomek. Laurowiśnia? Ależ nie. Jeśli już, to laurośliwa, bo przecież była amerykańska do cna. Niepokojąco, irytująco amerykańska.

## BANBURY INN

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

Nie oddaje twojej urody. Nie podoba mi się, jak namalował zęby. Twoje tak nie wyglądają. Poza tym suknia jest *un peu trop décolleté*. Tak powiedziała Florence Deacon o portrecie Gladys autorstwa Giovanniego Boldiniego. Portret wisiał przez kilka dekad w wielkim pokoju stołowym w Grange.

J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

Annie nie była z natury wścibska.

Nie miała starszego brata, którego mogłaby szpiegować, ani siostr, których sekretne pamiętniki mogłaby potajemnie czytać. Annabelle Haley spędziła dwadzieścia lat na zaniedbanej farmie w towarzystwie osoby, o której myślała, że nie warto jej szpiegować.

– Nicola! – krzyknęła, zbiegając po schodach.

Rozejrzała się. W holu było potwornie cicho. Zajrzała do jednego kąta, potem do drugiego. Podeszła do komputera Nicoli i napisała e-maila do Erica.

Słowa i zdania były zagmatwane, gramatyka kiepska. Poza tym użyła zdecydowanie za dużo wielkich liter i znaków oddających emocje, niż było to konieczne. Ale Eric zrozumie. Zawsze rozumiał i to było wspaniałe.

Kiedy skończyła pisać, jeszcze raz zawołała właścicielkę hotelu.

– Nicola! – zaszczebiotała w drodze do tylnego wyjścia. – Pożyczę twój rower.

Niebawem wrócę! Dzięki!

Pobiegła w stronę szopy. Usłyszała dobiegający z oddali piskliwy głos Nicoli, który zinterpretowała jako zgodę. Zarzuciła plecak na ramiona, wskoczyła na rower i odjechała.

Wcześniej tego ranka, kiedy Laurel brała prysznic, Annie zajrzała do jej torebki. Po raz ostatni zrobiła coś takiego chyba z dziesięć lat temu, kiedy szukała ćwierćdolarówek. Tym razem pieniądze jej nie interesowały.

Po czterdziestu sekundach wyciągnęła pękający w szwach czarny skórzany organizer Laurel. Odnalazła bieżącą datę. O dziewiątej Laurel miała się spotkać z inspektorem. Była ósma pięćdziesiąt trzy.

W kalendarzu nie zapisano adresu i wydawało się mało prawdopodobne, żeby ktoś dobrowolnie chciał wpuścić inspektora na teren Grange. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Laurel uda się do tej starej posiadłości. Jej matka była z pewnością kobietą z opowieści Gusa.

– Przez cały czas opowiadasz mi o Pru – powiedziała poprzedniego dnia po tym, jak Gus skończył ostatni rozdział swojej historii. – Chcesz powiedzieć, że miała na imię Laurel?

Przytaknął.

– A co z Valentine? – spytała.

Lecz nawet w chwili, w której zadawała to pytanie, elementy układanki wskoczyły na miejsce.

Laurel Innamorati Haley, matka Annie. *Prunus laurocerasus*, Pru, panna Valentine, dziewczyna z opowieści. Laurel, Pru, Innamorati, Valentine. We Włoszech dzień świętego

Walentego jest nazywany *la festa degli innamorati*. Gus nie podałyby prawdziwego nazwiska Laurel. To nie było w jego stylu.

– Innamorati – powiedziała Annie bez tchu, jakby ktoś uderzył ją w klatkę piersiową. – Czy tak brzmiało nazwisko Pru?

– Skąd wiesz? Annie, kiepsko wyglądasz.

– To... Chyba tak się nazywała kobieta, którą spotkałam, ta z hotelu, która powiedziała, że Grange już nie ma.

– Z hotelu? – zapytał Gus, a na jego twarzy pojawiła się panika. – Zatrzymała się w Banbury Inn? Dzięki Bogu. Muszę... muszę już iść.

Szybko zebrał swoje rzeczy i wypadł z pubu. Annie musiała zapłacić rachunek. To Gus zawsze go regulował. Zawsze. Ale wieść go ogłuszyła. Wielbicielka książek wróciła do miasta po trzydziestu latach.

Wielbicielka książek. To określenie nie pasowało do Laurel, chyba że weźmie się pod uwagę starą biografię, którą trzymała przez tyle lat w gabinecie. Annie nie widziała, żeby jej matka kiedykolwiek ją czytała, i – ogólnie mówiąc – zawsze odnosiła wrażenie, że według Laurel czytanie dla przyjemności było ogromną stratą czasu. Po co zanurzać się w zmyślnym świecie, skoro można prowadzić firmę prawną lub uczyć chore dzieciaki jazdy konnej?

Annie rozumiała już przynajmniej pełen napięcia sztuczny uśmiech, kiedy mówiła matce o Ericu. Nie chodziło o to, że nie przypadł jej do gustu, ani o to, że Annie wydawała się jej za młoda. Laurel bała się, że Eric mógłby zginąć, podobnie jak jej narzeczony.

– Pru Valentine – Annie powtórzyła głośno przynajmniej dwunasty raz. – A niech mnie.

Kiedy wyjechała zza zakrętu, zobaczyła matkę wysiadającą z wynajętego samochodu. Patrzyła, jak Laurel zamyka drzwi, poprawia tweedową marynarkę i brązową wełnianą spódnicę.

– No, no, no – odezwała się Annie, kiedy do niej podjechała. – Fajnie cię tu spotkać.

Przestraszona Laurel się cofnęła. Nie widziała zbliżającej się córki. Nie spodziewała się zobaczyć jej na rowerze.

– Annie! – wykrzyknęła głosem wyższym niż zazwyczaj. – Co tu robisz?

– Przyjechałam zobaczyć Grange – odparła. – Dziwna sprawa, bo ktoś próbował mnie przekonać, że rezydencji już nie ma.

– Boże, nienawidzę się za to, że to powiedziałam. – Laurel westchnęła i zacisnęła oczy, jakby ją coś zabiło. – Okłamałam cię i gryzie mnie to od tamtej pory.

Laurel otworzyła oczy. Jej spojrzenie wydawało się mocno nieobecne.

– Dlaczego skłamałaś, mamó? Nie rozumiem. Deweloperzy? Zmiotli rezydencję z powierzchni ziemi?

– Zrobią to. I to prędzej niż później.

– Niezła próba – burknęła Annie.

– Z tym miejscem wiąże się tyle przeklętych wspomnień, że łatwiej jest mi wierzyć, że już go nie ma.

– A więc to jest rodzinna posiadłość? Jesteś właścicielką Grange?

– Jedną z kilku – odparła Laurel. – Należy do syndykatu, stąd problemy ze sprzedażą mojej części. Poza tym ktoś starał się o wpisanie budynku na listę zabytków.

– Mieszkałaś tu, mamó?

Laurel zamilkła. Wstrzymała oddech. Annie widziała, że się zastanawia, czy powinna znowu skłamać. Postanowiła tego nie robić. Laurel i tak powiedziała już o jedno kłamstwo za dużo.

– Tak – odezwała się w końcu. – Mieszkałam tu. Dawno temu i niezbyt długo. Ale owszem, mieszkałam w Grange.

– Ten człowiek, który napisał książkę, *Zaginioną księżną*, mieszkał tu z tobą. Laurel przytaknęła. Oczy jej lśniły.

Annie starała się zobaczyć ją taką, jaką widział ją Win: młodą, przerażoną, z dużymi oczami i eteryczną. Za widoczną na zewnątrz ambicją i kompetencją można było dostrzec odrobinę Pru, ale tylko odrobinę i gdzieś w głębokim cieniu. Gus wspominał o cichej sile Pru i to było wszystko, co Annie widziała.

– Jak się dowiedziałas? – zapytała Laurel.

– Przede wszystkim z książki.

– Nie wspomniano w niej o mnie.

– Wiem, ale wywnioskowałam to z twojej reakcji na nią. Połączyłam fakty.

– Połączyłaś fakty? Na podstawie książki?

– Rozejrzałam się po mieście – wyznała. – Porozmawiałam z mieszkańcami, którzy żyją tu od dawna. Niektórzy cię pamiętali.

– Tak? – Laurel się zdumiała. – A kto? Mało wychodziłam.

– Musiałaś czasami wyjść do sklepu, prawda? Zajrzeć sporadycznie do pubu?

– Annie, z kim rozmawiałaś?

– Z różnymi ludźmi. I z niejakim Gusem.

Laurel patrzyła na nią bezmyślnie.

– Nie przypominam sobie żadnego Gusa – stwierdziła.

– Mamo, gdzie ty studiowałaś? Mogłabym przysiąc, że w Wellesley, ale teraz wydaje mi się, że na początku mogłaś studiować gdzie indziej.

Laurel znowu westchnęła. Odwróciła się i usiadła na pobliskim kamieniu. Objęła rękami kolana.

– Studiowałam w Berkeley – wyznała. – Przez rok. Dawno, dawno temu. Prawie o tym zapomniałam, gdy wylądowałam w Wellesley, gdzie wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Pod każdym względem.

– Po roku w Berkeley przyjechałaś tutaj. Żeby dojść do siebie po stracie narzeczonego.

– Mówiąc w skrócie, tak. Te lata. Były bardzo trudne. W tamtym czasie wątpiłam, żeby udało mi się je przetrwać. A teraz to wszystko wydaje się odległą historią. Jak powieść przeczytana przed laty.

– A więc ból odchodzi – powiedziała Annie. – W końcu.

– Albo przyćmiewa go inny, nowy uraz.

Nagle obok nich zatrzymał się samochód. Wsiadł z niego wąsaty mężczyzna, który trzymał pod pachą grubą teczkę. Laurel wstała i strzepnęła spódnice.

– Pani Haley? – zapytał i podał jej rękę. – Nazywam się Richard Moskin. Jestem inspektorem.

– Miło mi – odparła Laurel. – Zaraz tu skończę. Proszę wejść na teren posiadłości. Nie byłam w środku, ale domyślałam się, że dom jest otwarty. Dołączę do pana za chwilę.

– W porządku – powiedział i się uśmiechnął.

Brama pisnęła i mężczyzna zniknął.

– Zaraz tu skończysz? – zapytała Annie i uniosła brew.

– Wiem, wiem. Przed nami długa droga.

– Mamo, czy ty go kochałaś? Tego pisarza.

– Och, Annabelle, przypuszczam, że tak.

– Przykro mi, że nie wyszło z tego nic więcej – powiedziała Annie i pomyślała o ostatnich dwóch dekadach spokojnego życia na wsi. Przez ten czas jej matka nie miała przyjaciela. Nikogo na tyle ważnego, żeby przedstawić go córce. – Przykro mi, że wasz związek nie przetrwał.

– No cóż...

Laurel się zarumieniła i Annie przez chwilę zobaczyła Pru. To był tylko ułamek sekundy, ale Pru zadrżała pod surową elegancką powierzchownością.

– Teoretycznie byłoby miło – stwierdziła Laurel. – Ale wtedy nie miałabym ciebie. Więc wszystko potoczyło się tak jak powinno.

– Urocze stwierdzenie, mimo że to stek bzdur. Gdybyś była z Winem, miałabyś inne dziecko, za które byś dziękowała.

– Przepraszam! – odezwał się męski głos. Wąsata twarz inspektora wychyliła się zza ogrodzenia. – Mam, niestety, problem z dostaniem się do budynku.

– Powiedziano mi, że będzie otwarty. Zaraz to sprawdzę. – Laurel odwróciła się do Annie. – Chcesz wejść ze mną? Wejdę do środka po raz pierwszy od trzydziestu lat.

– Jasne – rzuciła Annie. Nie wspomniała, że była tam już dwukrotnie i że mogłaby ich wprowadzić do środka bez klucza.

– No dobra – powiedziała Laurel i głośno westchnęła. – Do dzieła. To będzie... To będzie coś.

Uśmiechnęła się słabo i jak robiła to wielokrotnie od lat, wzięła córkę za rękę i poprowadziła za sobą.

**Temat: Jak błyskawica**

**Od:** eric.sawyer@usmc.mil

**Data:** 15 listopada 2001 04:35

**Do:** anniehaley79@aol.com

Idę o zakład, że się nie spodziewałaś tak szybkiej odpowiedzi.

Siedziałem przy komputerze, kiedy przyszła wiadomość od Ciebie. To była najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała w tym roku, nie licząc tej chwili, w której powiedziałaś „tak”. Gdy dostałem wiadomość, mógłbym przysiąc, że potrafiłem sobie wyobrazić, gdzie jesteś. Miałem niemal wrażenie, jakbyśmy rozmawiali.

Szkoda mi Twojej mamy. Ale nie martw się. Charlie z Wietnamu i ja to dwie różne osoby. Dwie różne Ameryki. Jesteśmy lepiej zorganizowani. Ogarnięci. Przynajmniej tak nam mówią.

Czy dziwię się, że nigdy Ci o nim nie opowiadała? Nie wiem. Ale Ty pewnie też nie powiedziałaś jej wszystkiego o sobie, prawda? Czy wie na przykład, że się spotykałaś z tym starszakiem? Przepraszam, ale nigdy nie myślę o nim inaczej.

Jesteście sobie bliskie, ale przecież to Twoja mama. Miała swoje życie przed tym, zanim Ty się w nim pojawiłaś. I pewnie też mnóstwo tajemnic. Czy zamierzasz powiedzieć naszym dzieciakom o wszystkim, co robiłaś? O każdym rozczarowaniu miłosnym? Przypuszczam, że nie. Jeśli tak, nie mieszaj mnie do tego.

Nie wiem, dlaczego nie chce powiedzieć Ci więcej o Twoim tacie. Jakikolwiek są jej powody, domyślam się, że mają związek z miłością. Twoja mama jest z gruntu dobrą osobą. Podobnie jak Ty.

Chyba powinnaś zapytać samą siebie, dlaczego to takie dla Ciebie ważne. Dlaczego chcesz poznać jego imię. Do tej pory radziłaś sobie bez tego. Zdaje się, że nawet więcej, niż radziłaś sobie.

Kochanie, muszę kończyć. Nie powinienem siedzieć przy tym urządzeniu. Wiesz co? Prawie dotarliśmy na miejsce! Będę Ci słał kartki z Kandaharu. To będzie coś nowego. Może napiszesz na ich podstawie powieść.

Kocham Cię,

ES

WS: Czy mogę zapytać, dlaczego zabrała pani portret z pokoju stołowego?

GD: Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wisiał tam jakiś portret.

WS: Pani Spencer. Wie pani, o czym mówię. O dziele Boldiniego. Jeszcze tydzień temu tam wisiało, a teraz – puf! – zniknęło.

GD: Boldini? To nazwisko brzmi znajomo.

WS: Chyba nie zamierza pani kłamać! Z tego, co wiem, to najpiękniejszy portret, jaki ten stary drań namalował. Chyba że jakaś inna dama w innym kraju ukrywa jego portret w swoim rozpadającym się domu.

GD: To był drań, prawda? Uwielbiałam tego człowieka!

WS: A więc namalował panią?

GD: Być może. Wszystko to zaczyna wyglądać znajomo.

WS: Nie ma drugiej osoby, która tak chętnie by się zasłaniała starczą demencją.

GD: Myli się pan jednak. W kwestii obrazu. Nigdy nie było tu żadnego mojego portretu.

WS: Naprawdę zamierza pani utrzymywać, że w pani pokoju stołowym nie wisiał Boldini?

GD: Nie wisiał. Nigdy. Nawet przez chwilę.

WS: Uwaga na potrzeby rękopisu: asystentka pisarza patrzy na GD pełna napięcia.

PRU: Nie jestem twoją asystentką.

GD: Kim jest GD? Chyba mnie pan nie nazywa gderliwą damą.

WS: To pani inicjały. Aczkolwiek to drugie określenie też wydaje się stosowne.

PRU: Pani Spencer, ten portret tam był. Widziałam go na własne oczy! Dlaczego nie może pani tego potwierdzić? Co panią powstrzymuje?

GD: Boldini mnie namalował, to prawda. I wielokrotnie mnie szkicował. Mogę państwu pokazać te rysunki. Ale tego portretu nigdy nie było w moim domu. Zatrzymał go mój były mąż, o ile dobrze pamiętam.

WS: Nie żyje od pewnego czasu.

GD: Prawdopodobnie go zniszczył. Nienawidził Boldiniego. Nazywał go świnią. Mówił mu to prosto w twarz i za jego plecami. Boldini miał reputację zbereźnika i mój były mąż obawiał się, że mogłabym wyjść na dziwkę.

PRU: Pani Spencer, nie rozumiem. Portret tam wisiał. Oboje go widzieliśmy.

GD: Nie wiem, co według was widzieliście, ale to nie byłam ja. Poza tym, co z tego, jeśli go usunęłam? Dlaczego tak się tym przejmujecie? Są rzeczy, których o mnie nie wiecie. Sprawy, których nawet niedoszły biograf nie wyciśnie ze mnie swoimi uporczywymi pytaniami. Aczkolwiek, jestem tego pewna, nie przeszkodzi mu to próbować.

WS: Do drzwi zapukało dzisiaj dwóch policjantów, kiedy pani wyszła na bardzo rzadką przechadzkę dla zdrowia. Wie pani coś na ten temat?

GD: A niby skąd?

WS: Pani Spencer, zauważyłem, że ma pani zniszczony przód samochodu.

GD: Owszem. Koza uderzyła w zderzak, kiedy auto stało zaparkowane na podwórku.

WS: To na pewno była koza. Niestety, gliniarze podali inne wyjaśnienie.

GD: Nie wątpię.

WS: Salon Frideswide's Dress Shop zgłosił, że czarny samochód wjechał dziś w jego witrynę. Czy w mieście też grasują kozy?

GD: To nie jest wykluczone!

WS: Pani Spencer...

GD: Dobra! Zrobiłam to! Wjechałam w jej witrynę. I nie żałuję tego.

PRU: Mogła pani zrobić komuś krzywdę. Pomówmy także o „małym pożarze”, który wznieciła pani poprzedniego wieczoru...

GD: Proszę. Sklep był zamknięty. Nikomu nic się nie stało.

WS: Agent ubezpieczeniowy jest odmiennego zdania.

GD: Nie chciałam, żeby Frideswide zainfekowała to miasto.

WS: Zainfekowała? Czy ta urocza kobieta jest chora?

GD: Chyba na umyśle! Czy wiecie, co pokazywała w tej swojej witrynie? Poliester! Spodnie z poliestru! DLA KOBIET. Trzeba było zareagować, Seton. Coś takiego musiało się wydarzyć, żeby to miasto nie padło ofiarą koszmarnego gustu.



## BANBURY INN

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

– Cieszę się, że cię znalazłam.

Nicola wyszła z biura i podeszła do nakrytego na śniadanie stołu, przy którym Annie nakładała sobie stosik minicroissantów na talerz.

– Znalazłaś? – Annie nałożyła sobie trzy kawałki melona. – Przecież siedzę na górze.

– Niby tak, tylko że ciągle latasz po okolicy – zauważyła Nicola i gestykulowała zamasyście dla podkreślenia swoich słów. Mijająca ją osoba zrobiła unik, żeby nie dostać od niej w twarz. – Jak jakiś koliber.

– Nigdzie nie latam.

– Poza tym twoja mama powiedziała, że pojutrze wyjeżdżacie do Stanów. Musiałam się z tobą zobaczyć. Nie mogłam ryzykować.

– Słucham? – zapytała Annie. Talerz nagle zrobił się dla niej za ciężki. – Wyjeżdżamy?

Powiedziała ci, że wyjeżdżamy? Za dwa dni?

A co ze zwiedzaniem? Obiecanymi wycieczkami do Londynu i Blenheim? Nie wspominając o tym wszystkim, co trzeba było zrobić w Banbury, o elementach układanki dotyczącej Wina i Laurel, których Annie jeszcze nie dopasowała. Laurel wspomniała, że załatwiła sprawę, ale nie mówiła, jak szybko chce wyjechać z miasteczka.

– Tak mi powiedziała – odparła Nicola krótko. – Tak szybko odjechałaś stąd moim rowerem, że nie miałam szansy ci tego przekazać.

– Nicola, przepraszam. – Annie się skrzywiła. – Wydawało mi się, że mogę.

– Nie ma sprawy.

Nicola podeszła do lady i zniknęła za nią. Nie było jej widać tak długo, że Annie zaniepokoiła się, że kobieta zemdlą.

– Nicola? – Wychyliła się przez ladę. – Jesteś tam jeszcze?

– Tu jest! – Nicola znowu się pojawiła. Miała poczerwieniałą twarz i lekko poirytowane spojrzenie. – O kurczę. – Pokręciła głową. – Ktoś to dla ciebie zostawił. – Podała Annie szarą kopertę.

– Ktoś?

– Ten starszy dżentelmen. Ten, który ma brata.

– Ach, ten. – Annie wzięła kopertę. – Gus.

– Tak ma na imię? Zresztą to bez znaczenia. To jego brat jest dla mnie ważny. –

Poruszyła brwiami. – Ten mężczyzna, miło na niego popatrzeć. Kochałam się w nim w szczenińczych latach.

– Znasz rodzinę Gusa? – zapytała Annie. – Jak dobrze?

Warto było spróbować. Może jeśli Nicola знаła Gusa i jego brata, dostarczy jej sznurek, którym będzie mogła związać luźne elementy historii. Gus upierał się, że nie był zaangażowany w te wydarzenia, był kimś patrzącym na nie z boku. Lecz ten bok był jednak jakimś miejscem. Należał do czegoś.

– Nie znałam go szczególnie dobrze – powiedziała Nicola i obciągnęła bluzkę. – Jest dużo

starszy. Ale jako dziewczyna leciałam na niego. Muszę zmykać. Mam oprowadzić turystów po pałacu Blenheim. Słyszałaś o nim?

– Owszem.

– Powinnaś go zobaczyć. Jest bajeczny – stwierdziła Nicola. – Wiedziałaś, że Niemcy chcieli go zniszczyć w czasie wojny, ale Hitler im nie pozwolił? Pewnie sobie wyobrażał, że tam zamieszka, kiedy szkopy zapanują nad światem. Dobrze mieć wielkie marzenia. To pa, pa! Miłego dnia! Cześć!

Nicola się odwróciła i pobiegła truchtem. Rozbawiona Annie – kolejna historia o Hitlerze związana z księżną – została sama. Sama z przesyłką od Gusa.

15 listopada 2001 roku

Droga Annie!

Kiepski moment.

Poproszono mnie, żebym się zajął pilną sprawą rodzinną. Nie martw się! Wszystko jest w porządku. Na razie.

Tylko że opuszczając to zapadłe miasteczko, zdałem sobie sprawę z tego, że chcę dokończyć opowiadać tę historię. Przez cały czas myślałem, że mówię Ci jedynie tyle, ile miałaś czas i ile mogłaś znieść, a być może nawet mniej.

Powinnaś jednak wiedzieć, jak się potoczyły te sprawy, co się stało z Winem i Pru i czy pani Spencer wyznała w końcu, czy jest księżną. Oczywiście, pomijając utytułowane osoby, prawdziwą bohaterką tej historii, a nawet biografii autorstwa Wina, choć nie wspomniał o niej ani razu, jest Pru.

Nie mogę Cię skusić na spotkanie ze mną, dlatego załączam kilka nagrań. Taśmy wraz z dołączonym magnetofonem są prezentem. Nie będziesz musiała uciekać się do drobnej kradzieży, żeby odsłuchać nagrania.

Zapłaciłem za Ciebie w warsztacie zegarmistrzowskim. Nie wspomniałaś ani słowem o tych zniszczonych kasetach, prawda? Mały ptaszek Cię wydał. Powiedział, że tajemnicza Amerykanka przyszła do niego z czyimiś nagraniami. Lista podejrzanych była krótka.

Kiedy połączysz to, czego się dowiesz z tamtych nagrań i z tych załączonych do listu, będziesz miała jaśniejszy obraz *Zaginionej księżnej*. Poznasz historię kryjącą się w tle. A książka bez takiej historii, bez takiej myśli przewodniej jest niczym. Sam też nie wiem wszystkiego, rzecz jasna. Jestem tylko jednym człowiekiem patrzącym na wydarzenia ze swojej perspektywy, starym kawalerem. Ale dzielę się z Tobą tym, czym mogę.

I wreszcie, panno Annie, odpowiem na jedno z mocno nurtujących Cię pytań. Pisarz nadal mieszka w Paryżu na Île Saint-Louis pod znalezionym przez Ciebie adresem. Zrób z tą informacją, co zechcesz.

Dopóki Cię nie poznałem, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co tu jest. Dziękuję, że mi uświadomiłaś, choć nieumyślnie, zakres narracji. Dziękuję, że się rozglądałaś i wściubiłaś nos w życie Wina, Pru i księżnej. I dziękuję, że zadawałaś staremu capowi trudne pytania. Mam nadzieję, że na coś się przydałem.

Na razie Cię żegnam. Ale proszę, odwiedź mnie podczas swojej kolejnej wyprawy badawczej.

Pozdrawiam Cię i życzę najlepszego,

Gus

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

STYCZEŃ 1973 ROKU

Prace nad biografią posuwały się do przodu.

Win dostawał to, czego potrzebował, nawet jeśli nie było to to, czego chciał. Może napisze wiarygodną książkę.

– Mam wrażenie, że naprawdę się zaangażowała – zauważyła Pru pewnego wieczoru, kiedy szperali w bibliotece i porównywali opowieści pani Spencer z książkami napisanymi przez jej przyjaciół. – Chyba jest zadowolona z tego, co się dzieje.

– Oczywiście, że jest! Rozejrzyj się! – powiedział Win i machnął ręką w stronę z pozoru niemającej końca biblioteki. – Ta kobieta jest zagorzałą czytelniczką. Pewnie patrzy na te książki, mile polechtana, że będzie w końcu bohaterką jednej z nich.

– Nie mówiąc już o tym, że najgłośniejsi pisarze jej czasów będą odgrywali tylko pomniejsze role.

Win zachichotał.

– Masz rację. Conrad. Proust. Tylko o nich wspomnę w przypisach. W indeksie znajdą się przy ich nazwiskach zapisy „patrz: strona dziewięćdziesiąta trzecia”.

– Pozwolisz mi na jedno słowo krytyki? – zapytała Pru, która zdjęła z półki Johna Galsworthy’ego. *The Skin Game*.

– Proszę. Jedna rzecz, której mi w Grange brakuje, to ciągła krytyka ze strony rodziny i przyjaciół. Zupełnie jakby ktoś nagle wyłączył muzykę.

– Nie wiedziałam, że czuleś się aż tak zaniedbywany. – Pru wsunęła książkę z powrotem na miejsce. – Będę się bardziej starać. Jeśli pytałbyś mnie o zdanie, określenie „zagorzała czytelniczka” jest zbyt słabe. Użyłeś go w swojej książce przynajmniej trzy razy.

– Domyślam się, że znasz lepsze?

– „Zagorzała” kojarzy mi się z dziewczętami, które chowają latarki pod poduszki, żeby móc czytać o przygodach Nancy Drew, kiedy zgasną światła.

– Jak nasza panna Valentine, czy tak?

– Tak – przyznała. – Ale w przeciwieństwie do lady Marlborough nigdy nie czytałam tak dużo, żeby musieć spędzić w łóżku tydzień z oczami zasłoniętymi czarnymi bandażami.

– Słusznie. Postaram się o coś bardziej opisowego. – Win odwrócił się, by na nią spojrzeć. – My tu opisujemy historię księżnej...

– My opisujemy?

– Tak. My. Czy nie wprowadziłaś właśnie poprawki redakcyjnej? A więc opisujemy historię Gladys Deacon, a być może ktoś gdzieś opisuje naszą.

– Naszą historię? – Pru stanęła jak wryta. – Byłaby nudna. I nie przepadam za powieściami, w których bohaterami są pisarze. Ludzie, więcej oryginalności!

– Ale Pru! Pomyśl tylko!

Win zaczął się znowu ożywiać. Miał szeroko otwarte oczy i włosy podskakiwały mu jak uszy spaniela. Ten widok urzekł Pru za każdym razem.

– Pomyśl o tych wszystkich wielkich pisarzach, których pani Spencer znała – powiedział.

– O tych wszystkich z indeksu. Może w równoległym świecie ktoś sławny opisuje nas wszystkich. I księżna zostanie wspomniana tylko w przypisie do naszej historii.

– Zażyłeś LSD czy co? – spytała Pru i prychnęła. – Albo nalewkę z opium pani Spencer. Bo mówisz zupełnie bez sensu.

– Jestem czysty jak łza! Nawet nie piliśmy walijskiego wina od dwóch dób. Współpracuj ze mną. Kto by mógł pisać o księżnej?

– Myślałam, że ty o niej piszesz.

– Już mam! – Strzelił palcami. – George Bernard Shaw. Świetnie by sobie poradził ze staruszką.

– Nienawidził Winstona Churchilla. To ich łączyło.

– Tak! G.B.S. napisał do niego: „Załączam dwa bilety na premierę mojej nowej sztuki. Proszę przyjść z przyjacielem... jeśli go pan posiada”.

– „Jeśli nie możesz pozbyć się szkieletu z rodzinnej szafy, możesz nakłonić go do tańca” – zacytowała Pru, podchwyciwszy wątek.

– A w tej rodzinie znalazłoby się kilka szkieletów.

– Też nienawidził polować – dodała Pru. – Zupełnie jak pani Spencer. „Kiedy człowiek chce zabić tygrysa, nazywamy to sportem. Kiedy tygrys chce zabić człowieka, nazywamy to agresją”.

– Brawo! – rzucił Win. Podskoczył tanecznym krokiem do półki w głębi pomieszczenia i zdjął z niej oprawioną w czerwoną skórę książkę. – Oto kolejny cytat z Shawa! „Wojna nie decyduje o tym, kto ma rację, tylko kto zostanie”.

Twarz Pru natychmiast posmutniała, a w pokoju zrobiło się chłodniej.

– Jasny gwint! Przesada. Przesadziłeś, Seton! Okej. Proust też mógłby o niej pisać. Chociaż to jest chyba zbyt oczywiste.

Wsunął książkę na miejsce.

– Proust powinien pisać o sobie – odparła Pru, która nadal dochodziła do siebie po komentarzu dotyczącym wojny.

– Nie, nie, nie – zaoponował Win. – Gdzie twoja oryginalność? Blenheim wprost domaga się Prousta!

– Blenheim?

– Tak! Doskonale! Mógłby prawie bez końca o tych bezkresnych przestrzeniach w swoim stylu. Ten pałac jest jak jego twórczość. Bezkresny. Na jedną część przypada ze stu bohaterów.

– Pani Spencer nazwała pałac neurotycznym – zauważyła Pru. – Proust był introwertykiem. Jego styl jest introspektywny, a Blenheim jest nadzwyczaj pretensjonalny. Daj mi więcej złota! Więcej posągów! Namaluj moje oczy na sufitach!

– Zapomnij na chwilę o Blenheim. A co z Tomem?

– Tomem? – zapytała i gapiła się na niego.

– No tak, Tomem ze stodoły.

– Słyszałam o nim. Naprawdę wierzysz, że on istnieje?

O dziwo, pani Spencer od pewnego czasu nie wspominała jego imienia. Nie zrobiła tego, odkąd pojawił się Win.

– Oczywiście, że istnieje! – stwierdził Win. – Widziałem jego dom.

– Jego dom? Tę stodołę?

– Zgadza się. Przechodziłem przez nią, kiedy wszedłem na teren posiadłości. Nie uwierzysz, co się tam znajduje. Chyba... – Zamachał rękami. – Nieważne. Ale tak, Tom istnieje.

– Jasny gwint – powiedziała Pru, zdumiona jego pewnością.

Tom istniał, a Win najwyraźniej w to nie wątpił. Nie miał nawet dość rozsądku, by

poczuć w związku z tym niepokój.

– No dobrze, o Tomie mógłby pisać... Conrad? – podsunęła, nadal ogłuszona.

– Conrad? – Win się skrzywił. – Jak to?

– Joseph Conrad. Znany również jako Józef Teodor Konrad Korzeniowski. Utrzymał, że był Polakiem. Zakładając, że Polak pani Spencer istnieje, jest jej najdłuższym żyjącym przyjacielem, a ona uwielbiała Conrada.

„Zaczytywałam się w jego książkach – powiedziała kiedyś pani Spencer Pru, zanim Win Seton pojawił się na scenie. – Chciałam nawet wypłynąć w morze!”.

Nic dziwnego, że kobieta miała egzemplarz *Sam jeden żaglowcem naokoło świata*. Im dłużej Pru mieszkała w Grange, tym większą sympatią darzyła panią Spencer. Może na oddziale psychiatrycznym będą potrzebowały dwóch łóżek stojących obok siebie.

– Conrad – powiedział Win. – „Życie jest jak iskra”. To było dobre. – Wyciągnął notatnik z tylnej kieszeni i zaczął pisać.

– Zapisujesz to? – zapytała Pru.

– Tak. To jest być może najlepszy wywiad, jaki dotychczas przeprowadziłem. O tobie, rzecz jasna, pisałaby Edith Wharton.

– O mnie? – pisnęła Pru. – Przecież ona pisze o klasie uprzywilejowanej!

– Zdaje się, że Kelloggowie się do niej zaliczają.

– To się nie liczy. Nigdy nie należałam do ich rodziny. Jestem sierotą, pamiętasz?

– Najatrakcyjniejszą, jaka kiedykolwiek istniała. Przykro mi, panno Valentine, ale muszę się z panią nie zgodzić. Wharton to najlepszy wybór. Pisała z humorem, z ikrą, z serdecznością. Jej bohaterki zawsze były piękne.

– Uwielbiam jej historie.

Pru westchnęła. Pomyślała sobie, że być może tak bardzo uwielbiała Wharton, bo chciała żyć w stworzonych przez nią światach, które przypadkiem tak bardzo były podobne do świata Charliego.

– „Otwórzcie szeroko okna” – zacytowała. – „Pozwólcie mi pić dzień”.

– „Gdybyśmy przestali starać się być szczęśliwi, moglibyśmy się całkiem nieźle bawić”.

– To kojarzy mi się raczej z panią Spencer, a nie ze mną – zauważyła. – Jestem bliższa twórczości Henry’ego Jamesa. Jego bohaterkami często są młode Amerykanki, nękanie i wykorzystywane.

– Jakoś nie podoba mi się to, do czego zmierza ta rozmowa.

– Nękanie. – Wymierzyła w niego palec. – I wykorzystywane. Przez pisarza.

– Ach! – rzucił i się zaśmiał. – Zatem w tej historii jestem antybohaterem. Dominuję cię swoją tyranią!

– Zgadza się! A jeśli chodzi o ciebie, oczywisty wybór pada na Evelynę Waughę. Jego powieści skupiają się na nasilaniu się mierności w przeciętnym człowieku.

– Moja mierność się nie nasila.

Łup. Łup. Tup. Bam.

– A to co? – zapytała Pru.

Tup. Bam.

Równocześnie odkręcili głowy w stronę wejścia. Zachowywali się za głośno, zbyt agresywnie dyskutowali. Nie sposób było odgadnąć, jak pani Spencer zareaguje, kiedy ich nakryje w jej sanktuarium, w ukrytej bibliotece.

– Wpadliśmy po uszy – mruknął Win.

W tym momencie przez drzwi wpadła księżna Marlborough. Fioletowa jedwabna suknia powiewała za nią jak żagiel. Trzymała w rękach radio.

– Pani Spencer, proszę mi pozwolić wyjaśnić – powiedział szybko Win. – Znaleźliśmy pani imponującą bibliotekę...

– Cii! – krzyknęła. Szukała gniazdka. – Wiedziałam, że tu węcycie. Ktoś ruszał mojego Bennetta.

Majstrowała przy pokrętle radia. Pru skrzywiła się na dźwięk szumu.

– Miło nam, że pani do nas dołączyła – gadał Win. – Nie musi się pani martwić. Nie dzieje się tu nic podejrzanego. Bez pani uwag i dowcipnych anegdotek nie ma zabawy.

– Dość! – przerwała mu pani Spencer. Popatrzyła na nich. Mięśnie jej szyi drgnęły. – Posłuchajcie, głupcy. Coś się dzieje.

– Jak to, dzieje?

Kobieta odwróciła się do Pru.

– Ta wasza wojna. Chyba się skończy.

## KOMUNIKAT RADIOWY

Jeżeli właśnie państwo do nas dołączyli, informujemy, że w hotelu Majestic w Paryżu rządy Demokratycznej Republiki Wietnamu, Republiki Wietnamu i Stanów Zjednoczonych podpisały porozumienie kończące wojnę.

Zawieszenie broni wejdzie w życie z początkiem dwudziestego ósmego stycznia. Siły północnego i południowego Wietnamu mają pozostać na swoich stanowiskach, żołnierze amerykańscy zaś wycofają się w ciągu sześćdziesięciu dni.

Jeńcy wojenni po obu stronach zostaną zwolnieni i będą mogli wrócić do domów. Strony umowy pomogą w dostarczeniu ciał poległych do kraju. Zjednoczenie Wietnamu będzie następowało pokojowo krok po kroku. A teraz przytaczamy wypowiedź prezydenta Stanów Zjednoczonych, pana Richarda Nixona.

„O dwunastej trzydzięci czasu paryskiego dzisiaj, czyli we wtorek dwudziestego trzeciego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku, pod umową zakończenia wojny i przywrócenia pokoju w Wietnamie swoje podpisy złożyli doktor Henry Kissinger w imieniu Stanów Zjednoczonych i specjalny doradca Le Duc Tho w imieniu Demokratycznej Republiki Wietnamu.

Umowa zostanie oficjalnie podpisana przez strony uczestniczące w paryskiej konferencji w sprawie Wietnamu dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku w Międzynarodowym Centrum Konferencyjnym w Paryżu.

Do zawieszenia broni dojdzie o dwudziestej czwartej czasu Greenwich dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Stany Zjednoczone i Demokratyczna Republika Wietnamu wyrażają nadzieję, że umowa ta zagwarantuje stabilny pokój w Wietnamie i przyczyni się do utrzymania trwałego pokoju w Indochinach i Azji Południowo-Wschodniej”.



GD: Wojnę spędziłam w Paryżu.

WS: Z pewnością były to trudne czasy.

GD: I pan mi to mówi? Nie można było złapać taksówki, która zawiozłaby mnie do mojej dzielnicy.

WS: Myślałem raczej o ogólnych warunkach życia. Mężczyźni wyjechali na wojnę. Kobiety zostały w domach i się denerwowały. Racjonowano żywność. Ustawiano się po nią w kolejkach. Że już nie wspomnę o groźbie niemieckiej okupacji.

GD: Och, Niemcy. [prychnięcie] Nigdy nie miałam problemów z żywnością. W mieście zostało wielu mężczyzn, którzy się dzielili swoimi racjami.

WS: Na pewno. A więc spędziła pani w Paryżu całą wojnę? To długi pobyt w jednym miejscu jak na kogoś takiego jak pani.

GD: Pierwsze niemieckie pociski spadły na Paryż dopiero w marcu tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Byłam w mieście, kiedy to się stało. Jeden z pocisków wylądował niecałe trzydzieści metrów ode mnie. Podmuch zarzucił mi spódnicę na głowę!

WS: To musiał być niezły widok. Zwłaszcza dla dzielących się cukrem. Ha! Niezły eufemizm. Pru, zapisz to.

GD: Pana śmieszy to, że miasto zbombardowano? Że przewróciłam się na chodnik, co i tak było niczym w porównaniu z czterema osobami, które widziałam, jak zostały rozbite na atomy.

PRU: Rozbite na atomy. Ulubiona wojenna anegdota.

GD: Tego samego wieczoru znalazłam odłamek w szalu z soboli. Futro uratowało mnie od niechybnej śmierci.

PRU: Zostawię was samych...

GD: Proszę siadać, panno Innamorati. Jeszcze nie skończyłam, a dobrze pani robi wysłuchanie moich opowieści.

PRU: Ale...

GD: Spokojnie. Nie będę mówiła o kolejnych rozerwanych osobach. Znam doskonale pani historię.

PRU: Powiedziałaś jej?

GD: Nie musiał nic mówić. Proszę wrócić na miejsce. Czy możemy zrezygnować z tej teatralności i wrócić do mojej historii? Na Boga.

WS: Proszę mówić dalej, pani Spencer. Będę panował nad jej teatralnością.

PRU: HEJ!

GD: Krótco potem znaleziono ciało matki leżące w salonie w jej pałacu. Gniło od dwóch tygodni.

WS: Odrażające i tragiczne.

GD: Nigdy się nie dowiedziałam, kto ją znalazł ani jak umarła. Skontaktowano się ze mną po jedenastu dniach, co Włosi składali na karb wojny. Coś panu powiem. Ta wiadomość uderzyła we mnie mocniej niż kawałek metalu w etolę. Matka odeszła z tego świata. Zmarła w sposób, którym by pogardziła. Nieubrana. Stara. I samotna.

[milczenie trwające dziewięćdziesiąt sekund]

WS: Bardzo mi przykro, pani Spencer.

GD: Nie doczekała mojego ślubu. Od zawsze była przekonana, że zostanę żoną Sunny'ego.

WS: Sunny'ego... Hrabiego Sunderland? Czy pani w końcu przyznaje...?

GD: Tak. Wygrał pan tę bitwę. Byłam żoną hrabiego Sunderland. Księcia Marlborough. Gratuluję. Zmusił pan starszą kobietę do poddania się. Mam nadzieję, że jest pan z siebie dumny.

[oczy GD lśnią w świetle świec]

WS: Pani Spencer, przepraszam, jeśli wykazałem się brakiem wrażliwości lub zraniłem panią...

GD: [ignoruje pisarza] Matka pragnęła tego dla mnie. Takiego małżeństwa. Ale nie doczekała się go. Chyba że, no wiecie.

[GD wznosi oczy ku niebu]

WS: Wiedziała. Jestem tego pewien.

GD: Nie sądziłam, że jest pan religijnym człowiekiem, Seton. [głębokie westchnienie] Jej śmierć wszystko zmieniła. Uznałam, że do diabła ze wszystkim. Najwyższa pora wyrzucić przyzwoitość przez okno.

WS: A jak konkretnie wyrzuciła ją pani przez okno?

GD: Wpadłam prosto w ramiona Sunny'ego, tak jak chciałaby tego matka, mimo że nie był jeszcze po rozwodzie z Coon. Zaczęliśmy razem podróżować i nie staraliśmy się ukrywać naszego związku. To były najlepsze lata mojego życia.

WS: Był pani pisany.

GD: Jeśli zależy panu na zbytecznym romantyzmie.

WS: A co myślała o tym Coon?

GD: Po wojnie nasza przyjaźń wygasła. Ale proszę się nie martwić, była bowiem urzeczona swoim nowym życiem.

WS: Dlaczego nie pobraliście się od razu? Skoro Coon była taka szczęśliwa bez Sunny'ego?

GD: Nie mieli oficjalnego rozwodu. A nam się szczególnie nie spieszyło.

WS: Miała pani trzydzieści siedem lat, kiedy wojna się skończyła.

GD: Dwadzieścia siedem!

WS: Jasne. No tak. Większości kobiet na pani miejscu bardzo by zależało na zamążpójściu w takim wieku, jednym lub drugim, zwłaszcza za sławnego księcia.

GD: No, nie wiem. [głośne westchnienie] Od zawsze perspektywa bycia kochanką pociągała mnie bardziej od bycia kolejną księżną. Posłużę się słowami Edith Wharton: „Nie wiem, czy powinnam się przejmować mężczyzną, który uczynił życie łatwym. Powinnam pragnąć kogoś, kto uczynił je interesującym”.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

STYCZEŃ 1973 ROKU

– Nawet nie jestem pewna, co to znaczy – stwierdziła Pru, kiedy słowa Nixona pobrzmiwały jej w głowie. – To koniec? Czy to chce nam powiedzieć? Że żołnierze niebawem wrócą?

– Właśnie to nam powiedział – odparł Win. – Aczkolwiek nie sądzę, żeby odbyło się to tak szybko. Przynajmniej tak mi się wydaje.

O dziwo, domysły Wina były słuszne. Wojna będzie się jeszcze ciągnęła, ale oczywiście wtedy o tym jeszcze nie wiedzieli. Komunikat radiowy brzmiał ostatecznie.

– Już po wszystkim? – spytała Pru i głęboko odetchnęła. – Nie mogę uwierzyć, że to koniec.

Win położył jej dłoń na ramieniu. Czuł, że pani Spencer przygląda się im z rogu pokoju. Nie zrobiła nic, żeby mu przeszkodzić, ale też się do niego nie przyłączyła. Pozostała obserwatorem, być może po raz pierwszy w życiu.

– Obie strony zobowiązują się do wstrzymania ognia – mówił głos z radia – a także uwolnienia jeńców wojennych. Amerykański rząd szacuje, że siły wroga przetrzymują obecnie ponad tysiąc trzystu obywateli Stanów Zjednoczonych.

Ci ludzie wrócą wreszcie do domów.

Czy Pru cieszyła się razem z czekającymi rodzinami? Była zła o to, w jakim to się stało czasie? Na pewno za późno, to nie ulegało wątpliwości. Odczuwała wiele emocji, które się w niej kłębiły, żadna jednak nie wychodziła na pierwszy plan.

– Pru? – szepnął Win. – Dobrze się czujesz?

Przytaknęła, a potem wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co powinna czuć.

– No cóż – odezwała się w końcu. – W Berkeley wypalą dzisiaj sporo trawki.

Win zaśmiał się z zażenowaniem. Spojrzał na panią Spencer, żeby móc coś wywnioskować o stanie swojego umysłu. Przecież staruszka przeżyła dwie wojny i widziała ludzi „rozbijanych na atomy”. Wojna nie była obca Gladys Deacon.

– Jest w szoku, Seton – powiedziała pani Spencer. – Pozwól jej na to.

– W szoku? – Pru popatrzyła na nią. Jej twarz była napięta i blada. – Dlaczego miałabym być w szoku? Przecież ta wojna musiała się jakoś skończyć. Kiedyś.

– Wietnam północny wrócił do stołu negocjacyjnego – informował mężczyzna z radia – najprawdopodobniej wskutek namowy Związku Radzieckiego i komunistycznych Chin.

Radio było nastawione głośno, ale żadne z nich nie słuchało go uważnie.

– Pójdę już – powiedziała pani Spencer i ruszyła w stronę drzwi. – Poradzicie sobie z tym.

Na dźwięk tych słów Win nagle wpadł w panikę. Miał sobie z tym poradzić? Co on wiedział o radzeniu sobie z czymś tak wielkim? Ledwie mu się udawało opłacać rachunki na czas i kupić sobie pastę do zębów, kiedy się kończyła. Poczul chęć, żeby wyjść z pokoju za panią Spencer.

– Będziesz wiedział, co robić, Seton – rzuciła pani Spencer, która czytała w jego myślach.

Drzwi zamknęły się za nią.

Minęło kilka niezręcznych sekund. Potem jeszcze kilka. Win oblał się zimnym potem.

– A więc... tego... słyszałem, że Dolphins wygrali American Super Bowl – odezwał się w końcu, dając tym samym popis błyskotliwości. Ten człowiek cechował się empatią laboratoryjnego szczura. Nie było sytuacji, której nie uczyniłby jeszcze bardziej niezręczną. – Pierwsza drużyna w sezonie, która miała tak doskonały sezon. Dziewiętnaście do zera.

– Dolphins? – Pru popatrzyła na niego błędnym wzrokiem. – O czym ty mówisz?

– Przepraszam, przepraszam. Gads przysięga, że kiedy nie wiesz, co powiedzieć jankesom, najlepiej wspomnieć o amerykańskim futbolu albo koszykówce. Catfish Hunter, Rollie Fingers? Tak? Nie? Bejsboliści nazywają się przezabawnie.

– Masz problemy – stwierdziła Pru, zirytowana, ale także wdzięczna. Niestosowność jego zachowania odwróciła jej uwagę. – Masz poważne problemy natury psychicznej.

– Jesteś niesamowicie spostrzegawcza, Pru. Nie mam najmniejszego pojęcia, co powiedzieć. Oprócz tego, że jest mi przykro. W związku z tą wiadomością.

– Win, to urocze – odparła. – Ale z jakiego konkretnie powodu jest ci przykro? Że wojna się kończy?

– Potrafię wszystko sknocić. Średnio dziewięćdziesiąt procent moich wypowiedzi w zasadzie jest do niczego. Ale tym razem stwierdzenie, że jest mi przykro, jest odpowiednie. Nie minął jeszcze rok od Wielkanocy. Nie minął pieprzony rok. Kiepski moment. Kiepski do potęgi.

Win ubrał w słowa problem Pru.

Miał rację, co było trudne pod kilkoma względami. Nie minął pieprzony rok. Kilka miesięcy zaważyło na tym, czy Charlie i Bóg jeden wie ilu innych mężczyzn przeżyło.

Każdy kolejny miesiąc walki nie wnosił nic do historii. Służył wyłącznie wydłużeniu chaosu, nie oznaczał pojawienia się kolejnego wątku, tylko następnych czarnych worków. Gdyby to był film lub książka, krytycy stwierdziliby, że śmierć tych ludzi była nieuzasadniona, niepotrzebna. I z tych właśnie powodów każdy by zrozumiał, dlaczego Pru cieszyła się z końca wojny, ale była wściekła o czas, w jakim do tego doszło. Niestety, nie była to emocja, którą Pru odczuwała.

Kiedy usłyszała wiadomość, serce jej zamarło. A potem szepnęło coś mózgowi. Powiedziało: „Dzięki Bogu, że wojna trwała trochę dłużej. Dzięki Bogu, że wszystko się potoczyło tak, jak się potoczyło”.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

STYCZEŃ 1973 ROKU

Pru zakochała się w Winie.

Zadurzyła się w nim po uszy – tak by powiedziała, gdyby mówiła o kimś innym. W każdym razie zakochała się, i to mocno. Wydawało się to niemożliwe, ale nie istniało inne wytłumaczenie dla jej reakcji na zawieszenie broni.

Wszystko to wyglądało na harmonijny zbieg okoliczności. Spotkała Wina! W posiadłości na innym kontynencie! Jakie to szczęście, że znaleźli się w tym wielkim szalonym świecie.

Oczywiście Pru dostrzegła stopień egoizmu, jaki był potrzebny, żeby wierzyć w to, że los mógłby tak okrutnie wtrącić się w jej życie. Jej romantyczne uniesienia nie były ważne dla porządku świata, a poślubienie jej nie było jedyną ważną pozycją w planach Charliego. Wiele osób przekonywałoby nawet, że jedną z ostatnich.

Jeśli chodzi o Wina, szczęśliwy drań nawet nie dostrzegł jej uczuć ani tego, co próbowała wyrazić na swój cichy sposób. Owszem, coś tam podejrzewał, ale taki scenariusz wydawał mu się zbyt daleko posunięty, za bardzo w duchu „możesz pomarzyć, stary”, dlatego też odganiał tę myśl za każdym razem, gdy pukała do jego drzwi.

Win miał zresztą za mało czasu, żeby rozmyślać o miłości pięknych dziewcząt, na którą nie zasługiwał. Musiał skończyć książkę, a księżna znowu nie chciała współpracować. Wrócili do jej wybiegów i opowieści o gęsiach.

Pod pewnym względem nie było to tak złe jak wcześniej. W końcu przecież kobieta wyznała, że jest księżną. Z drugiej strony było jeszcze gorsze ze względu na drogę, którą już przebyli. Byli w połowie historii. Zbyt daleko, żeby zawrócić, ale też mieli jeszcze piekielny dystans przed sobą. Środek był zniechęcający, nie do pokonania. Środek był powodem, dla którego Win Seton nie skończył jeszcze książki.

– Pani Spencer – powiedział pewnego wieczoru, kiedy siedzieli w jego pokoju i jedli dorsza. – Chciałbym usłyszeć więcej o pani małżeństwie z Sunnym.

– A co chce pan wiedzieć? Było raczej okropne.

– Jestem pewien, że zdarzały się dobre chwile. Na przykład przyjęcie z okazji jego sześćdziesiątych urodzin, które pani urządziła. Mam tu nawet opinię wyrażoną przez sąsiadów Blenheim. – Otworzył notatnik i przekartkował go. – O! Znalazłem! – powiedział. – „Kolacja i tańce były wspaniałe. Zaproszono H.G. Wellsa, a księżna nakłoniła go do tańca. To był przekomiczny widok”.

Pani Spencer zachichotała.

– Sunny był tego wieczoru nie do zniesienia – stwierdziła. – Ale Wells rozładował atmosferę. Powiedział: „Wszyscy mamy swoje maszyny czasu, prawda? Te, które zabierają nas w przeszłość, to wspomnienia, a te, które przenoszą nas w przyszłość, to marzenia”.

– Cytat z Wellsa? – zapytał Win, a pani Spencer z zadowoleniem przytaknęła. – To był chyba pamiętny wieczór.

Win nie wspomniał o innych komentarzach dotyczących uroczystości, w tym opinii Evelyny Waugh na temat jej uczestników: „to było około czterdziestu szlachetnie urodzonych

osób w średnim wieku o surowych rysach twarzy”. Wieczór miał być wielki, wręcz wystawny, ale zgodnie stwierdzono, że pachniał desperacją i miał w sobie coś z ostatniej deski ratunku. Małżonkowie byli już skłócenii.

– Nieźle się bawiliśmy – skonstatowała pani Spencer. Jej usta ułożyły się w napięty, nieobecny uśmiech. – Ale to był taki pogmatwany wieczór.

– Proszę o nim opowiedzieć – naciskał Win. – Proszę powiedzieć wszystko o gościach. Dekoracjach. Jedzeniu. Na pewno było wspaniale.

– Powiedziałam na ten temat już wszystko, co chciałam.

– Pani Spencer...

Pru posłała mu spojrzenie. Zależało jej na nim, coś ścisnęło ją za serce za każdym razem, kiedy posyłał jej zawadiacki uśmiech, przez który robiły mu się zmarszczki, ale dostrzegając, że niczego się nie nauczył w ciągu tygodni spędzonych w Grange. Nadal przejawiał bulwersującą skłonność do naciskania na panią Spencer wtedy, kiedy należało ją pociągnąć.

– Zdaje się, że młoda dama chciałaby, żebym się wycofał – zauważył Win, patrząc na Pru.

– Starsza dama również – powiedziała pani Spencer. – A tak przy okazji, powinniście wiedzieć, że w mieście powstało pewne zamieszanie. Podobno ukradłam puszkę nadzienia do placka z agrestem i czekoladę do picia na targu.

– Możemy się zatem spodziewać kolejnej wizyty...

Nagle w domu rozległ się huk, jakby ktoś usiłował stoczyć ze schodów regał z książkami.

– A to co? – zapytał Win i wstał. – Znowu policja?

Pani Spencer podbiegła do okna.

– Kto to? – spytała. – Co tam jest?

– Pewnie kot – powiedziała Pru. Puls jej przyspieszył. – Albo pies.

– Kawał kota – zauważył Win.

– Przyszli po mnie! Są tutaj! Widziałam ich.

– Kogo? – zapytał Win. – Gliniarze? Może gdyby przestała pani wywoływać różne nieszczęścia w miasteczku...

– To nie policja, ty kłownie! – wykrzyknęła pani Spencer. Brakowało jej tchu. Zaczęła chodzić wzdłuż okna. – Wczoraj stanął w progu jakiś mężczyzna.

– Ktoś tu był? – zainteresowała się Pru. – W Grange?

– Tak. I zarzucał mnie mnóstwem pytań na temat mojego zdrowia, dobrostanu, a nawet pani.

– MNIE?

– Otworzyła mu pani drzwi? – zdziwił się Win. – Nie strzelała pani? Ciekawy zwrot akcji. Czy powinienem wyłowić ciało jakiegoś biedaka ze stawu?

– Nie ma żadnych zwłok. Tym razem. I nie zastrzeliłam intruza, bo trzymał na rękach sukę.

– Wziął panią na ręce? – wykrzyknął Win. – Dźwignął z ziemi? Co za tupet! Ale proszę się tak brzydsko o sobie nie wyrażać.

Pani Spencer posłała mu gniewne spojrzenie. Drżały jej kąciki ust, bo próbowała powstrzymać uśmiech.

Tymczasem Pru zaczęła się wiercić i przechadzać. Czy ten mężczyzna naprawdę pytał o nią? Pani Spencer zaczęła ostatnio bardziej rozrabiać, a kiedy poprzednim razem regularnie interesowały się nią władze, rodzina zatrudniła Pru. Może tym razem zatrudnili kogoś, kto mógłby rzeczywiście zapanować nad panią Spencer.

– Suka – powtórzyła pani Spencer. – Doprawdy śmieszne, Seton. Spośród wszystkich

stworzeń mieszkających w tym domu, także psów, to pan jest największą suką. Dla pańskiej informacji, wpuściłam nieznanego na teren posiadłości, bo wyglądał znajomo i pomyślałam, że to jakiś wystawca psów. Byłam na targu, żeby kupić kolejnego psa.

– Kolejnego? – krzyknęła Pru.

– Okazało się, że trzymał jednego z moich psów, który rzekomo uciekł. Kiedy postawił Jangles na ziemi, natychmiast zaczął mnie wypytywać o zdrowie. Poinformowałam go naturalnie, że za chwilę to on będzie potrzebował pomocy medycznej do wyjęcia mojej laski z tyłka. Zmył się w okamgnieniu. – Pani Spencer wyjrzała przez drugie okno. – Nie widzę nikogo – stwierdziła. – Może Tom ich odstraszył.

– To był pewnie jakiś włóczęga – podsunął Win. – Usłyszał o starej księżnej i pomyślał, że mógłby od pani wyłudzić funciaka.

– Kogo pan nazywa starą, Seton? – Pani Spencer się zatrzymała i skrzyżowała ręce na piersiach. – Och, ma pan rację – stwierdziła i westchnęła. – To był pewnie jakiś brudny włóczęga liczący na łatwy pieniądz.

– Nikt inny – przytaknął Win.

Mimo że on i pani Spencer wydawali się zadowoleni, Pru poczuła, że wyjaśnienie wcale nie jest takie proste. Nie miało znaczenia to, czy ten mężczyzna pojawił się tu za sprawą Edith, przyjechał ze szpitala psychiatrycznego, czy też był kimkolwiek innym. W tym konkretnym momencie Pru zrozumiała bez najmniejszej wątpliwości, że jej dni w Grange niebawem dobiegną końca.

– Prawie nie opowiada o Sunnym – zauważył Win i wsunął za ucho w połowie zgryziony ołówek.

Minął tydzień.

Nie pojawił się już żaden inny mężczyzna zbierający wywiad medyczny. W progu nie stanął żaden policjant. Wydawało się, że jest spokojnie, mimo że Pru skręcało w środku. Z trudem powstrzymywała się przed chwyceniem pani Spencer i błaganiem jej o życie.

„Proszę, niech się pani zachowuje jak najlepiej! Bo przyślą na moje miejsce kogoś, kto sobie poradzi z tym zadaniem!”.

Zrobiłaby to, gdyby miała pewność, że pani Spencer chce, żeby została. Bardziej prawdopodobne było to, że by się zaśmiała i czym prędzej wystawiła walizki Pru na chodnik. „Cześć i powodzenia!”.

– Dlaczego o nim nie mówi? – dziwił się Win. O Sunnym. To był temat, którym się ostatnio zdręczał. – Byli ze sobą wieki całe. Przed ślubem. I tuzin lat później. A mimo to traktuje go jak trochę ponurego i irytującego sąsiada, którego najlepiej ignorować.

– Nie jestem pewna, czy to jest takie wyjątkowe – zauważyła Pru. – Kiedy mowa o małżeństwie.

– Przecież polowała na niego przez dziesiątki lat! Niestrudzenie! Od czasów młodości! – Win cisnął ołówek na biurko. – Doszedłem do wniosku, że Gladys Deacon jest niezdolna do miłości.

– Miała ponad pięćdziesięciu kochanków, a ty doszedłeś do takiej konkluzji?

– Kochankowie i miłość to dwie różne sprawy. Jest zbyt zimna, by czuć prawdziwą miłość. Zbyt wyrachowana.

– Daj spokój, Seton – sprzeciwiła się Pru. – Pani Spencer była zakochana. Wiele razy się także odkochała i miała złamane serce. Nie możesz mieć jej za złe, że jest trochę cyniczna.

– A kogo konkretnie kochała? Oprócz siebie, rzecz jasna.

– Rety, naprawdę jesteś tępy – stwierdziła Pru. – Pozwól, że zacytuję ci fragment twojego wywiadu. „Nie jesteś dla mnie osobą. Jesteś *état d'esprit et d'âme*”. Co po angielsku znaczy: «jesteś moim sercem i duszą»”.

– Jasny gwint. Znowu wracasz do tych bzdur o Berensonie – rzucił Win. Odwrócił się do maszyny do pisania, żeby popatrzeć na nią. – Dlaczego tak się go uczepiłaś?

– To nie ja się go uczepiłam, tylko księżna. Był jej sercem i duszą. Chyba to dostrzegasz.

– To wszystko było na pokaz. GD jest niesamowitą lizuską. Wiesz o tym. Nazywała żonę Berensona kochaniem albo równie słodko. To tylko fasada. Zawsze wkrada się w czyjeś łaski, zanim ruszy do boju.

– Umie mydlić oczy, przyznaję – powiedziała Pru. – Kiedy chce, potrafi być miła. Ale schlebiała Mary, żeby przypochlebić się wrogowi.

– Nie kupuję tego.

– Kiedy pani Spencer spędzała czas z Berensonem, nazywała siebie menadą. Menadą.



Mitologicznym stworzeniem targanym gorączką wina i żądzą.

– On zaś nazywał ją manekinem i mówił, że jest odrażająca.

– Owszem, gdy wszystko się między nimi skończyło. Widziałeś listy miłosne.

– A także oset, który mu wysłała w celu zilustrowania ich ciernistej relacji.

– Okej. Do kogo pobiegła, gdy wojna się skończyła?

– Do zwłok matki. Leżących w salonie zamku z jednorózcami.

– A potem?

– Odnalazła siostrę – odparł Win.

– Zgadza się. Zjawiła się w progu Edith, ale nie po to, by przekazać smutną wieść o śmierci matki, co zrobiła wcześniej telegramem, ale żeby namówić Edith do poszukiwania Berensona, który na dobre zdomowił się w Ameryce.

– Owszem, próbowała odnaleźć BB – przyznał Win. – Ale źle to interpretujesz.

Zrozpaczona skutkami wojny, GD pobiegła najpierw do matki, która już nie żyła. Potem udała się do ojca. Którego uosabiał Bernard Berenson, bo prawdziwego od dawna już nie miała.

– Jezu! – wykrzyknęła Pru i uderzyła dłońmi o biurko. – Przestań z tymi bzdurami o postaci ojca. Traktujesz to jak wymówkę. Piętnaście lat różnicy to tyle co nic.

– Nie nazywałbym tego niczym. W tym czasie powstaje nowy człowiek. Prawie debiutantka.

– Nie ma takiej przepaści czasu, lat, której miłość by nie połączyła.

– Miłość? Połączyć? Chyba nie stroisz sobie ze mnie żartów, Valentine? Potrzebny mi jakiś normalny człowiek w otoczeniu.

– „Będziemy chodzić na długie spacerzy”.

To był cytat z listu pani Spencer, który Win miał w swoim biurku. Kilka miesięcy przed przyjazdem do Grange udał się do I Tatti, włoskiej posiadłości Berensona, którą po jego śmierci przekazano Uniwersytetowi Harvarda.

Win podliżał się kobiecie opiekującej się papierami Berensona i dzięki temu miał kopie wszystkich dowodów, które były potrzebne Pru. Ale kiedy rozmowa schodziła na temat piętnastu lat różnicy między Berensonem i panią Spencer, Win zachowywał się nagle jak analfabeta.

– „Będziemy chodzić na długie spacerzy”.

– Panno Valentine, wystarczy...

– „Opowiesz mi o wszystkim. Potem będziemy wracali do domu i sadzali w Twoich wygodnych fotelach to lekkie znużenie wyjątkowe o zmierzchu i minie rok cały, zanim podadzą kolację”.

Pru zamilkła i oparła dłoń na biodrze. Win walczył z pokusą powrotu do maszyny do pisania. Sposób, w jaki wygłosiła ten fragment, sprawił, że paliła go cała skóra.

– Nic? – zapytała. – Nic na to nie powiesz?

– Urocze słowa. Marzycielskie nawet. Ale to wszystko. Tylko słowa. A teraz, jeśli pozwolisz, muszę napisać własne.

– Czasami jesteś irytująco tępy.

– Pru, ona wyszła za księcia.

– Tak! Wiem! Bo był księciem! Wydawało się jej, że tego by chciała jej matka! – Pru odwróciła się w stronę ściany po przeciwnej stronie pokoju. Bała się, że się rozplacze. – Powiedziała nam wprost, że wolałaby być z kimś interesującym, zamiast zostać kolejną księżną.

– Kiedy się znowu odwróciła, zobaczyła Wina zgarbionego przy biurku i stukającego w klawisze maszyny. – Spójrz na mnie – poleciła mu. – Popatrz na mnie.

– Nie mam czasu, kochana. Muszę pisać tę historię – odparł, przez cały czas pochylony nad maszyną. – O książkach i koneserach sztuki możemy pogawędzić później. Goni mnie

termin.

– Przestań pisać i popatrz na mnie. Jeśli w twoim zapomnianym przez Boga ciele tli się choć odrobina człowieczeństwa, spójrz na mnie.

– Niestety, nie tli się.

– Win.

Wreszcie oderwał palce od klawiszy. I podniósł wzrok.

– Nie możesz tego przyznać? – zapytała.

Wpatrywała się w niego z taką intensywnością, mieszaniną siły i czułości, że serce zaczęło mu walić jak oszalale.

– Co mam przyznać? – zapytał piskliwie.

– Że pani Spencer mogła kochać Berensona. Że może trochę żałować tego, jak pokierowała swoim życiem miłosnym. Czy ta kobieta... – wskazała na drzwi – wydaje się zadowolona z tego, kogo kochała?

– Przypuszczam, że to możliwe... – powiedział Win i ciężko przełknął ślinę. – Ale ta różnica wieku.

– Dość tego gadania o wieku! – krzyknęła Pru. – Jak możesz tak mówić, skoro wiesz, co do ciebie czuję?

– Co do mnie czujesz? – Znowu przełknął ciężko ślinę. Win miał coraz większe problemy z oddychaniem. – Nazwałeś mnie tyranem. Do tego nawiązujesz?

Próbował żartować, ale z marnym skutkiem, jak często bywało.

Dobry Boże, chciał, żeby to powiedziała. Rozpaczliwie pragnął, żeby Pru wyskoczyła ze swojej opanowanej gładkiej skóry i wygłosiła namiętną deklarację miłości, powiedziała, że będą ze sobą, choćby nie wiem co. Chrzanić różnicę wieku. Cznić termin ważności wizy i powrót do Ameryki. Byli sobie pisani.

Musiała to powiedzieć, bo on nie potrafił.

– To tak zamierzasz się zachowywać? – zapytała, a rozczarowanie załało jej twarz jak szara farba.

– No cóż, ha, ha. Jednego możesz być pewna, mianowicie tego, że trzydziestoczteroletni stary kawaler nie potrafi przełamać schematu.

– Zmusisz mnie do tego, żebym ja to powiedziała?

– Ale co takiego? Panno Valentine, naprawdę muszę wracać do pracy.

– W porządku, ty mięczaku. Chyba jestem bardziej pokancerowana, niż chcę to uznać, bo z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu zakochałam się w tobie. Nawet nie przejmuję się tym, że wojna skończyła się teraz, a nie wcześniej, i że Charliego już nie ma. Nie przejmuję się, bo jestem okropną osobą.

– Nie jesteś okropna – szepnął Win. – Jesteś najwspanialszą osobą, jaką znam.

– Powinnam żyć w żałobie. Ale jakimś cudem w tym zrujnowanym domu i zrujnowanym życiu zakochałam się. Zadurzyłam w tym prowokacyjnym, wrednym pisarzu, który nie radzi sobie ze swoim zadaniem.

– To zdecydowana prawda, Laurel...

– Zakochałam się w tobie. I wkurza mnie to.

## STACJA KOLEJOWA BANBURY

BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LISTOPAD 2001 ROKU

Dwudziestego piątego czerwca 1921 roku Gladys Deacon została księżną Marlborough. Miała czterdzieści lat, książę zaś ukończył pięćdziesiąt dwa lata.

W czasie miesięcy poprzedzających ślub o Gladys pisano na pierwszych stronach gazet, głównie dzięki jej zabiegom. Jeśli już miała zostać mężatką, przyszła księżna chciała odejść z fanfarami.

Upajała się zatem dniami cichnącego rozgłosu. Zapraszała do swojego domu rzeźbiarzy i malarzy. Organizowała spotkanie za spotkaniem i namówiła Prousta, żeby podpisał własną krwią zobowiązanie, że będzie odwiedzał Blenheim przynajmniej raz w sezonie. Wielka wojna wyznaczyła koniec *belle époque*, ale Gladys Deacon chciała się pożegnać jak należy ze złotą epoką.

Wreszcie nadszedł dzień ślubu, dwadzieścia siedem lat po tym, jak Gladys zaczęła wzdychać do księcia. Sunny przywdział szary, zapinany dwurzędowo smoking, będący odzwierciedleniem nowego trendu w męskiej modzie.

Gladys miała na sobie suknię ze starej koronki skrojoną z jednego kawałka materiału, a na głowie wianek z barwinka i kwiatów pomarańczy. W dalszej części dnia przebrała się w granatową haftowaną szmizjerkę.

Wśród zaproszonych gości znaleźli się grecki książę Jerzy, najmłodsza siostra Gladys Dorothy (Edith nie przyjechała), maharadża Kapurthala, książę de Polignac, książę Murat i Edith Wharton. Pojawił się też Proust, ubrany w suknię ze skóry węża sięgającą mu do kostek.

Mimo przyrzeczenia podpisanego krwią Gladys po raz ostatni widziała wówczas Prousta, swojego kompana i najbliższego przyjaciela. Krótco po ślubie księcia i księżnej Proust zachorował. Zmarł w 1922 roku. Nie zdołał odwiedzić lady Marlborough, uratować jej przed Blenheim i nią samą.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

Stały na stacji kolejowej i wpatrywały się w tablicę odjazdów. Londyn-Marylebone 10.07.

– Na pewno nie chcesz jechać? – zapytała Laurel. Trzymała pasek torby ze skóry w miodowym kolorze. – To tylko jednodniowa wycieczka, ale sporo można zobaczyć jednego dnia. Czy też zamierzasz po raz drugi odrzucić moje zaproszenie do Londynu?

– Odrzucę – odparła Annie. Była trochę otępiała z powodu wina wypitego do kolacji poprzedniego wieczoru. – Jestem zmęczona.

No i nie chciała jechać do Londynu. Nie w taki sposób. Na tak krótko. W takim pędzie. Przy okazji tego, że Laurel musiała podpisać papiery, by pozbyć się Grange na zawsze. Za dwadzieścia cztery godziny wsiądą na pokład samolotu lecącego do Wirginii. A w Banbury koparki i buldożery przystąpią do działania.

– Jutro? – zapytała Annie tego ranka, kiedy Laurel stała w drzwiach łazienki owinięta ręcznikiem. – Wyjeżdżamy jutro? Tak po prostu, bo negocjacje dobiegły końca?

Nicola ją ostrzegła, ale i tak był to cios.

– Tak. Wszystkie strony doszły do porozumienia – odparła Laurel. – Byłam ostatnia i wreszcie dobiłam targu. Nie mogę się doczekać, żeby pozbyć się tego straszyla.

Jasne, mam, pomyślała Annie. Straszyla. Tylko tym było Grange.

To, co Laurel czuła do tego budynku, było tak oczywiste, jakby to zapisała lub nagrała na taśmie. Kiedy matka weszła do pokoju Wina, chwyciła się za żołądek i natychmiast opadła na kolana przy łóżku.

– Mamo! – krzyknęła Annie. Nie potrafiła ukryć zaskoczenia, mimo że знаła historię tego pokoju i człowieka, który tu niegdyś mieszkał.

Laurel nie była typem mdlejącej kobiety (czy cokolwiek się z nią teraz działo). Annie nigdy nie widziała, żeby okazywała słabość.

– Ha, ha! Tak! – Laurel zerwała się na równe nogi. Spojrzała na Annie, jakby zapomniała o jej obecności. – Nic mi nie jest. Potknęłam się. Niezdara ze mnie.

Laurel niezdarnie radziła sobie wyłącznie z próbą ukrywania swojej reakcji.

– Annie, przepraszam, że ten wyjazd okazał się taką klapą – powiedziała Laurel już na stacji kolejowej, kiedy na tablicy zmieniały się napisy. – Nie przypuszczałam, że tak będzie.

– To nie była kłapa, ale jestem zła, że wyjeżdżamy. Co z naszym „babskim czasem”, który obiecywałaś? I zwiedzaniem? Mamy teraz wracać do domu? Jutro? Co za strata wyjazdu.

– Annie, nie możemy tu siedzieć w nieskończoność.

– A czemu nie? Odeszłaś na emeryturę. Ja, jak wiadomo, jestem bezrobotna. Możemy tu zostać jeszcze z tydzień. Dwa tygodnie. Do czego musimy wracać?

– Do moich uczniów? – zasugerowała Laurel.

– Z Margaret są w dobrych rękach – stwierdziła Annie. – Już i tak mówiłaś, że zamierzasz powierzyć jej więcej lekcji. Mamo, możemy wydłużyć pobyt. W tym momencie konie są tylko wymówką.

– Nie. To nieprawda. Obiecuję ci, że na wiosnę pojedziemy w podróż. Dokądkolwiek zechcesz. Do Turcji? Grecji? Nowej Zelandii? Bangkoku?

– Do Bangkoku?

– No tak, to nie twoje klimaty.

– Mamo, ja chcę być tutaj. Uczestniczyć w tym wyjeździe. Teraz.

– W takim razie jedź ze mną do Londynu! Albo zostań tutaj i zwiedzaj na własną rękę. Zostawiam ci wynajęty samochód. Pojedź do pałacu w Blenheim. Możesz robić tego dnia, co zechcesz!

– Chcę zostać dłużej niż jeden dzień.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Musimy wracać do domu. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

– To przez tego pisarza, prawda? – zapytała Annie. – Wspomnienia o nim. Dom, z którego rezygnujesz. Moim zdaniem czujesz się winna.

Laurel pokręciła głową. A potem przytaknęła. Westchnęła i znowu pokręciła głową.

– Winna to nie jest właściwe określenie – powiedziała. – Głupio byłoby trzymać ten dom tylko ze względu na kilka dobrych miesięcy w nim spędzonych. – Prychnęła. – Nawet nie były takie dobre. To cud, że nie skończyłam z zapaleniem płuc albo boreliozą.

– Mamo, muszę cię o to zapytać. Czy wiesz, gdzie on jest? Ten pisarz? Próboweś go znaleźć?

– Raz spróbowałam – odparła. – Dawno temu. I źle się to skończyło.

– Takie słowa mogłaby wypowiedzieć pani Sp... księżna.

„Och, Bernard Berenson? Kiepsko się to skończyło. Zmieńmy szybko temat”.

– Ha! Masz rację – przyznała Laurel. – Mogłaby powiedzieć coś takiego.  
– Myślisz, że księżna kochała Berensona? – zapytała Annie.  
– Słucham? – Laurel ściągnęła brwi. – Berensona? Skąd ten pomysł?  
– Przecież byłaś zdania, że go kochała, prawda? Krytyka sztuki, a nie księcia.  
Laurel przytaknęła.

– Rzeczywiście tak uważałam. Nadal w to wierzę, chociaż nie zastanawiałam się nad tym od lat. Ale masz rację. Moim zdaniem Gladys Deacon wyszła za księcia tylko dlatego, że przez lata była jego kochanką. A także dlatego, że Berenson postanowił przenieść się do Stanów ze swoją żoną. – Laurel westchnęła i zdmuchnęła długi lok z twarzy. – Ale kto wie. To tylko teoria. Pewnie subiektywna.

– Mam własną teorię – rzuciła Annie, podczas gdy jej matka zerkała raz po raz na tablicę.  
– Kochanie, muszę iść na peron...

– Oto moja teoria. Księżna nie kochała żadnego z nich. Chciała kochać jednego lub obu, kogokolwiek, ale po stu latach zabrakło jej miłości.

– Ojej. To przygnębiające.  
– Zdarza się.

– Rety. Spodziewałabym się, że świeżo zaręczona dziewczyna będzie miała bardziej idealistyczne podejście do świata. – Objęła córkę. – Przykro mi, ale muszę lecieć. Mój pociąg właśnie wjeżdża.

Kiedy Laurel ją przytuliła, Annie poczuła, że dotyka innej osoby, nie kobiety, z którą spędziła dotychczasowe życie.

– Zabaw się – powiedziała jej Laurel. – Masz kartę kredytową. Wykorzystaj ją, jak chcesz.

– Cześć, mam – odparła Annie, skołowana i dotknięta, choć nie wiedziała dlaczego. – Bezpiecznej podróży.

Gdy Laurel oddaliła się od niej typowym dla Laurel Haley szybkim krokiem, Annie została na miejscu i patrzyła na tablicę odjazdów.

Kings Sutton.

Bicester North.

Haddenham & Thame Parkway.

Odwróciła się i podeszła do kasy.

– Dzień dobry – zwróciła się do kobiety w niebieskiej koszuli. – Czy odjeżdża stąd pociąg do Paryża?

Kobieta się uśmiechnęła.

– Byłoby miło – odpowiedziała. – Sama chętnie pojechałabym teraz do Paryża. Nie, moja droga, jeśli chcesz jechać do Paryża, musisz się trochę natrudzić. – Wychyliła się przez okienko i wyjęła mapkę ze stojaka. – Proszę. – Rozłożyła mapkę przed Annie, a potem zakreśliła kilka kółek czarnym pisakiem. – Najpierw musisz jechać do Londynu-Marylebone. Podróż trwa około godziny. Stamtąd do St. Pancras. Tam należy się przesiąść i w dwie i pół godziny później będziesz w Gare du Nord w Paryżu!

– To nie wydaje się zbyt skomplikowane – stwierdziła Annie i złożyła mapkę. – Kiedy odjeżdża pociąg do Marylebone?

– O dziesiątej czterdzieści.

– To dla mnie za wcześnie!

Annie nie chciała ryzykować spotkania z Laurel na dworcu.

– Dobrze... – powiedziała kobieta i przyjrzała się jej z powątpiewaniem. – Kolejny jest o jedenastej cztery, a potem o jedenastej czterdzieści...

Paryż. Czy mogła jechać do Paryża? Gus twierdził, że pisarz tam jest, a Annie nadal miała w kieszeni dzinsów wizytownik od walizki Wina.

– Chcesz kupić bilet, kochanie? – zapytała kobieta.

– Hm...

Na razie znała wersję historii według Gusa i według Laurel, ale co z Winem? Jego historię wydrukowano, ale *Zaginiona księżna* i kasety w plecaku Annie z pewnością nie były wszystkim, co miał do powiedzenia.

– Panienko, ustawiła się za tobą kolejka. Jeżeli mogłabyś...

Annie położyła kartę kredytową mamy na ladzie.

– Poproszę bilet do Gare du Nord przez Londyn. Paryżu, nadchodzę.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LUTY 1973 ROKU

– Panno Valentine! Seton!

Pani Spencer stała w progu i wyglądała na wściekłą.

– Są tutaj! Ci ludzie! Wrócili!

Pru nie była w nastroju na kolejny atak pani Spencer. Właśnie powiedziała Winowi, że go kocha, i nie doczekała się reakcji. Jak dorosły mężczyzna mógł być aż tak tępy?

– Nie macie nic do powiedzenia? – ryknęła pani Spencer.

Pru myślała dokładnie to samo.

– Pani Spencer – odparła. – To jest kiepski moment.

– W zasadzie... – Win zerknął na Pru z lęklwym uśmiechem. – Przyszła pani w samą porę. Uratowała mnie pani. Niewiele brakowało, panno Valentine. Później pani podziękuję, pani Spencer.

– Naprawdę jest pan nie do wytrzymania.

Nie należała do osób, które pokazują innym środkowy palec, ale w tej chwili miała ochotę użyć ich obu. Jak zwykle Winowi wydawało się, że z poczuciem humoru wywinął się z trudnej sytuacji. Jeden trafny dowcip mógł sprawić, że wszyscy będą rechotać i zapomną o tym, co się stało. Niestety, nie potrafił się nigdy dobrze wstrzelić i nie zdawał sobie sprawy z tego, że w jego wypadku metoda działała na zero procent.

– Dzieje się coś dziwnego – zauważyła pani Spencer.

– W rzeczy samej – przyznała Pru.

– To miło. Ale nie obchodzi mnie to. Mam większe zmartwienia niż wy dwoje.

– Kocham go – wypaliła Pru.

– Słucham? – Pani Spencer wybałuszyła oczy.

– Dlatego powiedział, że go pani uratowała – wyjaśniła Pru. – Powiedziałam Winowi, że go kocham, a on zamknął się w sobie. Uratowała go pani przed koniecznością przyznania, że jest zdolny do prawdziwych, szczerych uczuć.

– To śmieszne – stwierdziła pani Spencer. – To oczywiste, że pani go kocha. I że on kocha panią. Ale moglibyście przestać robić do siebie maślane oczy i skupić się na mnie.

– Niech pani na niego spojrzy! – powiedziała Pru. – Proszę na niego popatrzeć! Ma taki głupi wyraz twarzy. Jestem sobą zdegustowana.

– Często ma głupi wyraz twarzy, moja droga. I przez takie właśnie zachowanie nie ma żony i mieszka z nami.

– Nie przejmujcie się mną. Możecie dalej rozmawiać, jakby mnie tu nie było – odezwał się Win. – Aczkolwiek to prawda. Jestem okropnym niedojrzałym człowiekiem, który zasługuje na sytuację, w jakiej się znalazł.

– Nie schlebiaj sobie – burknęła Pru.

– Skoro wszyscy się zgadzamy, proszę powiedzieć, pani Spencer, co się stało? Jeszcze nigdy nie widziałem pani w takim stanie. A to o czymś świadczy. Czy wie pani, że założyła pani koszulę tył na przód?

- Musiałam się rozebrać w mieście, żeby mnie nie rozpoznali.
- Świetnie. Kolejna wizyta policji – jęknęła Pru.
- Nie sądzi pani, że... to mogło odnieść odwrotny skutek do zamierzonego? – zapytał

Win.

Rozpaczliwie pragnął podzielić się swoim zaskoczeniem z Pru, ale ona oczywiście nie przyjmie jego kulawej próby okazania koleżeńskiego zachowania. Jak zwykle wszystko schrząnił i naraził na szwank ich krótkotrwałą niepewną przyjaźń.

– To był jedyny sposób na to, żeby się ukryć – poinformowała go pani Spencer.

– No tak. Nagość najlepszą kryjówką – powiedział Win i zdecydowanie kiwnął głową. –

To ma sens. A proszę mi powiedzieć, przed kim się pani ukrywa?

– Rodziną Marlborough!

– Chwila – odezwała się Pru. – Marlborough? Rodziną Sunny’ego? Wydawało mi się, że obawia się pani Edith.

– Jej również. Są w zмовie.

– Jest pani pewna? – dopytywała Pru. – To na pewno byli oni?

– Wszędzie rozpoznam ten cofnięty podbródek i skwaszoną minę. Są tutaj. Chcą mnie usunąć, żeby móc zabrać mi moje rzeczy.

– Pani rzeczy? – zdumiał się Win. Rozglądał się po pokoju: książki, stare łóżko, mocno wyeksploatowana maszyna do pisania. – Jakie rzeczy?

– Nic pan nie wie.

– Najwyraźniej nie.

Nagle usłyszeli dobiegające z oddali kroki, stukot butów uderzających o drewniane schody. Pru bez namysłu doskoczyła do boku Wina i chwyciła go za ramię.

– Pani Spencer? – odezwał się głos.

Pru zacisnęła mocniej dłoń. Win położył na niej rękę.

– Powinniśmy się schować? – szepnęła Pru.

– Rewolwer – syknął Win. – Gdzie jest rewolwer?

– Uspokójcie się – nakazała im pani Spencer nagle spokojnym, rozsądnym głosem. – To tylko Tom.

– Tom?

Pru zaczerpnęła wielki łyk powietrza. Serce waliło jej tak mocno, że trudno jej było oddychać. Próbowała pochwycić spojrzenie Wina, ale odwróciła wzrok, bo się jej przypomniało, że była zła.

– Tak – odparła pani Spencer. – Tom. Mój Polak. Zwykle mieszka w stodole, ale ciężkie czasy i tak dalej. Tom! Tutaj jesteśmy! Wejdz i poznaj resztę moich ludzi!



## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

LUTY 1973 ROKU

Można by powiedzieć, że Tom zmaterializował się w pokoju, ale jego wejście było raczej niezdarne.

Mężczyzna miał dwa metry wzrostu (albo sześć i pół stopy według jankeskich standardów). Nie był też smukły – ważył ze sto trzydzieści kilogramów i miał rozmiary napastnika amerykańskiego futbolu. Poruszał się również w ten sposób.

– Tom? – zapytała Pru i gapiała się na niego.

Polak Tom miał jasną skórę i w zasadzie cały był beżowy. Masywny łuk brwiowy wysuwał się przed resztę twarzy.

– Tom? – powtórzyła Pru.

Omiatał ją wzrokiem z pewnym lękiem. Wydawał się niemal zdenerwowany. To ciekawe w wypadku człowieka, który miał dłonie wielkości czaszki Pru.

– Przepraszam, że wszedłem do domu, pani Spencer.

– Tomaszu, to ja powinnam cię przeprosić! Tak mi wstyd. – Pani Spencer przyłożyła dłoń do gardła. – Nie miałam czasu posprzątać w tym tygodniu.

Pru uniosła brwi. W tym tygodniu? Z tego, co wiedziała, pani Spencer nie sprzątała w tym roku ani dekadę temu, ani nigdy wcześniej. W domu znalazłoby się więcej śmieci niż w publicznym parku. W pokoju leżała kupka psich odchodów, która była tu tyle czasu, że już nawet nie cuchnęła.

– Pani Spencer – odezwał się Tom. – Muszę z przykrością poinformować, że Marlborough są w mieście. Proszę się nie martwić, przepędziłem ich. Ale domyślałam się, że wrócą.

– Są tutaj? – zapytał Win. – W Banbury? Jest pan pewien?

– Tak, jestem pewien. – Tom zmrużył oczy, aczkolwiek odległość między nimi się nie zmieniła. – Kim pan jest?

– Nie przejmuj się nim – powiedziała pani Spencer. – To tylko pisarz.

– Nazywam się Seton. – Win wyciągnął rękę, ale gest ten został zignorowany. – Widzę, że w Polsce nie uczą dobrych manier. Jest pan pewien, że ci ludzie, których pan widział, nie byli sprzedawcami noży albo encyklopedii? Wiem, że nasza Gladys lubi wywoływać panikę, ale jej stwierdzenie, że widziała Marlborough, wcale nie musi pokrywać się z prawdą.

– Też ich pani widziała? – zdziwił się Tom i odwrócił się do pani Spencer.

W obliczu nowej informacji jego oczy pociemniały, zmieniły kolor jak hologram.

– Tak. Właśnie próbowałam o tym powiedzieć tej dwójce bałwanów. Widziałam Marlborough kręcących się w pobliżu Banbury. Nawet przysłali emisariusza do moich drzwi. Przyniósł wykradzonego szczeniaka. Gdzie ich widziałeś?

– W pobliżu bramy. Przegoniłem ich młotkiem.

Win odgarnął kosmyk włosów z oczu.

– Niech mi pan przypomni, żebym pana nie denerwował.

– To był jedenasty książę – oznajmił Tom. – I liczni członkowie rodziny. Był z nimi także

adwokat i lekarz ze Świętego Andrzeja.

– Lekarz. – Pani Spencer westchnęła. – Chryste. Co my zrobimy?

Patrzyła to na Wina, to na Pru. Gdzieś w oddali odezwał się zegar po dziadku.

– Być może nadeszła chwila, żeby... zniknąć – powiedział Tom i wykonał palcami jakiś gest. Wyglądało to tak, jakby machał w powietrzu kielbasą.

– Hm... Możesz mieć rację – zgodziła się z nim pani Spencer.

– Zniknąć? – spytała Pru. – Gdzie?

Odeślą ją do Ameryki? Tak szybko? Serce jej waliło. Choć może dobrze jej zrobi rozłąka z Winem. „Uratowany”. Na miłość boską. Był naprawdę bardzo głupi.

– Seton – odezwała się pani Spencer, która wypluła jego nazwisko przez zęby, jakby było wyjątkowo satysfakcjonującym przekleństwem. Pru wiedziała dokładnie, co czuła. – Czy nie wspominał pan o Paryżu? Ma pan dom w Paryżu? Czy tak? Nie mogę uwierzyć, że wpuszczono pana do tego miasta.

– Tak, lady M, mam tam mieszkanie.

– Świetnie. Zamieszkamy tam.

– Chwileczkę. Nie jestem pewien, czy to jest mądre rozwiązanie. Poza tym wolałbym zostać w Grange i dokończyć pisać biografię.

– Dostanie pan swoją książkę – rzuciła pani Spencer. – Jakbym miała zamiar poświęcić tyle czasu i nie zobaczyć rezultatu. Myślę tylko o tym, że będzie pan kontynuował swoją pracę gdzie indziej. Ten pański dom jest duży?

– Całkiem spory. Ma około dwustu siedemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych. Pani Spencer...

– Ilu ludzi tam mieszka? Rodzice? Rodzeństwo? Służba?

– Od dawna już nie mamy żadnej służby – odparł Win. – Rodzice nie żyją. Mieszka tam tylko mój brat.

– Wybornie! – Pani Spencer obróciła się na pięcie. Przcisnęła się obok Toma na korytarz. – Wyjeżdżamy dzisiaj wieczorem!

– Dzisiaj? – Pru z trudem przełknęła ślinę. – Wyjeżdżacie dzisiaj?

– Wyjeżdżamy. We troje. Pani, ja i pisarz. – Przewróciła oczami. – Wyjeżdżamy do Paryża. Seton, niech pan dzwoni do brata. Niech przygotuje dla nas łóżka.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

Niemal od razu po ślubie Gladys i Sunny'ego ksiączę stał się królewskim utrapieniem. Zrobił się tak kłótlivy, że Gladys zabierała ze sobą rewolwer do jadalni, żeby trzymać go w ryzach.

Poza tym zaczął okazywać przesadne zainteresowanie piętnastolatce Theresie Jungman, do której zwracał się „dziecino”. Mimo że Sunny obiecywał dozgonną miłość tej „dziecinie”, miał też wiele innych kochanek, wśród których znalazła się kanadyjska aktorka Frances Doble. Po wielu latach odbywania potajemnych spotkań obiecał poślubić Frances i poprosił Gladys o rozwód.

O dziwo, Gladys się zgodziła. Na co był jej potrzebny Sunny i jego tytuł? Byli wówczas małżeństwem od ponad dekady, ale zarówno w małżeństwie, jak i w domu Gladys – tak przynajmniej utrzymywała – czuła się „nadal jak turystka”.

Jednakże trzecie małżeństwo Sunny'ego nie doszło do skutku. Ksiączę zachorował na raka wątroby i zmarł w 1934 roku. Gladys już na zawsze została księżną, a większość członków rodziny pomstowała na jej nieodwracalną obecność w ich życiu.

Gladys bynajmniej nie zamierzała odgrywać roli księżnej. Czmychnęła z Blenheim najszybciej, jak się dało, wcześniej zapełniwszy sześć ciężarówek, i wywiozła swoje rzeczy z miasta.

– J. Casper Augustine Seton, *Zaginiona księżna. Biografia*

Annie dotarła do Paryża późnym popołudniem.

Nadciągała zima. Słońce wisiało nisko nad miastem i rzucało długie cienie, przez co świat wydawał się spowity w mroku. Paryż. Wróciła tu.

Annie wstrzymała oddech, kiedy taksówka skręciła z Gare du Nord w Rue Saint-Martin. Wyjechała stąd przed osiemnastoma miesiącami i miała wrażenie, jakby to było wczoraj, a równocześnie wieki temu. Tak to już było z Paryżem.

Gdyby lepiej pamiętała francuski, poprosiłaby kierowcę, żeby pojechał malowniczą trasą wzdłuż Rue Lafayette i okrążył Operę z jej imponującą zieloną kopułą i złotymi posągami. Budynek ten nigdy się jej nie nudził, mimo że stał trochę za blisko Galeries Lafayette, miejsca zastawionego autokarami i obleganego przez turystów ciągnących walizki na kółkach wypchane dopiero zakupionymi ubraniami.

Gdyby pojechali tą drogą, obok Opery, mogliby się skierować prosto w stronę ogrodów Tuileries i *la grande roue*, sławnego paryskiego diabelskiego młyna. Niezależnie od tego, jak bardzo byłaby zmęczona fizycznie lub pod innym względem, Annie nie potrafiła przyglądać się wagonikom wynoszonym ponad drzewa bez poczucia uniesienia w sercu.

Stamtąd można by dojechać szybko do Île Saint-Louis jedną z ulic biegnących równoległe do Sekwany. Na przykład Rue de Rivoli – ulicy, przy której stał pierwszy dom pani Spencer.

Gdy jechali mostem w stronę wyspy, Annie zerknęła w stronę katedry Notre Dame

i uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Kiedy studiowała w Paryżu, mieszkała w jednym pokoju z przyszłą panią architekt. Dziewczyny spędziły niezliczoną liczbę godzin w katedrze i wokół niej, pokazywały sobie rzygacze i łuki przyporowe, zwiedzały galerię królów i imponujące okna rozetowe. W jednej chwili Annie poczuła każdą sekundę tamtych miesięcy. Dlaczego tak długo zwlekała z powrotem?

– Gdzie się pani zatrzymała, *mademoiselle*? – zapytał kierowca, gdy przekroczyli Pont Marie. – W którym hotelu?

– Zatrzymałam się u przyjaciela.

„Przyjaciela”, którego nigdy nie poznała. Który nie wiedział, że go odwiedzi. I zdziwi się na widok stojącej w progu jego domu dziewczyny w dżinsach, lekko postrzępionym T-shircie i z plecakiem pełnym kaset. Co też ona wyprawiała?

– Poda mi pani adres?

– Tak, oczywiście. Quai de Béthune dwadzieścia cztery.

No doprawdy. Co ona wyprawiała? Pokręciła głową nad sobą, swoją głupotą i komizmem sytuacji. Ale przynajmniej była w Paryżu. Jak powiedziałaaby pani Spencer, to najlepsze miejsce do podejmowania złych decyzji.

Annie odwróciła się w stronę okna. Ulice były coraz węższe, a budynki mniej ozdobne. Mimo że Napoleon III powierzył Haussmannowi zadanie przekształcenia zatłoczonych ulic Paryża w szerokie aleje z parkami i placami, Île Saint-Louis zachowała swój średniowieczny klimat. To była ulubiona dzielnica Annie. W najśmielszych wyobrażeniach nie potrafiłaby wymyślić wydarzeń, które sprowadziły ją tutaj z powrotem.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił kierowca i zatrzymał się przed eleganckim siedemnastowiecznym domem, jednym z wielu położonych na brzegu Sekwany.

– *Merci* – powiedziała i poszukała portfela. Wyplaciła z bankomatu na dworcu czterdzieści euro i miała nadzieję, że mama nie zauważy brakujących pieniędzy.

Zapłaciła kierowcy, zamknęła drzwi taksówki i popatrzyła na żółtobrazową fasadę budynku, białe okiennice i balustrady balkonów z kutego żelaza – takie urocze, proste. Pewnie wnętrza są wspanialsze od wszystkiego, co widziała w centrum. Akademiki były zdecydowanie bardziej przeciętne, nawet w Paryżu.

– No dobra – powiedziała do siebie. – Zobaczmy, co się wydarzy.

Miała właśnie zadzwonić domofonem, gdy nagle elegancko ubrana para wstukała kod. Nieznajomi otworzyli czarne drzwi i Annie wśliznęła się za nimi. Nawet nie zauważyli jej obecności.

Para pocałowała się raz w holu, a potem wtoczyła się do mieszkania na parterze. Annie sięgnęła do drugich drzwi, ale odkryła, że były zamknięte. Popatrzyła na listę lokatorów na domofonie. Jest. Seton. Numer sześć.

Wzięła wdech, który odbił się głośnym echem w holu, i nacisnęła guzik przy nazwisku. Wniosła krótką modlitwę do nieba.

– *Allô* – powiedział głos.

*Allô*. Krótkie słowo, nawet trzy czwarte słowa, ale to wystarczyło, żeby żołądek Annie się zacisnął.

Po raz kolejny zastanowiła się, co właściwie wyprawia. Przyjechała do innego kraju. Dzwoniła do drzwi nieznajomego. Owszem, to był mężczyzna, którego niegdyś kochała jego matka, ale przecież Annie go nie знаła. Dla Laurel zapewne również byłby obcy, zważywszy na to, że od ich rozstania minęły dekady.

– *Allô* – powtórzył głos.

Annie poczuła suchość w ustach. Wiedziała, co powiedzieć, ale nie mogła wydusić

z siebie słów.

Nagle usłyszała głośnie brzęczenie.

– Zapraszam na górę – powiedział. – Ostatnie piętro.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

– Minęło sporo czasu, odkąd jakaś piękna dziewczyna zjawiała się bez zapowiedzi w progu mojego domu – powiedział mężczyzna.

Annie stała w drzwiach, oniemiała.

Był wysoki. Miał ponad metr osiemdziesiąt i był szczupły, niemal pokraczny. Oczy miał ciemne, rysy twarzy ostre, a na głowie burzę czarnych włosów. Mężczyzna był atrakcyjny w zwariowany sposób, ale to nie to ją oszołomiło. Wyglądał znajomo. Annie już go kiedyś widziała.

– Witam – powiedziała.

Gdzie? Gdzie go widziała? Czy to był Win? A może ktoś inny?

– Nie zna mnie pan – ciągnęła. – Ale ja znam pana. Tak myślę. Otóż...

– Zapewne Annie? Zapraszam.

– Słucham?

Mimo zmieszania, a może z jego powodu, Annie weszła do mieszkania. Jeżeli skończy poćwiartowana, będzie mogła winić wyłącznie siebie. Nie wspomni o tym w swojej kolejnej wiadomości do Erica. O ile wyjdzie z tego żywa.

– Tak, jestem Annie – powiedziała. – Annie Haley.

– Haley? Naprawdę?

– Tak. I... skąd pan wie, kim jestem? Ja... wydaje mi się, że zaraz zemdleję.

Mężczyzna się zaśmiał. Jego śmiech też wydawał się jej znajomy.

– Mój brat – powiedział z uśmiechem, który również budził jakieś wspomnienie. – Zostałem poinformowany, że możesz się u mnie pojawić.

– Powiedział panu o tym pański brat? Kto to jest? Nikt o tym nie wiedział, nawet ja. Decyzję o tej podróży podjęłam pod wpływem chwili.

– Jakoś się tego domyślił. Stary cap powiedział, że śliczna Amerykanka zdobyła mój adres i może chce wyruszyć ku przygodzie. Nie wyobrażał sobie, żebyś to zrobiła, aczkolwiek czuł się w obowiązku mnie ostrzec.

Może to przez uśmiech albo śmiech, albo to, jak powiedział „cap”, ale Annie nagle doznała olśnienia. Widziała już tego mężczyznę. Był w George & Dragon i rozmawiał z Gusem. „To nie był mój przyjaciel, tylko brat. Jamie” – powiedział wówczas Gus.

Jamie. Brat Gusa.

Jamie od James. James E. Seton. Annie poszukała wizytownika od walizki, jej zaufanego talizmanu. Przez cały ten czas rozmawiała z niewłaściwym bratem. Nic dziwnego, że Gus wypowiadał się tak lekceważąco o Winie. Typowa rywalizacja rodzeństwa, chociaż nic o niej nie wiedziała.

– No cóż. – Annie westchnęła i zaśmiała się sztywno, niewprawnie. – Będzie pan musiał powiedzieć bratu, że niewłaściwie ocenił moje fanatyczne zainteresowanie historią. Aczkolwiek przypuszczam, że taki stopień fanatyzmu nie jest panu obcy. Na przykład pogoń za lady Marlborough.

Jamie znowu się zaśmiał, tak samo jak poprzednio, tak samo jak Gus.

- Owszem, ta historia jest mi znana – odparł. – Nawet bardzo dobrze.
- Na pewno jest pan zajęty, ale może mogłabym panu ukraść kilka minut?
- Nie jestem zajęty. I cieszę się, że przyjechałaś. Wejdz. Chodźmy do kuchni.

Annie skinęła głową i weszła za nim w głąb mieszkania. Starła się skupić wzrok na lśniącym parkiecie i zdobnych sztukateriach. Lepiej podziwiać architekturę niż rozpamiętywać, że jest się w mieszkaniu nieznajomego i że nie ma żywej duszy, która by o tym wiedziała. Przecież nawet nikt nie wiedział, że jest we Francji.

- Ma pan piękne mieszkanie, panie Seton – powiedziała.
- Mów mi Jamie.
- Jamie, pewnie się zastanawiasz, dlaczego tu jestem. Nie wiem, co powiedział ci twój brat. Nawet nie wiem, jak dużo wie.
- Podał kilka powodów, dla których mogłabyś się tutaj pojawić – poinformował ją Jamie, kiedy przechodzili pod jednym żyrandolem, potem drugim. – Ale on o niczym nie ma pojęcia.
- Już to kiedyś słyszałam – zauważyła Annie z uśmiechem i rozluźniła barki.

Weszli do kuchni.

- Czego się napijesz? – zapytał. – *Café? Vin?*
- Poproszę kawę.
- Zaparzę espresso, dobrze? Siadaj.

Wskazał w stronę długiego dębowego stołu. Annie usiadła na szarym obitym lnem krześle.

- A więc – odezwał się Jamie, który miał kawę. Zapach był ostry i ciepły. Annie rozluźniła się jeszcze bardziej. – Przejdźmy do sedna, dobrze? Dlaczego tu przyjechałaś?

Przełożył zmieloną kawę do srebrnego ekspresu.

- To przez książkę – powiedziała Annie. – *Zaginioną księżną*.
- Ach, tę książkę. Sławną książkę. Oczywiście, mówiąc „słowna”, żartuję. – Pomajstrował coś przy ekspresie. – To był raczej biały wieloryb. Życiowy wyczyn głupca. Domyślałam się, że przeczytałaś to okropieństwo. – Zerknął na nią przez ramię. – I co o niej myślisz?

- Podobała mi się. Jest... wybornie napisana. Błyskotliwa, chwilami zabawna. Jamie chrząknął z powątpiewaniem.
- Ale nie chodzi o książkę. To znaczy od niej wszystko się zaczęło, ale bardziej interesuje mnie historia kryjąca się za tą historią.
- To jest zawsze najlepsze.
- Twój brat opowiadał mi o księżnej i... – odchrząknęła. – I mężczyźnie, który przyjechał, żeby o niej napisać.
- I dziewczynie – domyślił się Jamie. – Laurel.
- Zgadza się. Odślonię wszystkie karty. Laurel to moja mama.
- Wiem – powiedział Jamie. – Domyśliłem się.
- Domyśliłaś się? – powtórzyła w chwili, w której podał jej kawę. – Na jakiej podstawie? Nawet nie jesteśmy do siebie podobne, a sama dopiero się domyśliłam, że to była ona.
- Przedstawiłaś się jako Annie Haley. Kolejna wścibska energiczna Amerykanka o tym nazwisku. To ma sens.

Annie popatrzyła na niego zdumiona.

- Ale skąd...? Haley to nazwisko mamy po mężu. Śledziłaś ją przez te wszystkie lata?
- Niezupełnie.

Kiedy Annie czekała, żeby zaczął mówić i wyjaśnić, skąd wiedział o Haley, skoro nie

śledził losów jej matki, zaburczało jej w brzuchu. Kiedy jadła po raz ostatni? Czy udało się jej zjeść śniadanie?

Jamie podszedł do lodówki.

– Chyba jesteś głodna – zauważył i zaczął przesuwać butelki z winem i cytryny.

– Dopiero jadłam – skłamała Annie, a na policzki wystąpił jej rumieniec.

– Kłamiesz! Twój żołądek mówi głośniejsz od ciebie. Moja lodówka jest w opłakanym stanie. Nie mam nic do jedzenia, chyba że lubisz oliwki lub kiszzone ogórki.

– Naprawdę nie jestem głodna.

– Największe kłamstwo, jakie w życiu słyszałem. A było ich już kilka. Mam propozycję.

– Odwrócił się do niej twarzą. – Może się zrelaksujesz, pooglądasz telewizję i napijesz czegoś. Wino to jedyne, co mam. A tymczasem ja podskoczę na targ i kupię coś na kolację. Jest jeszcze wcześniej, ale chętnie coś zjem.

– To miłe z twojej strony, ale nie musisz mnie karmić.

– Będę wielce zaszczycony. – Jamie położył rękę na sercu. – Lubię amatorsko kucharzyć, a odkąd moja żona wyjechała, nie mam dla kogo gotować.

Na dźwięk słów „żona wyjechała” na twarzy Annie pojawił się nerwowy uśmiech. Win nie miał zobowiązań, podobnie jak Pru. Czy szaleństwem było myśleć, że...?

– Masz żonę? – zapytała.

– Możesz w to nie wierzyć, ale tak. Moja połowica udała się jednak do Gstaad z dwutygodniową wizytą u rodziców.

– Och.

Annie zmarszczyła brwi. To tyle w kwestii jej fantazji.

– Tęsknię za nią jak diabli – wyznał Jamie. – Na szczęście nie zmusiła mnie do tego, żebym jej towarzyszył. Jej rodzice to okropni ludzie. Niesamowicie, że zrodziło się z nich tak cudowne dziecko. Więc co ty na to? Kolacja dla dwojga w wykonaniu szczerze oddanego?

– Jeśli jesteś pewien...

Annie była głodna. Wręcz umierała z głodu. I musiała w którymś momencie coś zjeść. Może jej umysł się wówczas uspokoi.

– *Bien sûr!* – powiedział Jamie. – To jasne, że jestem pewien. Wyświadczysz mi przysługę. Dasz sobie radę sama przez chwilę?

– Oczywiście – odparła i pomyślała o kasetach w plecaku. – Muszę podgonić z pracą, więc mam co robić.

– Doskonale. Młoda damo, niebawem wrócę. Nie mogę się doczekać pysznego jedzenia i jeszcze wyborniejszej pogawędki. Wygląda na to, że mój brat mało ci powiedział, więc wypełnię luki. A wierz mi, mam wiele do powiedzenia.



## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

W chwili, w której Annie usłyszała skrzypienie drzwi, wsunęła kasetę do magnetofonu. To była kasetka z szuflady biurka w Grange, świeżo naprawiona przez gburowatego mężczyznę z warsztatu zegarmistrzowskiego.

Serce jej waliło, ręce drżały. Annie przełknęła ciężko ślinę i wcisnęła przycisk odtwarzania.

## Z NAGRAŃ ZNALEZIONYCH W GRANGE

Męski głos: To jest pierwszy wywiad przeprowadzony przez Wina Setona.

Kobięcy głos: I ostatni.

Mężczyzna: To się dopiero okaże. Jest ze mną urocza i utalentowana Pru Valentine.

Kobieta: Laurel Innamorati. Nie przeinaczajmy faktów.

Mężczyzna: W porządku. Żadnych przydomków. Jest ze mną panna Innamorati.

Znajdujemy się w popadającej w ruinę posiadłości w zaniedbanej wiosce Chacombe. Kiedy byliśmy w tym miejscu po raz ostatni, doszło do wielkiej niesprawiedliwości. Panno Innamorati, jak się pani czuje, powróciwszy na miejsce zbrodni?

Kobieta: Ciekawe pytanie. Skoro o tym wspomniałeś, jest mi trochę niedobrze.

Mężczyzna: Przeprowadzający wywiad ma nadzieję, że nie z powodu towarzystwa.

Kobieta: Myśl sobie, co chcesz. Nie będę wyprowadzała cię z błędu.

Mężczyzna: Dlaczego jest ci niedobrze? Czyżby z powodu strachu?

Kobieta: Tak. Martwię się, że po raz drugi zostanę ofiarą.

Mężczyzna: Piorun uderza tylko raz.

Kobieta: Często bywa inaczej. Obawiam się, że jestem w poważnym moralnym niebezpieczeństwie.

Mężczyzna: Chyba śmiertelnym.

Kobieta: Nie. Moralnym.

Mężczyzna: Co się wydarzyło, kiedy byłaś poprzednio w Grange?

Kobieta: Spotkałam tu podejrzanego osobnika. Nazywał siebie pisarzem.

Mężczyzna: Rzeczywiście podejrzan.

Kobieta: Zakradł się na teren posesji. Potem przypochlebił się gospodyni domu. Wyłudził od niej darmowy pokój i wikt.

Mężczyzna: Prawdziwy oszust.

Kobieta: Jeśli chcesz być tak łaskawy. W każdym razie próbował się zaprzyjaźnić z prostoduszną i naiwną asystentką tej kobiety.

Mężczyzna: Naiwną! Ha!

Kobieta: Dziewczyna nie wiedziała, w co się pakuje. Była słodka i niewinna jak jagniątko.

Mężczyzna: Teraz to mi się robi niedobrze.

Kobieta: Już po kilku dniach zaczął tkać wokół niej pajęczynę z kłamstw i niegodziwości.

Mężczyzna: Brzmi to żałośnie! Tylko mi nie mów, że ten człowiek może chodzić wolno po ulicach.

Kobieta: Jest wolny jak ptak. Ten wykorzystujący ufność ludzi oszust wciągnął biedną dziewczynę w przyjaźń, a potem...

Mężczyzna: Tak, panno Innamorati?

Kobieta: To zbyt straszne, by mówić o tym dalej!

Mężczyzna: Ale musisz! Nalegam!

Kobieta: Ten krętacz zrobił mnie na tyle, że [głośne przełknięcie śliny] zakochałam się w nim.

Mężczyzna: Nie! Wykiwał cię!

Kobieta: Owszem.

Mężczyzna: Proszę. Muszę poznać szczegóły. Jak to się zaczęło?

Kobieta: W tym oto pokoju, niecałe dwa tygodnie temu, wyznałam mu prawdę.

Mężczyzna: To znaczy?

Kobieta: Że go kocham.

Mężczyzna: To była chyba bardzo zła decyzja.

Kobieta: Najgorsza z możliwych. Aczkolwiek prawda tak właśnie wyglądała, więc musiałam to powiedzieć. Mimo że jest nieumytym, nieogolonym, nieokrzesanym łajdakiem, kocham go. Powiedziałam mu to, a potem on dopuścił się potwornej zbrodni przeciw ludzkości.

Mężczyzna: To znaczy? Aż boję się to usłyszeć.

Kobieta: Nie odwzajemnił uczucia.

Mężczyzna: Co takiego? Przecież jesteś taka piękna! I taka urzekająca!

Kobieta: Wiem! Co więcej, popełnił tę zbrodnię przy świetle dziennym, w obecności świadków.

Mężczyzna: Dobry Boże. Świadków? I nikt nic z tym nie zrobił?

Kobieta: Nikt a nikt.

Mężczyzna: Chyba zwariował. Proszę mi powiedzieć, co się stało potem.

Kobieta: Pojechaliśmy do Paryża.

Mężczyzna: Ty i on? Razem?

Kobieta: Tak. Z trzecią osobą.

Mężczyzna: Wyjechałaś za granicę, dobrowolnie, z zatwardziałym kryminalistą?

Kobieta: Okoliczności to usprawiedliwiały. Musieliśmy pomóc przyjaciółce. To była nagła sytuacja.

Mężczyzna: O rety, mam nadzieję, że przyjaciółka miewa się dobrze.

Kobieta: Tak. Nic jej nie jest. Wszystko będzie z nią dobrze.

Mężczyzna: Co się stało, gdy dotarliście do Paryża?

Kobieta: Ten mężczyzna kontynuował swój proceder nawet wtedy, gdy harcowaliśmy...

Mężczyzna: Harcowaliście!

Kobieta: W mieście.

Mężczyzna: Czy harcowaliście również gdzie indziej?

Kobieta: Nie odpowiem na to pytanie. Żywiliśmy się w kawiarniach, przechadzaliśmy się po cichych zimnych ogrodach, godzinami wpatrywaliśmy się w dzieła takich artystów jak da Vinci i Rodin.

Mężczyzna: Wybornie. „To miejsce byłoby dla mnie rajem, gdybyś tylko je takim uczynił”.

Kobieta: Wharton?

Mężczyzna: Hardy. Zapewne po tych wszystkich harcach mężczyzna wreszcie naprawił

krzywdę i wyznał ci swoją miłość.

Kobieta: Ależ nie!

Mężczyzna: Jestem zszokowany! Jak to możliwe?

Kobieta: Prawdę powiedziawszy, niezły z niego padalec.

Mężczyzna: Słucham?

Kobieta: Padalec. Idiota. Uważam, że jest opóźniony w rozwoju. W sferze umiejętności społecznych i psychiki. Nie wie, czym jest miłość, nawet jeśli walnie go jak obuchem w łeb.

Mężczyzna: Uważasz, że jesteś specjalistką od tego uczucia?

Kobieta: Jeśli się myślę, to znaczy, że nie wyznał mi miłości, bo jej nie czuje.

[długa cisza]

Mężczyzna: Cholera, Pru...

Kobieta: Laurel! Żadnych przydomków.

Mężczyzna: Kurna. [cisza] Jeśli chodzi o uczucia pisarza, wiesz bardzo dobrze, że oboje myślicie podobnie. Nie muszę ci tego mówić.

Kobieta: Musisz. Tak to działa.

Mężczyzna: Ale ty to już wiesz, bo jesteś mądrą kobietą, która ma wielkie doświadczenie w kwestiach miłości.

Kobieta: Wielkie? Nie. Szczerze mówiąc, bardzo ograniczone. Wydawało mi się, że wiedziałam, czym jest miłość, wcześniej, ale to jest coś innego.

[długa cisza]

Kobieta: To są bardzo pokrętnie przeprosiny, panie Seton. A może w ogóle nie zamierzasz przeproszać?

Mężczyzna: Chyba muszę, co?

Kobieta: Jesteś do niczego, wiesz? Naraziłeś mnie na to wszystko, bo twierdziłeś, że chcesz to nagrać. I po co? Nawet nie zamierzasz tego powiedzieć?

Mężczyzna: Pru...

Kobieta: Nie. Chrzańć to. Wyłącz magnetofon. Obracasz wszystko w żart, ale tylko dlatego, że nie potrafisz... nie umiesz... nie stać cię na prawdziwe uczucia!

Mężczyzna: Mam wiele uczuć. Nawet codziennie. Ale jestem Brytyjczykiem. A my nie mówimy o uczuciach.

Kobieta: Masz poważny problem, Seton. Po-waż-ny.

Mężczyzna: Zgadza się. Mam wiele problemów i wszystkie są poważne. Największy z nich polega na tym, że cię kocham, Laurel Innamorati, moja Valentine. Kocham cię bardziej, niż potrafię wyrazić, i dlatego nie byłem w stanie tego powiedzieć. Miłość. Wydaje się taka... ckliwa, rozmyta. Chciałbym ją wyrazić jakoś lepiej.

Kobieta: Powiedz mi to po prostu. Jak zwyczajny człowiek.

Mężczyzna: Kocham cię, Laurel.

Kobieta: Też cię kocham. A teraz wyłącz ten przeklęty magnetofon.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

Kaseta szumiała jeszcze przez kilka minut.

Kiedy Annie była pewna, że usłyszała już wszystko, wyłączyła magnetofon i włożyła do niego jedną z dostarczonych przez Gusa kaset. Miała mokrą od łez twarz, ale uśmiechała się. To była jej mama, kobieta z nagrania. Wyznawała miłość mężczyźnie.

Mężczyźnie, którego głos był tak podobny do głosu Gusa.

Wstała. Wyrzała przez kuchenne okno na ulicę. Ani śladu Jamiego. Otarła oczy koszulką, usiadła i ponownie nacisnęła przycisk odtwarzania.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

LUTY 1973 ROKU

– To miejsce nie jest takie złe – stwierdziła pani Spencer, kiedy weszła za próg w stylu księżnej, którą przecież była. – Może być.

Zdjęła futro z soboli i podała je Winowi.

W Banbury pani Spencer nosiła brudne spodnie i podniszczoną koszulę, jeśli ją akurat włożyła. Ale jej ubiór był znacznie mniej obszarpany, kiedy przywdziewała strój podróżny.

Oprócz futra z soboli mająca prawie sto lat dama założyła brzoskwińowego koloru szmizjerkę i mnóstwo klejnotów. Pewnie to Evelyn Waugh miał na myśli, kiedy powiedział, że „uginąła się pod ciężarem brylantów”. Zadała sobie nawet trud i przywdziała perukę, która zwisała jej z tyłu głowy jak ciekawski, ale przyjacielski szop pracz.

– Witamy w Maison Seton – powiedział Win. – Cieszę się, że lokum pani odpowiada. Młody Jamesie! Jesteśmy!

Para stóp stąpała głośno po parkiecie długiego korytarza. Niebawem zobaczyli wysokiego, tyczkowatego mężczyznę. Pru widziała głównie ciemne loki i nos. Win starał się przypominać sobie o nim, tym kinolu, za każdym razem, kiedy czuł się gorszy, aczkolwiek musiał przyznać, że Jamiego cechował urok bitnika, na którego punkcie dziewczyny dostawały świra. Pewnie Pru też wołała takich facetów po pobycie w Berkeley.

– Witam – powiedział Jamie z szerokim uśmiechem.

Oprócz nosa i loków miał także imponujące zęby. Tak bardzo różnił się od Wina, który wołał krótkie włosy, był muskularny i uśmiechał się najczęściej z zamkniętymi ustami.

– Zapewne olśniewająca Gladys Deacon. – Jamie ujął dłoń pani Spencer i złożył na niej pocałunek. – Mój Boże, dzięki pani nazwisko pani byłego męża brzmi przyzwoicie. Rodzina powinna dziękować niebiosom za panią. Ile pani ma lat, lady Marlborough? Czy skończyła pani pięćdziesiątkę?

– Przedstawia się jako Deacon, kolego – upomniał go Win. – Albo Spencer.

– Ten uroczy człowiek może mnie nazywać, jak chce! – rzuciła śpiewnie pani Spencer i ruszyła korytarzem tanecznym krokiem.

Win i Pru równocześnie przewrócili oczami.

– A pani to zapewne Pru – powiedział James i pocałował ją w oba policzki. – Jestem James. Jamie. Lepszy z braci Setonów.

– Tak naprawdę ma na imię Laurel – poinformował go Win. Nie lubił, kiedy jego młodszy brat używał wymyślonych przez niego przydomków.

– No tak. Cóż, bracie. – Jamie wałnął go w plecy. – Cieszę się, że cię widzę. Myślałem, że przepadłeś w tym Banbury na zawsze. Jednakże wrócił ulubiony syn. Pewnie będziesz chciał odzyskać mieszkanie.

– Ulubiony? – Pru nie zdołała powstrzymać prychnięcia, bo Win nadal był u niej w niełasce. – Przerazająca myśl. I raczej kiepsko świadczy o twoich atrybutach, Jamesie. Bez urazy.

Jamie zachichotał. Pani Spencer usłyszała jego rozbawienie i oddaliła się jeszcze bardziej.

– Jesteś bardzo spostrzegawczą młodą kobietą – zauważył Jamie. – I cieszę się, że nie dałaś się omamić banialukom, którymi czcigodny lord Winton z pewnością cię zarzucał.

– Lord Winton? – powtórzyła pani Spencer. – Co to ma znaczyć?

– Mój brat ma tytuł szlachecki. Nie wiedziały panie?

Pani Spencer odwróciła się w stronę Wina i uderzyła go w tors kopertówką z futra lamparta.

– Oczywiście, że nie wiedziałam! – odparła.

– No, no, no. – Jamie gwizdnął przez zęby. – Jestem w szoku. Zazwyczaj jego lordowska mość przypomina o tym komuś co godzinę. Dziwię się, że nie wyhaftował sobie tego na koszuli. Drogie panie, stoi przed wami *bona fide* hrabia.

– No nie! – wykrzyknęła Pru. Szczęka jej opadła.

– W rzeczy samej. Czcigodny Jerome Casper Augustine Seton, hrabia Winton. Stąd jego godny ubolewania przydomek Win. Niezła ironia, prawda? Jakby pies z trzema łapami wabił się Szczęściarz<sup>21</sup>.

– Odwal się – burknął Win z uśmiechem. – Ty zazdrosny draniu.

– Lord Winton – powtórzyła pod nosem Pru. – To się wydaje niemożliwe.

– Jamesie, zanim twój brat ponownie zrani moje uszy plugawym językiem, możesz zaprowadzić mnie do moich pokoi? – poprosiła pani Spencer. – Hrabia. Rzeczywiście, trudno to sobie wyobrazić.

– Proszę za mną, lady Marlborough – powiedział Jamie. – Cieszę się, że będę miał towarzystwo. Z szacunku do pani proponuję główną sypialnię. Rozciąga się stamtąd spektakularny widok na Sekwanę. Można przez całe dni obserwować przepływające rzeką barki.

– Pochylił się i chwycił rączkę zniszczonej walizki z krokodylej skóry. – Mój pokój znajduje się obok. Proszę prosić o wszystko, czego będzie pani potrzebowała.

– *Merci, Monsieur Seton. Je vous remercie de tout mon cœur* – powiedziała pani Spencer.

– A co z tą dwójką? – Wskazała kciukiem Wina i Pru.

– Niech lord Winton i jego przyjaciółka podzielą się przestrzenią w trzeciej sypialni. Na szczęście panna Innamorati jest drobniutka, bo będą musieli zadowolić się wyjątkowo wąskim łóżkiem.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

LUTY 1973 ROKU

Pru wcisnęła torbę do szafy i wyciągnęła się na łóżku. Westchnęła i rozłożyła ręce i nogi na boki.

– Znajdzie się tu trochę miejsca dla starego przyjaciela? – zapytał Win, który nad nią stanął.

Pru niemal słyszała chichot pani Spencer dobiegający z dala korytarza.

– Hrabia Winton, co? – powiedziała Pru, zasłoniwszy sobie oczy ręką. – Lord Winton. Ciekawe, że zdołałeś pominąć taki drobiazg.

– To nic nie znaczy.

– Hrabia Winton nic nie znaczy? Tytuł nie ma żadnego znaczenia? Żadnego?

– Dla mnie to tylko nazwisko. Coś, co dostałem bez najmniejszego wysiłku z mojej strony. A co? Dla ciebie coś znaczy? Uważasz, że jest ważny?

– O tak. Bezgranicznie. Jak słusznie zauważyłeś.

Pru odwróciła się na bok i popatrzyła na brązowe lakierowane biurko. Jasne było, że w domu nie mieszkała kobieta. Mieszkanie wypełniono ciężkimi zdobionymi antykami i tanimi meblami modułowymi. Patrząc na włochate dywany i welurową tapicerkę, goście mogli podziwiać tu wszystkie możliwe kombinacje brązów.

– Gdybym wiedziała, że mam do czynienia z hrabią – powiedziała Pru – wyraziłabym swoje nieodwzajemnione oddanie trzykrotnie, a nie zaledwie dwukrotnie.

– Nie bądź taka, Laurel.

Poczuła, jak łóżko zapada się pod jego ciężarem.

– Nie ma sprawy – odparła. – „Bycie taką” okazało się moim pierwszym błędem.

– Wiesz, co czuję.

– No właśnie nie wiem.

– Nie mogę... Jesteś za młoda. Zbyt żywiołowa. Masz cały świat u swoich stóp. To byłoby złe, nie dostrzegasz tego? Odwzajemnić słowa? Mimo że czuję to, co wyrażają?

– Zbyt młoda i żywiołowa. Wracamy do Berensona i pani Spencer. Win, wiesz o Charliem. O moim dzieciństwie. I w związku z tym wiesz, że w ciągu dwóch dekad zaznałam więcej ciężkich ciosów niż ty w ciągu trzech i pół.

Łóżko znowu się poruszyło. Pru wciągnęła powietrze i zamknęła oczy, jakby szykowała się na przyjęcie ciosu. Poczuła, jak ciało Wina przysuwa się do niej odrobinę.

– Win – odezwała się. – Co my tu robimy? Dlaczego przyjechaliśmy do Paryża?

– To był pomysł GD, pamiętasz?

– No tak. To nadaje sens całemu światu. Kto by nie pozwolił na to, żeby o kraju jego pobytu decydowała dziewięćdziesięcioletnia kobieta, której pomieszało się w głowie niemal do reszty? Chyba coś takiego prowadzi do zaginięcia dorosłych osób.

– To przez Marlborough – przypomniał jej. – Boi się ich.

– Widzisz, to mi nie wygląda na prawdziwy problem – zauważyła Pru. – Raczej na paranoję. Co mieliby próbować jej ukraść?

– Tom istnieje. Nie myliła się w tej kwestii.

Win znowu się przysunął. Dzieląca ich odległość była tak niewielka, że wydawała się bardziej niezręczna, niż gdyby się rzeczywiście dotykali. W ramach próby Win delikatnie musnęła palcami zgięcie jej łokcia. Nie odrzuciła go.

Czy ją kochał? Oczywiście, że tak. Ta dziewczyna była skłębioną mieszaniną niewinności i mądrości, delikatności i siły. Tak naprawdę kochał ją tak bardzo, że banalne uczucie przekształciło się w coś więcej.

I dlatego nie warto było za nim gonić. W pewnym momencie wszystko i tak by się popsuło i biedna dziewczyna musiałaby znowu cierpieć z powodu miłosnego rozczarowania. Win nie stawiał się bynajmniej w tej samej lidze co Charlie, ale tamten koleś miał powód, by odejść.

– Co będzie dalej? – zapytała Pru.

– Hm... – Win zerknął na swoją dłoń, na jej skórę pod nią. – Chyba poczekamy.

– Świetnie. A ile to potrwa? I gwoli wyjaśnienia, na co czekamy? Na to, że pani Spencer odzyska władzę intelektualne? Umrze? Na co?

– Po co ten pośpiech? Musisz być gdzie indziej?

– Nie możemy tu zostać na zawsze – stwierdziła.

Nie możemy? – zastanowił się Win.

– Musimy znaleźć jej jakiś dom – dodała Pru.

– A jak zamierzasz to zrobić? Pani Spencer robi wyłącznie to, co chce, nic więcej.

Właśnie dlatego znaleźliśmy się w Paryżu.

– Musimy ją zapewnić, że nie ma się czego obawiać. Że nikt jej nie szuka.

– Nie sądzisz, że powinniśmy to najpierw sprawdzić?

– Mógłbyś z nimi porozmawiać – podsunęła Pru.

– Z kim?

– Z rodziną Marlborough. Przekonać ich, że nie trzeba jej umieszczać w szpitalu ani robić tego, co wobec niej zamierzają.

– Pytam raz jeszcze, czy nie powinniśmy sprawdzić, że to prawda?

– Nie pojmuję tego – oznajmiła Pru. – Rozumiem, dlaczego Edith przejmuje się zdrowiem psychicznym pani Spencer. A przynajmniej czuje się na swój sposób za nią odpowiedzialna. Ale dlaczego rodzina Marlborough przejmuje się tym, że ona marnieje w jakimś rozpadającym się domu? Można by pomyśleć, że woleliby, żeby już nie żyła. I przestała być księżną.

– Cechuje cię wyjątkowe współczucie.

– Nie żartuję. Powiedz mi to, Win. Dlaczego oni się nią przejmują?

– A skąd mam to wiedzieć?

– Jesteś jednym z nich – odparła Pru i prychnęła. – Jesteś szlachetnie urodzony.

– Nie jestem księciem. Co więcej, Marlborough i Winton to dwie różne ligi. My nie mamy Blenheim. Dzięki Bogu.

Pru mu się wyrwała. Kiedy sięgnął w jej stronę, odwróciła się, żeby być zwrócona do niego twarzą. Ich nosy dzieliło zaledwie pięć centymetrów.

– Blenheim – powiedziała, a jej zielone oczy odbijały światło latarni wpadające przez okno. – Stwierdziłeś, że to miejsce to studnia bez dna.

– Tak. Utrzymanie Blenheim kosztuje więcej niż utrzymanie niejednego państwa. A już nawet nie ma własnej armii. Jeżeli Grange jest studnią bez dna, to Blenheim oznacza wręcz bankructwo.

– Może na tym właśnie im zależy. Na jej pieniądzach. Widziałeś jej brylanty. I futra. – Machnęła ręką w stronę głównej sypialni. – Czy jeśli zostanie uznana za niepoczytalną, będą



mogli przejąć posiadłość?

– To nie jest wykluczone – odparł Win, zastanowiwszy się nad tym pomysłem.

– Jeżeli to są brylanty na czas podróży, wyobrażasz sobie wyjściowe klejnoty? Grange to ruina, ale z pewnością jest coś warta.

– I te obrazy – zauważył Win. – Mają niemal niewyobrażalną wartość.

– Na przykład Boldini? Ten, który zniknął z sypialni?

– Tak. Między innymi. – Żołądek mu się zacisnął. – Stodoła. Lokum Toma. Chyba jest w nim mnóstwo dzieł sztuki. Obrazów wiszących jeden obok drugiego.

– Wszedłeś do stodoły Toma? Jesteś jeszcze głupszy, niż się wydaje.

– To przez stodołę dostałem się na teren posiadłości w dniu, w którym mnie poznałaś. Toma dzięki Bogu tam nie było. Gdyby był, prawdopodobnie zaciukałby mnie młotkiem. Niemniej jednak z uwagi na naturę mojej wizyty...

– Bezprawne wtargnięcie na teren prywatny.

– Dokładnie – potwierdził Win, a jego uśmiech jaśniał w ciemności. – W związku z tym nie przedłużałem pobytu tam. Ale po drodze zerknąłem na kilka płócien. Dzieła sztuki, wybrane dzieła sztuki, a każde opatrzone osobistą notatką od artysty przyczepioną do ramy. Pierwsze trzy: Degas, Monet, Gauguin. Raz, dwa, trzy.

– Jasny gwint – rzuciła Pru.

– W rzeczy samej.

– Może to jest to, czego chcą Marlborough – stwierdziła Pru. – Sprzedaż tych dzieł pozwoliłaby utrzymać ich rezydencję jeszcze przez kilka lat. Kto wie, może i na książkach dałoby się co nieco zarobić. W jej bibliotece stoją pewnie tysiące książek. W większości są to pierwsze wydania, z autografami.

– Przyływ gotówki byłby zapewne mile widziany. Koniec z kolejkami do kawiarni i turystami w ogrodzie.

– Musisz z nim porozmawiać! – oznajmiła Pru. Uderzyła Wina w ramię. – Musisz jutro zadzwonić do Gadsa.

– Gadsa? Dlaczego? Zamierzasz wyprodukować jakiś spektakl kukiełkowy?

– Należy do rodziny Marlborough! Może ci powiedzieć, co się dzieje.

Win się nad tym zastanowił.

Oprócz tego, że Gads był jednym z Marlborough, był też prawnikiem. Win nie potrafiłby odgadnąć, czy stanąłby po stronie rodziny, czy też prawa. Gads nigdy nie kierował się w życiu jakoś szczególnie etyką. Z drugiej strony nazywał każde spotkanie trzech lub więcej członków rodziny „dupnym przedstawieniem”. I pewnie byłby zdolny zrobić coś z czystej złośliwości.

– Zadzwoń do niego rano – zobowiązał się Win.

– Świetnie. – Pru ziewnęła. – Jak byś powiedział, po prostu świetnie, kolego.

– Nie powiedziałbym tak.

Pru pozwoliła, żeby powieki zrobiły się jej ciężkie.

– Naprawdę zamierzasz tu spać? – spytała i ziewnęła ponownie. – Obok mnie?

– Chyba nie mam wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór – odparła z kolejnym ziewnięciem, tym razem szerszym.

– Słuszna uwaga. Odpowiedź brzmi: tak. Zamierzam tu spać.

Przytaknęła, przy czym potarła włosami o poduszkę.

– Dobranoc, lordzie Winton – powiedziała.

– Dobranoc, słodka Pru. Do jutra.

Do jutra.

Prosty zwrot, krótkoterminowa obietnica, słowo, które niemalże można by wyrzucić.

Gdyby tylko Win i Pru rozumieli problem z jutrem. A konkretniej to, jak niewiele wspólnych dni im jeszcze zostało.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LUTY 1973 ROKU

Okazało się, że sięgające do ziemi futro z soboli pani Spencer było tylko początkiem.

Zupełnie jakby kobieta, wysiadłszy z pociągu na paryskim dworcu, wróciła do dawnego splendoru, złotej epoki. Owszem, ruchy pani Spencer były czasami sztywne i nieskoordynowane, w jej oczach pojawiały się maniackalne błyski i zamglone skonfundowane spojrzenia, ale stara ptaszyna wróciła.

Lady Marlborough wróciła do swoich ubrań, koktajli i wypełnionego po brzegi kalendarzyka spotkań. Szafa, szklaneczka, terminarz – wszystko było pełne. Blask Paryża padał na tę kobietę jak pierwszy śnieg.

– No nie wiem, kolego – powiedział Jamie na początku ich pobytu. – Częściej byś się z nią spotykał, gdybyś wstawał o rozsądnej porze. Zanim wytoczycie się ze swojej sypialni, lady Marlborough zdąży wyjść na zakupy lub zadzwonić do starego kumpla. To cud, że nadal ma przyjaciół, że nie przeżyła ich wszystkich.

– Dajmy jej czas – stwierdził Win.

Ponieważ pani Spencer była wiecznie zajęta, Win i Pru byli pozostawieni sobie i zmuszeni odgrywać rolę turystów w najwspanialszym mieście świata.

Zakładali szale i płaszcze, żeby dzielnie chodzić po Paryżu mimo ostrego powietrza i nieustającej mżawki. Odwiedzali kawiarnie i muzea. Oddali cześć *Nymphéas*, liliom wodnym Moneta w l'Orangerie, a także w Luwrze.

W Bibliotece Arsenалу godzinami pożerali wzrokiem artefakty z okresu rewolucji francuskiej, przekopywali się przez życiorysy więźniów i prywatne papiery oficerów oraz rodziny królewskiej.

Odwiedzili archidiecezję paryską, gdzie wykopali pięćdziesiąt siedem *cahiers de moleskine* opata Mugniera i wyszukali wszystkie wzmianki o księżnej. Później przetańczyli noc w Le Sept, małym, zatęchłym i hałaśliwym gejowskim nocnym klubie.

I jadali na mieście. W podrzędnych kawiarniach i tych o lepszej reputacji. Win zabrał Pru do Café de Flore przy Saint-Germain i La Closerie des Lilas przy Montparnasse – ten drugi lokal był ulubionym miejscem spotkań Wilde'a, Fitzgeralda i Sartre'a. Hemingway napisał przy tamtejszym mahoniowym barze większą część powieści *Słońce też wschodzi*.

Kiedy zasiadali do stołu, spędzali przy nim godziny, jeden posiłek przechodził płynnie w kolejny. Czasami pili kawę, kiedy indziej wino, najczęściej jednak jedno i drugie. Kelnerzy próbowali ich wypłoszyć, ale Win i Pru byli zbyt mocno przykuci do swoich krzeseł i siebie nawzajem.

Można by pomyśleć, że Win – z uwagi na ilość wspólnie spędzanego czasu i bliskość – z pewnością odwzajemnił deklarację miłości wygłoszoną wcześniej przez Pru. Lecz nie. Facet był bałwanem, idiotą, cykorem, matolem. Brakowało mu jaj. Pru wykazała się uprzejmością i pozwoliła, żeby sprawa przycichła.

Mimo milczącej umowy, że będą ignorowali trudne tematy, Win rozumiał, że nieodwracalnie pokpiwa sprawę, nawet wtedy, kiedy siedzieli obok siebie w kawiarniach

i tańczyli blisko siebie w klubach.

Dostrzegał, jak Pru patrzyła na niego nieobecny wzrokiem i jak dzielący ich dystans rósł każdego dnia. Za każdym razem, kiedy rozmawiali, dużo się śmiali, ale Win widział rosnący mur i to, jak każda rozmowa dodawała do niego kolejną cegiełkę. Dlatego trzymał się kurczowo tego, co mieli.

– Pracuję nad tym – odpowiadał za każdym razem, kiedy Pru pytała go, jak by mogli namówić panią Spencer do powrotu do domu i jak powinni zająć się rodziną Marlborough. – Staram się z całych sił.

Oczywiście wcale się nie spieszył.

W końcu zadzwoni do Gadsa, ale nie spieszyło mu się z opuszczeniem Paryża, kończeniem biografii ani z niczym innym, co mogłoby zabrać im tę chwilę. Przez te wszystkie lata myślał, że książka go uszczęśliwi, że potrzebował odrobiny komercyjnego sukcesu, by poczuć się szczęśliwym. Mylił się. Okazało się, że wystarczyła mu stara paranoiczka, Paryż i uwaga dziewczyny zwanej Pru.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## MARZEC 1973 ROKU

Na początku marca w Paryżu królował mróz.

Chociaż chodniki zrobiły się śliskie i w domach zapanował chłód, po zmroku miasto lśniło w świetle migoczących latarni.

Pewnego wieczoru Win i Pru wracali późno do domu. Oboje byli otuleni płaszczami i szalami, ale mocno się przytulali, ulegając potrzebie bliskości, która miała niewiele wspólnego z chęcią ogrzania się.

– Zaczynam się zastanawiać – odezwała się Pru, kiedy szli kładką dla pieszych w pobliżu Notre Dame. – Najpierw zabrałeś mnie do Le Sept. Teraz ta sztuka. Czy powinnam zacząć kwestionować twoje preferencje seksualne? Czy może w Paryżu wszystko jest dozwolone?

Wracali właśnie z Théâtre du Palais-Royal, gdzie obejrzeni nową sztukę zatytułowaną *La Cage aux Folles*, opowiadającą historię pary gejów. To była pierwsza sztuka tego rodzaju, jaką wystawiono w teatrze.

– Kwestionujesz moje skłonności seksualne? – zapytał Win i gwałtownie się zatrzymał.

Stali na środku mostu, Sekwana tańczyła pod nimi, miasto wokół nich było nieruchome. O tej porze nocy nie było już turystów – nie było ich tu o tej porze roku. Latem ludzie gromadzili się na placu przed katedrą Notre Dame podobnie jak gołębie. Wyspa Wina nie była jeszcze mekką turystów, jaką kiedyś się stanie, ale i tak odwiedzało ją sporo osób. Niemniej w tym momencie miasto wydawało się należeć wyłącznie do nich.

– Tak – odparła Pru. – Kwestionuję je. Nie patrz na mnie tak ponurym wzrokiem. Mieszkałam w San Francisco. Nie będę cię osądzać.

– Jak możesz wątpić w orientację tak rosnącego mężczyzny?

– Na przykład upierasz się przy odwiedzaniu gejowskich klubów nocnych – odpowiedziała z uśmiechem.

– Chyba przypominam sobie pewną Amerykankę, która wychodzi z takich klubów mokra od potu i wykończona, bo tak dobrze się tam bawi.

– Nie spociłam się. Może byłam lekko wilgotna.

– Byłaś bardzo wilgotna.

Pru przewróciła oczami.

– Co więcej, dzisiaj zabrałeś mnie na sztukę o gejach. Czy próbujesz mi coś powiedzieć, lordzie Winton? Nie wstydz się. Mamy lata siedemdziesiąte. Nie musisz już ukrywać swoich prawdziwych uczuć. Pewnie nawet zwiększyłyby to twoją atrakcyjność w oczach populacji.

Próbowała iść dalej, ale tym razem Win nie zignorował jej kąśliwego komentarza.

– Pru – powiedział i chwycił ją za rękę. Przyciągnął ją z powrotem. – Nie jestem gejem – oznajmił z większą żarliwością, niż było to konieczne.

– Tylko żartowałam...

– Ułatwiłoby to sprawę pod kilkoma względami. Rodzina byłaby oburzona, ale przynajmniej mogłaby z łatwością określić źródło swojego niezadowolenia. Tylko że mężczyźni to samolubne, odrażające, włochate stworzenia i bałbym się wejść do łóżka z takim potworem.

– Jesteś potworem, przyznaję – stwierdziła Pru. – Ale wiesz co? Szczerze żałuję, że nie jesteś gejem. – Próbowała się uśmiechnąć, jej oczy wyrażały jednak zbyt silną rozpacz, by mogło w nich zabłysnąć rozbawienie.

– Jak to? – zapytał Win, chociaż już żałował tego pytania.

– To by wyjaśniało, dlaczego zdajesz się lubić moje towarzystwo, a równocześnie konsekwentnie odrzucasz moje romantyczne podchody.

– Coś mi się zdaje, że zaraziłaś się bakcyłem obłędu od lady M – próbował żartować.

– Staram się nie brać tego do siebie – ciągnęła Pru. Wargi zaczęły jej drżeć. – Z całych sił wypieram to, co się stało albo się nie stało. Nie chcę być męczącą dziewczyną zanudzającą cię na śmierć swoją niepewnością, ale musisz zrozumieć...

– Pru.

– Słucham?

– Ja... Pru...

– Nie możesz tak robić...

Nagle, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu i jeszcze większemu zdumieniu Pru, Win pochylił się i ją pocałował. Poczuł, jak wydała stłumiony okrzyk, gdy ich usta się zetknęły.

To był prosty pocałunek, słodki, ale Win pomyślał, że jeśli nie miałby zaznać w życiu kolejnego, ten by mu wystarczył. Na pocałunku Pru mógłby poszybować przez kolejnych dziesięć tysięcy dni.

Później Win będzie wspominał to uczucie i myślał, że być może w tym momencie rzucił na siebie klątwę. Jeden pocałunek. Jedna szansa. Może ta jedna myśl przypieczętowała ich los i wyrwała Pru z jego objęć zupełnie i na zawsze.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## MARZEC 1973 ROKU

Kiedy już się pocałowali, Win objął Pru w taliu oburącz i zastąpił jeden rodzaj kontaktu drugim, bojąc się ją puścić. Napór jej ciała na niego był niemal nie do zniesienia, mimo że oddzielały ich płaszcze.

Bez słowa lub nawet bez namysłu Win trochę niezdarnie chwycił Pru za rękę i sprowadził ją z kładki.

Kontroluj się, pomyślał. Żadna kobieta nie chce, by ktoś zrywał z niej ubranie w centrum Paryża.

Dobrze, że było tak pioruńsko zimno.

Gdy już zeszli z kładki, popędzili wzdłuż nabrzeża, Pru zbyt zdumiona, by się odzywać. Win zerknął na zegarek. Było krótko po północy. Czy Jamie będzie już spał? Mieli szansę pół na pół.

Jeśli chodzi o księżną, pewnie hulala jeszcze w mieście. Zastanawiali się już, czy przypadkiem pani Spencer nie zarzuciła idei biografii na rzecz rzucenia się w wir odtwarzania atmosfery dawnych salonów. Ta myśl nie była taka zła. Win też był bliski porzucenia tej historii.

Kiedy dotarli do budynku, spojrzeli na górę, wypatrując w oknach świateł, oznak życia. Win pozwolił sobie znowu na nią zerknąć. Gdy Pru odchyliła głowę do tyłu i księżyc oświetlał jej policzki, Win nie mógł dłużej powstrzymać serca. Ujął Pru za brodę i odwrócił jej twarz do siebie.

Pocałował ją. Tym razem mocniej, a Pru odwzajemniła pocałunek bez wahania.

Nadal bez słów weszli do budynku i zaczęli się wspinać po marmurowych schodach. Nogi im drżały, poruszały się anemicznie. Ostatnie piętro wydawało się oddalone o wiele kilometrów.

W mieszkaniu panował spokój, paliło się wyłącznie światło w przedpokoju, a dźwięki wydawała jedynie stara lodówka. Win zaśmiał się z ulgą.

– Dzięki Bogu – powiedziała Pru, która doskonale znała jego myśli.

„Dzięki Bogu”. To były pierwsze słowa, które padły między nimi od chwili pocałunku.

Pospiesznie zrzucili płaszcze, rękawiczki, szaliki i poszli na koniec mieszkania. Mimo że wciąż mieli na sobie ubrania, czuli się prawie nadzy, kiedy pozbyli się wierzchnich okryć.

Tego wieczoru Pru miała na sobie długą sukienkę. Była półprzezroczysta, ozdobiona deseniem różowych kwiatów, spięta w taliu sznurkowym paskiem, który Pru nazywała makramą. Strój nie był odpowiedni na zimę, w zasadzie nie pasował do żadnej pory roku w Paryżu. To była wyrwana z kontekstu kalifornijska dziewczyna Wina, którą ten kochał za to jeszcze mocniej.

– Zatrzymaj się – powiedział, kiedy zdjęła pasek. – Zatrzymaj się – powtórzył łagodniejszym już tonem. – Chcę cię oglądać taką.

– Taką? – Pru wybuchnęła śmiechem. – Chyba zauważyłeś, że jestem jeszcze ubrana? Boże, może ty jednak jesteś gejem?

Nadal się uśmiechając, rozpięła pierwsze dwa guziki sukienki, potem trzeci i czwarty. Win starał się nie okazywać zdumienia na widok góry jej piersi, znacznie pełniejszych, niż

można by się spodziewać po jej drobnej figurze.

Nie odrywając wzroku od Pru, Win usiłował wydostać się z własnego ubrania. Spodnie zaczepiły mu się na wysokości kolan i musiał się przytrzymać komody, żeby się nie przewrócić.

– Masz wyjątkowo nieskoordynowane ruchy, prawda? – zauważyła Pru. Ściągnęła sukienkę przez głowę i odsłoniła cienkie różowe majtki. Okazało się, że nie nosiła biustonosza.

Win miał jeszcze na sobie bieliznę, ale to nie miało znaczenia, bo jego, hm, hm, reakcja na to, co zobaczył, była oczywista. Biedaczysko, zachowywał się jak prawiczek.

Rozebrali się w kilka sekund i wylądowali na łóżku. Jej skóra była tak cholernie ciepła. I miękka. I prawie tak samo smakowała. To, jak ona się czuła pod nim, jak on czuł się na niej, wydawało się sugerować, jakby przygotowywali się do tego momentu, zatrudniali prywatnych nauczycieli, dzięki czemu teraz wszystko było tak zdumiewająco idealne.

Wtem...

– Win! – powiedział głos, po którym nastąpiło walenie w drzwi. – Win! Otwieraj!

Para zamarła. Kosmyk włosów Wina opadł na czoło Pru i je łaskotał. Dziewczyna wysliznęła się spod niego. Win oparł się na łokciu, ale jedną dłoń nadal trzymał na jej miękkim podbrzuszu w troskliwym geście.

– To twój brat? – szepnęła.

– Jamie, to nie jest właściwy moment – burknął Win. I dodał: – Najgorszy z możliwych.

– To ważne. Mogę wejść?

I wchodził już do środka, kiedy Win powiedział:

– Wykluczone.

– Przykro mi, kolego – rzucił Jamie. – Wróćcie do obściskiwania się za chwilkę.

Pru jęknęła i zakryła oczy dłońmi.

– Oby chodziło o to, że ktoś umiera – warknął Win.

– Godzinę temu dzwonił bardzo zaaferowany człowiek. Przedstawił się jako Tom.

– Tom? – Pru odsunęła ręce od twarzy. Odwróciła się w stronę wysokiej włochatej postaci w drzwiach. – Tom? Pomocnik pani Spencer?

– W rzeczy samej – potwierdził Jamie. – Dzwonił z Banbury. Nie zgadlibyście, że stara ptaszyna też tam jest.

– Pani Spencer jest w Banbury! – krzyknęła Pru. Popatrzyła na Wina.

Kiedy widzieli ją po raz ostatni? Nie mogli sobie tego dokładnie przypomnieć. To mogło być tego ranka albo we wtorek. Pru wstydziła się tego, jaką krótkowzrocznością się wykazała, włączając się po Paryżu z Winem. Przecież była pracownikiem Grange, a przebywała w Paryżu i brała wypłatę za to, że oddawała się flirtom i tańcom.

– Zabrała ze sobą bagaż? – zapytał Win. – Futra?

– Zajrzałem do jej pokoju. Nie ma w nim śladu jej osobistych rzeczy. Mam jednak pewną zagwozdkę. Otóż ten cholerny pokój pęka w szwach z powodu drewnianych skrzyń. Zrobiła sobie w naszym domu magazyn.

– Chryste – rzucił Win. – Wiesz, jak dawno temu wyjechała?

– Przed kilkoma dniami. Miała też gości.

– Marlborough – domyślił się Win.

– Zgadza się. A ciebie szukała jakaś Amerykanka. – Wymierzył palec w Pru.

– Cholera! – powiedziała.

Edith. Przyjechała, żeby zabrać ją do domu. A teraz Pru nawet nie będzie mogła przekonywać, że jest ważna dla pani Spencer i musi zostać, skoro opiekunka i podopieczna przebywały w dwóch różnych krajach, o czym Pru nawet nie miała pojęcia.

– Jasny gwint – mruknęła i usiadła. Naciągnęła kołdrę na piersi. – Wykiwała nas. Pani



Spencer wystrychnęła nas na dudka! Nie wiem jak i dlaczego, ale to zrobiła!

– Kochanie, wszystko jest w porządku – pocieszył ją Win i pogładził po nodze. – Na pewno miała swoje powody. Jamie, dzięki za wiadomość. Możesz odejść.

– Bawcie się dobrze. Ale zachowujcie się cicho, dobrze? Muszę wcześniej wstać.

Kiedy Jamie oddalił się chyłkiem, Pru odwróciła się do Wina.

– Nie jest dobrze – stwierdziła.

Martwiła się, ale nie tylko kwestią swojego zatrudnienia lub statusem imigracyjnym.

– Ci ludzie są w Banbury – zauważyła. – Coś jest nie tak. A co, jeśli wykorzystają panią Spencer? Albo zrobią jej krzywdę?

– To ty twierdziłaś, że jest histeryczką.

– Pojawili się, tak? Dokładnie tak, jak mówiła. Miała też rację, że Edith i Marlborough są w zмовie.

– Tego nie wiemy.

– Zabiorą ją!

– Czemu się tak denerwujesz? Wpadasz w panikę z powodu kilku nieproszonych gości? Nikt nie chce jej zabrać. A nawet gdyby, pewnie będzie dla niej lepiej, jeśli znajdzie się pod opieką lekarzy. Trzy lata temu złamała nogę i nie pojechała do szpitala!

– Nie rozumiesz, Seton? – spytała Pru. – Jeśli ona odejdzie, ja również wyjadę. Jest jedynym powodem, dla którego tu jestem.

Win drgnął, jakby go spoliczkowano. Nigdy nie brał pod uwagę tego, że Pru mogłaby wyjechać.

– Czy przedyskutowałeś kwestię z Gadssem? – dociekała Pru coraz wyższym tonem. – Omówiliście swój tajemniczy plan? Bardzo by nam pomogło, gdyby Gads mógł nam powiedzieć, co się dzieje. Boję się, że... Po prostu się boję.

– Eee... Zadzwońię do niego jutro.

Pru odrzuciła kołdrę i wstała.

– Musimy wracać – oznajmiła. – Do Banbury!

– Pru... – Win sięgnął w stronę jej ręki.

– Nie możemy zostawić pani Spencer samej.

– Proszę. Zapomnijmy na ten jeden wieczór o pani Spencer i Marlborough. Zajmiemy się tą tragedią jutro.

– Win, ona jest sama!

– Jest z nią Tom, pamiętasz? Jest o niebo straszniejszy od nas. Nie chciałbym go spotkać w ciemnej uliczce. W oświetlonej też nie.

Pru westchnęła i opadła na łóżko.

– Pewnie masz rację – powiedziała.

– Oczywiście, że mam. – Kiedy Win musnął dłonią jej bok, zadrżała. – Zajmiemy się tą bandą wariatów jutro. A na razie... – Pogładził palcami jej lewą pierś. – Na razie jesteśmy tylko my.

Pru posłała mu uśmiech. Aż po czubek głowy wypełniało ją obce, niedające się opisać odczucie. Może chodziło właśnie o to, że czuła się pełna. Pustka gdzieś zniknęła.

– Masz rację – powtórzyła i przywarła do ciała Wina. – Zajmiemy się tym jutro.

I z tymi słowy Win i Pru wrócili do działania, które im przerwano.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

– Aby zostawić wiadomość dla gościa z pokoju numer pięć, proszę mówić po usłyszeniu sygnału.

– Cześć, mammo. To ja. Pewnie się zastanawiasz, gdzie jestem. Nie denerwuj się, ale przyjechałam do Paryża. Wsiadłam do pociągu odjeżdżającego z Banbury zaraz po twoim. Pewnie pamiętasz, jak wspominałam o znajomym z Banbury, niejakim Gusie. Właśnie się dowiedziałam, że nazywa się Jerome Casper Augustine Seton. Nazywa się też hrabią Winton, głównie dla żartu, ale to również prawda. Jestem w jego mieszkaniu z jego bratem Jamiem. Myślę, że znasz to miejsce i ludzi, o których mówię. Jeszcze nigdy nie czułam się tak skołowana. Co do ciebie. I do mnie. Dlaczego ukrywałaś tę część swojego życia? Mam wrażenie, że ma to jakiś związek z moim tatą, ale na razie nie mogę się w tym połapać. Co się wydarzyło w tamtych latach? Między twoim wyjazdem z Paryża a moimi narodzinami? Mammo, nie wrócę z tobą do Wirginii, dopóki tu nie przyjedziesz. Twierdzisz, że nie byłam nigdy trudnym dzieckiem, że nie miewałam napadów złości. No to teraz mam. Upieram się jak osioł. I nie zamierzam wyjeżdżać z Paryża, dopóki tu nie przyjedziesz. To wszystko. Przepraszam za długą wiadomość. I że robię to w ten sposób, ale nie mam innego wyjścia. Wiesz, gdzie mnie znajdziesz. Przy Quai de Béthune. To tymczasem, mammo. Panno Valentine. Do zobaczenia w Paryżu.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

– Dla jasności – powiedział Jamie, kiedy rzucił garść posiekanej w kostkę szalotki na rozgrzaną patelnię. – Kiedy powiedziałem, że uwielbiam gotować, nie obiecywałem, że jestem wyjątkowo utalentowany.

– Zapach jest przyjemny – zauważyła Annie.

– To szalotka.

Przytaknęła, nieobecna. Myślała o kasecie od Gusa oraz o zbytecznym opisie bielizny jej matki i nagich piersi.

– Chłodno tu? – zapytał Jamie, błędnie biorąc jej wzdygnięcie się za dreszcz. – Mogę podkręcić ogrzewanie.

Otworzył puszkę z pastą pomidorową i wyłożył zawartość na patelnię.

– Temperatura jest w sam raz – odparła i pociągnęła łyk bordeaux. – Posłuchaj, Jamie. Muszę coś wyznaczyć.

– Chcesz coś wyznaczyć? – Zerknął przez ramię i poruszył brwiami. – Uwielbiam wyznania.

– Nie ekscytuj się tak. To nic pikantnego.

Erekcja Gusa. Nagość Laurel. Annie miała po uszy pikanterii.

– Chodzi o twojego brata – ciągnęła. – Gusa. Opowiadał mi historię Wina i Pru.

– Twojej mamy.

– Tak, mojej mamy – odparła Annie i pomyślała o Laurel, która pewnie teraz wchodziła do pustego pokoju hotelowego i wpadła w panikę. – Jeszcze dwadzieścia minut temu nie miałam pojęcia, kim jest Win. Nie podejrzewałam, że Win i Gus to ta sama osoba. Przez chwilę wydawało mi się, że Win to ty.

– Naprawdę? – Jamie odwrócił się w jej stronę, oparł się plecami o blat, a na jego ustach błąkał się zaciekawiony uśmiech. – Ja?

– Tylko przez chwilę.

– Imię nic ci nie odpowiedziało?

– J. Casper Augustine Seton? Przypuszczałam, że „J” to James.

– To od Jerome. No i „Gus” też tam jest.

Annie powtórzyła imię w myślach.

– Augustine? – zapytała. – Nie kojarzy się z Gusem.

– Nie przedstawił się jako hrabia Winton?

– Przedstawił, ale...

Gus zrobił to na początku ich znajomości, ale Annie myślała, że to dowcip.

– Nie muszę chyba mówić, że Win nawiązuje do tego – zauważył James.

– Przewiska w Stanach są chyba bardziej oczywiste.

Wyobraziła sobie Gusa siedzącego po przeciwnej stronie stołu albo obok niej. Gusa z falującymi srebrnymi włosami, w wyprasowanych spodniach, z niepewnym uśmiechem.

Przypomniała sobie, jak przechylał głowę w jej stronę, kiedy przechodził do najsmakowitszych kwestii, jak zakładał i zdejmował okulary.

Okulary. Zakładał je do czytania gazety lub maszynopisu albo kiedy Ned przynosił rachunek. Ale nigdy nie potrzebował ich, by czytać książkę. Nie musiał po nie sięgać. To były jego słowa.

– Cholera – powiedziała. – Lubię myśleć o sobie, że jestem spostrzegawcza. A nie domyśliłam się tego.

– Nie przejmuj się. Niezły z niego łotr.

– Na swoją obronę mam to, że Gus... Win... jakkolwiek się nazywa, powiedział mi, że pisarz mieszka w Paryżu. No i zawsze wyrażał się o nim z pogardą.

– Mój brat jest swoim największym wrogiem.

Annie sięgnęła głęboko do kieszeni.

– Proszę – powiedziała i rzuciła wizytownik od walizki na stół. – Znalazłam to w Grange.  
– Jest tu twoje nazwisko.

– Nie! – Jamie chwycił wizytownik. Podniósł go do światła. – Zgadza się. Tych dwoje łobuzów udało się w podróż powrotną do Grange z moimi walizkami. Jak widzisz, oddali mi je w gorszym stanie.

Jamie ucałował wizytownik i wsunął do kieszeni. Annie się najeżyła. To miał być jej talizman, nawet jeśli to jego nazwisko na nim widniało.

– Więc tam wrócili? – zapytała. – Win i Pru? Do Grange?

Jamie przytaknął.

– Wrócili – powiedział.

– Z powodu Toma.

– Jak rany, zapomniałem o tym starym Polaku – zachichotał Jamie. – Oto, co starość robi z człowiekiem. Tak, jego telefon doprowadził do ich powrotu.

– Czy kiedy dotarli na miejsce, byli tam przedstawiciele rodziny Marlborough?

– Z tego, co wiem, tak.

Jamie podszedł do większego garnka i sprawdził gotujące się w nim ziemniaki. Ta kolacja zaczęła przypominać raczej posiłek z Wirginii, a nie z Paryża.

– Na tym się skończyło? – zapytała Annie i znowu pociągnęła łyk wina. – Pojechali do Grange. Koniec historii.

– Koniec historii? – zdziwił się Jamie. – Dlaczego tak myślisz?

– Marlborough byli w Grange.

– Zgadza się.

– Oni i Edith chcieli umieścić księżną w szpitalu.

– Owszem.

– Jeśli pani Spencer trafiła do szpitala, nie było powodu, żeby moja mama tam została. A wiemy, że wróciła do Stanów. Sama.

– Twoja mama wróciła do Stanów – przyznał Jamie. – Ale nie od razu. Ich wspólna historia trwała trochę dłużej. Widzisz, Win i Pru zdołali wrócić do Paryża. Dzięki niewielkiej pomocy ze strony niejakiego Gadsa.

## GRANGE

CHACOMBE-AT-BANBURY, OXFORDSHIRE, ANGLIA

MARZEC 1973 ROKU

Księżna nie posiadała się ze zdumienia, kiedy zobaczyła ich twarze w salonie przekształconym w klinikę weterynaryjną.

– Wynoście się! Spadajcie! – ryczała, kiedy ganiała za Winem i Pru z jakimś nieprzyzwoitym połączeniem wideł, szczotki i czerpaka. – Wynoście się z mojej ziemi!

– Pani Spencer – błagała Pru. – To tylko my.

– Wiem, że to wy! Co też robicie w Anglii? Myślicie, że wyciągnęłam was do Paryża dla własnego zdrowia? Mielicie tam zostać. Sami. Jezus. Dlaczego ludzie nie potrafią przyjąć prezentu, gdy im się go ofiaruje?

Połączenie narzędzi do sprzątanania i prac w ogrodzie to jedno, ale zgromadzeni goście byli równie przerażający. W domu był Tom. I Gads. Oraz kamerdyner Murray, który przybył tu na rozkaz siostrzenicy księżnej. Pru rozpoznała mężczyznę, który towarzyszył jej w czasie pierwszej podróży do Grange.

Poza tym Gads sprowadził ze sobą brata, jedenastego księcia Marlborough, a ten z kolei grupę swoich prawników i lekarzy. Żona numer dwa również była obecna wskutek jakiejś zawilosci intercyzy. Ona też ściągnęła własny zastęp prawników.

– Witajcie, towarzysze! – rzucił Win, który uśmiechał się jak głupek. – Jasny gwint. Sporo was tu.

– Dlaczego przyjechaliście? – zapytała pani Spencer.

– Martwiliśmy się o panią – odparła Pru. Rozglądała się po pokoju. – Zdaje się, że mieliśmy powody.

– Powinniście się martwić o siebie! Potrafię się zająć tymi bufonami. Musicie się natychmiast oddalić. Zaraz wszystko schrzanicie. Nawet nie macie pojęcia, jak niewiele was od tego dzieli!

– Ale pani Spencer, pani siostrzenica zatrudniła mnie, żebym się panią opiekowała – powiedziała Pru. – Oczekuje, że tu będę. Przepraszam za moją gafę. Od tej pory nie odstąpię pani na krok.

– Jezus, niech mi pani nie wyświadcza żadnej przysługi – burknęła pani Spencer.

– Witam – odezwał się mężczyzna, który postąpił krok do przodu. – Miło mi cię poznać, Laurel. Nazywam się Gads.

Pru uśmiechnęła się szeroko i uściśnęła mu dłoń. Gads był niski i miał zmierzwione włosy. Dokładnie tak wyobrażała sobie starzejącego się urwisa. Z miejsca go polubiła.

– George – rzucił jego brat ostrzegawczym tonem. To był książę, ale wyglądał zwyczajnie. Jego opisywany przez panią Spencer cofnięty podbródek też nie był niczym nadzwyczajnym. – Prosiłem cię już wielokrotnie, żebyś się w to nie mieszał.

– Jako prawnik pani Marlborough – odparł Gads – muszę się mieszać w tę sprawę. A teraz, bracie, muszę cię prosić o opuszczenie posiadłości.

– Jeżeli to jest księżna Marlborough, to ja jestem księciem, a tym samym to wszystko jest moje.

– I moje – dorzuciła jego była żona.  
– Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale mylicie się. Oboje. Ta posiadłość należy wyłącznie do Gladys Deacon. Mam tu dokumenty. – Gads poklepał teczkę.  
– Wy dwoje – powiedziała pani Spencer, wskazując sękatym palcem najpierw Wina, a potem Pru – powinniście siedzieć w Paryżu.  
– Owszem, wspomniała pani o tym, kiedy mnie dziabnęła w plecy widłami – przyznał Win.  
– Jeżeli przyjechał pan tutaj z powodu swojej głupiej książki...  
– Jakiej książki? – zainteresował się książkę.  
– Nie martw się, mój drogi wnuku – uspokoiła go pani Spencer. – To tylko szczegółowy opis mojej przeszłości. Poświęcono ci sporo uwagi i przedstawiono cię w złym świetle. Seton. – Stuknęła laską w podłogę. – Pomogę ci dokończyć cenne dzieło twojego życia, ale ty i panna Valentine musicie stąd wyjść. Natychmiast. Wracajcie do Paryża. Niezwłocznie. Czas jest tu bardzo ważny.  
– Skoro już jesteśmy przy tym temacie – wtrącił się Gads. – Reszta też powinna stąd spadać.  
– Nie wyjdę stąd, dopóki nie dostanę tego, co jest moje – oznajmiła była żona i pociągnęła dumnie nosem, patrząc na księcia. – Wiecie dokładnie, co to jest.  
– Przestańcie! – krzyknęła pani Spencer, znowu stuknąwszy laską, tym razem tuż przy stopie byłej żony, przez co ta podskoczyła na pół metra w górę.  
Była żona księcia miała już zaburzenia nerwicowe, a całe to walenie i krzyk tylko nasilało jej problem.  
– Macie w tej chwili przestać! – powtórzyła pani Spencer. – Przestańcie się rzucać na ludzi i rzeczy w tym domu!  
Sięgnęła do kabury. Jak cofająca się fala, wszyscy zgromadzeni w jednej chwili zrobili krok do tyłu. Wszyscy z wyjątkiem Wina i Pru. Przywykli do tego przedstawienia i wiedzieli, że groźby pani Spencer najczęściej były gołosłowne. Wiedzieli również, że spośród wszystkich zgromadzonych oni byli najmniej narażeni na strzał w ich stronę.  
– Ty. – Pani Spencer wskazała rewolwerem na Pru. – Ty, ty i ty. – To byli Win, Gads i Murray. – Wy zostajecie.  
– Nie chciała pani, żebyśmy jechali do Paryża? – zdziwił się Win.  
– A pozostali kretyni – ciągnęła, zignorowawszy Wina zgodnie ze swoim upodobaniem – znajdźcie sobie jakiś nocleg. W Banbury Inn. Chacombe Motor Hotel. W lesie. Guzik mnie obchodzi gdzie. Wróćcie tu jutro rano o dziewiątej. Wtedy wszystko załatwimy. Mój prawnik Gads będzie nadzorował procedurę.  
– Nie wyjdę stąd – powtórzyła była żona. – Nie opuszczę tej posiadłości, dopóki nie wejdę w posiadanie należnego mi majątku.  
– Który jest częścią należnego mi majątku – przypomniał jej książkę.  
– O jakim majątku wy mówicie? – zapytała Pru z nietypowym dla niej zapałem.  
Zazwyczaj w kontaktach z tego typu osobami wołała trzymać się w cieniu, zwłaszcza jeśli wisiało nad nią widmo deportacji.  
– Czy wy macie oczy? – ciągnęła. – Rozejrzyjcie się! To miejsce to nora! Bez urazy, pani Spencer.  
– Bardzo mnie pani uraziła, ale podoba mi się to, więc proszę mówić dalej.  
– Czy nie mieszkać w Blenheim? Gdzie są fontanny i grotty?  
– Jakby ktoś dbał o ten okropny dom? – prychnęła była żona. – Przyjechaliśmy tu po dzieła sztuki.

– Dzieła sztuki? – spytała Pru. – Jakie dzieła sztuki?

– Powiedz jej, Peter – była żona poleciła prawnikowi. – Dzieła sztuki, które Gladys nabyła po tym, jak została księżną, są nasze. Innymi słowy, cała kolekcja z minionych czterdziestu lat.

– Tak, warto podać taki argument – mruknął Peter, a potem, przypomniawszy sobie, kto go słucha, dodał: – To nie powinno być zbyt trudne do udowodnienia!

– Ci ludzie mają komiczne podejrzenie, że jestem w posiadaniu bezcennych dzieł sztuki – poinformowała pani Spencer.

– Niech się pani nie zgadza na to, żeby przeszukali dom – rzuciła Pru, która pomyślała o Boldinim, a także Monetach i wszystkim, co Win widział w dniu, w którym wdarł się na teren posiadłości. – Nie mają prawa. Gads, powiedz jej. Nie ma obowiązku...

– Kochanie, wszystko jest w porządku – powiedziała pani Spencer i się uśmiechnęła. To jej działanie z jakiegoś powodu wydawało się groźniejsze od wymachiwania bronią. – Mogą sobie tu węszyć tak długo, aż ich fałszywe serca będą ukontentowane. Niczego nie znajdą.

Pani Spencer puściła do niej oko i wtedy Pru przypomniła sobie o skrzyniach zgromadzonych w sypialni w Paryżu. Nic dziwnego, że staruszka potrzebowała laski. Niewątpliwie była trochę obolała po przenoszeniu różnych rzeczy. Pru uśmiechnęła się z podziwem. Pani Spencer wiedziała, co robi. Jak prawie zawsze.

– Tom z przyjemnością was oprowadzi – oznajmiła pani Spencer i znowu chwyciła broń.

– Nie stójcie tak! Chyba że chcecie, żebyam przestrelili wam kolana!

Po wydaniu jeszcze kilku okrzyków banda idiotów i bałwanów się ogarnęła. Win i Pru patrzyli, jak Tom wyprowadził ich na zewnątrz. Gads pomachał im na pożegnanie i zatrzęsął za nimi drzwiami.

– No, stary – powiedział i odwrócił się do przyjaciela. – Wyglądasz całkiem przyzwoicie, czyli lepiej niż podczas naszego ostatniego spotkania.

– Dzięki, draniu – odparł Win z błyskiem w oku. – Przy tobie człowiek zawsze się czuje jak milion dolarów. To zabawne, bo nawet byś się nie zorientował, kiedy bym cię ugryzł w tyłek.

– Poczekaj, aż zobaczysz rachunek, który wystawię tym intrygantom. Przegonimy turystów z Blenheim. Laurel – rzekł i objął ją krótko. – Albo Pru. Albo jak tam mój niespełna rozumu przyjaciel cię nazywa. Cieszę się, że cię poznałem, mimo że masz beznadziejny gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Zanieś twój bagaż na górę?

– Muszą się stąd wynosić! – oznajmiła pani Spencer. – I to galopem!

– Dobra, dobra. Ale najpierw musimy przedyskutować kilka spraw. Przejdźmy do biblioteki. Lady Marlborough powiedziała mi, że jesteście wścibskimi molami książkowymi. Świetnie się składa. Przywiozłem wam sporo do czytania.

## OSTATNIA WOLA I TESTAMENT

## JAŚNIE OŚWIECONEJ KSIĘŻNEJ MARLBOROUGH

## GLADYS DEACON SPENCER-CHURCHILL

Ja, Gladys Deacon Spencer-Churchill, osoba dorosła zamieszkała przy Banbury Road 4 w Banbury, hrabstwo Oxfordshire, Anglia, pozostając w pełni władz umysłowych i w niewielkim stopniu uszczuplonych fizycznych, wyrażam następującą ostatnią wolę.

1. Cofam wszystkie zapisy i załączniki ustanowione wcześniej.

2. Na wykonawcę i powiernika testamentu (zwanego dalej „Powiernikiem”) wyznaczam mojego wnuka lorda George’a Williama Colina Spencera-Churchilla, nazywanego powszechnie, z zagadkowych dla mnie przyczyn, „Gadsem”.

3. Wszystkim żyjącym potomkom mojego zmarłego męża Charlesa Richarda Johna Spencera-Churchilla, dziewiątego księcia Marlborough, hrabiego Sunderland i markiza Blandford, przekazuję po dziesięć tysięcy funtów, zwolnionych od podatku, ale tylko tym, którzy nie osiągnęli wieku dwudziestu pięciu lat w chwili mojej śmierci.

4. Mojemu wieloletniemu pomocnikowi Tomaszowi Kosińskiemu przekazuję kwotę stu tysięcy funtów, zwolnionych od podatku.

5. Laurel Innamorati przekazuję rezydencję przy Banbury Road 4 (zwaną dalej „Rezydencją”) znajdującą się na terenie hrabstwa Oxfordshire w Anglii, a także wszystkie przedmioty, również osobiste, pozostające w budynku, w tym, ale nie tylko, kolekcję literatury. Obszar Rezydencji obwiedziono czerwoną linią na mapie stanowiącej Załącznik A do testamentu.

6. Jerome Casper Augustine Seton, hrabia Winton, otrzymuje ziemię otaczającą Rezydencję i wszystkie budynki pomocnicze, stodoły, budynki gospodarcze, pracownie artystyczne i inne niestanowiące elementu Rezydencji. Działka jest obwiedziona zieloną linią na mapie stanowiącej Załącznik A do testamentu.

7. Laurel Innamorati i Jerome Casper Augustine Seton, hrabia Winton, otrzymają trzydzieści trzy dzieła impresjonistów i innych twórców („Kolekcja”) wymienione w Załączniku B do testamentu, pod warunkiem opisanym w punkcie 8. Wszystkie trzydzieści trzy dzieła Kolekcji znajdują się obecnie w mieszkaniu lorda Wintona przy Quai de Béthune 24 w Paryżu we Francji. Pani Innamorati i lord Winton powinni przekazać panu Kosińskiemu wybrany przez niego obraz i zapłacić mu za pomoc w transporcie Kolekcji do mieszkania lorda Wintona.

8. Z pozostałych trzydziestu dwóch obrazów stanowiących Kolekcję panna Innamorati i lord Winton mają wybrać dokładnie tuzin prac, które przekażą muzeum lub innej organizacji nienastawionej na zysk. Odbiorcy tych obrazów nie obejmują żadne ograniczenia terytorialne, religijne lub innej natury. Panna Innamorati i lord Winton mogą spożytkować pozostałe elementy Kolekcji, po dziesięć na głowę, według własnego uznania. Jeżeli strony nie będą zgodne co do tego, które obrazy należy przekazać innym organizacjom i jakie to mają być organizacje, ostateczną decyzję podejmie Powiernik.

9. Jeżeli z jakiegoś powodu panna Innamorati lub lord Winton nie przeżyją mnie o trzydzieści dni, jej lub jego część ma zostać przekazana jej lub jego żyjącym dzieciom w równych częściach. Jeżeli zmarły spadkobierca nie będzie miał dzieci, jej lub jego część ma



zostać przekazana drugiemu spadkobiercy.

10. Rodzinie Marlborough przekazuję swój portret pędzla Giovanniego Boldiniego, który ma zawisnąć w wielkim salonie w pałacu Blenheim, aby rodzina i turyści, którzy opłacają jej rachunki, mogli codziennie podziwiać moją twarz.

11. Po potrąceniu kosztów związanych z pogrzebem, wykonaniem testamentu i zapisami w punktach 3–10 pozostałą część majątku przekazuję na rzecz schroniska dla spanieli hrabstwa Oxfordshire.

12. Życzę sobie być pochowana w obrzędzie rzymskokatolickim. W czasie mszy ma być odśpiewany hymn *How Great Thou Art*. Żądam następnie konsolacji w wielkim salonie pałacu Blenheim.

Tym, którzy czytają ten testament lub są jego beneficjentami albo zagląдают do niego z niezdrowych pobudek, dedykuję cytat z mojego najdroższego nieżyjącego przyjaciela Marcela Prousta:

„Bądźmy wdzięczni wobec ludzi, którzy sprawiają, że jesteśmy szczęśliwi; są uroczymi ogrodnikami, dzięki którym nasze dusze rozkwitają”.

Bądźcie szczęśliwi. Kochajcie się. Gońcie za radością. Tak mało jest jej wokół.

*Gladys*

Jaśnie Oświecona Księżna Marlborough

Gladys Deacon Spencer-Churchill

#### PISEMNE OŚWIADCZENIE ZŁOŻONE POD PRZYSIĘGĄ

Dokument składający się z tej i dwóch napisanych na maszynie stron został podpisany i przyjęty przez Spadkodawczynię jako jej ostatnia wola w naszej obecności i my, na jej życzenie i w jej, a także swojej wzajemnej obecności składamy podpisy jako świadkowie.

My, podpisani niżej Spadkodawczyni i świadkowie, oświadczamy, że:

1. Spadkodawczyni sporządziła niniejszy dokument jako swój Testament.
2. W obecności świadków Spadkobierczyni podpisała i uznała złożony przez siebie podpis.
3. Spadkobierczyni sporządziła ten Testament z własnej woli i dobrowolnie w celach w nim wyrażonych.
4. Każdy ze świadków w obecności Spadkobierczyni i swojej wzajemnej podpisał Testament jako świadek.
5. Spadkobierczyni była w pełni władz umysłowych.
6. W chwili sporządzania dokumentu Spadkobierczyni miała osiemnaście (18) lat lub więcej.

Wszystko to poświadczamy dnia 5 marca 1973 roku.

*Gladys*

JASŃNIE OŚWIECONA KSIĘŻNA MARLBOROUGH

GLADYS DEACON SPENCER-CHURCHILL, Spadkodawczyni

*Tomasz Kosiński*

TOMASZ KOSIŃSKI, Świadek

George W. Spencer Churchill

GEORGE WILLIAM COLIN SPENCER-CHURCHILL, Świadek

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

– Wyjechali zaraz po odczytaniu testamentu? – zapytała Annie, kiedy Jamie wyciągał długie szklane naczynie z piekarnika.

Na spodzie mięso, na górze tłuczone ziemniaki – paryska kuchnia nie była aż tak snobistyczna. A może Jamie podzielał jej pospolite upodobania. Przecież był bratem bez tytułu, pomyślała Annie z uśmiechem.

– Tak, wtedy wyjechali – odparł Jamie i napełnił im kieliszki. – Przeczytali testament, a potem pani Spencer wykopała ich z domu w środku nocy.

– Wychodzi na to, że nie musieli pożyczać twoich walizek. Dlaczego pani Spencer chciała się ich tak pilnie pozbyć?

– Miała swoje powody.

– To znaczy?

– Moja droga, jeszcze nie dotarliśmy do tej części historii.

– Jesteś tak samo okropny jak twój brat – zżymała się Annie.

– To obelga, ale nie będę protestował – powiedział Jamie z uśmiechem. – Powiedzmy na razie, że pani Spencer była bardzo przewidująca. Rozumiała Wina i twoją mamę.

– Przynajmniej ktoś ją rozumiał. Prawie jej nie poznaję. Zupełnie jakby zostawiła w Grange cały romantyzm i fantazję. Albo w Paryżu.

– To były takie czasy – zauważył Jamie. – Taka epoka. Wtedy żyło się swobodniej, ludzie byli odważniejsi, nawet jeśli nie mieli takiej natury. To dlatego twoja mama uciekła do Paryża z moim bratem, mimo zagrożenia ze strony urzędu imigracyjnego. Nie miała przekonania, że Gads może uratować panią Spencer od psychiatryka, ale żartowała, że przynajmniej pobyt za granicą bez wizy i będący jego konsekwencją areszt zrobią wrażenie na jej kumplach z Berkeley.

– Trudno mi wyobrazić sobie mamę w Berkeley. Kojarzy mi się z opaskami na głowę, bluzkami z kołnierzykami i Wellesley.

– Ludzie się zmieniają. A przynajmniej usiłują.

– A więc wszystko było w mieszkaniu? – zapytała Annie. Zaburczało jej w żołądku. Kiedy Jamie zamierzał podać to jedzenie?

– Cała kolekcja znajdowała się w twoim mieszkaniu? – powtórzyła pytanie.

– Owszem – odparł Jamie i zdmuchnął włosy z twarzy. – Nie uwierzyłybyś własnym oczom. Stara ptaszyna zdołała jakoś upchać osiem wielkich skrzyń z dziełami sztuki w tej sypialni. Tom musiał być w to zaangażowany. Jak i kiedy to zrobiła, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Ja pracowałem, a Laurel i Win byli... jak by to ująć?

– Zakochani? Spleceni w uścisku? Świata poza sobą nie widzieli?

– O, tak! Właśnie! – Jamie strzelił palcami. – To ostatnie. Zaczynasz rozumieć.

Wyciągnął łopatkę z szuflady.

– Co się stało z tymi dziełami sztuki? – zapytała Annie.

– Spędziły w moim mieszkaniu sześć lat. Moja ówczesna narzeczona, a obecna żona pomyślała, że jestem jakimś świrem, kiedy się na nie przypadkiem natknęła. – Jamie

odchrząknął. – „Kochanie, przechowuję bezcenne dzieła sztuki księżnej do czasu, kiedy kopnie w kalendarz! Potem przejdą w posiadanie mojego marnotrawnego brata i dziwnej nimfy z Ameryki, którą ubóstwia”. Aż dziw, że mnie z miejsca nie rzuciła.

– A po śmierci pani Spencer? Czy Win, Gus, i moja mama weszli w posiadanie tych dzieł?

Annie pomyślała o ich farmie w Wirginii i niewyszukanym wystroju wnętrza, nadzwyczaj przeciętnych obrazach wiszących na ścianie. Nie potrafiła przypomnieć sobie ani jednego, na którym nie byłoby przeskakującego przez coś konia.

– Tak, weszli w ich posiadanie – potwierdził Jamie. – Każde z nich wybrało obrazy dla siebie, resztę przekazało i poszło w swoją niezbyt radosną stronę.

– Ciekawe, co wybrała mama i gdzie się te dzieła znajdują. Na pewno nie w naszym domu.

– Będziesz musiała ją o to zapytać – powiedział i wzruszył ramionami. – Gads twierdzi, że musiał się w końcu powołać na zapis głoszący, że „ostateczną decyzję podejmie Powiernik”.

– Pokłócili się? – Annie się zmarszczyła. – Z powodu dzieł sztuki? To niepodobne do mamy.

Niewiele brakowało, a dodałaby, że do Wina również.

– Wręcz przeciwnie – poinformował ją Jamie. – Nie mogli się zdecydować. – Wyciągnął z szafki miskę na sałatę. – Więc Gads wybrał za nich. Było z nimi prawdziwe utrapienie. Lubisz anchois?

– Nie, dziękuję – powiedziała Annie i zaczęła się bawić serwetką.

Jamie odłożył szczyptę na papierowy ręcznik i znieruchomiał. Wpatrywał się w miskę, jakby próbował wyczytać coś z sałaty.

– Muszę cię o coś zapytać. Czy twoja mama nadal jest mężatką?

– Mama? Ależ skąd. Nie miała męża przez całe moje życie. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, że była kiedyś z kimś zaręczona.

– A więc nie jest z twoim ojcem?

– Nawet nie poznałam tego człowieka. A teraz nie żyje. Podobno.

Jamie zbladł.

– Nie żyje?

– Tak mi powiedziała. Cięża nie była powodem rozpadu ich małżeństwa, ale wtedy od niego odeszła. Jak mówiłam, on już nie żyje.

– A to było...?

– Ale co było?

– Kiedy się urodziłaś? – zapytał Jamie i położył na stole dwa talerzyki do sałaty.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku – poinformowała Annie.

– Ciekawe.

– Dlaczego to jest ciekawe?

Spojrzała na niego. Jamie wyglądał na przestraszonego, jakby przyłapała go na drobnym przestępstwie.

– Cóż – wyjąkał i wyjął kolejne dwa talerze. – Trudno to wyjaśnić. I nie powinienem o tym rozmawiać...

Nagle usłyszeli zgrzyt klucza w mającym sto lat zamku, a potem kroki na skrzypiącej podłodze.

– Czy... – zaczęła Annie. – Goście? Twoja żona?

– Panno Haley – powiedział Jamie i podał jej biało-niebieski talerz pełen mięsa. – Twoja *hachis Parmentier*. A to, jak sądzę, jest mój brat.



## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

Gus dostrzegł Annie kątem oka, po czym wypadł z kuchni i rzucił się w stronę drzwi wejściowych.

– Lordzie Winton! – krzyknął Jamie. – Wracaj tu w tej chwili! Czy to tak się traktuje damę?

Jamie zniknął. Słysząc było jego kroki w przedpokoju.

Annie próbowała nad sobą zapanować. Serce jej waliło milion razy na minutę, a na czole skropił się pot. Nie pogniewałaby się, gdyby Jamie nie dogonił swojego brata. Nawet nie wiedziała, co miałyby powiedzieć temu mężczyźnie.

– To nie mieści się w prawnej definicji prowokacji – usłyszała Jamiego. – Dziewczyna przyjechała tu w ramach szukania ciebie, ale nie wiedziała, że to ty. O, nie, nie, nie. Pójdiesz tam i z nią porozmawiasz... Gwarantuję ci, że wypadniesz znacznie korzystniej w swojej wersji wydarzeń, niż gdybym ja o nich opowiadał.

Annie nadstawiła ucha, żeby usłyszeć gorączkowy szept Gusa, a równocześnie zastanawiała się nad wiadomością, którą zostawiła dla Laurel w hotelu. Czy jej matka przyjedzie do Paryża? Czy Annie tego chciała? Boże, co za katastrofalne wakacje. Powinna była siedzieć w pokoju i jeść ciasteczka.

– Czy ktoś wie, gdzie można by tu zjeść trochę mięsa i ziemniaków? – zapytał głos.

Annie podniosła wzrok, a na jej twarzy zakwitł uśmiech. Gus, jej stary, dobry kumpel Gus.

– *Hachis Parmentier* – powiedziała i zmarszczyła brwi.

Nie, nie była szczęśliwa. Była wściekła. Ten człowiek ją okłamał. A może nie.

Zbałamucił Laurel. Przynajmniej tak się wydawało.

W końcu złamał serce Laurel, a może złamał ją jako osobę, bo w przeciwnym razie zostałyby w Paryżu. Wszyscy wiedzieli, że najlepszym sposobem na rozwiązanie problemu imigracyjnego był ślub. Laurel z historii Gusa nie wyjechałaby, chyba że zostałyby do tego zmuszona.

– No, no, no – odezwała się Annie. – Czy to nie zaginiony autor *Zaginionej księżnej*? Co takiego powiedziałeś mi pierwszego dnia? „Człowieka, który poczynił tę książkę, już od dawna nie ma”.

„Pojechał do Paryża w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku i tam pozostaje”.

„Wszyscy się kiedyś znaliśmy”.

„Nie sposób go znać”.

– Już od dawna nie ma – powiedziała Annie i zmrużyła oczy. Dziobała jedzenie widelcem. Nagle straciła apetyt. – Albo stoi przede mną. Och, tak przy okazji, dziękuję za kasety. Świetnie się bawiłam, słuchając szczegółowej opowieści o erotycznym przebudzeniu mojej matki w Paryżu. Chyba miło usłyszeć, że nie zawsze była tak beznadziejnie poukładana.

– Rety – rzucił Jamie, który wszedł właśnie do pomieszczenia. – Powiedziałeś jej

o seksie? Z jej mamą? Masz jaja, kolego. Oczywiście mówienie Annie o tych jajach jest chyba w złym guście.

– Chyba? – zapytała Annie.

Jamie usiadł naprzeciwko niej. Rozłożył serwetkę na kolanach, jakby to był zwykły posiłek, a nie początek jakiegoś kiepskiego przedstawienia przy kolacji. Włożył tyle wysiłku w przyrządzenie *hachis Parmentier*, że nie zamierzał nie spróbować zapiekanki.

– Powiedziałeś, że autora dawno już tam nie ma – przypomniała Annie Gusowi, który nadal stał w progu. – Powiedziałeś, że mieszka w Paryżu.

Jamie wskazał ruchem głowy na jedzenie, ale Gus tylko machnął ręką.

– Nic nie powiesz? – spytała Annie. – Zero odpowiedzi?

– Czy nie jesteśmy w Paryżu? – zapytał Gus. – Zabawne. Zdawało mi się, że widziałem po drodze Notre Dame.

– Takie wymądrzanie się nie jest tak atrakcyjne w wypadku sześćdziesięciolatka, jak było zapewne w wypadku młodego Wina Setona. Wtedy nawet było pewnie urocze.

– Sądzę, że nie – zauważył Jamie.

– Annie – powiedział Gus i głęboko westchnął. – Każde moje słowo było prawdą.

Mężczyzna, który napisał tę książkę, który kochał twoją matkę, dawno przestał istnieć. Win... był najlepszą częścią mnie. Smutnym przedstawieniem mojej prawdziwej natury, rzecz jasna, bo przecież Win nie był ekscytującą postacią. Ale to wszystko było najszczerzą prawdą.

– Dość tego deprecjonowania siebie. – Annie nadziała na widelec kawałek mięsa. – Na początku to było zabawne, nawet urocze. Zanim się zorientowałam, że jesteś zupełnie do niczego.

– Auć, Annie – odezwał się Jamie. – Opuść kapkę biedakowi. Jest tylko trochę do niczego. Tak do połowy. Może nawet w jednej czwartej.

– Nie powiedziałem ani jednego kłamstwa – obstawał przy swoim Gus. – Tamten człowiek. Tamto życie. Odeszło. Kiedy twoja matka wyjechała z Paryża, zniknęła Pru i zniknął Win. Widzisz tylko jego powłokę, skorupę. Reszta jego na zawsze pozostała w Paryżu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku.

– To jest żalosna żenada – stwierdziła Annie, mimo że poczuła, jak serce jej mięknie.

– Prawdopodobnie tak. Ale ja to tak widzę. I dlatego nie nagrałem nic więcej. Chcesz znać prawdę? Epilog? Chcesz wiedzieć, co się stało później? To posłuchaj. Powiem ci dokładnie, co się stało z Winem i Pru.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## KWIECIEŃ 1973 ROKU

Wierzyliśmy, że Paryż to nasz początek.

W tym mieście myśli się o początkach, a nawet o soczystych środkach. Paryż to książka, którą się rozkoszujesz w całości lub w częściach, o każdej porze dnia i roku. Czy masz lat dziewięćdziesiąt, czy też trzydzieści cztery, możesz ją otworzyć na dowolnym rozdziale i zacząć czytać.

Kiedy zwiedzałem Paryż z Pru, miałem wrażenie, że miasto jest głośniejsze, światła jaśniejsze, niebo bardziej błękitne. F. Scott Fitzgerald powiedział: „Najlepsi z Ameryki dryfują do Paryża”. Pru była najlepsza z Ameryki, najlepsza ze wszystkiego.

Między zapoznawaniem się z przesyłkami z Grange, okruchami informacji, które miały mi pomóc dokończyć książkę zgodnie z tym, co pani Spencer obiecała, Pru i ja pożeraliśmy miasto. Chodziliśmy do każdej kawiarni, do której warto było zajrzeć, do każdego pubu, podziemnego klubu, do wszystkich miejsc, które należy i których nie należy odwiedzać. Stukaliśmy się kieliszkami w Ritzu, szaleliśmy w podziemnych dyskotekach i odwiedziliśmy wiele razy gejowskie nocne kluby, co jak żartowała Pru, było dowodem na to, że nie chcę się ujawnić.

W weekendy jeździliśmy do Bretanii lub Banbury. Z pół tuzina razy pojechaliśmy z Gadsem do Blenheim, gdzie Pru uczyła się jeździć konno i szybko stała się wrogiem tamtejszej populacji lisów. Powiedziałaś mi, że mieszkasz w krainie myśliwych. Zdaje się, że właśnie w Blenheim twoja mama po raz pierwszy posmakowała polowania.

Mój brat łaskawie zatrudnił Pru w charakterze kuriera świadczącego czasami usługi dla jego banku. Nie wynikało to z pragnienia zarabiania pieniędzy, ale chęci uniknięcia deportacji. Jedynymi rzeczami, jakie kiedykolwiek gdzieś dostarczyła, były przeróżne okulary przeciwsłoneczne i portfele, które Jamie zostawiał w całym mieście.

Dlaczego jej wtedy nie poślubiłem? Nie pozbawiłem jej fasady kuriera i nie zrobiłem z niej swojej żony? Nie znam innej odpowiedzi oprócz tej, że nie wydawało mi się to konieczne. Zniechęcały mnie zbyt techniczne dokumenty, niepotrzebna biurokracja i przestarzała instytucja. Ślub w Paryżu w latach siedemdziesiątych był jak zakładanie smokingu dla zabawy. Poza tym spójrz na księcia i księżną. Wszystko układało się między nimi fantastycznie do czasu ślubu. Pamiętaliśmy ich historię, która była dla nas przestrogą.

Niebawem przyszedł kwiecień. Paryż wynurzał się z błota i posępności. Na amerykańską ziemię wróciła ostatnia grupa z sześciuset jeńców wojennych uwolnionych w ramach operacji powrót do domu. Nixon siedział po kolana w knowaniach i próbie zatuszowania faktów w związku z aferą Watergate. Kolega pani Spencer – Picasso – zmarł w swoim domu we Francji.

Było wczesne popołudnie. Wróciliśmy z Ogrodów Luksemburskich, gdzie napisałem ostatnie zdania *Zaginionej księżnej*. Jakies bzdury o tym, że księżna nie wiedziała, co to prawdziwa miłość. Zamierzałem zmienić te słowa, gdyby książka nie została wydana po jej śmierci, ale w tamtym momencie wydawało mi się, że skończyłem biografię. Byliśmy wniebowzięci.

– O kim teraz napiszesz? – zapytała Pru, kiedy wspinaliśmy się po schodach do mojego mieszkania. – Przez dwadzieścia lat uganiałeś się za tą kobietą. Z następną powinienes się pospieszyć. – Poklepała się po nadgarstku. – Nie masz ani chwili do stracenia.

– Jediną dziewczyną, za którą chcę się uganiać, jesteś ty.

Wesoło uszczypnąłem Pru w tyłek, kiedy otworzyła drzwi do mieszkania. Była czternasta. Czternasta dziesięć, jeśli mam być precyzyjny. Od razu wiedzieliśmy, że coś się stało.

– Jamie? – zawołała Pru i przeszła na palcach przez przedpokój.

Nie powinno go być w domu. Powinien obowiązkowo siedzieć w banku i wypracowywać swoje godziny, jak na bankiera przystało. Ale jego obecność wyczuwało się w całym domu. Zabawiał gościa, kogoś, kogo nie znał.

– Jestem w salonie! – krzyknął słabym głosem. – Mój brat jest z tobą?

Jamie wyszedł do przedpokoju. Miał twarz zieloną jak czarownica.

– Jamie? – Pru podeszła do niego. Dotknęła jego łokcia. Stali się sobie bliscy. Był dla niej jak brat. – Marnie wyglądasz. Czy wszystko...?

– Laurel. – Ujął ją za rękę, a w jego oczach malowała się panika. – Jasna cholera. Nie wiem, co robić. Ktoś przyjechał się z tobą zobaczyć. Pani Spencer...

– Pani Spencer tu jest? – Twarz Pru pojaśniała. – Gdzie jest nasza staruszka? Mam nadzieję, że Tom dobrze się nią opiekuje. Też jest tutaj?

Pru usiłowała wejść do pokoju, ale Jamie ją cofnął.

– Jak rany. Ostrzegała nas! Ostrzegała!

Pru delikatnie odepchnęła Jamiego i weszła do salonu, gdzie zobaczyła osobę siedzącą na kanapie. Ta osoba zdecydowanie nie była panią Spencer ani Tomem. Boże, ile Pru by dała, żeby zobaczyć w tamtym momencie groźne spojrzenie Toma trzymającego w ręku młotek.

– Kim jesteś? – zapytała, chociaż znała już odpowiedź. – Kim jesteś? Co tutaj robisz?

Jak to później opisała, wszystko jej opadło na podłogę. Oto widziała ducha. Zjawę. Śmierć stojącą w progu.

„Uciekaj! – podpowiadał jej mózg, chociaż nogi odmówiły posłuszeństwa. Uciekaj! Wyjdź stąd! Biegiem!”.

Powinna się cieszyć na widok tego człowieka, bo to był cud, powód do świętowania. Tylko że przynosił najgorsze z możliwych wieści dla Pru, a zwłaszcza dla faceta, którego zwano kiedyś Winem.



## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## KWIECIEŃ 1973 ROKU

– Laurel Innamorati, trudno cię wytropić. – Mężczyzna wstał, co nie było łatwe, bo miał tylko jedną nogę. – Ale oto jesteś – powiedział. – Wreszcie. Poprzysiągłem sobie, że choćby nie wiem co, pójdę i na koniec świata, żeby cię znaleźć. Paryż nie leży tak daleko. Paryż, a nie jakaś ruina na angielskiej wsi. Co to za przekłete miejsce?

Pru powiedziała później, że w tamtej chwili wydawało się jej, że znajduje się w Berkeley. Może była z Petal i zgodziła się w końcu ulec namowom współlokatorki, żeby spróbować kwasu. Coś, co wydawało się rokiem żałoby i cierpienia, okazało się wysoce nieprzyjemnym odlotem. To miało więcej sensu niż zaakceptowanie tego, co widziała.

– Nie – powiedziała i usiłowała odgonić wizję. – Nie jesteś rzeczywisty. To nie jest realne.

Próbowałem ją dotknąć, ale odpędziła mnie. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Chyba powinniście spadać – jednonogi mężczyzna zwrócił się do Jamiego i do mnie. – Jest w szoku. Zostawcie ją. Dajcie jej czas.

– Przykro mi, kolego, ale się stąd nie ruszę – odparłem.

– Ja też nie – dodał Jamie, który kiwnął głową i zacisnął usta na znak solidarności ze mną.

– Dobra. Róbcie, jak chcecie. Możemy zrobić z tego imprezę. Laurel? – Mężczyzna usiłował podejść do niej, ale z powodu zaburzeń równowagi upadł ciężko na kanapę. – Laurel? – powtórzył.

Nieznajomy nie odrywał wzroku od napiętej i bladej twarzy Pru. Popatrzył na nią groźnie, jakby to mogło ją zmusić do odezwania się. Pru otworzyła na sekundę usta, ale potem znowu je zamknęła.

– To była niezła przygoda – rzucił. – Mama powiedziała mi, że jesteś w jakiejś rezydencji w Anglii. Pojechałem tam i okazało się, że to jakaś pieprzona rudera. Dzwoniłem do drzwi, a wtedy zaczęła do mnie strzelać jakaś goła starucha. Jakby za mało do mnie strzelano.

Pru wydała z siebie dziwne mlaśnięcie, jak szczeniak niemający głosu.

– Suka zachowywała się jak paranoiczka – ciągnął. – Nie chciała powiedzieć, gdzie jesteś. Na szczęście byli tam jacyś członkowie rodziny bardziej skorzy do szczerości. – Pokręcił głową i zaśmiał się z goryczą. – W ubiegłym roku widziałem sporo dziwactw, ale to wyjdzie chyba na prowadzenie.

Pru jęknęła, ale tylko ja to słyszałem.

– Kolego – odezwałem się, dając z siebie wszystko, żeby mówić swobodnie. Ale w moim żołądku szalała burza. – Siedzisz w moim salonie, lecz nie przypominam sobie, żebyś się przedstawił.

– Win – mruknął żalonym tonem Jamie. Ostrzegął mnie.

– Charlie – odpowiedział mężczyzna, akcentując swoje imię. – Charles Edgar Haley junior. Narzeczony Laurel.

Nie musiał dodawać tego, że jest narzeczonym. Moje serce rozpadło się już na bilion kawałeczków.

Ten mężczyzna, ten chudy obcokrajowiec z opalonym karkiem, ogoloną głową i tylko jedną nogą był narzeczonym Pru. Tym, który nie żył.

– Powiedziałaś mi, że zginął – wypaliłem. Patrzyłem na nią z wściekłością.

Pru odwróciła się w moją stronę. Na jej twarzy malowało się zdumienie, jakbym ją uderzył – później powiedziała, że się tak poczuła. Nazwałem ją kłamczuchą, choć nie przejmowałem się tym kłamstwem. Jedno kłamstwo czy tysiąc, gdyby ten mężczyzna zniknął, wszystko bym jej wybaczył.

– No bo zginął – wybełkotała. – Tak... nie. Niech wszyscy wyjdą. – Przyłożyła dłonie do głowy. – To nieprawda. Żaden z was nie istnieje naprawdę.

– Moja słodka Laurel. – Charlie rzucił się do przodu i chwycił jej rękę. – Moja biedna dziewczynka.

Pociągnął ją, żeby usiadła na kanapie obok niego. A ona mu na to pozwoliła. Kiedy poczuła pod sobą poduchę, ujęła głowę w dłonie.

– To ci się na pewno wydaje nierealne – mówił Charlie. – Próbowaliśmy cię znaleźć, ale nikt nie odbierał telefonu tam, gdzie powinnaś być. Przyjaciółka mamy... chyba Edith... myśleliśmy, że sobie z nas zadrwiła. Że podała nam nieprawdziwe informacje. Więc wsiadłem do samolotu najszybciej, jak się dało. Zamierzaliśmy przysłać tu prywatnego detektywa, ale chciałem cię wytropić osobiście. Muszę ci powiedzieć, że trudno cię namierzyć.

– Tropicie kobiety – rzuciłem. Próbowalem być zabawny, złośliwy. – Ale jesteście sprytni, jankesi.

– Kim jesteś, bo nie usłyszałem? – zapytał Charlie, mrużąc oczy.

W tym momencie zwróciłem uwagę na jego pomięte ubrania, poznaczoną bliznami twarz. Ten człowiek na pewno nie był eleganckim bostończykiem. Nie wyglądał na kogoś odpowiedniego dla Pru. Rany, wydawało mu się, że to Laurel, a tymczasem ona bardzo się zmieniła.

– Nazywam się Win Seton. I zamierzam prosić, żebyś stąd wyszedł.

– Śmiałe żądanie skierowane do mężczyzny, który wrócił do żywych, żeby odszukać swoją prawdziwą miłość.

– Prawdziwą miłość? – spytałem. – Dziewczyna, która machała ci na pożegnanie, kiedy odpływałeś swoim okrętem, już nie istnieje.

– Nie płynąłem okrętem.

– Nie jest tą samą osobą.

– Powtórzę pytanie. Kim jesteś?

– Nazywam się Win Seton.

– To słyszałem. Brakuje mi kończyny, ale uszy mam sprawne.

– Jestem właścicielem tego mieszkania – poinformowałem. – A to jest moja dziewczyna.

Pru spojrzała na mnie. Miała zapłakane czerwone oczy. Dostrzegłem w nich coś, co zinterpretowałem jako obietnicę, a tymczasem to było błaganie.

– Powiedzieli mi, że on nie żyje – mówiła trzęsącym się głosem. – Widziałam go. – Pru popatrzyła na Charliego. – Twoje prochy. Kon Tum. Pochowali cię! Odbył się pogrzeb!

– Wiem. To jest mocno popieprzone. Odwalili fuszerkę. Krótko mówiąc... – Charlie wzruszył ramionami. – Pomylili ciała.

– Pomylili ciała? – powtórzyłem. W życiu nie byłem tak zdegustowany. – Jak to możliwe?

Wyjaśnienie było wystarczająco przerażające, a na domiar złego on mówił o tym tak, jakby ktoś pomylił jego zamówienie na lunch, przez co musiał teraz zjeść sałatkę z kurczakiem, nie zaś z tuńczykiem.

– Nie zrozumcie mnie źle – powiedział Charlie. – W czasie wybuchu zginęło kilku ludzi. Resztę z nas wzięto do niewoli. Wujek Sam bardzo się starał dopasować części ciała do listy zaginionych, ale...

Znowu wzruszył ramionami. Miałem ochotę walnąć go w twarz.

Po ataku znaleziono szesnaście ciał, wyjaśnił Charlie. Dwanaście dało się zidentyfikować. Departament Obrony usiłował zidentyfikować pozostałe cztery ciała i w końcu zrobił wszystko, żeby uznać je za Charliego i trzech innych mężczyzn.

– Niektórzy goście uznani za zmarłych byli jak ja jeńcami wojennymi – oznajmił. – Inni, którzy uchodzili za zaginionych, nie żyli. Niezły pierdolnik. Nie znam lepszego sposobu, by to wyjaśnić.

Wydawało się to takie niewiarygodne. Ale w ciągu kolejnych lat dowiedziałem się, że to nie był odosobniony przypadek. Pech, wielkie szczęście, ale nie jedyne. Nawet w nowym milenium, dzięki lepszym metodom stosowanym w medycynie sądowej, udało się wytropić kolejne pomyłki.

– Pomylili części ciała? – upewniła się Pru. Była zielona i wyglądała, jakby miała zwymiotować. – Jak to...

– Wygląda na to, że jesteśmy wymienni.

– A więc byłeś... – jąkała się. Usiłowała ogarnąć jego słowa.

– W obozie jenieckim – Charlie dokończył za nią. – W przeklętym piekle. Ta twoja zrujnowana rezydencja w porównaniu z tym to jakiś pieprzony Ritz. Było tam do dupy. Wszystko było do dupy. Nawet nie umiem tego opisać. I nigdy tego nie zrobię. Ale powiem tylko, że w dobry dzień trawiłem tylko dwadzieścia czerwi i pozwalano, żeby ropa z moich ran sączyła się swobodnie. Nie dokładano mi nowych ran.

Charlie nie powiedział nic więcej. Zamknął szczegóły za stalową bramą swoich ust. Wytrąciła mnie z równowagi wrogość w jego oczach, którą tłumaczyłem własną zazdrością. Był moim rywalem, bezgranicznie bardziej zasługującym na współczucie i o wiele dzielniejszym.

– Uwolnili cię? – zapytała Pru. – Tak po prostu?

Mimo że Pru słyszała o operacji powrót do domu, nie była jednym z czterech milionów ludzi przyklejonych do telewizorów, kiedy jeńcy wojenni wracali do ojczyzny. Przebywała w Paryżu, zakochana, i nie miała czasu zaprzętać sobie głowy wydarzeniami na świecie.

– Nie powiedziałbym, że mnie wypuścili „tak po prostu”. – Charlie uśmiechnął się ironicznie. – Jeśli cię to ciekawi, to kiedy trafiłem do obozu, miałem dwie nogi.

– Boże – wykrztusiła Pru i wydała z siebie cichy dźwięk świadczący o tym, że zrobiło się jej niedobrze.

– Nie, panienko. Tam, gdzie przebywałem, Boga nie było. W żadnym kącie.

– Cieszę się... że przeżyłeś – wydusiła z siebie Pru. Wydawała się niespokojna, niepewna, jak kobieta w szpilkach krocząca po pokładzie przechylającej się łodzi. – Twój rodzice na pewno nie posiadają się z radości.

Wymieniliśmy z Jamiem spojrzenia. Jeszcze nigdy nie widziałem powrotu do domu w miejscu tak od niego odległym. Pru nie wydawała się szczególnie szczęśliwa. Nie było po niej widać nawet poczucia ulgi.

– Cieszę się, rzecz jasna – odparł Charlie. – Ale, mała, chodziło o ciebie. To twoja twarz dodawała mi sił. Spędziłem w obozie zaledwie dziewięć miesięcy, czego nie da się porównać z czasem, który spędzili tam inni, ale to było piekło. I przez cały ten przeklęty czas myślałem o tobie. Myślałem o tobie także wcześniej. Kiedy widziałem różne okropieństwa i kiedy sam dopuszczałem się okropności. – Gdy Charlie mówił, żyły wystąpiły mu na skronie. – Miałeś rację – stwierdził. – Nie powinienem jechać. Ale wyobrażanie sobie ciebie trzymało mnie przy życiu.

Kiedy wyszedłem w końcu ze szpitala i ciebie nie było... Kurwa. Żałowałem, że żyłem. Tym razem naprawdę.

Pru oddychała z trudem. Nie mogła złapać tchu.

– Ale to już przeszłość – powiedział. – Znalazłem cię i jesteśmy w końcu razem.

Charlie otworzył dłoń, którą do tej pory zaciskał. Rozprostował palce i wyciągnął rękę w stronę Pru.

Pośrodku dłoni leżał pierścionek. Platynowa obrączka zwieńczona czterokaratowym brylantem i dwoma dwukaratowymi po bokach. Uprzywilejowani mieszkańcy Anglii dziedziczyli tytuły. W Ameryce dziedziczono klejnoty po babci.

– Proszę cię o rękę – ciągnął Charlie. Posłał mi krótkie spojrzenie. – Ale już się zgodziłaś. Nic się nie zmieniło. Chyba że masz coś przeciwko kalekom.

– Charlie – szepnęła Pru. – Proszę...

– Wróć ze mną. Jeszcze nigdy nie kochałem cię tak jak w tej chwili. Zaczniemy od nowa. Będę pracował za cholernym biurkiem, gdzie największym zagrożeniem będzie możliwość skaleczenia się papierem. Czy nie tego zawsze pragnęłaś?

Pru nadal była skołowana. Charlie pochylił się w jej stronę i nasunął pierścionek na jej palec. Był o wiele za duży. Obrócił się i brylant natychmiast zniknął nam z oczu.

– Wróć ze mną – powtórzył. – W Paryżu jest miło, Laurel. Paryż jest świetny, ale niech Bóg błogosławi Amerykę.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

Wszyscy padli z wrażenia na widok Laurel stojącej w progu mieszkania. Nawet Annie, która przecież do niej dzwoniła.

– Nie wiem, co chcesz uzyskać – powiedziała Laurel. Jej twarz zdradzała, że czuła się pokonana, miała rozczochrane włosy. – Ale nie będziesz uciekała do innego kraju, nie mówiąc mi o tym.

Laurel dawała jej burę jeszcze przez kilka minut, jakby była czołową kandydatką do miana najsurowszej matki na świecie. Annie jednak rozumiała, że robiła to na pokaz. Napadła na córkę głównie po to, żeby nie musieć zwracać uwagi na pozostałych obecnych.

– Nagrałam ci wiadomość – zauważyła Annie. – Więc cię poinformowałam. I jaki miałam wybór? A tak na marginesie, to jestem dorosła.

– To nie jest w twoim stylu, Annabelle. Co zamierzasz? Spać w mieszkaniu obcego mężczyzny?

– Nie jest obcy.

– No, obaj jesteście trochę obcy – próbował żartować Jamie.

Laurel zamknęła oczy. Mieszkanie skrzypiało i wzdychało. Annie poczuła, że Gus dygocze za nią.

– Teraz wreszcie rozumiem, dlaczego jesteś taką przeciwniczką Erica – stwierdziła Annie. – Charlie. Ten zmarły żołnierz. To on był moim tatą?

– Tak. I nie jestem przeciwniczką Erica. Jestem zwolenniczką ciebie.

– W ciągu ostatnich tygodni myślałam, że nie chcesz, żebyśmy byli razem, bo się słabo znamy. Potem pomyślałam, że się boisz, że go stracę. Sprawiałś, że wszystko zakwestionowałam: siebie, jego, to, czy powinniśmy być razem. Ale teraz już wiem. Nie obawiałaś się, że nigdy nie wróci. Bałaś się, że to zrobi i że ja za niego mimo to wyjdę.

To stwierdzenie nie byłoby bardziej oczywiste, gdyby je napisała lub wygrawerowała na wizytowniku do walizki. Laurel nie kochała Charliego, kiedy za niego wyszła. Poślubiła go z poczucia winy. Albo z powodu nostalgii. Lub dlatego, że kiedyś go kochała.

Jej matka się starała. Laurel skosztowała artystycznego paryskiego stylu życia, ale nie mogła go utrzymać. Musiała zachowywać się dojrzałe od wczesnych lat życia, kiedy straciła oboje rodziców, a potem Charliego. Laurel zachowywała się teraz jak odpowiedzialny dorosły, robiła, co należało, według swojego mniemania. Jej charakter i historia były zbyt mocno w niej zakorzenione, żeby mogła je pokonać.

– Annie – odezwała się Laurel. Unikała patrzenia na Gusa, jakby był słońcem. – Cokolwiek teraz myślisz, mylisz się. Nie znasz całej historii.

– Gdzie on jest? – zapytał Gus.

Annie energicznie odwróciła głowę w jego stronę i zdziwiła się na widok mężczyzny, którego zobaczyła. Gus wydawał się jej wysoki, szeroki w ramionach i silny. Nagle stał się chudy, niemal anemiczny. Zastanawiała się, czy zachorował.

– Gdzie jest Charlie? – powtórzył pytanie.

Mięśnie na szyi Laurel napięły się, kiedy starała się nie obrócić głowy.

– Proszę, ostrzeż mnie, kiedy trzeci członek tej szacownej rodziny będzie się miał tutaj pojawić – powiedział Gus. – Bo nie zniosę tego po raz kolejny.

– Mało prawdopodobne – burknął Jamie. – On nie żyje, kolego.

– Nie żyje? – spytał Gus i otworzył szeroko usta. – Kiedy? Jak? Nie żyje?

Tym razem naprawdę? To pytanie wisiało w powietrzu, ale Gus nie miał odwagi go zadać.

– Zmarł w styczniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku – poinformowała Laurel i wreszcie spojrzała w jego stronę.

Gus drgnął, kiedy jej wzrok na nim spoczął. Jak na siebie patrzyli? Jakby się zestarzelili o trzydzieści lat w ciągu jednego dnia? Czy też wydawali się sobie tacy sami?

– Pru – szepnął Gus.

– Chwileczkę – odezwała się Anie. – Zmarł, kiedy byłem mała? Nie mówiłaś, że od niego odeszłaś?

– Odeszłam – potwierdziła Laurel. Oderwała wzrok od Gusa. – Odeszłam, kiedy byłem w ciąży. Byłam sama, kiedy cię urodziłam, a potem przyjechałam tutaj. Być może pamiętają panowie dziecko, które było tu wówczas ze mną. Ma teraz lepsze włosy, to znaczy ma je w ogóle.

– Jasna cholera – mruknął Jamie.

– Charliego już nie było? – spytał Gus. – Kiedy tu wróciłaś?

– Żył, ale już nie byliśmy razem.

– Posłuchajcie – wtrącił się Jamie. – Mam genialny pomysł. Annie, chodź ze mną.

– Nie ma mowy – zaoponowała. – Zostaję.

Chciała zobaczyć, jak to wszystko się potoczy. Nie wspominając o tym, że miała milion pytań, które chciała zadać.

– Przykro mi, panienko – stwierdził Jamie. – Idziesz ze mną. Wypijemy kieliszek wina lub trzy i pozwolimy, żeby kumple z przeszłości odnowili relacje.

– Chcę wiedzieć... – zaczęła Annie.

– Wszystkiego się dowiesz. – Jamie wziął ją za rękę. – Oni jednak muszą się dowiedzieć pierwsi.

Annie nie zamykała ust, ale Jamie poprowadził ją przez przedpokój i wypchnął za drzwi. Kiedy się za nimi zamknęły, usłyszała, że jej mama cicho zapłakała.

– Damy im godzinę – powiedział Jamie. – Przynajmniej tyle możemy zrobić. Jakkolwiek by było, mają do nadgonienia życie.

## BOSTON, MASSACHUSETTS

1973 ROK

Laurel wróciła z Charliem do Bostonu.

Charliemu ten powrót wydawał się nieunikniony. Jeśli chodzi o Laurel, może i zostałyby w Paryżu, gdyby Charlie nie przywiózł pierścionka babki. Lub gdyby poprosił ją o rękę po raz drugi, zamiast przypominać jej, że już raz się zgodziła za niego wyjść.

Być może Laurel zostałyby, gdyby Charlie miał dwie nogi zamiast jednej. Lub gdyby wciąż był taki pewny siebie jak dawny Charlie Haley. Laurel już na początku się zorientowała, że w jego zbroi było kilka szczelin, w jego obwodach doszło do kilku spięć. Jakaś jej część nie chciała mieć do czynienia z tak skrzywdzonym człowiekiem.

– Rozumiem – powiedział Win, kiedy Laurel poinformowała go, że wybiera Charliego. – W pełni rozumiem.

Leciało jej z nosa, kiedy siedzieli na jego łóżku – ich łóżku – a Charlie chodził tam i z powrotem po przedpokoju, gdy oni się żegnali. Laurel starała się nie myśleć o Winie, tylko o swoich dawnych uczuciach do Charliego. Były jednak zbyt odległe, by dały się pochwycić.

– Nie płacz – odezwał się do niej Win. – Postępujesz właściwie.

Był silny. Spokojny. Myślał realistycznie. Zupełnie nie jak mężczyzna, którego Laurel kochała. Win powiedział później bratu, że jest chyba lepszym aktorem niż pisarzem. Lepszym aktorem niż człowiekiem.

– Win – powiedziała, wyplakując mu się w ramię i obejmując go oburącz za szyję. – Przekonaj mnie, żebym została. Żebym się schowała w tym pokoju do czasu, kiedy on sobie pójdzie.

Gdyby spojrzała na jego twarz, zobaczyłaby, że usta drżały mu niekontrolowanie.

– Nie mogę tego zrobić, kochana – odparł, bo naprawdę wierzył, że podejmuje najlepszą decyzję. Najlepszą dla niej. Ponieważ dla niego to był koniec świata.

– Znajdzie sobie kogoś innego – powiedziała Laurel. – Kobiety go uwielbiają. Uganiają się za nim. Co jest dość irytujące.

Gdzie ona była? Gdzie się podziła miłość, którą Laurel niegdyś darzyła Charliego? Nawet w czasach jej świetności wypadła blado w porównaniu z tym, co Laurel czuła do Wina.

– Znajdzie sobie dziewczynę o wiele lepszą ode mnie – ciągnęła. – Lepiej urodzoną. Sam przecież powiedziałeś, że jestem sierotą.

– Dziewczynę lepszą od ciebie? To niemożliwe.

– Ale jego rodzina nienawidzi sierot! Powiedzieli mi to! Tiggie Haley twierdzi, że sieroty powinno się kierować do obozów pracy, zamiast wypłacać im renty. Nie żartuję. To jest cytat!

Win oderwał palce Laurel od swojej szyi. Musiał. W przeciwnym razie nie pozwoliłby jej wyjechać.

– Laurel – powiedział. – Nie jestem dla ciebie dość dobry. Jestem tylko podstarzałym piszącym chłopcem, który nie ma nic do zaoferowania. Musisz jechać. Boston to twoje miejsce na ziemi. Nie możemy wiecznie rozbijać się w Paryżu. Nikt nie prowadzi długo takiego życia.

To było echo jej wcześniejszych przemyśleń. Innymi słowy, było im razem zbyt dobrze, by mogło to być prawdą.

– A więc to koniec? – spytała. – Wyjadę z Charliem i już nigdy cię nie zobaczę? I nie

masz nic przeciwko temu?

– Wręcz przeciwnie – odpowiedział. – I jeszcze się zobaczymy. Kiedy GD wreszcie odejdzie, będziesz musiała przyjechać po swoje dzieła sztuki i sprzedać swoją część Grange. Spotkamy się. Staruszka nam to zagwarantowała na piśmie. Może miałaś rację. Może lady Marlborough wierzy w miłość.

Myśl, że dzięki pani Spencer dysponowali tą obietnicą na przyszłość, niosła pocieszenie.

– Kogo oszukujemy? – zapytała Pru. – Przecież pani Spencer przeżyje wszystkich na tej przeklętej planecie.

Win zdołał się zaśmiać, mimo że jakaś jego część myślała, że to może być prawda. Gladys Deacon Spencer-Churchill, dziewięćdziesięciodwulatka, która równocześnie była wieczna. To oni powinni ją uwzględnić w swoich testamentach, a nie odwrotnie.

– Zawsze możesz wrócić – powiedział Win. – Wiesz o tym, prawda? Jeżeli coś nie wypali. A nawet jeśli wszystko się ułoży. Będę tu czekał, w tym miejscu, zawsze.

– Zawsze to bardzo długo – zauważyła Laurel szeptem.

Pomyślała o księżnej i o jej matce. Florence Deacon zaliczyła Coco Abeille'a do standardowego paryskiego romansu. Laurel postara się przekonać samą siebie, że Win jest tym samym.

– LAUREL! – krzyknął Charlie.

Uderzył oburącz w drzwi. Laurel podskoczyła. Niebawem będzie to robiła odruchowo. W kolejnych latach rzadko kiedy zazna spokoju.

– Samochód jest na dole – poinformował Charlie. – Jeżeli mamy jechać, musimy to zrobić.

Wciągnęła powietrze. Jej oddech się rwał.

– Kocham cię, Laurel – powiedział Win. – I zawsze będę kochał.

– Laurel? Od kiedy to mówisz do mnie Laurel?

– Od tej chwili. Pru? Jej już tutaj nie ma. Ona i Win są w Café de Flore, przechodzą przez drzwi ze szkła i z żelaza. Pójdą dzisiaj do Le Sept. Albo na ten nowy kabaret brazylijskich transwestytów.

Pru – Laurel – zaśmiała się przez łzy.

– Świetny pomysł – stwierdziła.

– Widzisz, droga Laurel, Win i Pru są w Paryżu. I w Paryżu pozostaną.



## BOSTON, MASSACHUSETTS

1973–1979

Charlie, za którego Laurel wyszła, nie był osobą, którą poznała, ani chłopakiem, którego oświadczyły przyjęła.

Od początku mężczyzna był zły, brutalny, często pił. Najcięższe trzaśnięcie drzwiami sprawiło, że sięgał po kij bejsbolowy lub rewolwer. Tak często krzyczał w nocy, że Laurel zaczęła sypiać w innym pokoju. Źle się z tym czuła. To nie była jego wina. Ale bała się leżeć obok niego.

Charlie szybko wpadał w paranoję, a jeszcze szybciej w furię. W ścianach ich domu w zabudowie szeregowej w Back Bay było tyle dziur od uderzeń pięścią, że Laurel sięgnęła po dwuręczny młot i wezwała przedsiębiorcę budowlanego, żeby postawił ściany od nowa.

Co za udana i rzutka młoda para! Zmieniała wnętrze bostońskiego domu, żeby nadażyć za najnowszymi trendami! Tak myśleli członkowie rodziny i przyjaciele, którzy patrzyli na ten bałagan.

Charlie pracował w rodzinnej firmie, ale jego obowiązki i pozycja pozostawały zagadką. Gdyby Laurel musiała zgadywać, postawiłaby na stanowisko wiceprezesa do spraw zakrapianych lunchów i godzin, o których chętnie się zapomina.

– Czy on coś robi? – zapytała kiedyś teściową. – W biurze?

Nie chciała, żeby jej głos brzmiał oskarżycielsko, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktokolwiek powierzył mu prawdziwą pracę.

– Daj mu trochę czasu, żeby się przestawił – powiedziała Tiggie Haley. – Sporo przeszedł.

I nadal sporo przechodził, z tego, co widziała Laurel. Stres pourazowy stał się jednostką chorobową dopiero w latach osiemdziesiątych, ale stanowił poważny problem w ich życiu.

W tym czasie Laurel chciała wrócić na studia, zdobyć tytuł magistra. Mieszkali w Bostonie, gdzie nie brakowało uniwersytetów, ale Charlie nie chciał o tym słyszeć. Żona z prawdziwego zdarzenia siedziała w domu. Jego rodzice się z nim zgadzali. Z każdym dniem rodzina zaciskała się na niej coraz mocniej, jak imadło.

„Charlie i ja mamy coś wspólnego – napisała w pamiętniku pewnego wieczoru, kiedy zasnął obok niej na kanapie. – Oboje wiemy, co to znaczy być jeńcami wojennymi”.

Kiedy tylko przelała te słowa na papier, poczuła wstyd. Porównywała elegancki dom i pełną spiżarnię z tym, przez co przechodził jej mąż? Była okropną małostkową osobą. Laurel wyrwała tę stronę. I już nigdy więcej nic nie napisała.

Starali się o dzieci. Charlie był najstarszym z pięciorga rodzeństwa, więc pokładano w nim nadzieję i liczono szczególnie na syna. Ich seks był pospiesznym, pełnym złości, niedbałym aktem, po którym Laurel modliła się, żeby plemnik połączył się z pełnym zdrowym jajem. Nie chodziło o to, że jakoś szczególnie pragnęła dziecka, ale może jej mąż zachowywałby się lepiej, gdyby w domu było jedno lub dwoje dzieci. Wydawało się, że tylko na tym mu zależało, oprócz alkoholu.

W latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt trzy–tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt osiem Laurel zaszła w ciążę pięć razy. Traciła dzieci w siódmym, dziesiątym, dwunastym i osiemnastym tygodniu. Cudowny ciemnowłosy chłopczyk urodził się martwy w dwudziestym

dziewiątym. Charlie obwinił za to Laurel.

– Daj mu trochę luzu – powiedziała jedna z jego sióstr, kiedy Laurel wyznała jej, że się zastanawia, czy nie odejść, bo ich życie wydaje się jej toksyczne. Umierające dzieci wydawały się tego dowodem. – Tak wiele przeszedł. Bądź wdzięczna za to, co masz.

Bądź wdzięczna. To była solidna rada. Co też ona sobie wyobrażała? Laurel nie mogła odejść od Charliego Haleya. To po prostu nie wchodziło w grę.

Kiedy od powrotu Charliego z wojny minęło więcej czasu, niż spędził na wojnie, Laurel zasugerowała lekarstwa i psychiatrę. Latem, kiedy usiłowała mu pomóc bardziej aktywnie, musieli przeprowadzić kolejny gruntowny remont.

Wraz z upływem czasu Laurel zaczęła wierzyć, że być może naprawdę jest kiepską żoną, jak utrzymywał Charlie. Jak można prosić człowieka, żeby „zapomniał” o strzelaniu do ludzi i dziewięciu miesiącach nieustannego bicia i głodu? Nienawidziła siebie za to, że nie potrafiła tolerować jego humorów.

Laurel ze sto razy myślała o tym, żeby odejść, ale dokąd miałyby się udać? I do kogo? W jej życiu nie było nikogo, kto nie byłby związany z Charliem. Jej jedyna rodzina przebywała na innym kontynencie i uosabiała ją Pru.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Wina albo do księżnej lub nawet do Jamiego. Ale nie mogłaby tego zrobić tak, by nie zostawić żadnego śladu. Charlie już ją oskarżył o to, że się łajdaczy, i z nadzwyczajną uwagą analizował każdy anulowany czek i wykaz połączeń telefonicznych. Nie było sposobu, by mogła działać za jego plecami.

Wtem, pewnego ranka, dostała telegram.

W tamtym czasie bardzo źle się czuła w szóstej już ciąży i wymiotowała tak mocno, że miała nadzieję, iż nieuchronne poronienie nastąpi raczej wcześniej niż później. Skoro dziecko i tak nie przeżyje, jaki sens miało jej cierpienie?

– Telegram? – zdziwiła się, kiedy mężczyzna podał jej kawałek papieru. – Do mnie? Jest pan pewien?

– Jeżeli to jest pani nazwisko, to tak.

Czy była Laurel Haley? Byli już pięć lat po ślubie, ale nadal nie wiedziała.

– Dzięki – powiedziała do listonosza.

Drżącymi rękami rozerwała kopertę.

WESTERN UNION

TELEGRAM

22/2/1979

PANI LAUREL INNAMORATI HALEY

410 BEACON ST

BOSTON MA 02115

DROGA LAUREL

TO JEST PRYWATNY TELEGRAM OD GADSA, KTÓRY INFORMUJE CIĘ O NIEDAWNEJ ŚMIERCI PANI SPENCER KSIĘŻNEJ. KWOTĘ W WYSOKOŚCI 86 200 DOLARÓW ZDEPONOWANO NA TWOJE NAZWISKO W BANC OF BOSTON PRZY BOYLSTON STREET. DOKUMENTY ZWIĄZANE Z DZIEŁAMI SZTUKI I NIERUCHOMOŚCIĄ RÓWNIEŻ ZNAJDUJĄ SIĘ W DEPOZYCIE W TEJ SAMEJ INSTYTUCJI. OBRAZY MOŻESZ ODEBRAĆ W DOWOLNYM MOMENCIE. ŻYCZĘ CI SZCZĘŚCIA. TĘSKNIMY ZA TOBĄ. NAJSERDECZNIJSZE POZDROWIENIA. GEORGE WILLIAM COLIN SPENCER-CHURCHILL ZWANY CZULE GADSEM.

Z walącym sercem złożyła telegram i wsunęła go za dekolt sukienki. Wzdrygnęła się, bo z powodu ciąży bolały ją piersi.

– Spoczywaj w spokoju, pani Spencer – powiedziała z uśmiechem. Nie było jej smutno, bo tamta kobieta najprawdopodobniej znajdowała się już w najwspanialszym salonie w niebie i wiodła prym wśród wielbionych i sławnych. – Myślę o pani codziennie.

Pobiegła do swojego pokoju sprężystym krokiem. Po drodze włączyła magnetofon. Zagrał zespół Steve'a Millera. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Pani Spencer wysłuchała jej modlitw. Interweniowała w stylu Gladys Deacon.

– Mają pieniądze, hej! – śpiewała Laurel, sięgając na dno szafy po walizkę. – Wiesz, że wyjechali. Pojechali na południe i dalej uciekają.

„Ze śpiewem na ustach weź kasę i wiej”.

Weź kasę i wiej.

I dokładnie to Laurel zrobiła.

## BOSTON, MASSACHUSETTS

1979–1980

Dzięki hojności pani Spencer Laurel mogła opłacić z góry czynsz za mieszkanie w budynku z odźwiernym i strażnikiem. Tydzień później zapisała się do Wellesley.

Mimo że wcześniej studiowała literaturę, przeniosła wszystkie punkty kredytowe, które mogła, na kierunek poświęcony finansom. Kiedy myślała o powieściach, biografiach i wielkiej literaturze światowej, myślała o książce, a przez to i o Winie. Nigdy by nie ukończyła studiów, gdyby rozpamiętywała historię Pru. Czas zakopywania się wśród książek minął.

Po przeprowadzce Laurel próbowała dodzwonić się do Wina. Dwukrotnie. W obu wypadkach odebrała kobieta, która przedstawiała się jako pani Seton. To tyle, jeśli chodzi o „czekania zawsze”, pomyślała. Chociaż wcale na to nie liczyła.

W ciąży, z każdym dniem coraz grubsza, Laurel starała się ukończyć studia, a także sformalizować rozstanie z Charliem. Odmówił udzielenia jej rozwodu i zaczął ją nachodzić – pojawiał się na terenie kampusu i przed budynkiem późno w nocy. Laurel obcięła włosy i ufarbowała je na brązowo w nadziei, że taka forma kamuflażu załatwi sprawę. Modliła się, żeby Charlie w końcu dał za wygraną.

Niegdyśszy złoty chłopak Charlie Haley stał się niebawem wrogiem ochrony kampusu, która wyprowadzała go poza teren niemal codziennie. W tym czasie był już pijakiem, przez co był skazany na poruszanie się na wózku inwalidzkim. Studenci, którzy nie znali Laurel, na zawsze go zapamiętali jako bezdomnego pijaczynę, który terroryzował dziewczyny z Wellesley.

Laurel przed odejściem nie powiedziała Charliemu, że jest w ciąży, chociaż podejrzewała, że o tym wiedział. Kiedy zbliżał się termin porodu, krążył bliżej, zacieśniał kręgi, jak rekin opływający ofiarę. Laurel nosiła luźne zwiewne ubrania, ale w pewnym momencie zawiął wiatr i ukazał brzuch, który dziewczyna ukrywała.

Trzydziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, na piątym piętrze szpitala Massachusetts General, Laurel Innamorati Haley urodziła łysą, błękitnooką, ważącą trzy tysiące sto siedemdziesiąt pięć gramów dziewczynkę o imieniu Annabelle. To było urocze dziecko, które od samego początku sypiało w nocy po sześć godzin bez przerwy i prawie nigdy nie płakało.

Jedynymi świadkami narodzin dziecka byli lekarz, dwie pielęgniarki i kobieta z Europy Wschodniej, niejaka Blanka, która czasami sprzątała w mieszkaniu Laurel, kiedy ta była zbyt zajęta lub źle się czuła. Laurel postarała się o to, by w akcie urodzenia wpisano, że ojciec jest nieznany.

Krótko po powrocie do domu Laurel dowiedziała się od Blanki, kobiety, która nic nie wiedziała o Charliem, że jakiś upośledzony kanciarz kręci się często po holu. Pewnego dnia widziała, jak kłócił się z ochroniarzem, a za nim stała jakaś nadziana starsza para.

– To dziwne – stwierdziła Laurel i usiłowała ukryć panikę.

Charlie wiedział, gdzie mieszkała, i miał poparcie rodziców. Ta myśl paraliżowała Laurel. Zmiana fryzury i luźne stroje nie obronią jej przed bogactwem i furią rodziny Charliego.

Czy ta rodzina mogła wysuwać wobec niej jakieś roszczenia? Wobec jej mieszkania? I pulchnego, wesołego idealnego dziecka o różowych policzkach? Laurel teoretycznie nadal była żoną Charliego, a Annie jego dzieckiem. Z tego powodu Laurel przez cały czas żyła w strachu

o średnim natężeniu, czyli najgorszym jego rodzaju. Nigdy nie było wiadomo, kiedy może przejść w stan pełnego przerażenia.

Pewnego nadzwyczaj ciepłego zimowego poranka, po odbyciu rozmowy telefonicznej z departamentem przyjęć wydziału prawa Georgetown, Laurel poszła do banku z Annie w chuście. Może już nie studiowała w Berkeley, ale wiedziała, gdzie można znaleźć wszystkich hippisów, a przez to najlepsze opiekunki do dzieci.

W banku Laurel wypłaciła kwotę pięciuset dolarów. Gawędziła z kasjerką, podczas gdy drugi pracownik poszedł po kierownika. Podobno miał jej coś do powiedzenia. Laurel przygotowała się na cios, a Annie wierciła się na jej torsie.

– Czy coś się stało, panie Green? – zapytała Laurel z bijącym sercem.

– Mam dla pani telegram. Przyszedł dziś rano.

– Dziękuję – odparła i przyjęła papier.

Zrobiła wdech i zaczęła czytać.

WESTERN UNION

TELEGRAM

7/1/1980

PANI LAUREL HALEY

C/O BANC OF BOSTON

10 BOYLSTON ST

BOSTON MA 02115

DO PANI HALEY

PROSZĘ PRZYJEDŹ ZABRAĆ OBRAZY Z MOJEGO DOMU PRZY QUAI DE BETHUNE W PARYŻU. URODZIŁO MI SIĘ DZIECKO I POTRZEBUJĘ MIEJSCA. Z WYRAZAMI SZACUNKU PANI JAMES SETON.

Pani Seton. Pani James Seton. Czy to ją Laurel słyszała przez telefon? Żonę Jamiego, a nie Wina?

Może, pomyślała. Tylko może...

Oszołomiona perspektywą, której nie rozumiała, Laurel wypłaciła jeszcze dwa tysiące dolarów i popędziła do domu, żeby się spakować. Trwały właśnie zimowe ferie i zajęcia rozpoczynały się za kilka tygodni.

Następnego ranka pojechała taksówką na lotnisko Logan i kupiła bilet w jedną stronę do Paryża. Kiedy świt wstawał nad Bostonem, zwanym Miastem Pomysłów, Laurel wsiadła na pokład samolotu z plecakiem, dzieckiem i głową pełną nadziei.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

– Więc jednak jeździłaś po Europie z plecakiem – zauważyła Annie, kiedy jej matka zamilkła dla złapania tchu. – W pewnym sensie.

Zwróciła uwagę na to, jak niewielka odległość dzieliła Laurel i Gusa siedzących na kanapie. O czym rozmawiali przez te dziewięćdziesiąt minut, w czasie których Jamie i Annie sączyli wino na dole? Co postanowili?

– Tylko że powiedziałaś mi, że pojechałaś do Banbury – przypomniała jej Annie. – A nie do Paryża.

– Och, pojechałyśmy do Banbury. Jak tylko się zorientowałam, że Win tam właśnie był. Laurel wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. Wsunęła dłonie w tylne kieszenie dzinsów. Gus obserwował ją z błyszczącymi oczami. Annie natychmiast przypomniał się cytat z Edith Wharton: „Za każdym razem stajesz się dla mnie znowu zupełnie kimś innym<sup>22</sup>”.

Czy właśnie tak było z Laurel? Przytrafiała się od nowa? Przecież minęło tyle lat. Jej matka była – Annie musiała to przyznać – kobietą w średnim wieku, pod koniec czterdziestki. Ale przecież zostało jej jeszcze dużo czasu.

„Może... – pomyślała Annie tak jak jej matka dawno temu. – Może...”.

– Co było potem? – spytała Annie. – Zabrałaś mnie do Banbury. Byłaś samotna. Jeśli Gus nie był samotny, to przynajmniej nie miał żony. Ale nic się nie wydarzyło, zważywszy na to, że wróciłaś do punktu wyjścia. Do Bostonu. I skończyłaś studia.

– Odmówił spotkania się ze mną – odparła Laurel. – Wysłał pośredniczkę, która kazała mi się „wynosić”.

– To była moja szwagierka – poinformował Gus. – Aczkolwiek prosiłem, żeby to zrobiła.

– Dlaczego ją o to prosiłeś? – zdziwiła się Annie.

– Ze strachu. To był jedyny powód. O powrocie Pru było głośno. Wszyscy we wsi pamiętali młodą dziewczynę, która pracowała w Grange, więc byli podekscytowani tym, że przyjechała zobaczyć swoją ziemię z cudnym dzieckiem i pierścieniem z brylantem na palcu.

Brylantem, jak się okazało, znacznie mniejszym od pierwszego. Laurel sprawiła go sobie, żeby nikt jej nie nagabywał. Niezamężne matki nadal wytykano palcami, a śliczne dziewczyny wciąż podrywano, zwłaszcza gdy podróżowały samotnie.

– Kiedy o tym usłyszałem – powiedział Gus – i zobaczyłem to na własne oczy z daleka, uznałem, że nie mam szans. Nie mogłem przechodzić czegoś takiego po raz kolejny.

– Odmówiłeś spotkania się z nią – Annie zwróciła się do Gusa. A potem popatrzyła na matkę. – A ty wróciłaś do Bostonu. Po raz drugi.

Laurel przytaknęła i zacisnęła mocno usta. Próbowwała powstrzymać łzy, które lśniły już na jej rzęsach.

– Kiedy umarł Charlie? – dociekała Annie. – Jak?

– Czy nie możemy... Nie możemy przyjąć po prostu, że zmarł? Że miał wypadek i tak to zostawić?

– Powiedz jej – odezwał się Gus zachrypniętym głosem. – Teraz. Zasługuje na to, żeby

znać prawdę.

– Wiem. Mój Boże, wiem. – Laurel przycisnęła dłoń do oczu i westchnęła. – To jest takie cholernie trudne. – Przez minutę wpatrywała się w sufit, a potem przeniosła wzrok na Annie. – Gdybym została w Banbury. Gdybym została w Paryżu. Gdybym nie mieszkała z Charliem. Gdybym nigdy nie wróciła do Bostonu. Gdybym nigdy nie poznała Edith Gray. Czy to by czemuś zapobiegło? – Wskazała na drzwi. – Co by dało gwarancję? – Wskazała na Annie, potem na Gusa.

– Sporo tego „gdybym” – zauważyła jej córka. – I niczego to nie wyjaśnia. Co się stało? Laurel zamilkła i otworzyła usta. Tym samym otworzyła ostatnią część siebie, którą dotychczas trzymała w zamknięciu. Przed Annie, innymi, a nawet samą sobą.

W końcu zaczęła mówić. Tym razem nie zamierzała już niczego ukrywać.

## BOSTON, MASSACHUSETTS

STYCZEŃ 1980 ROKU

Laurel i mała Annie wróciły do Bostonu. Win nie chciał się z nią zobaczyć, więc Laurel zrezygnowała z niego na dobre.

Z lotniska wracały taksówką, ale ulice w promieniu dwóch przecznic od domu Laurel były zamknięte, jakby kręcono jakiś film albo jakby przez miasto przejeżdżał polityk. Na ulicy i chodnikach stali ludzie, setki ludzi. Policja. Dziennikarze. Furgonetki telewizyjne. Gapie zbierali się w grupki.

W pierwszej chwili Laurel się tym nie przejęła. Mieszkała w Bostonie obok ludzi sławnych i zamożnych, choć niekoniecznie dobrze wychowanych. Skandale wybuchały tu z pewną regularnością, dochodziło też do mniej eleganckich przestępstw: strzelanin, kradzieży. To było miasto. Laurel przede wszystkim zdenerwowała się tym, że będzie musiała pokonać dłuższą odległość w czasie opadów deszczu ze śniegiem z dzieckiem pod płaszczem.

– Zdaje się, że bliżej nie uda mi się podjechać, proszę pani – stwierdził kierowca. – To pani budynek? Numer pięćdziesiąt pięć?

– Tak – odpowiedziała i wyjrzała przez szybę. Pomyślała sobie, że zgromadzenie jest trochę zbyt liczne jak na zhańbionego polityka czy rozrabiającego piłkarza. – Wie pan, co się dzieje?

– To chłopak Kelloggów.

– Chłopak Kelloggów?

Serce jej waliło. Charlie miał na nazwisko Haley, ale był przede wszystkim chłopakiem Kelloggów.

Jest ich wielu, pomyślała. To była liczna rodzina, rozrastająca się każdego dnia. Przecież Charlie miał czwórkę rodzeństwa, w tym dwóch braci. Miał też mnóstwo kuzynów. Wokół roilo się od chłopaków Kelloggów.

– Tak – odparł kierowca. – No wie pani. Ten, który... Z choinki się pani urwała?

– Nie było mnie w kraju – szepnęła. Zaszło jej w ustach.

Annie otworzyła oczka. Zaczęła się wiercić.

– No tak. – Uderzył się w czoło. – Lotnisko. Hala przylotów międzynarodowych. Nieważne. Zna pani rodzinę Kelloggów?

Przytaknęła. W głowie się jej kręciło.

– To był wysoki chłopak. Przystojny. Stracił nogę w Wietnamie. Wie pani, o kim mówię?

Tym razem Laurel zdobyła się tylko na kiwnięcie głową. Tylko to mogła zrobić, żeby nie przestać oddychać.

– Wygląda na to, że żona od niego odeszła – ciągnął kierowca. – Mieszkała w pani bloku. I też miała dziecko. Jakaś służąca wpuściła go do mieszkania.

– Był w mieszkaniu?

– Tak. Zastrzelił służącą...

– Blanka! – krzyknęła Laurel.

Kierowca spojrzał na nią zaskoczony. Imienia Blanki pewnie nigdzie nie podano. Była tylko pomocą domową.

– Chłopak strzelił do służącej – referował dalej kierowca. – A potem powiesił się



w łazience.

– O mój Boże...

Annie wierciła się już na całego i usiłowała wyrwać się z objęć matki. Laurel przycisnęła ją mocniej do piersi.

– O mój Boże – powtórzyła. – Tej służącej nic się nie stało? Czy tak?

– Bynajmniej. Między strzelaniną a powieszeniem się działy się straszne rzeczy. – Kierowca pokręcił głową. – Ktoś go znalazł po dwóch dniach. Dziwne jest to, że nie wiadomo, gdzie podziewają się żona i dziecko. Mam nadzieję, że żyją. Miała pani szczęście, że wyjechała pani z miasta. Z niektórymi ludźmi... nigdy nic nie wiadomo. Nie wiadomo, z kim się ma do czynienia.

## ÎLE SAINT-LOUIS

## PARYŻ

## LISTOPAD 2001 ROKU

Wbrew temu, czego się spodziewano, Gladys Deacon Spencer-Churchill, Jaśnie Oświecona Księżna Marlborough, nie dożyła stu lat. Zmarła w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat w Szpitalu Świętego Andrzeja. U jej boku znajdowali się jeden wnuk, jeden Polak i jeden pisarz.

Miała wielu kochanków, wiele dokonała, a biografie wspaniałych ludzi, którzy się z nią zetknęli, wypełniają tysiące innych książek. I chociaż mogło się to wydawać smutne, że cała jej namiętność zakończyła się pełnym gorczy i ponurym związkim, Gladys Deacon na łożu śmierci widziała to inaczej.

Przez całe życie pragnęła tylko, żeby o niej pamiętano. I rozumiała, że wspomnienia lokują się w umyśle, ale także w sercu. W rezultacie lady Marlborough dała miłość, której szukała. I to jej wystarczyło.

– J. Casper Augustine Seton, ostatni wers książki *Zaginiona księżna. Biografia*

– Zabił się – powiedziała Annie. – Pod twoją nieobecność.

– Tak.

Laurel nawet nie próbowała powstrzymać łez, które spływały jej po twarzy.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytała Annie. – To było okropne, ale dlaczego?

– Przez brutalność. Sposób, w jaki to zrobił, zabierając ze sobą Blankę. Nie chciałam obarczać cię taką spuścizną. Bałam się i nie chciałam pozwolić, żeby ten cień padał na naszą małą rodzinę.

– O rety. – To było wszystko, na co Annie potrafiła się zdobyć.

Chciała powiedzieć mamie, że mogła wyjawic jej prawdę, że nie wpłynęłaby ona na ich piękne życie. Ale już rozumiała, czym był ten cień. Już czuła jego chłód na skórze.

– Nigdy więcej nie weszłam do tego mieszkania – ciągnęła Laurel. – Jak już wiele razy wcześniej, zorganizowałam nam nowy dom z tymi ubraniami, które miałam w plecaku. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście tym razem miałam ciebie. I dlatego wiedziałam, że wszystko będzie dobrze.

– No i dzięki Gladys Deacon.

– Jak najbardziej – przyznała. – Dziękuję Bogu za panią Spencer. Dzięki jej darom było mi znacznie łatwiej żyć dalej. I nie chodzi mi tylko o pieniądze. Ponad połowę swojego spadku przekazałam rodzinie Blanki. Nie mogło im to jej przywrócić, ale musiałam coś zrobić.

– Skończyłaś studia – powiedziała Annie, nadal ogłuszona wizją jednonogiego mężczyzny wiszącego pod prysznicem i biednej służącej, która miała największego pecha na świecie. – Mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło.

– Jakoś mi się udało. Po studiach na wydziale prawa Georgetown podjęłam pracę w stolicy. Mieszkałyśmy w malutkim uroczym mieszkaniu w Arlington przez kilka lat, zanim kupiłam nam Goose Creek Hill. Potem żyłyśmy tam. Ja i ty, dzieciaku. I wolałabym myśleć, że to było udane życie.

– Więcej niż udane – zapewniła ją Annie i mocno uściśnęła. Kiedy odsunęła się od mamy, zapytała: – A co z rodziną Charliego? Czy kontaktowałaś się z nimi?

– Broń Boże. Za wszystko winili mnie. Sama zresztą też się obwinałam. Woleli myśleć, że zginęłam razem z ich synem, a ja im na to pozwoliłam.

– Jak to możliwe, że nigdy nie wróciłaś? – zapytała Annie i popatrzyła na Gusa. – Do Anglii albo do Paryża? Na pewno o nim myślałaś, bo przecież byliście współwłaścicielami Grange.

– Nie przyjechałam Grange, żeby nie musieć o nim myśleć.

– Też nie byłem właścicielem zbyt długo – odezwał się Gus zachrypniętym głosem. – Przekazałem moją część bratanicy, córce Jamiego. Jest mniej więcej w twoim wieku i kończy studia. O ile nie walczy o prawa do nieruchomości ze zjawami z przeszłości.

– To z nią tak wojowałaś? – zapytała Annie. – Z bratanicą Gusa?

– Podczas gdy nie kto inny jak Gus starał się o wpisanie rezydencji na listę budynków zabytkowych, żeby spowolnić proces – dodał Jamie z uśmiechem.

– Dziękuję ci za dodatkowe trudności – powiedziała Laurel. – Wiedziałam, że drugą stroną transakcji była Clementine Seton, ale nie wiedziałam, czy to jego córka, czy żona. Gus się w końcu zaangażował. Usłyszał, że stwarzam problemy.

– To był syreni śpiew – zażartował Gus.

Nikt się przez kilka minut nie odzywał. Annie zamknęła oczy, starała się to wszystko jakoś poskładać.

Laurel wreszcie odsłoniła przed nią swoją przeszłość. Dała Annie to, czego pragnęła od lat. I chociaż Annie była jej wdzięczna za prawdę, również to, co Laurel powiedziała przed kilkoma tygodniami, było prawdą. Przeszłość jej nie ukształtowała. Charlie Haley nie miał wpływu na to, kim teraz była.

– Teraz już wszystko wiesz – stwierdziła Laurel. Rozluźniła barki po raz pierwszy tego dnia, może nawet w czasie tej dekady. – Ze wszystkimi szczegółami.

– To nie do końca jest prawda – oświadczyła Annie. – Znam przeszłość, twoją historię, ale z tego, co widzę, jesteśmy w połowie. Musisz mi powiedzieć, mamo, Pru, co się wydarzy dalej.

**Tytuł: Rozdział pierwszy**

**Od:** anniehaley79@aol.com

**Data:** 6 grudnia 2001 09:15

**Do:** eric.sawyer@usmc.mil

Podczas gdy ty płynąłeś do Afganistanu, ja wracałam do domu. Sama.

Nie udało mi się złapać bezpośredniego samolotu, więc poleciałam na lotnisko Reagana zamiast na Dulles. Przelatywaliśmy nad Pentagonem. To jest wielka dziura w ziemi. Małe przypomnienie większych zniszczeń, przypomnienie, dlaczego Ciebie tu nie ma.

Zrób tam, co do Ciebie należy, i szybko wracaj do domu. Mamy tak wiele do omówienia. „Opowiesz mi o wszystkim. Potem będziemy wracali do domu i sadzali w Twoich wygodnych fotelach to lekkie znużenie wyjątkowe o zmierzchu, i minie rok cały, zanim podadzą kolację”. To są słowa Gladys Deacon, księżnej Marlborough, które skierowała do Bernarda Berensona, mężczyzny, którego kochała.

Byłam w Anglii i Paryżu. Widziałam Boston, nawet jeśli tylko oczami wyobraźni. Poznałam pisarza i księżną. Widziałam moją matkę zakochaną i dowiedziałam się wszystkiego o tacie. Tak. Stary temat. O niczym nie uda mi się opowiedzieć w e-mailu. Ale poczekaj, aż usłyszysz resztę.

Widziałam te miejsca i mam wrażenie, jakbym pokonała milion kilometrów. Teraz, kiedy patrzę wstecz, spróbuję pójść naprzód. Wczoraj wysłałam aplikację na Uniwersytet Harvarda. Nie jest tak, jak myślisz.

Ubiegam się o półroczne stypendium, żeby przeprowadzić badania w bibliotece Berensona, tego samego, którego „pознаłam” w czasie swojego wyjazdu. Nie było mi łatwo opisać swoje kwalifikacje i – o dziwo – „zabawa w badacza” nie wygląda na papierze zbyt imponująco. Ale wiele lat temu moja mama ubiegała się o pracę, nie mając żadnego doświadczenia. I wyszło jej to na dobre, choć w (bardzo) długiej perspektywie.

A co z budzącą grozę Laurel Haley? Cóż, została z Gusem. Tak, tym mężczyzną z pubu, którym się tak przejmowałeś. Już rozumiesz, że nie da się tego wszystkiego opisać w e-mailu? Na razie ujmijmy to tak: moja mama i Gus pojechali niegdyś do Paryża. I tam też pozostali.

Wykonujesz swoją pracę – mam nadzieję, że jesteś bezpieczny – ale chciałabym, żebyś tu był. W wieku dwudziestu dwóch lat nagle doświadczam syndromu pustego gniazda i na tej starej farmie jest dla mnie za cicho. Nie martw się. Mam towarzystwo – spotykam się z bardzo chorymi dziewczynkami, które chcą zaznać wolności na koniu.

Niech to będzie sześć, siedem miesięcy, ile trzeba. Być może nie będzie mnie w Wirginii, ale to nie znaczy, że nie będzie mnie tu w chwili Twojego powrotu. A kiedy wrócisz, uczymy to. Będziemy siedzieli w fotelach o zmierzchu. Będziesz opowiadał o walce. A ja mam wyjątkową historię do opowiedzenia.

## Słowo od autorki

Na historię Gladys Deacon natknęłam się, kiedy zbierałam materiały do swojej pierwszej książki *A Paris Apartment*. Była to powieść oparta na rzeczywistych odkryciach dotyczących porzuconego mieszkania w Paryżu. W mieszkaniu tym znaleziono, pośród innych wybornych pamiątek, nieznanego wcześniej portret pędzla Giovanniego Boldiniego, który sprzedano w końcu na aukcji za ponad dwa miliony euro.

Kiedy zgłębiałam życie Boldiniego, zapoznawałam się z historią każdej znakomitości, którą przedstawiał na płótnie. Spośród osobistości tej miary co Sarah Bernhardt, Consuelo Vanderbilt, Edgar Degas i Henri de Toulouse-Lautrec jedna kobieta przyćmiła wszystkich, a jej historia okazała się równie barwna jak sam obraz. Kobieta tą była Gladys Deacon, księżna Marlborough.

Córka zamożnej rodziny z Newport, oszłamiająca panna Deacon, uważała siebie za Europejkę z krwi i kości. Mimo jej uprzywilejowanej pozycji nikt nie mógłby powiedzieć, że była chroniona. W wieku dwunastu lat Gladys Deacon znalazła się w centrum głośniego na cały świat zabójstwa. W wieku lat czternastu ogłosiła miłość do księcia Marlborough, swojego przyszłego męża. Mając dwadzieścia lat, mieszkała samodzielnie w Paryżu i wreszcie wyszła za mąż po skończeniu czterdziestu lat. Zgasła w popadającej w ruinę rezydencji na terenie hrabstwa Oxfordshire w wieku blisko stu lat.

To była kobieta, która nosiła rewolwer, na pewien czas straciła wzrok z powodu czytania zbyt wielu książek i ogłosiła się cudem: „Rachunek różniczkowy był dla mnie betką!”. Jej wiedza o polityce robiła nie mniejsze wrażenie. „To jasne, że mam na ten temat wiedzę! Spałam z jedenastoma premierami i większością królów!”. Wykorzystywała tę rozległą wiedzę, by dręczyć swojego największego wroga, Winstona Churchilla: „[Hitler] poderwał cały świat do walki. Był większy od Winstona. Winstonowi by się to nie udało!”. Ponadto powiadano, że mogła zapobiec pierwszej wojnie światowej.

Z powodu tych i wielu innych szczegółów, kiedy przyszło do pisania, natychmiast postanowiłam, że historia Gladys Deacon będzie stanowiła serce powieści. Zajmująca biografia pióra Hugona Vickersa, zatytułowana *Gladys: Duchess of Marlborough*, pomogła wzniecić tę iskrę. Książka stanowi pozornie bezgraniczny zbiór wybryków i anegdot księżnej, była też inspiracją dla powstania postaci Wina Setona, chociaż nie reprezentuje on bynajmniej Vickersa.

Moja powieść jest fikcją, aczkolwiek wykorzystałam wiele autentycznych manierizmów i przygód Gladys Deacon. Rzeczywiście podróżowała po świecie z Coon. Proust starał się zatrzymać ją w Rzymie, prowokując aresztowanie jej. Porwani jeńcy wojenni, zamiłowanie do broni palnej i liczne stado spanieli są faktami.

Zawarłam też wiele autentycznych wypowiedzi Gladys. Naprawdę uważała, że „wysztalcenie ułatwia życie”, i większość docinków pod adresem Churchilla zacytowałam dosłownie. Zamieściłam w powieści kilka cytatów z jej listów, podobnie jak komentarzy i opinii na jej temat ogłoszonych przez innych ludzi. Jak ujęła to Virginia Woolf: „Každy z miejsca się zakochuje w księżnej Marlborough. Ja zakochałam się natychmiast”. Wiem dokładnie, co miała na myśli.

Starałam się także wiernie przedstawić kolejnego bohatera tej książki – ostatni dom Gladys Deacon. Zgodnie z moim opisem Grange była zrujnowanym monstrum, a sama Gladys witała gości równie serdecznie jak jej fikcyjny odpowiednik. Rzeczywista księżna przyjmowała gości zasiekami z drutu kolczastego, gradem kul i co najmniej jednym „spierdalajcie” wypisanym na trawniku za pomocą środka chwastobójczego. Wyposażenie stodoły Toma, jak i samego

Toma, również zaczerpnęłam z rzeczywistości.

Ponieważ powieść jest fikcyjna, pozmieniałam daty i inne elementy na potrzeby fabuły. W Banbury Gładys nazywała siebie „panią Stuart”, a nie „panią Spencer”. I chociaż miała trudną relację z pasierbami, prawdziwa rodzina Marlborough jest o wiele bardziej urocza od przedstawionej na stronach książki. Wszystkie pozostałe niezgodności i wymysły również są wyłącznie mojego autorstwa.

Jeżeli kobieta, która zainspirowała powstanie tej książki, was zaintrygowała, zachęcam do lektury biografii autorstwa Vickersa. Jeżeli chcecie spojrzeć na Gładys Deacon oczami prawdopodobnej przyjaciółki-wroga, zajrzyjcie do *The Face on the Sphinx* Daphne Fielding. Informacje, które tam znajdziecie, w połączeniu z tym, co przeczytacie w internecie, pokażą wyraźnie, dlaczego Gładys Deacon uchodziła niegdyś za najpiękniejszą – i najbardziej gwałtowną – kobietę, jaka żyła na świecie. Dowodem na to jedno lub dwa „selfie”.

Jedna z opisanych przeze mnie postaci mówi: „to miało więcej wspólnego z legendą niż kobietą jako taką”. Chociaż mogła to być prawda, osobiście uważam, że najbardziej szalone historie są najbardziej prawdopodobne. Oczywiście księżna chciałaby nas przekonać, że jest inaczej. Kiedy Hugo Vickers wytropił „panią Stuart” w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku, żeby pytać ją o jej życie, kobieta: „popatrzyła na mnie z błyskiem w oku i powiedziała powoli: «Gładys Deacon...? Ona nigdy nie istniała»”.

Właśnie takiego komentarza należałoby się spodziewać po kobiecie, która utrzymywała: „Ja się nie urodziłam. Ja się wydarzyłam”.

## Podziękowania

Kiedy kończy się książkę, najlepszą częścią jest pisanie podziękowań. Mam tyle wdzięczności dla wszystkich osób, które pomagały mi po drodze.

Muszę zacząć od wielkich podziękowań dla fantastycznej i wnikliwej redaktorki Laurie Chittenden, która podjęła moją ważką ideę („ta książka jest stuknięta!”) i pomogła mi osnuć na jej kanwie całą historię.

Zawsze dziękuję ogromnie mojej agentce Barbarze Poelle za to, że jest bystra, wytrwała, prze zabawna. I jest moją przyjaciółką. Dziękuję, że zawsze o mnie walczysz, trwasz przy mnie i mówisz mi, kiedy robię coś źle. A skoro mowa o agentach, wykrzykuję podziękowania dla Heather Baror-Shapiro za ciężką pracę nad udzieleniem licencji zagranicznych.

Dziękuję za wielki wysiłek łośkiemu zespołowi z St. Martin’s Press, w tym Melanie Fried, Laurze Clark, Whitney Jacoby i cudownej Katie Bassel, najlepszej specjalistce do spraw reklamy w branży. Cały zespół z St. Martin’s Press był niesamowicie miły, uczynny i wspaniały, że już nie wspomnę o tym, iż zaproponował mi najlepsze na świecie okładki. Presja się nasiliła!

Dziękuję Leslie Rossman, Emily Miles Terry, Sarze Beigle i reszcie zespołu z Open Book Publicity za wysiłek w rozpowszechnieniu mojej pracy.

Szczególne podziękowania należą się mojemu kuzynowi Drew Thompsonowi i jego żonie Amy, którzy dostarczyli mi odrobiny „sztuki” na potrzeby tej książki. Dziękuję również Scottowi i Lisie Hourinom za informacje o tym, co marines robili po jedenastym września. Scott, mam nadzieję, że przedstawiłam zdobytą wiedzę wiarygodnie, i przepraszam za wszelkie błędy cywila!

Moim zabawnym, dobrym i przerażająco utalentowanym koleżankom pisarkom z San Diego: Sue Meissner, Tammy Greenwood, Margaret Dilloway, Jennifer Coburn, Jan Moran, Juliette Sobanet, a zwłaszcza boskiej Liz Fenton, dziękuję za to, że są tak cudownymi przyjaciółkami i zawsze mnie wspierają. Jesteście tak inspirujące, że już nie wspomnę o tym, jak fajnie jest się z Wami spotykać. Dziękuję też lokalnej księgarni Warwick’s w La Jolla, a szczególnie Julie Slavinsky, za ogromną zachętę i wsparcie.

Tysiącne dzięki dla dwóch świetnych organizacji, Women’s Fiction Writer’s Association (WFWA) i Barbara Bos’s Women Writers, Women’s Books za to, że wspierają mnie i wiele innych autorek na całym świecie.

Dziękuję też dwóm starym (ale nie wiekowym) przyjaciółkom ze stowarzyszenia Tri Delta – Elaine Turville Kropp i Annie Dinwiddie Hatfield – za wsparcie i werbowanie ludzi na spotkania autorskie ze mną. Zawsze dziękuję ogromnie Karen Freeman Landers, najlepszej przyjaciółce i najwspanialszej posiadaczce biletów na mecze San Diego Chargers, o jaką dziewczyna mogłaby prosić. Dziękuję również Wendy Merry, która nie tylko posyła ludzi na spotkania ze mną, ale też kieruje do moich drzwi producentów z Hollywood.

Dziękuję osobom z Ellie Mae, zwłaszcza Edowi Luce i jego żonie Ann, za to, że wspierają tę drugą karierę.

To wszystko nie sprawiałoby mi takiej frajdy, gdyby nie moja rodzina, w tym prze zabawna i błyskotliwa siostra Lisa Gable Wheatley oraz mój mądry, wesóły, kochający Chargers brat Brian Gable. Dziękuję tacie, Tomowi Gable’owi, za to, że zawsze mnie inspirował i dopingował, no i oczywiście mamie, której dedykuję tę książkę. Jak podziękować jednej osobie za... wszystko? Dziękuję także Billowi i Suzy Gable’om za podsuvanie moich książek pacjentom i przyjaciółom.

Dziękuję mężowi, Dennisowi Bilskiemu, za to, że wszystko działa. Zawsze żartuję, że

gdybyś wprowadził minimalną zmianę w swoim harmonogramie lub dostępności, cały system by runął. Dziękuję za wszystko, co dla mnie robisz, za nasze dziewczynki i za to, że uczyniłeś mnie najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

Moim odważnym, mądrym, wysportowanym córkom Paige i Georgii dziękuję za to, że były najłatwiejszymi do wychowania dziećmi. Uroczymi, niezależnymi i odpowiedzialnymi. To dzięki wam mogę robić tak dużo.

Wiele się nauczyłam, gdy wydano moją pierwszą książkę, a najwspanialsze było to, że na własnej skórze mogłam się przekonać, jacy ludzie są cudowni. Dziękuję nie tylko przyjaciołom, ale też czytelnikom w całym kraju, którzy przychodzili na spotkania ze mną. Nigdy nie zdołam wyrazić, ile dla mnie znaczy osobiste spotkanie z Wami. Jestem również nadzwyczaj wdzięczna za każdą uwagę od czytelnika, jaką dostaję. Zachowuję wszystkie. Mam nadzieję, że druga książka spodoba się Wam tak samo jak pierwsza.

I wreszcie pragnę zakończyć podziękowania wspomnieniem o mojej ukochanej babci, Carol Gable, kobiecie tak interesującej, że nawet u kresu swoich dni snuła nowe historie.

Michelle Gable

Cardiff-by-the-Sea, Kalifornia



<sup>1</sup> Fragment amerykańskiej pieśni patriotycznej zatytułowanej *God Bless America* (Boże, błogosław Amerykę): „Chętnie stanę obok ciebie i bronię jej będę dziś. Kocham ten kraj ponad wszelką wątpliwość. Boże, błogosław Stany Zjednoczone”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

<sup>2</sup> *Burke's Peerage, Baronetage and Knightage of the United Kingdom* – almanach szlachecki Zjednoczonego Królestwa, publikowany od 1826 roku. Autorem pierwszego wydania był irlandzki genealog John Burke.

<sup>3</sup> *Schadenfreude* (niem.) – przyjemność czerpana z cudzego niepowodzenia, nieszczęścia.

<sup>4</sup> *Petal* (ang.) – płatek.

<sup>5</sup> *Daisy* (ang.) – stokrotka.

<sup>6</sup> Thomas Hardy, *Z dala od zgiełku*, tłum. Róża Czekańska-Heymanowa, Warszawa 2015, s. 36.

<sup>7</sup> Tamże, s. 38.

<sup>8</sup> Thomas Hardy, *Juda nieznan*, tłum. Ewa Kołaczowska, Warszawa 2010, s. 301–302.

<sup>9</sup> Edith Wharton, *Świat zabawy*, tłum. Ariadna Demkowska-Bohdziewicz, Warszawa 1994, s. 33.

<sup>10</sup> W oryginale Gladys mówi: „He shot Coco right through the couch”, a prowadzący wywiad pyta „through the crotch?”. *Crotch* (ang.) – krocze.

<sup>11</sup> H.G. Wells, *Wyspa doktora Moreau*, przeł. Ewa Krasieńska, Warszawa 1997, s. 20.

<sup>12</sup> Bohaterka powieści Louise Fitzhugh zatytułowanej *Harriet the Spy*.

<sup>13</sup> Amerykańska aktorka. Zasłynęła z roli w serialu komediowym *The Mary Tyler Moore Show*, emitowanym w latach 1970–1977, w którym grała Mary Richards, trzydziestokilkuletnią samotną kobietę pracującą jako producentka serwisu informacyjnego w Minneapolis. Wcześniej (w latach 1961–1966) w *Dick Van Dyke Show* grała Laurę Petrie, była tancerką, a później gospodynią domową, żonę i matkę.

<sup>14</sup> *Prunus laurocerasus* (łac.) – laurowiśnia wschodnia.

<sup>15</sup> *Sunny* (ang.) – słoneczny.

<sup>16</sup> Edith Wharton, *Świat zabawy*, tłum. Ariadna Demkowska-Bohdziewicz, Warszawa 1994, s. 247.

<sup>17</sup> W oryginale: „Church on the Hill”. Nieprzetłumaczalna gra słów nawiązująca do nazwiska Churchill.

<sup>18</sup> Joshua Slocum, *Sam jeden żaglowcem naokoło świata*, tłum. Ludwik Szwykowski, Warszawa 1930, s. 133.

<sup>19</sup> Tamże, s. 2.

<sup>20</sup> W oryginale: „Charlie in Nam”. Słowem „Charlie” w okresie wojny w Wietnamie nazywano Wietkong, czyli partyzantów należących do Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego.

<sup>21</sup> *Win* (ang.) – wygrywać.

<sup>22</sup> Edith Wharton, *Wiek niewinności*, tłum. Urszula Łada-Zabłocka, Warszawa 1981, s. 309.